



*Walka o szczęście trwa do końca.
Nigdy nie wiesz, jaki będzie jej finał.*

Anna Karpińska

PRZEKONAJ MNIE, ŻE TO TY

Prószyński i S-ka

Anna Karpińska

PRZEKONAJ MNIE,
ŻE TO TY

Prószyński i S-ka

Adasiowi, mojemu najmłodszemu.

Podziękowania

Dziękuję Martusi, Agnieszce, Jędrkowi, Maćkowi, Monice, Magdzie i Sławkowi za to, że znajdują czas, by wysłuchać wszystkich moich pomysłów na książkę, i starają się pomóc w kreowaniu fabuły. Bez Was byłoby mi znacznie trudniej.

W szczególności dziękuję Martusi i Maćkowi za sumienne czytanie każdego rozdziału i mobilizowanie do pisania. Dla Was chce mi się pisać kolejny.

Pragnę podziękować również moim redaktorom – Ewie Charitonow i Michałowi Nalewskiemu, dobrym duchom wszystkich moich książek, za poświęcony czas, pracę, uwagi i dobrą współpracę.

A szczególne podziękowania należą się Czytelniczkom i Czytelnikom, bez których nie byłoby sensu tworzyć kolejnych książek.

Prolog

Zagarniałam fale rękami i usiłowałam ignorować lekkie ukłucia w podbrzuszu. Morze było spokojne, a niewielkie bałwanki obmywały moją twarz, niosąc lekkie, zanurzone w wodzie ciało w kierunku horyzontu. Nigdy nie odpływałam zbyt daleko, w obawie przed morskim żywiołem, nawet tak niemrawym, jak dzisiejszego wrześnieowego poranka.

Jeszcze tylko kilka metrów i zawracam w kierunku plaży, pomyślałam przy kolejnym skurczu.

Następny okazał się jeszcze silniejszy, a te, które przyszły po nim, wywołały bezwład lewej nogi.

Jezus, Maria, co się dzieje? Czy to już?, ogarnęła mnie panika.

Do porodu zostały trzy tygodnie, ale lekarz nie zabronił mi codziennych porannych kąpiei w morzu, bo nic nie wskazywało na przedwczesne rozwiązanie. Czułam się świetnie, byłam młoda, a o trudnych przeżyciach związanych z poprzednią ciążą już dawno zdążyłam zapomnieć. Dlatego nie odmawiałam sobie rozrywki o wschodzie słońca. O świcie.

Jak widać, ta dzisiejsza mogła zakończyć się inaczej. Sparaliżował mnie strach.

Próbowałam skierować się w stronę lądu. W panice szukałam wzrokiem ludzi, którzy, tak jak ja, upodobali sobie poranne kontakty z morzem i mogliby teraz pomóc.

Woda zalewała mi oczy. Nie dostrzegałam nikogo. Nie warto było krzyczeć.

Tylko spokojnie, żadnej paniki, powtarzałam jak mantrę, z trudem utrzymując się na wodzie. Dasz radę.

Dlaczego nie poprosiłam Marka, żeby mi towarzyszył?

Do plaży pozostało jeszcze pięćdziesiąt metrów. Bezwładna noga ciążyła, podwodny prąd oddalał od celu. Skurcze uaktywniły się tak, że w pewnym momencie przestałam stawiać im opór.

Poddałam się w chwili, gdy moja mała córeczka postanowiła przyjść na świat. Łzy wymieszały się z morską wodą. Zapamiętałam słony smak w ustach, a potem już tylko ciemność, czyjeś krzyki i głos wołający o koc.

Obudziłam się na piasku, na białym prześcieradle. Nad sobą zobaczyłam kilka wpatrzonych we mnie twarzy.

– Jest przytomna, można zaczynać. – Głos kudłatego faceta w opasce podtrzymującej bujną czuprynę dotarł z zaświatów. – Słyszysz mnie pani?

Skinieniem dałam do zrozumienia, że tak, ale wkrótce sylwetka lekarza oddaliła się niebezpiecznie.

– A teraz? Czy pani mnie słyszy? – zagrzemiał, szarpiąc mnie za ramiona. – Musimy rodzić! Pani musi przeciw! Proszę mi pomóc! Nie zasypiaj! – wrzasnęła, kiedy zaczęły mi opadać powieki.

Nie wiem, w jaki sposób się ocknęłam, nie pamiętam, co robiłam. Bolało. Ale kiedy usłyszałam ten głos, głos noworodka, pociekły mi łzy.

Poczułam przemożną ochotę na sen.

– Ma pani córkę. – Kudłata głowa w opasce wyrwała mnie z otępienia. Nachyliła się nade mną, pokazując małe zawiniątko w czymś białym.

Zorientowałam się, że to pielucha. Z tetry. Do dzisiaj zastanawiam się, dlaczego w tamtej chwili tak interesowało mnie, w co zawinięto moją córkę. Bo miałam córkę. Nie utonęłam, urodziłam i wszystko

było dobrze. **Już** dobrze. Ona żyła i płakała, ja też.

Cud!

– Chce pani przytulić dziecko? – usłyszałam z daleka. – Dobrze się pani czuje?

– Tak. – Łkałam, przecierając zasłaniającą oczy mgłę. – Dziękuję.

Edytka była piękna.

Spoglądałam na niewielki pakunek, z którego wyłaniała się pomarszczona twarzyczka i malutkie rączki, których paluszki policzyłam w jednej chwili. Było po pięć u każdej dłoni. I te włosy! Ciemne, długie, posklejane.

– Moja Edytka, powstała z morskiej piany... – wyszeptałam, nadając jej imię.

Wcześniej wybrana z Markiem Ela musiała ustąpić miejsca Edytce. Marek musi zgodzić się na tę zmianę, w końcu mnie kocha. I jeszcze te morskie okoliczności... I skojarzenia z Afrodytą.

– Zabieramy obie panie do szpitala. – Lekarz zabrał mi małą, przerywając wzniosły akt.

– Wszystko z nią w porządku? – upewniłam się z troską.

– Jak najbardziej. Ale kąpiele morskie w dziewiątym miesiącu nie są zbyt rozsądne.

– Wiem. Dziękuję – dodałam, nie znajdując lepszych słów.

– Po raz pierwszy odbierałem poród na plaży.

– A ja pierwszy raz na plaży rodziłam – zdobyłam się na żart.

– No to jesteśmy w podobnej sytuacji. – Pan doktor nie tracił poczucia humoru.

– Drzwi naszego pensjonatu zawsze będą dla pana otwarte – zapewniłam go, kiedy pakowano mnie do karetki. – Jeszcze raz dziękuję.

Skinął mi ręką na pożegnanie i zasalutował rubasznie.

– Niech się dobrze chowa!

Kilka następnych dni minęło mi w całkowitym szczęściu. Leżałam w szpitalu, donoszono mi Edytkę do karmienia. Rosła w oczach. Marek zakochał się w niej bez pamięci, a ja po kilku latach zabiegania o dziecko rozkoszowałam się spełnieniem jako matka i żona. Nie dbałam o pomarańcze, mandarynki, kwiaty, i o rosół, który przynosili na zmianę Marek i mama, ważne były ochy i achy na temat rodziny, którą właśnie udało się ukształtować. Ulepić. I to właśnie ja, mimo że trochę nieodpowiedzialnie poszłam popływać, przyczyniłam się do tego, że teraz byliśmy razem. Rozpierała mnie duma, a mój mąż był dumny ze mnie.

– Kochanie, dzisiaj wracamy do domu – obwieścił, wkraczając do mojego przytulnego szpitalnego pokoju, obarczony gondolką do przewożenia niemowląt. – Spakuję cię.

A zatem rozpoczyna się normalne rodzinne życie, westchnęłam w duchu.

Bałam się. A co, jeżeli Edytka nie będzie chciała ssać piersi? A jeśli coś się będzie działo z pępuszkiem? A co, gdy zachoruje? Może zostać tutaj jeszcze jeden dzień? Pielęgniarka pomoże, wesprze...

Mama wprawdzie była w domu, ale zajmowali ją goście w pensjonacie. Mniej niż latem, bo wrzesień to już nie pełnia sezonu, niemniej jednak chętnych na Krynicę Morską nie brakowało. Nawet wczesną jesienią. Nasz pensjonat, wymuskany i wypielęgnowany grajdołek dla stałych gości, wymagał uwagi i czasu, ponieważ ci, którzy przyjeżdżali tu każdego roku, traktowali nas jak rodzinę. Nie było możliwości, aby „pani Danuta”, czyli moja mama, nie powitała ich od progu, nie zaprosiła na kolację. Zawsze jej pomagałam, ale teraz, kiedy pojawiła się Edytka, będzie musiała radzić sobie sama. Oczywiście przez jakiś czas.

– Witamy w domu! – przeczytałam napis na fasadzie, gdy Marek zatrzymał samochód na podjeździe.

Mama czekała z chlebem i solą (co jej strzeliło do głowy?). A z nią pani Wiesia i pan Stefan, nasza domowa kochana gosposia i ogrodnik.

Wspięłam się po schodkach, trzymając główkę Edytki tak, żeby mogli się dobrze przypatrzeć.

– Ależ piękna! – wykrzyknęła pani Wiesia.

Pan Stefan wyciągnął rękę do Marka i wyszeptał gratulacje.

– Chodźcie, chodźcie! – komenderowała mama, ocierając łzy wierzchem dłoni. – Mamy tort. Kto zdmuchnie za Edytkę? – Podniosła paterę z bezą udekorowaną pojedynczą świeczką.

– To może ja? – odezwał się dumny tatuś. – Za moją dzielną żonę i za naszą córeczkę! – dodał, nalewając szampana do kieliszków i ani na chwilę nie spuszczał nas z oczu. – Za naszą córkę powstała z morskiej piany! Niech jej życie będzie szczęśliwe!

– Tak jest! Niech ma szczęśliwe życie. Witamy w domu, Edytko – dodała mama.

Nie pragnęłam niczego innego, wszystko miałam tu i teraz. Pensjonat, mamę, Marka i Edytkę, niekoniecznie w tej kolejności. No i panią Wiesię, i pana Stefana. Czy można chcieć więcej?

Urszula

Tak mi przykro, Ulka! Gdybyś czegoś potrzebowała... – Basia złożyła mi kondolencje.

Przykrywała ręką usta, powstrzymując płacz.

Skinęłam głową w bezgłośnym podziękowaniu za dobre słowo. Tabletki trochę pomogły. Dzięki nim przetrwałam jakoś pogrzeb Marka i byłam w stanie przyjąć od przyjaciół, sąsiadów i znajomych wyrazy współczucia.

Edyta odradzała mi tego rodzaju emocje po ceremonii.

– Mamo, podziękujemy za przybycie i poprosimy o nieskładanie kondolencji – zaproponowała, ale ja się nie zgodziłam.

– Dam radę – zdecydowałam, skazując się z premedytacją na wieńczące pogrzeb katusze.

Pragnęłam spotęgować cierpienie, by pozostać jeszcze przez chwilę z Markiem i z naszymi wspólnymi przyjaciółmi.

Kilka miesięcy temu obchodziliśmy dwudziestą piątą rocznicę ślubu. Nic nie wskazywało, że ostatnią.

– Trzymaj się, Edytko. I dbaj o mamę – usłyszałam głos Kazika, przyjmując wyrazy współczucia od Lidki, jego żony. – Źle wygląda.

– Zapraszamy na kawę – wykrztusiłam, kiedy ustępowali miejsca kolejnym żałobnikom.

Zebrany na cmentarzu tłum ludzi przerzedzał się powoli. Pozostali ci, których zaprosiliśmy na stypę w pensjonacie, a właściwie w domku gospodarczym z letnią kuchnią. Nasza smutna uroczystość nie powinna zakłócać spokoju gościom, którzy właśnie korzystali z ostatnich dni wypoczynku nad morzem.

– Może powinniśmy już iść? Stoimy tu ponad kwadrans. – Edyta uświadomiła mi, że wciąż tkwię nad grobem, zapatrzona w górę wieńców i nazwisko mojego męża na drewnianym krzyżu. Nieustannie zaskoczona.

„Marek Wrzesiński, urodzony w 1966 roku, zmarł w 2013”.

– Zobacz... Wrzesiński i zmarł we wrześniu. Czy to nie dziwne? – zapytałam.

– Mamuś, chodź już. – Moja córka mocno chwyciła mnie pod ramię. – Nie czujesz, że zrobiło się zimno?

Pewnie miała rację, ale ja nie odczuwałam chłodu, pomimo letniej czarnej sukienki i cienkiego żakietu, jedynych jako tako stosownych ubrań, jakie znalazłam w szafie. Nagabywania Edyty, by kupić odpowiedni strój, odrzuciłam.

Nie byłam w stanie biegać po sklepach i szukać ciuchów, kiedy zawalił mi się świat. Który jakimś dziwnym sposobem istniał dalej, podczas gdy ja sterczałam przy grobie w cienkiej sukience.

– Idę. Już idę, córeczko. – Oderwałam wreszcie wzrok od grobu i pozwoliłam Kazikowi odprowadzić się do auta.

Edyta pojechała ze swoimi znajomymi.

Gdyby nie ona, nie mam pojęcia, jak przebiegłby dalszy ciąg wieczoru. Spoglądałam na moją dwudziestoletnią córkę, przyglądałam się jej żywotności i po raz pierwszy w życiu oddałam się całkowicie w jej ręce. Otumaniona lekami i wielkim żalem do losu nie byłam nawet w stanie zajrzeć do mamy, która siedziała w swoim pokoju.

Ogarnęła mnie niepohamowana złość na niesprawiedliwość losu, który zabrał mi Marka, i wyrzuty sumienia, że nie potrafiłam uchronić męża przed najgorszym. Gdybym wysłała go do lekarza, może nie doszłoby do zawału? Za to z mamą biegałam po przychodniach, opiekowałam się, pilnowałam by przyjmowała leki, niańczyłam.

Odsunęłam od siebie poczucie winy. Przekonanie, że zaniedbałam...

– Uleczko, usiądź sobie na kanapie. Przyniosę ci herbaty. – Pani Wiesia wskazała mi miejsce w kąciu i przypilnowała, abym wygodnie oparła się na poduszce. – Edytka była już u babci. Zaraz sprowadzimy panią Danke – poinformowała.

Nie wątpiłam, że moja córka dopełniła obowiązku. Gdyby jeszcze zechciała dbać również o mnie!, pomyślałam.

Choć prawdę mówiąc, w tym momencie było mi wszystko jedno, co robi Edyta. Sięgnęłam po kolejne tabletki, które miały mi dać siłę, by przetrwać ten wieczór do końca.

– Dziękuję. Jeszcze raz wam dziękuję – zegnałam się z Kazikiem i Lidką, Baśką i Jankiem, Jerzym i Aliną.

Same pary. I tylko ja pozostanę w pustym domu bez Marka.

To niesprawiedliwe!, zżymałam się na los, odprowadzając do drzwi kolejnych gości. Marku, dlaczego mi to zrobiłeś? Jak ja sobie poradzę?

Najlepszym lekarstwem na przytłaczające myśli okazały się wieczorne obowiązki. Pani Wiesia musiała zając się letnikami, mnie i Edycie pozostało sprzątanie po stypie i babcia.

Pozostawiłam córkę z talerzami, na siebie biorąc przygotowanie mamy do snu.

– Myjemy dzisiaj głowę? – zapytała.

Pamiętała, że to sobota!

– Mamo, może jutro? Dzisiaj jestem bardzo zmęczona po pogrzebie.

Na dźwięk ostatniego słowa zaszklily mi się oczy.

– Po pogrzebie? Aaa... To może obetniesz mi paznokcie? Obiecałaś.

Zachciało mi się płakać. Co mnie obchodzą jej paznokcie, kiedy Marek nie żyje? Dlaczego ona taka jest? Czy ona niczego nie rozumie? Nie czuje?

– Edyta! Możesz przyjść? – zawołałam.

– O co chodzi, mamo? – Przybiegła natychmiast.

Stałam w drzwiach, ocierając pot, który nagle zrosił mi czoło.

– Zajmiesz się babcią? Ja pójdę posprzątać.

Skinęła głową, kierując się w stronę wózka.

– Idź. Tylko nie przesadzaj z tabletkami.

Na dole było już prawie posprzątane. Zebrałam ostatnie talerze, wyrównałam serwetę na stole, wyprostowałam zasłonkę. Pozwoliłam się przytulić pani Wiesi.

– Już dobrze, dziecko. Już dobrze – wyszeptwała, głaszcząc moje włosy. – Czas leczy rany.

Akurat! Niczego nie leczy. To tylko trywialna, głupia i prymitywna gadka, która mami ludzi w rozpacz. Moje życie się skończyło i nigdy już nic nie będzie jak dawniej.

Wielka gula w gardle przeszkodziła mi zaprzeczyć słowom pociechy. Cierpiałam i żadne słowa nie przynosiły ulgi.

– W każdym razie, gdybyś mnie potrzebowała, jestem w pobliżu – dodała nasza gosposia, rzucając okiem na wysprzątany salon. – Szkoda pana Marka...

Ostatnia uwaga wywołała lawinę moich łez.

Bardzo szkoda!

Jutro obudzę się bez niego, pojutrze też. Życie przystanęło. Nie wiedziałam, czy znajdę siłę, by się

obudzić rankiem.

Może wieczorne powietrze pomoże mi choć trochę?, pomyślałam i wyszłam na taras.

To nic, że było zimno.

Edyta

Babciu, paznokcie obetnę ci jutro, dobrze? Teraz jest już późno i musisz iść spać – tłumaczyłam mojej Buni jak dziecku, bo z uporem maniaka domagała się wieczornej toalety.

Demencja postępowała u niej lawinowo; z miesiąca na miesiąc coraz trudniej było się z nią dogadać. To nic dziwnego, kiedy ma się na karku osiemdziesiąt siedem lat.

Mama zdawała się tego nie zauważać. Dla niej babcia powinna być cały czas młoda i w pełni sił. Nie znosiłam u niej tej cechy. Zniecierpliwienia, które widziałam na jej twarzy, gdy po tygodniowym pobycie w szkole wracałam na weekend do domu i biegłam do babci. Bunia spędzała dużo czasu sama, moim zdaniem zbyt dużo. A mama była jak ślepa.

– Gdzieś się śpieszysz? – Babcia nie zamierzała odpuścić.
Nawet moja nieskończona cierpliwość do niej miała swoje granice. Rozryczałam się.
– Przecież ci mówiłam, że tato nie żyje! Dzisiaj mieliśmy pogrzeb! Muszę pomóc mamie! – łkałam, uświadomiwszy sobie, że taty naprawdę już nie ma.

– Taki młody człowiek! – Babcia złożyła ręce jak do modlitwy. – Dobry człowiek...
Otarłam oczy i przygotowałam jej pościel.
– Teraz cię położę, babciu. Pomóż mi. – Chwyciłam ją pod pachy i przeniosłam na łóżko.

Mimo wychudzonego starczego ciała była ciężka w swoim bezwładzie. Przez moment zaczęłam współczuć mamie jej codziennych zmagani. Nigdy nie prosiła taty o pomoc. I już nie poprosi.

Cmoknęłam Bunię na dobranoc i zbiegłam na dół, by pomóc mamie dokończyć sprzątanie. Zostałam pusty pokój z oknem otwartym na ogród.

– Mamo, jesteś tu? – zapytałam szeptem, spodziewając się zastać ją na tarasie.
Stała oparta o balustradę, z kieliszkiem wina w ręce.

– Może nie powinnaś pić przy tabletkach? – Zdobyłam się na pytanie.
Nie odwróciła się, tylko wykonała gest oznaczający, że to bez znaczenia.
– Mnie też go bardzo brakuje – wyszeptałam nieswoim głosem.
Rozplakała się i osunęła na schody. Przysiadła, osłoniła głowę rękami.

Nie przeszkadzałam. Miałam nawet ochotę ją przytulić, ukoić, ale przeszkodził mi fakt, że nigdy nie demonstrowaliśmy przesadnej fizycznej bliskości.

Jej groźba zawisła w powietrzu, gdy mama ocknęła się zniecka.
– Jesteś pewna swojej decyzji? – zapytała tak dobrze mi znanym rzeczowym tonem. – Możesz jeszcze spróbować, jest drugi nabór. Wiesz, jak tacie zależało...

Nawet w takiej chwili próbowała mnie namówić na studia, z których na razie zrezygnowałam. Ukończyłam w Gdańsku liceum z wykładowym hiszpańskim, doskonale znałam język i to mi wystarczało. Nie moja wina, że nie miałam skonkretyzowanych planów na przyszłość. Może kiedyś podejmę studia, ale jakoś nie bardzo w to wierzyłam. Marzył mi się wyjazd do pracy w Hiszpanii, trochę luzu, trochę zarobionej kasy. Kiedy zapoznałam ze swoimi planami tatę, odpuścił.

– Przyjdzie czas, córeczko. Wówczas podejmiesz decyzję – powiedział, podsumowując naszą dość napiętą dyskusję po wynikach matury.

– Jaki czas? – Uniosła się mama. – Może nie ma spektakularnych ocen, ale na iberystykę dostanie się bez problemu. Albo na jakiś inny kierunek.

– Nie chcę, mam – odparłam. – Muszę odpocząć po ciężkich czterech latach orki.

Moje liceum było czteroletnie.

– Dziecko, nie wiesz, co mówisz! Po czym tu wypoczywać? Ty dopiero zaczynasz walczyć o życie! Dzisiaj człowiek bez studiów...

– ...jest nikim – dokończyłam, znając jej frazeologię. – Ja tak nie uważam. Zresztą tato powiedział...

Tym razem to mama nie pozwoliła mi dokończyć zdania.

– ...to, co chciałaś usłyszeć – wtrąciła. – Ale wcale tak nie myśli – dokończyła i spojrzała wymownie na ojca.

– Skoro nie chce... Ale pewnie, że by mi zależało – plątał się w zeznaniach, starając się dogodzić obu swoim kobietom. – Ale...

– Marek! Mógłbyś chociaż raz być konsekwentny! Dziwię się, że tak łatwo odpuszczasz! Nie liczysz się ze szczęściem własnej córki i jej życiowymi perspektywami. Edyta, zastanów się, proszę cię!

Mimo aktorskiego wyjścia mamy z pokoju i ciszy, jaka zapadła, nie zmieniłam zdania.

Na świecie szalał gorący lipiec, lecz już we wrześniu czekał mnie wyjazd do Hiszpanii, który załatwiła Michalina. Oczami wyobraźni widziałam siebie w niewielkim andaluzyjskim pensjonacie, gdzie w białym haftowanym fartuszkę usługuję gościom, a w wolnych chwilach wyleguję się na plaży. Gromadziłam marzenia, na wszelki wypadek nie ujawniając ich rodzicom. To pozostawiłam na tydzień przed wyjazdem. Mniej czasu, mniej gadania.

Moja przyjaciółka wpadła do mnie w sobotę czternastego września.

– Gotowa? Za siedem dni wyjeżdżamy – przypomniła doskonale znany mi termin, pielęgnowany od dwóch miesięcy w duszy.

– Pewnie! Jestem spakowana. Jeszcze tylko powiem rodzicom.

Napotkałam jej zdziwione spojrzenie.

– To nie powiedziałaś?

– Spokojnie, tak trzeba. Wszystko mam pod kontrolą.

– Ale nie nawalisz? Miejsce czeka.

– Nigdy, Micha. Przełkną to. Nie wyjeżdżam na koniec świata i wrócę.

– Załatw sobie EKUZ – przypomniła.

W poniedziałek pojechałam do NFZ-etę po stosowną kartę ubezpieczeniową. A kiedy ją odebrałam, zadzwoniła mama.

Po jej telefonie nie potrafiłam podnieść się z ławki na pobliskim skwerze. Tato leżał w szpitalu po poważnym zawale.

Opanowałam bezwład ciała i dotarłam do dworca autobusowego. Ale kiedy dojechałam do szpitala i znalazłam salę taty, zastałam puste łóżko i mamę siedzącą bez ruchu na korytarzu. Usiadłam obok niej, próbując wydobyć z siebie łzy. Nie chciały płynąć.

Obudziłam się po jakimś czasie, oszołomiona środkami uspokajającymi.

W perspektywie miałam na głowie przygotowania do pogrzebu i zaledwie kilka dni do wyjazdu do Hiszpanii.

A teraz siedzę z mamą na tarasie, a ona mi mówi, że tacie zależało na moich studiach!

– Mam, chodźmy spać. Obie jesteśmy wykończone. – Zdobyłam się na jedyne sensowne zamknięcie dzisiejszego dnia.

Jutro podejść do tematu ponownie.

– Obiecuj mi, że przemyślisz sprawę studiów. – Dobiła mnie na koniec.

– Obiecuję.

Nie mogłam odpowiedzieć inaczej.

– Śpij dobrze, córciu.

– Ty też, mamuś.

– Nigdy nie myślałam, że będzie mi aż tak źle – wyszeptła, wsparłszy się w progu o futrynę.

– Ja też – odparłam, nie patrząc.

Urszula

Mimo garści środków uspokajających, którymi nafaszerowałam się przed snem, całą noc nie mogłam zmrużyć oka. Kiedy po przeczytaniu kilku wierszy w książce wydawało się, że sen jest tuż-tuż, wspomnienie Marka stawiało mnie na nogi. A z oczu płynęły łzy nie do opanowania.

Wstawałam i przemywałam twarz wodą. Nie poznawałam jej w lustrze. Była blada, zapuchnięta i majaczyła za mglistą zasłoną. Chodziłam po pokoju, otwierałam okno, by wpuścić powietrze, którego mi brakowało. Odruchowo sięgałam po komórkę, szukając połączeń. Marek często jeździł w trasę i wysyłał mi esemesy na dobranoc.

Ale dzisiejszej nocy telefon milczał.

Jeżeli nie liczyć wiadomości od Lidki. Mimo moich oporów uparła się, żeby odwiedzić mnie jutro. Zaproponowała dziesiątą, a kiedy nie odpowiedziałam, po prostu oznajmiła, że będzie na czas.

„Czy chcesz, czy nie chcesz”, napisała kategorycznie. „A teraz spróbuj wypocząć”.

Musiałam przysnąć nad ranem, ponieważ nie słyszałam zbliżających się do łóżka kroków.

– To ty? – krzyknęłam, zobaczywszy nad sobą twarz Lidki, siedzącej na skraju łóżka.

– Ja, ja, Uluś – przemawiała łagodnie i głaskała mnie po dłoni. – Nie podrywaj się, leż spokojnie.

Przyszłam sprawdzić, co u ciebie.

Podniosłam się gwałtownie, nie zwracając uwagi na zawroty głowy.

– Podasz mi wody? – Spojrzałam łakomie na stojącą na podłodze butelkę z mineralną. Suchość w ustach, która utrudniała wypowiedzenie kolejnego słowa, rosła z każdą chwilą. – Co z mamą? A goście pensjonatu? Kto podał śniadanie? – Po przełknięciu kilku łyków zarzuciłam przyjaciółkę lawiną pytań.

– Nie martw się niczym – odparła, lekko popychając mnie w stronę poduszki. – Poleż, zbladłaś. Wszystkim zajęłyśmy się z Edytą i panią Wiesią. Magda też przybiegła pomóc. Przy tej grupie dzieciaków na biwaku.

– Dziękuję – wykrztusiłam, ponownie nie mogąc opanować łez. – Co ja bym bez was zrobiła? Zaraz wstanę i będę działać – zadeklarowałam, nie wiedząc, że ciało odmówi mi posłuszeństwa i pozostanie w bezruchu.

– Co ci jest? – zaniepokoiła się Lidka, widząc moją niemoc. – Kręci ci się w głowie? Może wezwę lekarza?

Machnęłam ręką. Nie było takiej potrzeby. Pomogła szklanka gorącej herbaty i tabletką z antydepresantem. Poczułam się silniejsza, więc wykorzystałam chwilową nieobecność Lidki, która na prośbę pani Wiesi zeszła do kuchni, i doczłapałam się pod prysznic.

Trzeba było żyć dalej, chociaż nie bardzo wiedziałam po co.

Przypomniałam sobie słowa mojego wykładowcy ze studiów, który prowadził zajęcia z psychologii.

– Jest sprawą naturalną, że po stracie bliskiej osoby czujemy pustkę i żal. Nie widzimy sensu życia. I choć nikt nie wymyślił skutecznego antidotum na taki stan, udowodniono zbawienny wpływ rutyny. Codzienne czynności, obowiązki, po prostu zwykła krzątania, pomogą nam przetrwać i się nie poddać.

Jego słowami pocieszałam mamę, gdy zmarł tato, głęboko przekonana do tego rodzaju terapii. Jednak teraz miałam poważne wątpliwości, czy jest słuszna, kiedy nawet przeczesanie włosów po kąpieli

i naciągnięcie na głowę swetra sprawiało niemal fizyczny ból.

Gdy moja przyjaciółka wróciła, ponownie leżałam rozciągnięta na łóżku.

– Wybacz, Lidziu, ale ja chyba dzisiaj nie nadaję się do kontaktów z gośćmi – wyszeptałam.

– Nie musisz. Ta starsza para z wnukiem dzisiaj opuszcza pensjonat, biwakowicze jadą na wycieczkę do Piasków i wrócą wieczorem. Jutro po śniadaniu się zbierają, a ci młodzi z dwojgiem maluchów posiedzą jeszcze tylko trzy dni. Wzięłam urlop. Damy radę z panią Wiesią i panem Stefanem.

– A mama?

– Edytka się nią zajmuje.

– Dobrze, że jest i pobędzie do października. Muszę koniecznie porozmawiać z nią o studiach. Jeśli pójdzie do Gdańska, będzie miała blisko.

Wydawało mi się, że Lidka zmieniła się na twarzy. Znała moje relacje z Edytą, które może nie były zbyt bliskie, ale na pewno przepełnione miłością. Teraz, kiedy zabrakło Marka, została mi tylko córka.

– Nie myśl o problemach, przynajmniej nie dzisiaj. Przynieść ci jeszcze jedną filiżankę herbaty?

Dopiero po południu, kiedy słońce zaczynało przybierać czerwoną barwę zwiastującą bajeczny zachód i pogodny kolejny dzień, udało mi się zebrać z łóżka i wyjść na powietrze.

Nasz pensjonat, o wdzięcznej nazwie „Z morskiej piany”, mieścił się za wydumą. Z górnego piętra można było dojrzeć majaczące pomiędzy konarami dorodnych sosen morze. Niewielki poniemiecki domek, przejęty po wojnie przez moich dziadków, na przestrzeni lat gospodarskim sposobem był rozbudowywany, przerabiany, modernizowany, upiększany, dopieszczany przez rodziców i w końcu przeze mnie i Marka, który mimo iż pochodził z gór, wyjątkowo upodobał sobie to miejsce. Domkowi daleko było do powstałych w ostatnich latach apartamentowców z portierem czy ekskluzywnych hoteli dla możnych tego świata, ale za to udało się w nim stworzyć swojski klimat i dobrą kuchnię. No i ta bliskość plaży! Dzięki naszym niewygórowanym ambicjom goście nie musieli mieć wypchanych kieszeni, żeby zatrzymać się u nas na kilka dni. Dlatego chętnych nie brakowało, a ci, którzy przyjechali raz, odwiedzali nas ponownie.

Na niewielkiej parceli stał odnowiony budynek z pruskiego muru, a w nim pokoje gościnne i jadalnia, jak zwykliśmy nazywać to pomieszczenie, by nie nadużywać słów „restauracja” czy „stołówka”. Z tyłu działki mieścił się stary budynek gospodarczy, przebudowany na mieszkanie dla nas i sezonowe pokoje dla pani Wiesi i pana Stefana, którzy późną jesienią wracali do swoich domów. Choć ostatnio pani Wiesia została sama i spędziła z nami całą zimę. A i pan Stefan z każdym rokiem bardziej odsuwał termin powrotu do dzieci.

– Przecież trzeba śnieg odgarniać, a pan Marek tak często wyjeżdża – motywował swoją przydatność.

Miał rację. Mój mąż prowadził firmę przewozową i ciągle był w ruchu. A to trzeba było odebrać towar w Warszawie, a to w Gdańsku, na Śląsku czy w innej części Polski. Nie było komu odgarniać.

Spodziewałam się, że nasz ogrodnik kolejną zimę spędzi w pensjonacie.

– Panie Stefanie, przecież ma pan u nas swój pokój. Nie musi pan szukać powodów, by zostać – tłumaczyłam. – Przecież jesteśmy jak rodzina. Od kiedy to? – pytałam retorycznie, wiedząc, że nastąpi dumna tyrada o jego początkach w pensjonacie.

– To było w sześćdziesiątym ósmym, kiedy wypływaliśmy z Włodkiem na połów. Siedziałem, taki dwudziestoletni młokos, na plaży i gapiłem się na rybaków szykujących kutry. Kiedy współnik Włodka, Zdzichu, nie przyszedł, ten zapytał mnie, czy chcę z nim popłynąć. Podskoczyłem i już byłem na kutrze. „Łowiłeś już?”, zapytał. „Nie, ale chętnie się nauczę”, odparłem, aż trzęsąc się na myśl, że wypłynę w morze. U siebie w chałupie mogłem co najwyżej zmienić świniom ściółkę. „To siadaj”.

On miał kuter, ja umiałem reperować sieci. Zaczęliśmy wypływać razem. Sprzedawaliśmy ryby letnikom i do spółdzielni. To były czasy... Nie zapomnę, jak wracaliśmy z morza kutrem pełnym ryb.

A kiedy dziesięć lat później ta moja nieszczęsna noga wkręciła się w silnik i nie nadawałem się już do niczego, Włodek załatwił mi pracę u was.

To znaczy, nadal reperowałem sieci, ale w morze już nie bardzo mogłem wypływać, a Włodek jeszcze tylko kilka lat.

– Wiem, panie Stefanie. Już dobrze. Są rzeczy, które przeżywają ludzi. Na przykład nasz pensjonat. Dopóki on będzie, znajdzie się w nim miejsce dla pana.

Już miałam zapytać, czy mogę mówić do niego „wujku”, ale się powstrzymałam. Nie byłam spontaniczna z natury, więc postanowiłam poczekać na bardziej odpowiedni moment.

– Chłodne popołudnie, ale pogodne. – Wyrwał mnie z letargu głos pana Stefana.

– Tak – potwierdziłam stanowczo, nasuwając bardziej na ramiona wełniany szal.

Nasz ogrodnik stał obok, nie śmiejąc się ruszyć.

– Ulek... – odezwał się w końcu, nieśmiało. Usłyszałam zdrobnienie, którego używał mój tato. – Będzie dobrze. Ja wiem, że nie mogę ci pomóc, chociaż bardzo bym chciał...

Rozplakałam się i – jakkolwiek patetycznie to wyglądało – padłam mu w ramiona.

– Czy mogę nazywać pana wujkiem?

– Dziecko, tak mi przykro. To nie mogło się zdarzyć... Oczywiście, że tak! A czy ja mogę zostać z wami na zimę?

Uśmiechnęłam się i żartobliwie pogroziłam palcem.

– Tylko żebyś nie zmienił zdania, wujku!

– Chodź, mała.

Przytulił mnie jak ojciec.

Zapadłam w jego objęcia. Nie wiem, skąd mi się wzięła ta potrzeba przytulania, bliskości. Chyba byłam rozkojarzona. I jeszcze te antydepresanty.

– Tu jesteś? – usłyszałam głos Lidki. – Szukałam cię. Obiad już dawno wystygł. Chodź coś zjeść.

– A gdzie Edyta? Nie widziałam jej od rana – zapytałam, siadając przy stole zastawionym kluskami śląskimi naszej Wiesi, kiszoną kapustą i polędwiczką z grzybami.

Domyśliłam się, że danie zostało wykonane specjalnie dla mnie.

– Musiała na chwilę wyjechać, ale zaraz wróci – wyjaśniła niepewnie Lidka.

– Gdzie pojechała? Powiedz mi, co wiesz – nagabywałam.

– Myślę, że powinnaś poważnie porozmawiać ze swoją córką, Ula.

– Nic mi nie powiesz?

Pokręciła głową.

– Idę do kuchni wydać kolację biwakowiczom – odparła. – Wszystko będzie dobrze.

Zbierały się jakieś chmury, a ja nie wiedziałam, z jakiego płyną kierunku.

Weszła Edyta i usiadła przy stole, ale obiad zjadłyśmy niemal bez słowa, mimo zagadywań Lidki.

Moja przyjaciółka była wspaniała. Nie pozwoliła mi sprzątnąć ze stołu, bo moje dziecko nie zaoferowało pomocy. Usunęło się bez słowa do swojego pokoju.

Podniosłam się, by pójść do mamy. Podświadomie liczyłam na szczyptę przewidywalności. Nie myliłam się.

– Obetniesz mi paznokcie? – przywitała mnie od progu.

Z uczuciem ulgi sięgnęłam po szczypczyki.

Edyta

Rano wpadła ciocia Lidka, oznajmiając, że mama nie czuje się na siłach, by wstać z łóżka, i przez kilka kolejnych dni to ona będzie zajmować się pensjonatem. Spytała, jak się czuję i czy nie potrzeba mi filiżanki kawy, przytuliła mnie i nie czekając na odpowiedź, pognęła do kuchni. Wróciła po chwili z filiżanką parującej czarnej kawy ze śmietanką, do której dołączyła świeży rogalik z miodem.

– Zjedz coś, Edytko. Przyda ci się na wzmocnienie – powiedziała spokojnie, jednocześnie patrząc z troską, czy nagle nie wybuchnę płaczem.

Może i tak by się stało, gdyby nie perspektywa wyjazdu do Hiszpanii, który miał nastąpić za dwa dni i spędzał mi sen z powiek. Jak powiedzieć o tym mamie? Wczoraj była w tragicznym stanie, aż zaczęłam się zastanawiać, czy mogę ruszyć się z Krynicy i zostawić ją z całym tym majdanem. Choć serce rwało się do zmiany otoczenia, a rozum podpowiadał, że praca daleko stąd będzie dla mnie lekarstwem na żal po stracie taty.

– Edyta, rozumiem, w jakiej sytuacji się znalazłaś, ale pamiętaj, że wszystko już załatwione. Praca czeka. Kogo z dnia na dzień znajdę na twoje miejsce? – Po pogrzebie Michalina zaciągnęła mnie do pokoju.

– Nie mogę teraz o tym myśleć. Może jutro. – Próbowałam odroczyć decyzję. – Czuję się fatalnie. Wiesz, jaki był Marek (tak przy znajomych nazywałam ojca). Nieba by mi przychylił, a ja co? Mam się po prostu zmyć i zapomnieć?

– Kto ci każe zapominać? Już nie pamiętasz, że namawiał cię do samodzielności?

Trafiła w czuły punkt. Rzeczywiście, nieraz rozmawialiśmy z ojcem za plecami mamy o mojej przyszłości, podświadomie unikając jej dobrych rad, które miała na każdą okazję.

Powinna skończyć studia i zostać tłumaczem. A najlepiej zacząć pisać książki, bo „masz talent”.

Nie wiem, na jakiej podstawie wzięło się jej tak wysokie mniemanie o własnym dziecku. Czyżby z powodu tych kilku opowiadań, które wydrukowano w szkolnej gazetce? Pisałam tu i tam dla przyjemności, nie zamierzając jednak całkowicie poświęcić się tego rodzaju działalności. Za bardzo gnało mnie w świat, więc praca nad tekstem w domowym zaciszu wydawała mi się karą nie do zniesienia. A poza wszystkim, kto zatrudniłby mnie jako tłumacza? Po maturze? Zwłaszcza że odczuwałam potrzebę, by zrobić sobie przerwę od edukacji.

Tato to rozumiał.

Żałowałam, że nie powiedziałam mu o wyjeździe. Być może teraz jego słowa byłyby dla mnie wskazówką, jak postąpić. Niestety, czasu nie da się odwrócić.

Tato, wróć i powiedz, co mam zrobić!

Okazało się, że miałam w sobie jeszcze pokłady łez, które teraz popłynęły wbrew woli.

Michalina zamilkła. Zaczekała, aż się uspokoję.

– Już dobrze? – zapytała, kiedy przetańłam twarz mokrym ręcznikiem. – Nie ponaglam, ale najpóźniej jutro musisz postanowić, co z wyjazdem. Przepraszam, że tak obcesowo, ale czas nas goni. Edytko... Nie wiem, co powiedzieć. Przykro mi. – Niezgrabnie spróbowała mnie objąć. – Chyba już pójdę. A ty daj mi znać, co postanowiłaś, jutro do dwunastej.

– Oczywiście. – Otarłam łzy i wysmarkałam nos. – Przecież wiesz, że chciałabym pojechać. Powiem ci, gdy tylko porozmawiam z mamą.

– Okej. W takim razie czekam.

Odprowadziłam przyjaciółkę wzrokiem, bo po kilku słowach pożegnania skierowała się w stronę drzwi. Później wykrzesalam z siebie siły, żeby wrócić na stypę. Kilkoro moich gości ulotniło się po obiedzie; ostatni zęgnął się Miłosz, kolega z równoległej klasy w liceum.

– Przepraszam, że tak długo siedziałem, ale zniknęłaś znienacka. Chciałem się pożegnać i powiedzieć...

– Był wyraźnie speszony. – Bardzo mi przykro z powodu twojego taty. Gdybyś mnie potrzebowała, zadzwoń. Przyjadę.

– Na pewno – zgodziłam się bez przekonania. Moje myśli krążyły wokół Hiszpanii.

– Co zamierzasz? – zapytał, jakby w nich czytał.

Domyśliłam się, że chodzi mu o naukę. O wyjeździe z nim nie rozmawiałam.

– Jeżeli nawiądziesz do studiów, to na razie nic z tego – odparłam zniecierpliwiona. Że też ciągle muszę odpierać ataki w tej kwestii! Nawet Miłosza. – Ale tobie życzę udanej edukacji na polibudzie. Przepraszam, muszę wracać do mamy. – Skinęłam mu głową na pożegnanie i zostawiłam na schodach.

Pocziwy gość, ale wtrąca się w nie swoje sprawy.

Przykro mi było, że potraktowałam go tak bezpardonowo. Doceniałam, że się o mnie martwi, ale dzisiaj nie miałam głowy do trudnych tematów.

– To jak? Zjesz tego rogalika? – Ciocia Lidka przerwała mi wspomnianie wczorajszego dnia. – Dasz radę zajść do babci?

– Zaraz się zbiorę, tylko pozwól mi się ogarnąć. Ciociu...

Powzięłam niespodziewaną dla mnie samej decyzję, że podzielę się z nią dylematem.

Lidka знаła mnie od dziecka, lubiłyśmy się. A od chwili, kiedy Witek, jej syn, wyjechał do Anglii, przelała na mnie część rodzicielskich uczuć.

– Tak?

– Mogę się ciebie poradzić?

Kiwnęła twierdząco głową. Na naznaczonej troską twarzą pojawił się wyraz życzliwego zainteresowania.

Mama nigdy nie potrafiła reagować w taki sposób. Kiedy tylko sygnalizowałam potrzebę rozmowy, wietrzyła kłopoty i przygotowywała się do przeprawy. Ciężkie działy stały w pogotowiu. Zawsze spodziewała się kłopotów, na które mogła narazić ją jej niesforna córka. Dlaczego? Bo zamiast jechać na obóz, wolałam spędzać czas z przyjaciółmi „bez opieki osoby dorosłej”. Ponieważ zamiast kształcić „literackie zdolności”, leżałam na plaży lub robiłam kurs ratownika. Bo nie byłam taka jak ona... Tłumaczenia, że jednak nie mam racji, że powinnam się zastanowić, popracować nad sobą dla własnego dobra, zazwyczaj nie przynosiły rezultatu, więc rozstawałyśmy się w niezrozumieniu. Żeby nie powiedzieć – w gniewie.

Czasem tak jej nienawidziłam!

– Mam załatwiony wyjazd do pracy w Hiszpanii – zakomunikowałam Lidce. – Samolot odlatuje za dwa dni, w sobotę.

Przerwałam, w oczekiwaniu na reakcję. Spodziewałam się zaskoczenia, zdziwienia, pytań, ale dostrzegłam w jej oczach smutek.

– Nie wiem, co robić. Dzisiaj do południa muszę zdecydować. Michalina, która załatwiła ten wyjazd, czeka na odpowiedź.

Lidka wciąż siedziała bez ruchu, przyglądając mi się wnikliwie.

– I co ty na to, ciociu? – Przerwałam ciszę, nie mogąc znieść milczenia.

– Dlaczego wy wszyscy musicie wyjeżdżać? – zapytała.

Zrozumiałam, że jej myśli krążą wokół Witka. I jego synka, Jasia, który urodził się rok temu w Londynie.

– Ja chcę tylko na jakiś czas, ciociu.

– Jesteś taka młoda...

– I właśnie dlatego. Nie jestem z nikim związana, a teraz, kiedy tata nie żyje...

Zrobiło mi się przykro. Łzy poleciały znowu.

Ciotka nie znajdowała słów. Pewnie martwiła się o mamę, o babcię. Podobnie jak ja.

Po chwili zdecydowała się zabrać głos.

– Nie wiem, co ci doradzić, Edytko – zaczęła. – Może powinnaś porozmawiać z mamą? W każdym razie, gdybyś musiała jechać, ja pomogę Ulce w pensjonacie i przy babci. W miarę możliwości – zapewniła.

Oto ciotka Lidka w całej rozciągłości! Nie mówiąc tego wprost, dała mi przyzwolenie na wyjazd i obiecała wsparcie.

– Dziękuję! – Ucałowałam ją serdecznie. Wyjeżdżam! – Tylko proszę, nie rozmawiaj z mamą na ten temat. Dobrze? – zapytałam retorycznie, znając dyskrecję ciotki Lidki. – Sama to zrobię.

– Oczywiście. Edytko... – Zatrzymała mnie w drzwiach, kiedy zbierałam się do babci.

Spojrzałam pytająco. Odniosłam wrażenie, że nie powiedziała tego, co zamierzała. Może jednak chciała odwieść mnie od tej Hiszpanii?

Wahała się chwilę i w końcu zaprosiła na obiad przygotowany przez naszą gospozię.

– Przyjdź. Pani Wiesia bardzo się stara, żeby wam dogodzić. Byłoby jej przykro.

– Będę.

Spóźniłam się dwie godziny, ale kiedy weszłam do jadalni, zastałam mamę nad pełnym talerzem.

Zjadłyśmy w milczeniu. Jedyne ciotka próbowała podtrzymać rozmowę. Mama zaoferowała pomoc przy sprzątnięciu ze stołu, a ja, ogarnięta nagłą niemocą, pożegnałam się i uciekłam do siebie.

Podjęłam decyzję i wolałam dzisiejszy wieczór spędzić samotnie.

Urszula

Poproszę bukiet astrów. Mogą być dwa.

Wybrałam dorodne pęczki różowofioletowych jesiennych kwiatów, które zawsze na urodziny Edyty kupował mi Marek.

– Urodziny dziecka to także święto mamy – mawiał, nie skąpiąc mi słów wdzięczności za jego małą córeczkę.

W ubiegłym roku jednak to ja zaniiosłam mu astry na grób, w rocznicę jego śmierci, wzruszona i nieszczęśliwa. A mówią, że czas leczy rany.

Dzisiaj miał być ten drugi raz.

Dzięki Lidce i obecności Edytki, której decyzję, by zrobić sobie przerwę w nauce, przyjął w końcu do wiadomości, udało mi się przetrwać pierwszy trudny okres po śmierci Marka. Po pierwszym roku zarzuciłam nawet codzienne wizyty na cmentarzu. Rutynowe obowiązki, prowadzenie pensjonatu i praca w bibliotece wypełniały mi czas. Ten letni, bardziej pracowity, i ten jesiennie-zimowy, pachnący pustymi pokojami, smagany zimnym wiatrem od morza, zawierający nostalgię.

Pierwsza zima była straszna. Odrzuciłam propozycję Lidki, by wyrwać się do Londynu, pod pretekstem zajmowania się mamą. Nie chciałam nigdzie się ruszać. Popadłam w nieznany mi do tej pory letarg, pozwalający jedynie na wykonywanie absolutnie niezbędnych życiowych czynności. Może nigdy nie byłam specjalnie kreatywna, ale własnym domem potrafiłam zarządzać, co nie stanowiło problemu przy takim mężu jak Marek. Spokojnym, zgodnym, łaknącym zacisza. Czasami nawet za bardzo.

Na każdą propozycję wyjazdu reagował alergicznie.

– Kochanie, gdzie Edytka będzie miała tak dobrze jak w Krynicy? – pytał, kiedy proponowałam mu wyjazd za granicę. – Plaża, słońce. Zobacz, nigdy nam nie choruje. Pływa, jest szczęśliwa.

Godziłam się, bo przecież dobro dziecka było najważniejsze. Bo rodzice potrzebowali pomocy przy prowadzeniu pensjonatu. Bo Marek musiał odpocząć po licznych wyjazdach. Moje marzenia o podróżach mogły poczekać do chwili, gdy mój mąż znajdzie do swojej firmy menedżera, który przejmie choć część obowiązków. Nie nastąpiło to nigdy. Ponieważ z każdym rokiem interesy szły coraz gorzej, perspektywa szklanych domów oddalała się coraz bardziej.

Nastoletnia Edyta zaczęła domagać się wyjazdów. Wysyłaliśmy ją na kursy językowe, na obozy. Wiedziałam, że nie zawsze były to wyprawy pod opieką osoby dorosłej, częściej wyjazdy z grupą znajomych, ale choć pozwolenie nie przychodziło mi z łatwością, godziłam się na nie, modląc się jednocześnie, aby moja córka wróciła bezpiecznie.

Stare dzieje.

– To dla ciebie – szepnęłam, kładąc na grobie wiązkę astrów, wzruszona jak zawsze, ale już bez łez pod powiekami. – Pamiętasz Jolkę z mojej klasy? – przemawiałam do portretu Marka, osadzonego na nagrobku. – Chce zorganizować spotkanie z okazji trzydziestki po maturze. Tak, minęło już trzydzieści lat.

Zamilkłam, bo dostrzegłam wzrok jakiegoś przypadkowego przechodnia w cmentarnej alejce. Resztę dopowiedziałam w myślach.

Jolka przesłała mi swoje zdjęcie. Nie poznałbyś jej. Ta mała szara mysz jest teraz całkiem fajną

blondynką z włosami opadającymi na ramiona. Chyba zrobiła sobie fotkę zaraz po wyjściu od fryzjera, bo wygląda znakomicie. Nie tak jak ja. Powinnam chyba o siebie zadbać, mam dopiero czterdzieści dziewięć lat. To jeszcze nie pięćdziesiątka. Tylko po co?

Za odpowiedź musiało mi wystarczyć milczenie.

Oznaczało przyzwolenie, czy nie?

Westchnęłam. Marek od dwóch lat był wyjątkowo małomówny.

Pożegnałam go mrugnięciem powiek i udałam się do wyjścia.

Zbliżając się do ostatniej dróżki przed cmentarną bramą, postanowiłam odpowiedzieć na mejla Jolki, który czekał w skrzynce odbiorczej od kilku dni.

Dlaczego nie?, pomyślałam z nadzieją.

Niemal radosna skierowałam się w lewo, by położyć drugą wiązanekę na grobie mamy. Zgarnęłam liście z postumentu, odmówiłam *Zdrowaś Mario* i pobiegłam do domu.

– Edyta? Jesteś? – zawołałam od progu. – Muszę się ciebie poradzić!

Zza kuchennych drzwi wyłoniła się głowa pani Wiesi.

– Pojechała do Gdańska, Uleczo. Coś tam wspominała, że załatwia gości z zagranicy. Chyba nic nie pokręciłam? – tłumaczyła się, nie mogąc przypomnieć sobie szczegółów. – Wróci wieczorem. Byłaś na cmentarzu? Zrobić ci melisę? – zapytała.

Doskonale знаła sposób, jak mnie poratować po wizycie u Marka.

– Nie trzeba. Ale gdyby znalazła się kromka chleba z twarogiem od sąsiadki?

Radośnie wbiegłam na schody.

Może mi się wydawało, ale pani Wiesia szepnęła pod nosem: „Chwała Bogu!”, i pośpiesznie zapewniła mnie, że już biegnie przygotować kolację.

Usiadłam przed komputerem, nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie się włączy. Zdawało mi się, że zanim uruchomiła się strona główna, poczta i otworzył się mejl od Jolki, minęły wieki. Odnalazłam list od niej wśród miliona spamu.

„Cześć, tu Jolka Garniecka (Nowicka, pamiętasz? Nowa). Dawno się nie kontaktowałyśmy, ale nareszcie nadszedł czas. Nie wiem, czy pamiętasz, że nasza stara dobra szkoła ma w tym roku urodziny. Kończy sześćdziesiąt siedem lat, a nasza klasa jest trzydzieści lat po maturze. Pogadałyśmy z Karną i Zośką (wszystkie mieszkamy w Gdańsku) i uradziłyśmy, że warto z tej okazji się spotkać. Jeżeli się zgodzisz, to u ciebie! Dałoby radę zorganizować spotkanie klasowe w twoim pensjonacie? Na przykład w połowie października? Jeżeli tak, to daj znać. My zajmiemy się skrzyknięciem ludzi.

To na razie tyle. Czekam na odpowiedź. Mam nadzieję, że się zgodzisz. Co u ciebie słychać? Napisałaś książkę, o której marzyłaś? Jeżeli nie, to się nie stresuj. Będzie czas pogadać.

Pozdrowienia serdeczne,

Jolka”.

Książki nie napisałam. Urodziłam córkę, pochowałam męża, wypożyczam książki w bibliotece, zmieniam pościel gościom w pensjonacie. Zasyłam się w nim jak mysz w mysiej dziurze.

Tak mogłabym streścić swój obecny stan.

O dziwo, smutne podsumowanie życia tym razem mnie nie zdołowało. Zasiadłam do komputera, żeby odpisać Jolce, że jestem gotowa przyjąć propozycję.

„Witaj, Jolka!

Pomysł wydaje się znakomity. Mamy dosyć miejsca, by pomieścić całą naszą klasę. Wystarczy dograć terminy i zapraszam.

Ula”.

– Co tam piszesz?

Za moimi plecami zniecka wyrosła Edyta.

– A wiesz, moja koleżanka z klasy, Jolka, chce u nas zorganizować spotkanie klasowe po trzydziestu latach. Zgodziłam się.

– Kiedy? – zapytała z niepokojem.

– Kiedyś. Może w październiku?

– Ooo... A ja załatwiłam szóstkę Hiszpanów na kilka dni. Chyba będą pokoje?

Roześmiałam się szczerze, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów.

– Oczywiście! Zmieścimy się wszyscy. Będziesz mogła porozmawiać po hiszpańsku. Chyba jeszcze nie zapomniałaś?

– A ty spotkać się ze swoimi dinozaurami – odparowała. Zauważyłam w jej oczach błysk radości. – Może wreszcie coś się zmieni – dodała.

Czułam, że zbyt długo nie utrzymam Edyty w Krynicy. Odczekała, aż wyjdę z dołka, zajęła się mną po śmierci Marka jak matka. Ale czas, by role się zmieniły. Pora wziąć się w garść i zmobilizować młodą do pójścia na studia. Nie może spędzić życia w pensjonacie i razem ze mną zmieniać pościeli!

– Na pewno, córeczko. Zmieni się. Obiecuję.

Edyta

Edyta Wrześcińska? Czy dobrze się dodzwoniłem? – usłyszałam w słuchawce znajomy głos, którego w pierwszej chwili nie potrafiłam skojarzyć z osobą.

– Pan profesor? – zapytałam niepewnie.

Odpowiedziała mi salwa śmiechu, po której z miejsca zorientowałam się, że dzwoni do mnie Waldek Płociński. Mój nauczyciel z liceum, od gramatyki języka hiszpańskiego.

– Nie pamiętasz? Od matury mówimy sobie po imieniu – zganił mnie dobrotliwie, dodając, że może powinien zwracać się do mnie per pani Wrześcińska? Chyba że zmieniłam stan cywilny.

Tym razem to ja się roześmiałam.

– Wszystko u mnie po staremu. Wciąż jestem panną i pozostanę nią do końca życia – zażartowałam. – Urodziłam się we wrześniu jako zodiakalna Panna – wyjaśniłam.

– Miło słyszeć cię w dobrej formie – zagadał. – Jak zawsze radosna. Studiujesz?

– Może kiedyś.

– Przepraszam za wścibstwo. Mam do ciebie romans.

Zabrzmiało interesująco.

Zamieniłam się w słuch, a on opowiedział mi o szóstce kolegów z Hiszpanii, którzy postanowili kilka dni spędzić nad polskim morzem. Zamierzają odwiedzić Trójmiasto, a na weekend chętnie zatrzymają się w Krynicy.

– Znajdzie się dla nich miejsce w waszym pensjonacie?

– Nie widzę problemu. W październiku zawsze mamy luz! – zgodziłam się z entuzjazmem.

Od tamtego niedoszłego wyjazdu z Michaliną do Andaluzji nie miałam okazji rozmawiać po hiszpańsku.

Z ciężkim sercem jechałam do niej dzień po pogrzebie taty, żeby odmówić ostatecznie.

Czekała na mnie, z niecierpliwością i nadzieją, że jednak się zdecyduję.

– I co? Jedziesz? – Niemal krzyknęła, kiedy stanęłyśmy w progu naprzeciwko siebie. – Nie wierzę...

Nie jedziesz? – zapytała, zobaczywszy wyraz mojej twarzy. – Wejdz, porozmawiamy.

– Michalina, ja po prostu nie mogę teraz zostawić mamy. A przede wszystkim babci – usprawiedliwiałam się, pełna poczucia winy, że zostawiam przyjaciółkę na lodzie. Ale i z bólem serca, i wielkim żalem za straconą szansą. – Zrozum.

– Rozumiem, ale... – Wstała i zaczęła nerwowo chodzić po pokoju.

Nie wytrzymałam napięcia. Po prostu musiałam się rozryczeć, co ostatnio przychodziło mi wyjątkowo łatwo. Boże, jak mnie gnało do tej Hiszpanii! Po wyjeździe z klasą wiedziałam, że muszę znaleźć się tam jeszcze kiedyś i spędzić dłuższy czas. Tamtejsza energia, radość życia, słońce, pogoda, ruchliwi i gadatliwi ludzie – wszystko to wyjątkowo wpisywało się w mój temperament. Niestety, wyjazd musi zaczekać.

– Nie ma żadnego ale, Michalina – zareagowałam zdecydowanie, gdy tylko udało mi się powstrzymać łzy. – Nie mogę zostawić mamy. A przede wszystkim babci – powtórzyłam. – Nie wybaczyłabym sobie, gdyby coś jej się stało.

– Będziesz żałować.

– Przepraszam, że naraziłam cię na kłopoty.

– Twój bilet przepadnie.

– Wiem.

– Mama cię namówiła? – zapytała, spodziewając się twierdzącej odpowiedzi.

– Nie rozmawiałam z nią. – Podniosłam się z fotela, gotowa do wyjścia. – Czas się zbierać. Dasz znać, jak sobie radzisz? – zapytałam w drzwiach na pożegnanie.

– Jasne, Edyta. Szkoda, ale trzymaj się. Może kiedyś?

– Na pewno – odparłam bez przekonania.

Pragnęłam jak najszybciej znaleźć się w autobusie.

Przeplakałam cały wieczór. Po tacie i po Hiszpanii.

Nigdy nie powiedziałam mamie o swoich niedoszłych planach, w myślach jednak winiłam ją za to, że musiałam dokonać wyboru. Gdyby była silniejsza, bardziej pewna siebie! Ale w tej sytuacji nie dałaby sobie rady beze mnie. Chciałam myśleć, że takie rozwiązanie podpowiedział mi tato.

W sobotę, w chwili wylotu „mojego” samolotu do Malagi, poszłam na cmentarz. Grób przykrywała sterta wieńców i jesiennych bukietów. Przyniosłam tacie jego ulubione astry, które kupował mamie w dniu moich urodzin.

– Nie pojechałam. Jesteś zadowolony? – zapytałam tak głośno, że przechodzący alejką mężczyzna odwrócił się w moją stronę i popatrzył ze zdziwieniem.

Resztę dopowiedziałam bezgłośnie.

Tato, jestem nieszczęśliwa. Dlaczego cię nie ma? Chciałabym się do ciebie przytulić i powiedzieć, że nie wiem, czy dobrze postąpiłam. A może powinnam lecieć?

Odruchowo spojrzałam w niebo, szukając na nim samolotu.

No powiedz, czy powinnam?

Z pobliskiego dębu wiatr przywiał liść, który opadł na klapę mojej torebki. Potraktowałam to jak znak.

Dziękuję, tato. Postaram się wytrzymać.

I wytrzymałam. Mamine depresje, codzienną krzątaninę w pensjonacie, pierwsze święta bez taty, demencję Buni, a w końcu jej śmierć, która nadeszła cicho i nie wywołała trzęsienia ziemi, choć wydawało mi się, że ono nastąpi. Mimo silnego związku z babcią, która zawsze była moją powiernicą, wyjątkowo łatwo przyszło mi przeboleć, że nie ma jej już z nami. Osiemdziesiąt osiem lat tłumaczyło nieuchronność losu, z którą nie sposób było się nie zgodzić.

Latem pracowałam na plaży, spotykałam się z koleżankami i kolegami. Czasami szłam z kimś na randkę.

Mijał drugi rok od śmierci taty, a ja zaczęłam dusić się w naszym małym miasteczku. Lato było wyjątkowo udane, dobra pogoda zapewniła komplet letników, nie mogłam narzekać na brak pracy. Setki białych ciał prażyły się na słońcu i kąpały w morzu. To był mój target, na który musiałam uważać. Żeby ludzie nie potopili się, pozwalając fali zbyt daleko się ponieść.

W sierpniu dołączył do mnie Miłosz.

– Co ty tutaj robisz? – zdziwiłam się, widząc, jak w stroju ratownika zbliża się do mojego stanowiska.

– Od dzisiaj pracuję. Chyba nie masz nic przeciwko?

– Ależ skąd. Będziesz na rano czy na popołudnie? – zapytałam, ucieszona w głębi duszy jego obecnością.

Był dobrym kumplem i mogłam na niego liczyć w każdej sytuacji. A poza tym imponował mi zaradnością. Chociaż po naszym ostatnim spotkaniu w Gdańsku pozostał znak zapytania, czy chodzi mu wyłącznie o przyjaźń.

Po pierwszym roku studiów zapracował na stypendium naukowe i zaczął dorabiać w firmie komputerowej, co pozwoliło mu wyprowadzić się od rodziców i wspólnie z kumplem z roku wynająć

w Gdańsku kawalerkę, której uroki zdążyłam poznać kilka miesięcy temu. Trafiłam do Miłosza po niezłej imprezie, którą zorganizowała Zuza z okazji święta konwalii czy bzu. Nie pamiętam. Każda okazja, nawet wymyślona, była dobra, by wyrwać się z domu i trochę poszaleć.

Zuza zaprosiła paru starych znajomych z liceum, lecz sama zaprezentowała się u boku nowego chłopaka z oceanografii. Studiowali na jednym roku. O dziwo, na imprezie pojawił się również Miłosz, pozostający w szkole na obrzeżach naszej ścisłej paczki. Od śmierci taty często do mnie dzwonił, proponował spotkanie. Kilka razy byliśmy na kawie czy piwie; trudno było nie zauważyć, że próbuje utrzymać ze mną kontakt. A mnie jego zainteresowanie schlebiało. Kawał przystojnego, wysokiego blondyna u boku, w dodatku niepozbowionego inteligencji, nie mógł zaszkodzić dziewczynie. Sęk w tym, że nic do niego nie czułam.

– Co on tu robi? – zapytałam, witając się z Zuzą, za której ramieniem Miłosz rozmawiał z nieznaną mi dziewczyną.

Byłam pewna, że Zuza nas swata.

– Ciii... – Przyłożyła palec do ust. – Nie tak głośno! Zaprosiłam go na prośbę Kingi, tej laski, z którą gada. To moja koleżanka ze studiów, wpadł jej w oko. A co u ciebie? Pozbierana?

– Jako tako – odparłam bez entuzjazmu, mimo woli zerkając na konwersującą parę.

– To świetnie! – wykrzyknęła Zuza i zaprosiła mnie do barku. – Mamy do tańca hiszpańskie kawałki! – Zawirowała w rytm flamenco i stylowo poruszając wachlarzem, który przywiozła z Hiszpanii, oddaliła się w stronę pozostałych biesiadników.

Po raz pierwszy od pogrzebu, jeżeli nie liczyć pojedynczych wypadów na miasto, na poważnie dorwałam się do alkoholu. Starając się nie spoglądać na Miłosza i jego towarzyszkę, oddałam się zabawie z nowymi kolegami gospodyni, którzy okazali się całkiem do rzeczy. W miarę wypitego alkoholu coraz lepsi. Nie żałowałam energii na taniec, nie odmawiałam kolejnych kieliszków sangrii. Z czasem niemal przestałam zauważać Miłosza, jednak kątem oka z satysfakcją dostrzegałam, jak na mnie patrzy.

Nie pamiętam, kiedy urwał mi się film. Przypominam sobie jedynie przebijający się przez szparę między zasłonami promień słońca, padający dokładnie na linię moich oczu, ból w skroniach i nudności, za którymi musiałam podążyć do łazienki, by pozbyć się ciężaru w żołądku.

Kładąc się z powrotem do łóżka, ogarniałam przestrzeń, próbując zorientować się, na czyją chatę trafiłam. Skromne wnętrze sugerowało, że to studencka meta.

Nie pomyliłam się. Kiedy do pokoju wszedł Miłosz z filiżanką kawy i jajecznicą, na którą nie mogłam nawet spojrzeć, wszystko stało się jasne. Czekałam, kiedy obok pokaże się Kinga.

– Przepraszam. Nie wiem, jak się tutaj znalazłam. Zaraz się zmywam – przywitałam go na dzień dobry.

– Przywiozłem cię. Napij się kawy i zjedz coś. Pomoże – dodał łagodnie, stawiając tacę na kołdrze.

– Dziękuję. Zaraz mi przejdzie.

Mimo najszczerzych chęci, by jak najszybciej opuścić mieszkanie Miłosza, spędziłam w nim jeszcze kilka godzin. Wreszcie doszłam do siebie, w odpowiednim momencie przeliczyłam drobniaki w portmonetce i zamówiłam taksówkę. Brakowało kilkudziesięciu złotych, ale spodziewałam się, że mama wyłoży coś akonto moich dochodów z pracy w pensjonacie, których wypłata przypadała w przyszłym tygodniu.

Nawiasem mówiąc, należało mi się. Siedziałam w tym krynickim grajdole już niemal dwa lata i powoli zaczynałam mieć tego dość. A mama cały czas szarpała mnie, kiedy wreszcie zacznę studia. Czułam, że nadchodzi czas, by pomyśleć o sobie, jednak niekoniecznie na maminyh warunkach. Co tam, najwyżej dowie się o moich występach w Gdańsku, zapłaci i przechrzci za pijaństwo! Life. W końcu mam dwadzieścia dwa lata. Jestem dorosła.

– Jadę – zakomunikowałam Miłoszowi, przemykając przez przedpokój. – Przepraszam za kłopot

i dzięki za gościnę.

Niespodziewanie chwycił mnie za ramiona i lekko przyciągnął do siebie.

– Edyta... – zawiesił głos. – Nie ma za co.

– Zmarnowałam ci wieczór – odezwałam się, myśląc o Kindze.

– Niczego mi nie zmarnowałaś – odpowiedział łagodnie.

Przez chwilę miałam wrażenie, że pragnie mnie pocałować.

Gdyby to zrobił, zapewne bym się poddała.

– Twoja taksówka.

Romantyczną scenę przerwał nam warkot parkującego przed domem samochodu.

– Do zobaczenia – odparłam machinalnie, nie zastanawiając się nad treścią pożegnania.

Nie dość że wracałam na kredyt, to prawie pocałowałam się z przyjacielem! Upojenie alkoholowe chyba mi jeszcze nie przeszło.

A dzisiaj, po dwóch miesiącach, Miłosz pojawił się na plaży.

– Nie ustaliłem jeszcze grafiku – odpowiedział na moje pytanie. – Chciałbym, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, ratować razem z tobą.

– Czemu nie? – podsumowałam lakonicznie, nie zdradzając się ani słowem, że taki układ bardzo mi odpowiada.

Ostatnio myślałam trochę o Miłoszu. Że byłoby miło mieć kogoś takiego blisko siebie.

Miłosz wziął sąsiednią plażę.

Ratowaliśmy jednak na tyle blisko, żeby utrzymywać kontakt wzrokowy. Zaś wolne popołudnia mieliśmy dla siebie. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że traktowałam Miłosza jak przyjaciela. Czyżbym zaczęła się angażować?

– Bardzo przyjemny z niego chłopiec. – Mama chwaliła go za maniery i uwagę, jaką ją darzył, bywając w pensjonacie. – Widać, że cię, hm, bardzo lubi.

Jej opinia, jak zawsze, była wyważona.

– Mamo! – Reagowałam wyrzutem, wietrząc swatanie. – To tylko kolega – zapewniałam, pozwalając mu całować się tam, gdzie nikomu innemu.

Tymczasem minął sierpień i nasza praca na plaży również. Miłosz wyjechał do Gdańska, by kontynuować pracę w firmie komputerowej, ja po raz kolejny, mimo nalegań mamy i jego namów, nie zdecydowałam się na podjęcie studiów. Czekałam na odpowiedź od Michaliny, która ponownie miała załatwić mi pracę na Półwyspie Iberyjskim.

Na wszelki wypadek nie wspominałam o niczym Miłoszowi, obawiając się jego reakcji. On pragnął mieć mnie przy sobie.

I wtedy właśnie zadzwonił Waldek Płociński z prośbą o przyjęcie w pensjonacie szóstki Hiszpanów.

Odpowiedzi od Michaliny nie było, a zatem lepszy rydz niż nic. Postanowiłam poczekać na gości, a potem definitywnie zakomunikować mamie, że wynoszę się z Krynicy. Nawet gdyby z zapewnień mojej przyjaciółki wyszły nici, mogłam próbować załatwić sobie robotę na własną rękę.

Miłoszem postanowiłam się na razie nie przejmować. Przecież świat jest bardzo mały, a lot do Malagi nie trwa nawet czterech godzin! Zdarzają się gorsze rozłąki, nie ma co się martwić na zapas.

Urszula

Wszystko dograne, Ulka? Choć jak cię znam, jest perfekcyjnie!

Lidka wpadła do mnie na wieczorną herbatę.

Spojrzałam na nią z politowaniem. Pochlebcy! Mówi tak, jak gdyby nie pomagała mi zorganizować całego tego przedsięwzięcia. Naprawdę trudno o lepszego i bardziej oddanego kompana niż moja przyjaciółka.

Od chwili, gdy wspomniałam jej o spotkaniu klasowym, które, jak zdecydowałyśmy z Jolką, Karną i Zośką, miało się odbyć w sobotę dziesiątego października, z ochotą włączyła się w prace. Wprawdzie była o kilka lat starsza od naszego rocznika, ale kończyła to samo liceum w Nowym Dworze Gdańskim i miała ze starej szkoły same dobre wspomnienia. Nie muszę dodawać, że zaprosiłam ją razem z Kazikiem na imprezę.

Skrzyknięcie wiary i zebranie wstępnego wzięły na siebie koleżanki gdańszczanki. Ja miałam zadbać o kolację, przygotować pokoje, sprzęt grający. Szykowała się nocna zabawa.

– Jakbyś nie wiedziała – odpowiedziałam na pytanie przyjaciółki z udawanym wyrzutem. – Pokoje gotowe, lodówki pełne jedzenia, muzyka z lat osiemdziesiątych przygotowana. Edytka z Miłoszem siedzieli nad tym kilka nocy.

– No, no, uważaj! Bo jeszcze zostaniesz babcią – szepnęła Lidka konspiracyjnie, a ja pomyślałam, że może to nie do końca żart.

Nie zamierzałam jednak kontynuować tematu. Edyta miała dopiero dwadzieścia dwa lata i niedokończoną edukację. Mieli czas. Ale nie powiem, Miłosz mi się podobał. Poważny, szarmancki, na miejscu pod każdym względem. U boku takiego chłopaka widziałam córkę w przyszłości.

Przygotowania do imprezy klasowej całkowicie pochłaniały mnie przez kilka ostatnich tygodni. Obsługa pojedynczych gości nie przysparzała problemów, w bibliotece zredukowano mój etat o połowę, znalazłam zatem czas na działanie. I, co mnie niezmiernie cieszyło, odzyskałam utraconą dwa lata temu energię.

Postanowiłyśmy z koleżankami przywołać klimat sprzed trzydziestu lat, więc w poszukiwaniu atrybutów minionej epoki przegrzebałam wszystkie dostępne schowki w pensjonacie. Byłam na strychu, w piwnicy i niewielkim szajerku w głębi ogrodu. Ale skarby, które tam znalazłam, po niewielkim liftingu mogły bardzo się nam przydać. Wyciągnęłam na światło dzienne białe, od dawien dawna nieużywane płócienne obrusy, zastawę stołową składającą się z białych, teraz już nieco poszarzałych fajansowych talerzy i kubków z napisem „PSS Społem”, które mama w latach siedemdziesiątych zdobyła od kucharek z Rolniczej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” za dwadzieścia kur, nie mogąc nabyć takowej w sklepie. Zrezygnowałam wprawdzie z aluminiowych sztućców, ale pozbierałam szklanki z podstawkami, by zaparzyć gościom herbatę ulung, którą zdobyłam przez Internet.

Starannie zaplanowałyśmy z Lidką menu na wieczór. Wśród przystawek nie mogło zabraknąć sety z galareta, zwanej też „lornetą z meduzą”. Czyli po prostu wódki z zimnymi wieprzowymi nóżkami.

Błogosławiłam panią Wiesię, która nie musiała sięgać do przepisu, by przyrządzić tę bardzo smaczną, acz nieco archaiczną przekąskę.

Zakupiliśmy śledzie do oleju i octu, wyciągnęliśmy zapas kiszonych ogórków i marynowanych pikli. Nie zapomniałam o tatarze, ozorach w galarecie i sałatce z majonezem z korzeniowych warzyw. Mającej niewiele wspólnego z jakąkolwiek dietą i solidnie tuczającej.

Na obiad koniecznie należało podać rosół i flaki, a na drugie schabowe z ziemniakami z wody, bryzol oraz cynaderki. Dla niejedzących mięsa, o których za czasów komuny nikt nie słyszał, zaplanowałyśmy smażonego karpia w panierce.

Również deser mieścił się w konwencji.

– Chodź, coś ci pokażę! – zawołałam Lidkę do kuchni i otworzyłam lodówkę.

Na półkach pyszniły się dwa piętra wuzetek i ciastek z sezonowymi owocami.

– Dasz kawałek szarlotki?

– Jasne! – Sięgnęłam po nóż. – I co ty na to? – zapytałam, podnosząc triumfalnie ręce. – Będzie smakowało?

– Jeszcze by nie! – wybełkotała Lidka z ustami pełnymi ciasta. – Boskie! Ale czas na mnie. – Przełknęła ostatni kęs i zaczęła się żegnać. – Musimy, a przede wszystkim ty musisz wyspać się przed jutrzejszym dniem. I pamiętaj, włóż tę brązową lnianą sukienkę ze złotą aplikacją przy szyi – dodała z mrugnięciem oka.

– Tak, tak, mamusiu – zażartowałam.

Znałam jej zapędy, by wepchnąć mnie w objęcia jakiegoś przystojniaka.

– No! Pożegnaj ode mnie Edytkę. Gdzie ona się podziewa?

– Pojechała do Gdańska po swoich Hiszpanów. Mają zjechać jutro po południu.

– To dobrze. Będę o dziewiątej.

Po wyjściu Lidki raz jeszcze obeszałam cały pensjonat, nadając mu ostateczny szlif przed najazdem gości. Gdzieniedzie poprawiłam narzutę na łóżku, zasunęłam zasłonkę, wyrównałam przekrzywioną serwetę. Pozostała czynność najprzyjemniejsza, czyli zajęcie się sobą.

Czekała mnie długa relaksująca kąpiel, natarcie się balsamem, sprawdzenie, czy sukienka i żakiecik są przygotowane.

Z lubością zanurzyłam się w gorącej wodzie i ogarnęłam wzrokiem łazienkę. Jak gdybym widziała ją po raz pierwszy. Bo i po raz pierwszy od dwóch lat, mimo ogromnej liczby zajęć w ciągu kilku ostatnich dni, poczułam się zrelaxowana i wolna. A jednocześnie podniecona myślą o jutrze.

To chyba nic złego, Marku?, wyszeptalam w myślach. Że chcę się trochę pobawić?

Nic złego, Uluś, zadźwięczało mi w uszach.

Czy ktoś jeszcze kiedyś mnie tak nazwie?, pomyślałam z żalem, przełykając łzy.

Nic to, Ula, nic to! Jutro musisz wyglądać pięknie i mieć jasne spojrzenie, skarciłam się w duchu i otarłam oczy.

Przed zaśnięciem pobiegłam jeszcze do lodówki po surowy ogórek na okład. Zbliżała się dwunasta.

Najwyższa pora spać.

Urszula

Przed szkołę przyjechałam jako jedna z pierwszych, by razem z Zośką odebrać od woźnego klucz do naszej klasy, od trzydziestu lat niezmiennie pełniącej funkcję pracowni języka polskiego. Niestety, nie udało się nam sprowadzić na uroczystość Kolaski, jak nazywaliśmy wychowawczynię Różę Kolasę, odkrywającą przed nami piękno polskiej literatury i zawiłości gramatyki. Stan zdrowia pozwolił jej jedynie na przesłanie nam serdecznych pozdrowień i życzeń, które miałam odczytać wszystkim obecnym.

Dyrektor zgodził się udostępnić nam szkołę, roli przewodnika po niej podjęła się zaś Joanna, ongiś koleżanka, teraz, jak się okazało, nauczycielka w naszym liceum.

– Wyobraźcie sobie, za dwa lata minie mi trzydzieści lat w jednej budzie! – wykrzyknęła w słuchawkę na wieść o planowanym spotkaniu. – Trochę się tutaj zmieniło. Załatwię z szefem zwiedzanie.

Przed szkołę powoli podjeżdżały kolejne samochody. Z Karną, Zośką i Jolką ustawiliśmy się w powitalny szpaler na schodach, ciesząc się z widoku każdego po kolei.

– O, cześć Adam! O! Jak miło, Renia! Cześć, Zbychu! – Witałyśmy się z kolegami.

– Co u ciebie? – słyszałam zewsząd.

Niektórzy wiedzieli o Marku, innym musiałam tłumaczyć. Z góry jednak postanowiłam, że nie będę się roztkliwiać. I tego się trzymałam.

– Wszystko w porządku. Miło cię widzieć – odpowiadałam, przyglądając się niektórym osobom, jak gdybym widziała je po raz pierwszy.

Czy ja też aż tak się zmieniłam? Lustro na to nie wskazywało. A i koledzy rozpoznawali mnie bez problemu. No, chyba że byli po prostu uprzejmi.

– Jestem Daniel. Pamiętasz? – Zza czyichś pleców wyłoniła się znajoma twarz.

– Pokaż się! Wcale się nie zmieniłeś! – Szczerze podziwiałam ciemne włosy, jedynie na skroniach przyprószone siwizną, dodającą uroku jej właścicielowi. – Skąd przyjechałeś?

– Mieszkam w Gdyni. I jestem lekarzem.

– A rodzina? – Wymknęło mi się niespodziewanie i natychmiast zganiłam się w myślach.

Nie powinnam była tak obcesowo.

– Byłem z kimś, ale to już przeszłość. Współczuję ci z powodu Marka – dodał, składając zaległe kondolencje.

– Stało się – odparłam.

I zaraz wpadłam w ramiona Marioli, która przerwała nam niezbyt składną konwersację.

– Daniel! Przystojny jak zawsze! – Nasza klasowa trzpiotka zawisła mu na szyi.

Przyglądałam się, jak okręca Daniela, taksuje niczym modela na wybiegu. Nie szczędziła mu komplementów.

– Zawsze byłeś niczego sobie, ale teraz to z ciebie jakiś Iglesias! – perorowała. – Powiesz coś, czy będziesz milczał jak zwykle? – szczebiotała, domagając się rozmowy.

Daniel nie bardzo wiedział, jak zachować się wobec tej niespodziewanej adoracji.

– Ty też świetnie wyglądasz – odparł, rzucając mi zakłopotane spojrzenie.

Postanowiłam tych dwoje pozostawić samym sobie. Tym bardziej że podjeżdżali kolejni koledzy.

– Skoro już siedzimy wszyscy w swoich ławkach... – zaczęłam, gdy po zwiedzaniu szkoły usadowiliśmy się wygodnie w klasie. – ...przeczytam list od Kolaski.

Po ostatnim zdaniu rozległy się brawa. Ktoś zapytał, czy mam telefon do naszej belferki. Rozległ się szmer rozmów.

– Cisza! – Zośka pod tablicą, naśladowując głos wychowawczynie, uspokoiła zgromadzenie. – Dzwonimy do Róży. I na mój znak krzyczymy: „Dzię-ku-je-my!”.

Kiedy wybierała numer, gadanie ustało.

– Pani profesor, bardzo dziękujemy za pozdrowienia i życzenia, my również życzymy zdrowia! – zakończyła rozmowę Zosia w imieniu nas wszystkich. – A teraz proszę posłuchać. – Podniosła komórkę i dała znak, abyśmy uruchomili gardła.

Klasę wypełniło głośnie skandowanie.

Wyobraziłam sobie wzruszenie starej kobiety i otarłam łzę.

– A teraz wszyscy za mną! Zapraszam do Krynicy! – zakomenderowałam.

Po chwytających za serce momentach należała się nam dobra zabawa.

Do auta zabrałam kilka koleżanek, które przywieźli mężowie. Drugie połówki nie były pożądane tego wieczoru.

W drodze dowiedziałam się, że Renia jest po rozwodzie i ma trójkę dorastających dzieci, Mania ugrzęzła w miasteczku pod Nowym Dworem na stołku referentki w magistracie, a Kaśka żyje z trzecim mężem, wychowując adoptowane dziecko.

Mnie nie pytały o nic. Wiadomość o śmierci Marka musiała się już roznieść.

– Jesteśmy na miejscu – zakomunikowałam, stawiając samochód na podjeździe przed pensjonatem. – Zapraszam – dodałam, dostrzegając przy okazji, z jakim podziwem dziewczyny patrzą na porośniętą bluszczem fasadę.

– Pięknie! Naprawdę uroczko! – przekrzykiwały się, zachwycone.

Najlepsze jednak było przed nimi.

Pani Wiesia rozstawiła już talerze i krzątała się po kuchni, z której dochodził smakowity zapach gorącego rosołu.

– Komu rosół, komu flaki? – pokrzykiwała, zachęcając do zajmowania miejsc przy stole.

– To nasza kochana pani Wiesia! – przedstawiłam gosposię, która wpisała się w konwencję imprezy i wystąpiła w wykrochmalonym fartuchu. Którego, nawiasem mówiąc, nie zdejmowała nigdy.

W jadalni roiło się jak w ulu. W ferworze niemilkących rozmów wszyscy zajmowali miejsca na krzesłach, grupując się w kręgi, jak przed laty. Chłopaki z chłopakami, dziewczyny razem. Pomysł, by przywrócić realia epoki, sprawdził się znakomicie.

– Patrzcie, społemowskie talerze! Dawno na takich nie jadłem – rzucił Waldek, podnosząc do góry biały fajans z niebieską obwódką i napisem.

– Matko jedyna, zimne nóżki! I tatar! – Dołączył do niego zachwycony Andrzej.

Przy obsłudze gości pomagała mi Edyta, przyjęta przez moich kolegów z entuzjazmem.

Ujęła ich bezpośredniością i podobieństwem do mnie, czego do tej pory jakoś nie zauważałam.

– Ulka! Jakbym widziała ciebie sprzed, hm, kilku lat.

Renia najwyraźniej chciała mi zrobić przyjemność. Bo niby jakim cudem moja jasnowłosa córka mogła przypominać szatynkę ze schyłkowej komuny?

Edycie chyba przypadł do gustu nastrój chwili i głupoty wykrzykiwane przez moich kolegów. Wywijiała między stolikami, wdzięcząc się do podstarzałych gości i zagadując jak zawodowa kelnerka.

– Czy mogę zaprosić tutaj Hiszpanów? – szepnęła znienacka.

– A to oni już są? Oczywiście! Nawet powinnaś.

Zakręciłam się na pięcie i jak na skrzydłach wybiegłam z kuchni z półmiskami śledzika w oleju.

– Zaraz wrócą z plaży – usłyszałam, kiedy stawiałam przystawkę na stołach.

Na pytanie, gdzie jest Miłosz, które zadałam przy kolejnej mijance w kuchennych drzwiach, Edyta odparła, że zaraz przyjedzie.

Goście zjedli już rosół, więc przy roznoszeniu drugiego dania pomogły mi koleżanki.

Rozmowy nie ustawały. W jadalni robiło się coraz gwarniej, a kiedy przy deserze włączyliśmy muzykę, zabrzmiała Budka Suflera. Usłyszeliśmy także *Zaopiekuj się mną* Rezerwatu. Mr Zoob zaśpiewał *Mój jest ten kawałek podłogi*, a Lombard zaintonował *Przeżyj to sam*. Jakaś niepowstrzymana siła zaczęła gnać ludzi na parkiet.

Goście Edyty siedzieli cichutko przy stole w kąciku, pochłaniając niezbrane im, a może nawet i dziwnie nieapetycznie wyglądające dania, i przysłuchując się muzyce polskich dinozaurów.

– Nie mów im, że to ozory w galarecie – przestrzegłam córkę. – Bo mogą nie jeść. A, i może lepiej nie wspominać o galantynie ze świńskich ogonów...

– Mamo!

– I o flakach – dodałam, puszczając oko.

Już dawno nie było mi tak dobrze. Po wydaniu ciast i deseru przestałam przejmować się gośćmi, pozwalając Grześkowi porwać się do tańca. A potem Wiktorowi. W dalszej kolejności Danielowi.

– Bardzo pięknie zorganizowałaś dzisiejszy wieczór – pochwalił, delikatnie prowadząc w rytm piosenki... Julia Iglesiasa.

Nasze stare przeboje ustąpiły miejsca hiszpańskim rytmom. Sądząc po tłoku na parkiecie, nadzwyczajnie odpowiadało to wszystkim obecnym.

Przetańczyłam kawał nocy. A obok mnie... Edyta z którymś z Hiszpanów.

Miłosz zniknął mi z pola widzenia tak szybko, jak się pojawił. W ferworze zabawy nie zauważyłam, w którym momencie.

Kiedy szczęśliwa, choć nieco zmęczona, żegnałam Daniela, który musiał w środku nocy pilnie wyjechać do pacjenta, usłyszałam, że jeślibym miała kiedyś czas i ochotę na spotkanie, to on też, bardzo chętnie. Wymieniliśmy się numerami komórek, pomachałam mu na pożegnanie i wróciłam do gości.

Nietrudno było wkręcić się w taniec przy takiej piosence, jak *Nunca Te olvidaré*. Ponieważ miałam hiszpańskojęzyczną córkę, wiedziałam, że oznacza to tyle, co „nigdy cię nie zapomnę”.

Wyszeptałam to zdanie do Marka po hiszpańsku, ale nie poddałam się smętnemu nastrojowi, tylko popędziłam na parkiet. Trochę szkoda, że Daniel musiał wyjechać, pomyślałam. Bardzo dobrze się z nim tańczyło. A poza wszystkim, jeżeli w ogóle się zmienił, to tylko na korzyść.

Na partnera wybrałam najbardziej wyłysiałego kolegę z klasy.

– Wiktor, zatańczysz?

– Dla ciebie wszystko, Uleczko! – wybełkotał i mocno przyciągnął mnie do siebie.

Kręcąc z Wiktozem piruety, zastanawiałam się, czy Daniel kiedykolwiek zadzwoni i jednocześnie karciałam w duchu za takie myśli.

A Edyta nie przestawała balować z tym typkiem z Hiszpanii.

Edyta

Mamo, jadę już! Jesteś pewna, że dasz sobie radę? – zapytałam.

Wybierałam się do Gdańska z nadzieją, że pobłogosławi mnie na drogę.

Przyłożyłam się do przygotowań jej klasowego spotkania, nie odmawiałam pomocy w jakiegokolwiek sprawie. Posprzątać pokoje? Edytka chętnie. Pojechać po wołowinę na tatar? Owszem. Skompletować milion piosenek z lat osiemdziesiątych na te wspomnieniowe balety? Czemu nie? Niejeden wieczór spędziliśmy z Miłozsem, by dinozaury nie miały kłopotów z przerzucaniem nudnych kawałków. Komputer aż pękał od hitów.

Od dawna nienotowany widok mamy zadowolonej, energicznej i powracającej do życia napawał mnie radością. Nie tylko dlatego, że chciałam dla niej jak najlepiej, ale egoistycznie rzecz biorąc, dostrzegałam w odzyskaniu przez nią równowagi szansę dla siebie.

Czułam nadciągający kres mojego pobytu w Krynicy, a nie mogłam opuścić domu, dopóki mama nie dojdzie do równowagi. Codzienne, potem nieco rzadsze wizyty na cmentarzu utrzymywały ją w stanie przygnębienia i nic nie wskazywało na radykalną poprawę. Już nawet ja pogodziłam się ze śmiercią taty. Pani Wiesia tylko załamywała ręce, a ciocia Lidka niejeden raz kolaborowała ze mną, jak przełamać depresyjne mamine nastroje.

Jednak dopiero wizja klasowego spotkania przyniosła przełom. A przynajmniej taką miałam nadzieję. Dlatego ze wszystkich sił włączyłam się w przygotowania.

A poza tym mieli przyjechać Hiszpanie! Dwa cuda naraz! Ekspłodowałam radością, gotowa jechać po nich do Gdańska. Waldek powiadomił mnie, gdzie się zatrzymali; miałam dołączyć do całej szóstki w hotelu, spędzić z nimi wieczór i zawieźć do Krynicy następnego ranka.

Wzięłam starą omegę taty, którą ujeżdżałam od dwóch lat, i ucałowawszy mamę na do widzenia, z wiatrem w uszach i wolną głową, ruszyłam do Trójmiasta.

– Dziękuję ci za wszystko. I uważaj na drodze. Nie szalej! – przestrzegła mnie swoim stałym tekstem.

Tak jakby wiekową omegą można było poszaleć!

Śpieszyłam się, by poznać moich gości, więc droga minęła mi w okamgnieniu. W myślach powtarzałam hiszpańskie formułki powitalne, próbując przypomnieć sobie dawno nieużywany język. Odgrzebywałam w pamięci słowa, zdania, by ostatecznie uświadomić sobie, jak dużo zapomniałam. Zbliżając się do kresu podróży, wpadłam w panikę, że nie zrozumie niczego.

Chwila prawdy odwlekła się nieco, bo Waldek złapał mnie esemesem przed hotelem i poinformował, że towarzystwo przeniosło się do znajomej knajpy nad morzem, gdzie baluje w najlepsze przy kolacji i winie. Gdy dołączyłam, Hiszpanie byli w już dobrych nastrojach i przywitali mnie z naturalną dla nich bezpośredniością.

– To jest Edyta – przedstawił mnie Waldek. – A to Claudia, Adelina, Juan-Miguel, Patricio, Sergio i Vincente.

Wskazywał każdego po kolei.

– *Edita? Hola, Edita! Mucho gusto de conoserte!*

Patricio aż wyskoczył zza stołu, żeby się ze mną przywitać.

Na szczęście bez problemu zrozumiałam, że „miło mnie poznać”.

– Mnie również. Cieszę się, że was widzę. Mogę się przysiąc?

Hiszpańskie słowa znalazły swobodne ujście. Co za ulga!

Nie wiedziałam, czy Waldek zamówił muzykę, czy też była ona specjalnością knajpy, w każdym razie tuż po dwudziestej pierwszej zaczęliśmy tańczyć w rytm Gipsy Kings, Enrique Iglesiasa, Joe’ego Arroyo i Carlosa Baute, których często słuchane przeze mnie piosenki przypominały o marzeniach. Pielęgnowałam je jak delikatny kwiat, utrzymując przy życiu i chroniąc przed złymi wiatrami w oczekiwaniu na te bardziej pomyślne.

Na początku jednak, nieco onieśmielona, nie rwałam się na parkiet. Dopiero po jakimś czasie dałam się ponieść nastrojowi i... najprzystojniejszemu wśród Hiszpanów.

– Jestem Juan-Miguel – przypomniał mi. – Chodź – zaprosił, złożyłwszy wzorem Iglesiasa ręce jak do modlitwy.

W mowie ciała Enrique zawsze chwyciło mnie to za serce.

Zaczęliśmy poruszać się w rytm *El perdon*, najpierw spokojnie, bo piosenka nie wymagała wygibasów. Spoglądaliśmy na siebie z uwagą początkującej na parkiecie pary, lecz wkrótce nieco bardziej zaangażowaliśmy się w taniec, by w końcu zauważyć, że przytulamy się do siebie w *Loco*.

Kiedy muzyka się skończyła, żal było wracać do stolika.

Nie zdążyliśmy dojść. Zawróciliśmy i zatańczyliśmy *Hero*, którego dźwięki niespodzianie wypełniły salę.

– Nie wiedziałem, że Polska jest tak ładna.

Juan sączył mi w tańcu miłe słowa do ucha, a ja łykałam je jak spragniony krople źródlanej wody.

– Jutro zobaczysz Krynice.

– Tam będzie jeszcze piękniej? – zapytał, wpatrując się we mnie oczami okolonymi czarnymi długimi rzęsami, za które każda kobieta dałaby się poćwiartować.

Nie myślałam wtedy o przyszłości. Zapamiętałam się w tańcu i wolności, jaką przynosił mi w ramionach Juana-Miguela. Nareszcie coś się działo, na szczęście nie za szybko. Juan był świetny na parkiecie i podrywał mnie tańcem.

Po północy wróciliśmy do hotelu, by następnego dnia około południa zapakować się do aut i skierować do Krynicy. Dowiozłam towarzystwo do celu i wypuściłam na spacer po plaży. Sama oddałam się oczekiwaniu na maminyh gości.

Przyjechali całą watahą, zadowoleni, podnieceni, wychwalający pod niebiosa porośnięty bluszczem front budynku, na który nikt z domowników nie zwracał już uwagi. Biegałam z mamą z kuchni do jadalni, podając a to świńskie nóżki, a to flaki, a to inne dziwne cynaderki, wstydząc się zaserwować to menu moim Hiszpanom. Ale w końcu przełamalam się i zapytałam, czy mogę przysiąc się z towarzystwem do jej przyjaciół.

– To oni już są? – zdziwiła się i zgodziła ochoczo.

Przycupnęliśmy w kąciku, przyglądając się polskiej biesiadzie, która z każdą chwilą coraz bardziej podobała się moim gościom.

– To coś... – Vincente wskazał na flaki. – To było bardzo dobre, a tamto mięso (zawijane zrazy) jeszcze lepsze.

Nalewki i zwykła polska żytnia odniosły skutek. Wprawiły Hiszpanów w jeszcze lepszy nastrój i obudziły w nich chęć opanowania parkietu.

– To może, skoro mamy tu szóstkę hiszpańskich gości, puścilibyśmy też coś dla nich? – zaproponował Miłosz, który towarzyszył nam od jakiegoś czasu.

– Świetny pomysł! – Przystałam.

Chyba zbyt szybko i zbyt entuzjastycznie.

Miłosz chyba tego nie zauważył, ponieważ akurat udał się w stronę komputera.

Salę wypełniły dźwięki *Bailando*, które sprawiły, że do tańca poderwała się połowa sali. Włącznie z Juanem-Miguelem, z ręką wyciągniętą w moją stronę.

– *Por favor?*

Na jego „proszę” zerknęłam tylko, gdzie jest Miłosz. Jako że chwilowo zniknął mi z pola widzenia, poszłam pobalować.

Jak dobrze, że włożyłam tę czerwoną sukienkę, dopasowaną w talii i rozszerzającą się ku dołowi! Dzięki niej mogłam wykręcać piruety w takt ruchów mojego partnera. Zapamiętywać się w tańcu i jego oczach. O matko jedyna, jakich!

Ktoś dostarczył nam na parkiet po kieliszku nalewki, ktoś inny zadbał, żeby muzyka nie milkła. Tkwiliśmy z Juanem-Miguelem pośrodku tłumu i zbiorowego szaleństwa wokół.

– Edita, skąd ty się wzięłaś? – zapytał przy jakimś wolniejszym kawałku, ani na chwilę nie przestając patrzeć mi w oczy.

– Z morskiej piany – odparłam.

Przypomniałam sobie słowa mamy, które powtarzała przez całe życie.

– To widać – odpowiedział, przytulając mnie mocno. – Piękna jak Afrodyta. Długie jasne włosy...

Opuszczaliśmy parkiet jako jedni z ostatnich.

Otrząsnęłam się z tego, co się ze mną działo, pożegnałam Hiszpana. Musiałam pomóc mamie posprzątać.

Zbierałam brudne talerze i kubki, myśląc o kolejnym dniu. I o kolejnych.

Al dia siguiente!, powtarzałam w myślach, rozanielana tańcem, wciąż czująca rytm, który niemal unosił nas nad parkietem, przypominająca sobie gesty Juana-Miguela, jego spojrzenie. No i ten hiszpański akcent!

Kładąc się spać, zerknęłam na ekran komórki, który raział żółtym światełkiem esemesa.

„Mam nadzieję, że dobrze się bawiłaś i impreza mamy się udała. Pozdrawiam cię na dobranoc i całuję. Miłosz”.

Urszula

Wszyscy wyjechali.

Wycelowaliśmy się na do widzenia, które miało za pośrednictwem poczty mejlowej nastąpić jutro, pojutrze, a najdalej w przyszłym tygodniu. Wymieniliśmy się numerami telefonów i obiecaliśmy sobie kontakt, wcześniej niż po kolejnych trzydziestu latach.

Dobry nastrój nie opuszczał mnie przez kilka następnych dni. Pustkę po mojej klasowej czeredzie skutecznie wypełniała szóstka gości Edyty, robiąca towarzyski zamęt za całą moją klasę.

Po śniadaniu Hiszpanie wyjeżdżali na wycieczki, pływali po zalewie i jak mówiła moja córka, „ogarniali” okolicę, by wieczorami zapanować w kuchni, gdzie uczyli panią Wiesię przyrządzania hiszpańskich dań. Wprawdzie nie dysponowaliśmy rybą *el caldero*, ale nasz rodzimy dorsz nadawał się doskonale do przyrządzenia w stosownym sosie potrawy rodem z leżącej niedaleko Alicante wyspy Tabarka.

W zamian za nieocenione rady dotyczące ichniejszych *bocadillos* i *tapas*, czyli kanapek i przystawek, goście chwalili nasze: ze śledzikiem i twarożkiem. Że nie wspomnę o tatarze i wiejskiej kiełbasie.

Edyta, kręcąc się wśród nich z od dawna niespotykanym u niej wigorem, tłumaczyła, aż furczało, zręcznie przerzucając pomost pomiędzy „niemą” matką a obcymi.

Byłam z niej dumna, chociaż, jak to ja, zawsze musiałam znaleźć problem do zamartwiania się. Tym problemem był Miłosz, który nie pojawiał się u nas już od kilku dni.

Moje pytania Edyta zbywała milczeniem, popartym pełną dezaprobaty miną. Poprosiłam o pomoc Lidkę.

Usiadłyśmy w fotelach, nie pamiętam już, w czwartek czy w piątek. Jak na październik pogoda była wyjątkowo ładna. Słońce zachodziło na czerwono, zwiastując pogodny dzień. Na jutro wzięłam wolne, Lidka też postanowiła odpocząć i omówić ze mną, na co wcześniej nie miałyśmy czasu, wydarzenia ostatnich dni.

– Napijesz się nalewki z wiśni czy może hiszpańskiego wina? – zaproponowałam i sięgnęłam do barku.

– A gdybym wybrała wino?

– *Por favor* – odparłam, popisując się znajomością szczytków języka.

– No to nalej. Cokolwiek to znaczy – odpowiedziała, rozparłszy się wygodniej na poduszkach. – Taka się zrobiłaś hiszpańska – zadworowała sobie z mojej lingwistycznej elokwencji. – Widzę, że jesteś w dobrym nastroju.

– Żebyś wiedziała – odparłam. – A ty nie jesteś? – zapytałam, wyczuwając w głosie przyjaciółki nutkę sarkazmu. – Lidka, co się dzieje? – zaniepokoiłam się.

Z trudem opanowała łzy.

Zakryła dłonią usta, żeby nie rozkleić się całkowicie.

– Wszystko w porządku – odparła po chwili, kiedy już udało się jej uspokoić.

– No przecież widzę, że nie jest! Co się dzieje?

– Kazik... – wykrztusiła. – Już od dawna podejrzewałam, że ma kogoś.

– To niemożliwe! – wykrzyknęłam, absolutnie przekonana, że podejrzenia Lidki to jeden wielki

nonsens. – Kazik? Przenigdy!

– Nie mówmy o tym! – przerwała mi. – Nie chcę o nim rozmawiać. Nie dziś. Możesz mi dolać wina?

Mimo prób wydobywania z przyjaciółki dalszych zeznań, nie osiągnęłam sukcesu. Zapała się i odmówiła współpracy, nagabując o zwierzenia mnie.

W obliczu takiego obrotu sprawy nie pozostawało mi nic innego, jak powrócić do wspominek z klasowego spotkania i przeanalizować zachowanie Edyty, które, nie ukrywam, trochę mnie zaniepokoiło. O Kazika postanowiłam wypytać Lidkę przy najbliższej okazji.

– Bardzo dobre to wino.

„Wysmakowała” trunek o głębokiej purpurowej barwie do ostatniej kropli, zanim zdążyłam przyłożyć swój kieliszek do ust.

Intuicja podpowiadała mi, że dzieje się z nią coś niedobrego.

– Może jednak uchylisz rąbka tajemnicy? – Ponowiłam próbę.

Machnęła ręką, zniecierpliwiona, i zrobiła mi wykład, czym powinnam zająć się w najbliższym czasie.

– Spotkanie klasowe super. Daniel wpatrywał się w ciebie jak w święty obrazek, ale ja boję się o Edytę.

Moja podniecona alkoholem przyjaciółka zaczęła z grubej rury, nie bawiąc się w grzeczności.

– Co z nią? – zapytałam, mimo że znałam odpowiedź.

Ta właśnie sprawa spędzała mi sen z powiek podczas dwóch ostatnich nocy.

– Nic nie zauważyłaś? Przecież ten Hiszpan wyraźnie ją podrywa. Przetańczyła z nim całą noc.

A Miłosz poszedł w odstawkę.

Miała rację. Widziałam to tak samo, ale rodzinna solidarność kazała mi bronić córki.

– Od dwóch lat nie mówiła po hiszpańsku, a trafiła się dobra okazja. Przyjechali fajni ludzie, to dziewczyna jest w siódmym niebie. Wyjadą i wszystko wróci do normy.

– Do jakiej normy, Ula? Ty uważaj, żeby nie poszła za tym Juanem jak w dym! Bo stracisz jedyną córkę, tak jak ja Witka – wyrzuciła z siebie Lidka, gapiąc się na mnie jak na pierwszą naiwną.

– Przecież to tylko chwilowi goście... – odparłam, choć moja pewność w tej kwestii opadła.

Strzał był celny i dotknął czułego punktu.

Nie chciałam rozłąki z Edytą. No, chyba że poszłaby na studia do Gdańska, niedaleko, w zasięgu ręki. Oczywiście najlepiej byłoby, gdyby po studiach wróciła do Krynicy i przejęła ode mnie pensjonat, który z uwagi na długą historię powinien przecież trwać. Zresztą Miłosz nieraz deklarował, że bardzo mu się tutaj podoba.

Jak Marek, pomyślałam.

Po raz pierwszy od śmierci mojego męża na wspomnieniu o nim pojawiła się delikatna, niemal niewidzialna rysa.

Jego również Krynica urzekła tak bardzo, że nie chciał nigdzie wyjeżdżać. Poczułam nagłe ukłucie pretensji o jego zachowawczość i ograniczanie mojej wolności. Dlaczego latami przyjmowałam jego argumenty o bezsensie podróżowania, „skoro ma się tak piękne niebo na własność?”. Tak właśnie mawiał, spacerując ze mną po plaży i zachwycając się zachodami słońca.

– Kochanie, wiesz, jak mam dosyć jeżdżenia. Całymi tygodniami nie ma mnie w domu, to chociaż weekendy chciałbym spędzać tutaj. U siebie.

Czyżbym w stosunku do Edyty stawała się powoli taką samą egoistką jak Marek wobec mnie?

– Mówię ci: uważaj na tego Juana. – Lidka sprowadziła mnie na ziemię.

Spojrzałam na nią spokojnie i ze zdziwieniem usłyszałam własny głos. Wypowiedziałam słowa, które kilka dni, ba!, kilka minut temu nie ujrzałyby światła dziennego.

– Edyta ma prawo bawić się, z kim chce. Wcale się jej nie dziwię, że po dwóch latach siedzenia tutaj

ze mną i obsługiwanie gości ma ochotę na odrobinę szaleństwa. A poza wszystkim, Lidka, ona ma dopiero dwadzieścia dwa lata i jeszcze nie wychodzi za mąż. Ani nie wyjeżdża na stałe do Hiszpanii. Nie ma co martwić się na zapas – dodałam.

Mimo że dokuczała mi nielojalność wobec Miłosa.

– Nie poznaję cię. Źle się dzisiaj czujesz? – Moja przyjaciółka miała oczy jak spodki. – Skąd ta nagła zmiana zapatrywań? Przecież jeszcze niedawno nie wyobrażałaś sobie, że możesz wypuścić ją z rąk.

– Jest taka zadowolona z życia... – zaczęłam, choć z nieco już mniejszym zapalem, nabrawszy wątpliwości, czy aby nie poszłam w tolerancji za daleko.

A jeżeli moja córka rzeczywiście zakocha się w Juanie i wyprowadzi do Hiszpanii? Bez studiów, w obcym środowisku... Nasz kontakt będzie ograniczał się wyłącznie do rozmów na Skypie? I jeszcze jedno. Miłosz to w sumie bardzo miły i poważny chłopak. Szkoda by było, gdyby – jak wspomniała Lidka – poszedł w odstawkę.

Wątpliwości wyparły pozytywne myślenie.

– Sama już nie wiem – dodałam, czując mętlik w głowie. – Poczekajmy na rozwój sytuacji. A może jednak powiesz co z Kazikiem? – wspomniałam, żeby wreszcie zakończyć niewygodny temat.

– Masz jeszcze wino? – zapytała Lidka i nie czekając na odpowiedź, dolała sobie do kieliszka.

Trzeba jej przyznać, że nie zapomniała i o moim.

Wstała z fotela, a jej wzrok powędrował za okno, na prześwitujące między rzędami sosen fale. Stwierdziła po raz drugi, że Kazik ją zdradza, a ja po raz drugi nie dałam temu wiary.

– Nigdy. To niemożliwe. Każdy, ale nie twój mąż.

Lidka wróciła na miejsce. Starając się zachować spokój, wyłożyła kawę na ławę.

– To się zaczęło pół roku temu, w marcu. Wiesz, że lubi sobie wypłynąć na ryby, czasami chodzi na męskie wieczory. Zawsze to robił, dlatego przyjął do wiadomości coraz częstsze wyjazdy i późniejsze powroty. Do chwili, kiedy pod koniec lipca spotkałam Romka, jego kumpla od moczenia kija, i zapytałam go, dlaczego ostatnio ryby nie biorą, ponieważ Kazik zazwyczaj wraca z pustym wiaderkiem. Zaskoczony, nie znalazł stosownej wymówki dla kumpla. Po prostu go wsypał. Powiedział, że nie byli na rybach ze cztery miesiące, ponieważ Kazik nie miał czasu.

– Dostał dodatkową robotę, wiesz, o czym mówię – kręcił Romek, motając się we własne kłamstwa. – A zresztą to wasze sprawy – zakończył.

Wymówił się od ciągu dalszego bardzo ważnym spotkaniem.

W domu przyparłam Kazika do muru. I rzeczywiście, okazało się, że ostatnio częściej jeździ na odbiory budowlane. A nie wspominał mi o tym, bo składał pieniądze na wspólną wycieczkę. I na wyjazd do Witka, do Londynu.

– Może zabierzemy ze sobą Ulkę? – rozbroił mnie na koniec burzliwej rozmowy.

Zaproponował wakacje na Majorce.

– Uspokoiliam się. – Lidka ciągnęła opowieść. – Aż do przedwczoraj. Uwierzyłam w te jego nadzory i odbiory, robiłam mu kanapki, kiedy wyjeżdżał. Ale przedwczoraj zabrałam się za porządki w jego pokoju. Układałam papiery na stole i natknęłam się na zeszyt, w którym zapisywał wszystkie dodatkowe zlecenia. To mu potrzebne do rozliczeń podatkowych czy czegoś innego, nie wiem. W każdym razie prowadził ten zeszyt od wielu lat.

Z głupia frant, można powiedzieć: bez przyczyny, zerknęłam na ostatnią stronę i zobaczyłam datę ostatniego zlecenia. Styczeń tego roku. No więc teraz sama widzisz, jak sprawa wygląda. On mnie oszukuje! Jeździ do niej! Jeździ do jakiejś baby!

– Uspokój się, Lidziu... – Usiadłam obok przyjaciółki i kołysałam ją w ramionach, starając się ukoić płacz. A ona rozkleiła się kompletnie. – Na pewno znajdzie się wytłumaczenie.

– Jakie? On nie pracuje i nie chodzi z kumplami na ryby! To niby gdzie łązi? Ma kogoś!

Trudno mi było wyobrazić sobie mocno łysiejącego Kazika, delikatnie mówiąc pozbawionego męskiej urody (która w jego przypadku sprowadzała się do nalanej twarzy, niewielkich oczu i skłonności do zaczerwienień skóry), jako wiarołomnego męża.

Postanowiłam jednak sprawy nie bagatelizować, ponieważ nigdy nic nie wiadomo. Kazik był miły, czuły, łagodny. Którejś kobiecie, nie licząc Lidki, mógł się spodobać. Nie chciałam jednak budzić w koleżance jeszcze większych wątpliwości. Spróbowałam obrony jej męża.

– Może powinnaś z nim porozmawiać i poprosić o wyjaśnienie?

– A myślisz, że tego nie zrobiłam? Tłumaczył się, że od jakiegoś czasu nie zapisuje zleceń w zeszycie. I jeszcze mnie ochrzanił za grzebanie w jego rzeczach!

– To co zamierzasz? – zapytałam.

Na wszelki wypadek powstrzymałam się od dobrych rad.

– Pomożesz mi? – Lidce błysnęła w oczach iskra nadziei.

Zgodziłam się bezzwłocznie.

– Powiedz tylko jak.

– Mam pewien pomysł... – zaczęła.

I w tej samej chwili do pokoju wpadli Edyta z Miłozsem.

Wyglądali na całkiem zadowolonych, a nawet szczęśliwych. Dostrzegli nas, siedzące w pobliżu zgaszonej lampy, i w biegu przerwali pocałunek.

– Co tak siedzicie po ciemku? – krzyknęła Edyta, odskakując od Miłozsa. – Przestraszyłyście nas!

Popatrzyłam przepaszająco. Lidka milczała.

– Co tu się dzieje? Umarł ktoś? – wyrwało się Edycie. – Przepraszam, już się zmywamy.

Popatrzyła czule na Miłozsa i pociągnęła go do wyjścia.

Radośnie pomachała nam ręką. A Miłozs pognał za nią, równie szczęśliwy i zadowolony.

– Widzisz? A jednak nie ma powodu martwić się problemami dzieci – podsumowałam, patrząc za znikającą parą. – Mów, jaki masz pomysł z Kazikiem. – Wróciłam do tematu i rozsiadłam się wygodnie w fotelu.

Edyta

„Impreza mamy bardzo udana. Staruszkowie bawili się na sto dwa, a my razem z nimi. Tylko ja chyba trochę przegięłam z Juanem”, mejlowałam do najbliższej mi w ostatnich miesiącach kumpeli Mai.

Poznałam ją latem ubiegłego roku na plaży, w okolicznościach, można powiedzieć, zawodowych. Uratowałam ją od niechybnej śmierci w morskich odmętach, kiedy silny skurcz łydki pociągnął ją pod wodę. Skończyło się na strachu, a nasz pierwszy, niezbyt fortunny kontakt zaowocował całkiem sensowną znajomością.

Studiowała farmację w Gdańsku, a latem dorabiała jako kelnerka w krynickim hotelu „Falochron”. Spotykałyśmy się po pracy, a po wakacjach nie zerwałyśmy kontaktu. Zyskałam w Trójmieście życzliwą metę, z której chętnie korzystałam, wypełniając gdańskim gwarem nudne jesienne i zimowe popołudnia i wieczory.

Nie robiłam tego jednak tak często, jakbym chciała. Maja miała bardzo absorbujące studia i niestety, niezbyt dużo czasu. Dzięki jej namowom i ciągłemu nagabywaniu Miłosza i ja zaczęłam powoli zastanawiać się nad uczelnią. Oczywiście dopiero w przyszłym roku. W tym było już za późno na rekrutację.

– Pomyślałam sobie, że mogłabyś zrobić kurs rehabilitacji. – Podczas jednej z moich wizyt w Gdańsku Maja podsunęła pomysł, który nawet mnie zainteresował. – Świetnie wyciągasz topielców, to może warto by też umieć masować różnych popaprańców? Kandydatów jest sporo. Z pewnością chętnie skorzystałby z twoich umiejętności niejeden wasz pensjonariusz – namawiała.

Miała rację. Dodatkowa umiejętność mogła się przydać. A poza tym, kurs terapii manualnej, który z pomocą Miłosza wynalazłam w ofercie jednej z firm, wypełniłby mi kilka jesienno-zimowych weekendów i pozwolił pokręcić się wśród ludzi. A tych w martwym sezonie bardzo mi brakowało.

W październiku gościłyśmy z mamą dwudziestoosobową grupę na dwudniowym szkoleniu, ale w listopadzie powiało pustką. Korzystając z przerwy w działalności pensjonatu, mama zleciła wynajętej ekipie odmalowanie kilku pokoi i remont kuchni. Słuchając jej narzekań na stan naszych finansów, zdałam sobie sprawę, że kursu terapii manualnej raczej mi nie pokryje. A moje pieniądze, zarobione na plaży, topniały w postępie geometrycznym.

– Ja ci pożyczę, Edytko. – Jak zwykle niezawodny, Miłosz szybko znalazł rozwiązanie.

– Nie wiem, czy będziesz w stanie. Kurs kosztuje trzy tysiące. Swoją drogą, słono sobie liczą. Pięć stów za moduł, czyli za weekend. A poza tym, nie tak szybko mogłabym ci oddać.

Zasepił się, wykonał kilka operacji w Internecie. Domyśliłam się, że wszedł na konto.

– Na razie mógłbym ci dać dwa tysiące, ale jeszcze pomyślę... – Wpatrywał się w ekran, szukając rozwiązania. – Poproszę rodziców o doraźną pomoc. Kiedy dostanę pieniądze za ostatnią robotę, to im zwrócę.

– Kochany jesteś! – Objęłam go za szyję i pocałowałam w policzek. – Wystarczy, że pożyczysz mi połowę. Z resztą sobie poradzę.

– Na pewno?

– Na pewno. Bardzo ci dziękuję.

Tysiąc złotych wysupłałam z oszczędności po lecie. Mama dołożyła brakujące pięć stów.

W połowie stycznia zaczęłam kurs.

Wspomnienia przerwał mi klikający dźwięk, który zasygnalizował nadejście mejla od Mai.

„Szkoda, że nie mogłam poznać tego Juana. Domyślam się, jakiego grzechu jest wart. A tak w ogóle to z czym przegięłaś?”

Palce rozpoczęły taniec po klawiaturze.

„Przetańczyłam z nim całą noc, choć Miłosz był w pobliżu. Głupio mi”.

„Złościł się?”

„Na pewno, ale nie okazywał. Sama wiem, że dałam ciała”.

„Wynagrodzisz Miłoszowi, kiedy Juan wyjedzie. Teraz korzystaj z okazji i paplaj po hiszpańsku, ile się da. Kto wie, kiedy będziesz miała kolejną okazję”.

Maja miała rację. Od lata byłam z Miłoszem, ale ślubu nie wzięliśmy. Nasze przyjacielskie stosunki przerodziły się ostatnio w nieco bardziej intymne. Krótko mówiąc, czułam, że coraz bardziej mi na nim zależy. A że pobawiłam się z Juanem?

Idąc za radą koleżanki, postanowiłam wynagrodzić Miłoszowi tamten szalony wieczór. Dopomógł mi w tym następnego dnia sam Juan, zapraszając nas do rodzinnego Alicante.

– Przyjeżdżajcie do pensjonatu, kiedy tylko chcecie! – zakomunikował, rozkładając ręce gestem gościnnego gospodarza.

Jego spojrzenie odczytałam jednoznacznie. Miałam jedynie nadzieję, że Miłosz nie koncentrował się na mowie ciała i nie dostrzegł, kogo przede wszystkim oczekuje u siebie ognisty Hiszpan.

Juan Juanem, ale cieszyłam się przede wszystkim na wyjazd z Miłoszem. Hiszpański flirt był bardzo przyjemny i z pewnością dowartościowywał mnie jako dziewczynę, ale jednak to Miłosz trwał przy mnie od śmierci taty, powoli i systematycznie zaskarbiając sobie moje uczucie.

– Z przyjemnością – odparliśmy niemal równocześnie. – Dzięki za zaproszenie – dodałam, wsparta na ramieniu mojego chłopaka.

Samolot hiszpańskich gości miał odlecieć nazajutrz. Ostatni wieczór postanowiliśmy spędzić nad nieco już zamglonym morzem. Październikowy wieczorny chłód dawał znać o sobie, kiedy przysiedliśmy pod wydumą, obserwując zachód słońca, po którym zaczęło robić się zimno. Miłosz przysiadł obok i okrył mnie swoją kurtką. Juan wznosił kolejne toasty, adorując Claudię. Na mnie nawet nie spojrzał.

A jednak zabolalo.

Po kilku godzinach, gdy ogarnęło nas przejmujące zimno, z miejsca poderwał się Sergio, dając znak do powrotu. Dopiliśmy ostatni łyk piwa, wtulona w ciepłe ramiona Miłosza. W bezpieczne ramiona. W jednej chwili Juan znikł mi z oczu, a Miłosz po prostu był. Chyba mnie popaprało z tym Juanem!, pomyślałam z niesmakiem na wspomnienie tanecznych występów na imprezie mamy.

Pensjonat ział pustką i ciemnością, jedynie w kuchni paliło się światelko. Pani Wiesia przygotowywała ostatni posiłek dla naszych gości.

– Spotykamy się za kilka minut w jadalni! – zarządziłam, wchodząc do domu. – Chodź! – Zaciągnęłam Miłosza do pokoju gościnnego, odwzajemniając w locie jego pocałunek.

Przerwaliśmy go na widok mamy i cioci Lidki.

– Co tak siedzicie po ciemku? – wykrzyknęłam, odskakując od Miłosza. – Przestraszyłyście nas! Co tu się dzieje? Umarł ktoś? – wyrwało mi się. – Przepraszam, już się zmywamy.

Pociągnęłam Miłosza do wyjścia, radośnie machając ręką.

Jedziemy do Hiszpanii!, huczało mi w uszach, kiedy wbiegaliśmy na piętro.

Oddałam się pocałunkom, szczęśliwa i zadowolona.

– Jesteś piękna, wiesz? – Również Miłosz wyglądał na szczęśliwego. – Kocham cię.

Bardzo chciałam odwzajemnić to wyznanie, ale przywarłam do jego ust, a po chwili uciekłam do pokoju pod pierwszym lepszym pretekstem.

Nie czułam się jeszcze gotowa, by deklorować uczucia.

Zrobię to pod hiszpańskim niebem!, postanowiłam, zabierając ze sobą cień wątpliwości.

Urszula

Po wyjeździe Hiszpanów dopadła nas chmurna końcówka października. Nie, nie decydowała pogoda. Wręcz przeciwnie, ta pieściła słońcem i nie narzucała się z jesienną szarugą. To okołolistopadowa pustka w pensjonacie wzięła nas w swoje objęcia, wzbudzając pogłos na korytarzach, śpiewając pieśń minionego lata w poszukiwaniu gości z leżakami, parawanami, plażowymi akcesoriami ciągniętymi każdego dnia do grajdołów. Zawsze o tej samej porze roku zaczynało mi brakować piasku naniesionego z plaży, zapachu smarowanych olejkiem podsmażonych ciał, gwaru gości przy śniadaniu i letnich przebojów, które zaczynaliśmy włączać, gdy zbliżał się sezon.

Po wyjeździe Hiszpanów zrobiło się pusto. Czekwały nas przynajmniej cztery miesiące towarzyskiej posuchy i przejadania zapasów.

Zerknęłam do zeszytu napraw. Przejęłam go po Marku, który prowadził zapisy potrzeb od niepamiętnych czasów.

– Wpisuj na bieżąco, co ci przychodzi do głowy – mawiał. – Po sezonie zdecydujemy, na jakie naprawy i modernizacje nas stać. I podejmiemy decyzję, w jaki sposób wydać pieniądze.

Omiotłam wzrokiem tegoroczną listę: naprawa podjazdu, wymiana kafelków w łazience przy pokoju numer 17, zakup kilku kompletów talerzy, wymiana dachu na budynku gospodarczym. Przydałaby się nowa półciężarówka.

Skąd na to wszystko brać?

Nerwowo zerknęłam do komputera, na konto bankowe, którego saldo znałam na pamięć. W żadnym wypadku nie wystarczy na pokrycie potrzeb. Wniosek nasuwał się sam: nie radzę sobie.

Marek na pewno znalazłby rozwiązanie.

Przypomniałam sobie, jak rok przed śmiercią uspokajał mnie, kiedy wpadłam w popłoch na widok ogromu prac do wykonania.

– W pierwszej kolejności postawimy przybudówkę z trzema nowymi pokojami i wyremontujemy jadalnię. Zamiast modernizować podjazd, wymienimy jedynie brakujące płytki. Płot na razie zostanie drewniany, co najwyżej przemaluję go sam. A reszta poczeka do następnego roku.

– Ale to i tak spory zakres! – Martwiłam się kosztami.

– Jakież czterdzieści tysięcy. – Skalkulował.

Mogłam być pewna, że nie wzięł sumy z kapelusza.

Zawsze wystarczała.

Przy moich kalkulacjach zabrakłoby przynajmniej drugie tyle.

Tylko w ubiegłym roku przekroczyłam budżet o dziesięć tysięcy. Wprawdzie gorące lato i pełne obłożenie pozwoliły mi wyjść na prostą i uzupełnić braki w kasie, ale nie na tyle, aby zostać po sezonie z górą pieniędzy.

A zatem znowu to samo, co w ubiegłych latach!, westchnęłam. Większość zarobionych pieniędzy trzeba będzie przeznaczyć na remonty i przygotowania do nowego sezonu. Może chociaż stary ford transit da się jeszcze reanimować?

Ślęczałam nad papierami, dodając dwa do dwóch, odejmując trzy i dochodząc do wniosku, że brakuje

naprawdę sporo, kiedy do pokoju wpadła Edyta i rzuciła się na fotel.

– Jadę do Hiszpanii! Dostaliśmy z Miłoszem zaproszenie do Alicante!

Zerknęłam chyba zbyt krzywo, ponieważ moja córka wyraźnie się zdenerwowała.

– Coś nie tak? Mówię, że wyjeżdżam do Hiszpanii.

– Wspaniale, córuś. Kiedy się wybierasz? – Oderwałam się od kalkulacji i spróbowałam podzielić jej radość.

– Za dwa, trzy tygodnie. Wypłacisz mi moją dolę za wrzesień? Będę potrzebować na samolot.

Faktycznie, zapomniałam przelać jej umówiony tysiąc złotych za pracę w pensjonacie. Zrobiło mi się wstyd, że nie dość, że tak nisko wyceniam pracę własnego dziecka, to jeszcze nie potrafię dotrzymywać terminów. Dziewczyna siedzi ze mną w Krynicy od dwóch lat, dba o pensjonat i na dodatek nigdy nie dopomina się o więcej...

– Oczywiście. Zaraz ci przeleję.

Weszłam na stronę banku, odnalazłam konto Edyty na liście przelewów zdefiniowanych. W kratce „kwota” wpisałam trzy tysiące.

– Przełałam – stwierdziłam. – Już masz.

– Dzięki. Robisz plany remontowe? – Domyśliła się po mojej minie.

– Tak.

– I nie wystarcza?

– Jak zwykle.

Przeszyła mnie wzrokiem.

– Nie myślałaś o tym, żeby coś, hm, zrobić z pensjonatem? – zapytała. – Przecież co roku jest tak samo. Zarabiasz na remonty i niewiele zostaje.

– Po prostu nie potrafię radzić sobie jak tato – odparłam szczerze. – Ale chcę to robić.

– Czyżby?

Zdenerwowała mnie.

– Edyta! Co cię ugryzło? Przełałam ci pieniądze i nie życzę sobie uwag, żeby „coś zrobić” z pensjonatem!

– Jak chcesz – odparła.

Wstała z fotela i skierowała się do wyjścia.

– Zaczekaj! Porozmawiajmy.

– O czym, mamó? Przecież robiłyśmy to już nieraz, a ty zawsze od nowa to samo. Bo pensjonat jest w rękach rodziny od siedemdziesięciu lat, bo babcia, dziadek, tatuś. A teraz jeszcze ty! Pewnie myślisz, że następna w kolejce będę ja i moje dzieci. A może ja nie chcę? Nie pomyślałaś o tym?

– Myślałam, że skoro po śmierci taty...

– ...tutaj zostałam – dopowiedziała – to zamierzam tak przez całe życie? Mamó, przejrzyj na oczy! Zostałam tu dla ciebie, żebyś wyszła z dołka i stanęła na nogi! A teraz jadę do Hiszpanii. – Ostatnią frazę Edyta wypowiedziała bardzo wyraźnie, cyzelując każdą głoskę. – Jadę oderwać się od tego... Od tego wszystkiego. Jadę na wakacje, mamó – dodała nieco bardziej miękko. – A potem zobaczę, co dalej.

Mimo złagodzenia tonu przestraszyła mnie i tak.

Moja Edytka wymykała mi się z rąk. Miała dość Krynicy, chociaż mimo różnych znaków, które dawała już wcześniej, starałam się tego nie zauważać. Nie chciałam zauważać. A jeszcze kilka dni temu klarowałam Lidce, że Edyta jest dorosła i może robić, co chce. Jechać, gdzie i z kim chce. Teraz jednak przestraszyłam się nie na żarty, że dzień jej odejścia może nastąpić rzeczywiście, i uświadomiłam sobie, jak bardzo tego nie chcę. Żeby chociaż poszła na studia do Gdańska! Może wtedy by im wyszło z Miłoszem?

Zatroskanie musiało odbić się na mojej twarzy, bo Edyta podeszła i przytuliła mnie niezgrabnie. Nie tak, jak Marka, któremu siadała na kolanach, nawet już jako dorosła osoba. Ale kiedy wspomniała, że babcia zachęcała ją do poznawania świata, chociaż nie chciała się z nią rozstawać, wpadłam w szal.

Wstałam gwałtownie i nie licząc się ze słowami, zaczęłam krzyczeć.

– Jasne! Przytrafiła ci się najgorsza matka na świecie! Wszyscy bliscy cię opuścili, tylko ja, niestety, żyję i zatruwam ci każdy dzień! Dziękuję, że zostałam w Krynicy przez dwa lata, żebyś mogła do mnie dojechać. Czyżby jednak? A może była to po prostu wygodna ucieczka od studiów? W każdym razie nie musisz się dłużej poświęcać! Pomyśl o tym, żeby „coś zrobić” z pensjonatem! – zakończyłam.

I natychmiast pożałowałam wykrzyczanych słów.

– Jak uważasz – odparła Edyta szorstko, odsuwając się ode mnie. – Dziękuję za przelew – dodała, zanim wyszła z pokoju.

Zamarłam w bezruchu, mając nadzieję, że jednak się odwróci i da mi szansę odwołać rzucone w złości słowa.

Niestety, wyszła. Zamknęła za sobą drzwi i zostawiła mnie w salonie samą. Poczułam chłód.

Wygasło w kominku.

Edyta

W ostatniej chwili opanowałam się, żeby nie trzasnąć drzwiami. Boże święty, jak ona mnie potrafi zdenerwować! Robi to od zawsze, od kiedy tylko sięgam pamięcią. Nie przymierzając, jak każda nauczycielka klas młodszych, którą była przez wiele lat, zanim została bibliotekarką.

Moja matka postanowiła wychowywać mnie pedagogicznie, co w jej mniemaniu oznaczało konsekwencję i wytrwałość. A zatem zawsze musiałam sprzątać po sobie zabawki, nie wolno mi było choćby raz zrezygnować z mycia zębów. Żadne ustępstwa, z powodu choroby czy chwilowej niedyspozycji, nie wchodziły w rachubę. Prośba, by zwagarować z klasówki z biologii zakrawała w jej oczach na żart, narzekania na nauczycieli na potwarz (bo nauczycielom należy się szacunek). O wypiciu pierwszego kufła piwa wolałam nie wspominać, podobnie jak o pierwszej ocenie poniżej czwórki. Wszak poza nauką nie miałam nic innego do roboty! Moją ciężką pracą w liceum powinny były zwieńczyć studia, na które się nie zdecydowałam. Z perspektywy patrząc, trochę chyba na złość mamie. No, może żeby zaznaczyć swoją niezależność.

Ale na pozostanie w Krynicy po śmierci taty zdecydowałam się już ze względu na mamę, mimo naszych niezbyt bliskich stosunków. Dlaczego zatem teraz wypominała mi, że chciałam uciec od studiów?

To było wstrętne.

Przed chwilą, podczas naszej rozmowy, kiedy pozwoliła sobie na wylewanie żalów, opanowałam się z trudem, by nie wykrzyknąć jej, że zrezygnowałam z wyjazdu do Hiszpanii z Michaliną. Nie wiem, co mnie powstrzymało. Może nie chciałam psuć sobie nastroju przed Alicante? A może zamilkłam przez wzgląd na pamięć taty, dla którego starałam się dogadać z mamą?

Mimo że od jego śmierci upłynęły już dwa lata, wspomnienia z całą siłą złapały mnie za serce. Czasami bardzo mi go brakowało. Przy nim czułam się bezkarną córeczką. A kiedy był w trasie, ze swoimi problemami biegłam do babci. To on udawał, że nie wyczuwa papierosowego dymu, który pozostawiałam w łazience podczas nielicznych momentów nieobecności mamy, spędzanych razem w pensjonacie w atmosferze błęgiego luzu. Uczył mnie prowadzić samochód, dawał auto, kiedy tylko sobie tego życzyłam. Czasami wsunął pięćdziesiątka na „co tam tylko chcesz, wiem, że masz potrzeby”. To on puszczał oko, kiedy z rumieńcem na policzkach tłumaczyłam mamie, że idę na noc do Michaliny, żeby uczyć się do klasówki z matematyki.

A teraz ona wypominała mi brak studiów? Niech się wreszcie weźmie za siebie i swoje frustracje!, zezłościłam się w duchu.

Zamaszyście otworzyłam komputer, żeby przejrzeć pocztę.

W skrzynce czekało kilka listów, na widok których szybciej zabiło mi serce. Najpierw otworzyłam wiadomość od Juana.

„*Hola, hola!* Jestem już na miejscu, więc w pierwszej kolejności przesyłam ci całusy z Alicante! W Polsce było naprawdę *esplendidamente* (wspaniale), ale trochę u was zimno. Za to w Hiszpanii jeszcze dwadzieścia pięć stopni. Pobiegliśmy na plażę, wykapać się i napić sangrii. W pensjonacie ojca prawie pusto; ostatnich gości przyjmuje jeszcze do końca października, a potem płynie łowić ryby. Będziemy mieli całą *casa* dla siebie! Daj znać, kiedy przyjedziecie z Milosem. Kupimy kilka kartonów

cervezy (piwo lubimy wszyscy) i upichcimy coś hiszpańskiego.

Konieczniesz zabierz czerwoną sukienkę, w której jesteś taka ładna. Nauczę cię andaluzyjskiego flamenco. Chcesz?

Adios. Czekam na odpowiedź.

Juan”.

Pensjonat tylko dla nas, dwadzieścia pięć stopni, sangria na plaży, taniec w czerwonej sukience, „jesteś taka ładna”... Miód na moje strapione serce, powiew śródziemnomorskiej bryzy, lekkość komplementów. Uśmiech Juana prześwitujący przez litery tekstu...

Z trudem oderwałam się i zajrzałam do mejla od Michaliny, która, jak się okazało, zostawała w Walencji i mogła mi wiosną załatwić robotę.

Odpisałam niezwłocznie, dziękując za propozycję.

„Będę niebawem w Alicante. Może się zobaczymy?”, zanęciłam, nie zdradzając szczegółów.

Sto siedemdziesiąt kilometrów dzielące oba miasta nie stanowiło problemu. Postanowione, spotkamy się!

Wyjazd do Hiszpanii podobał mi się coraz bardziej.

Kiedy mama zapukała do drzwi, udałam, że nie słyszę. Gdy ponowiła próbę wejścia do mojego pokoju, który czujnie zamknęłam na klucz, nie poruszyłam się, udając że śpię.

Nie odpuściła.

– Edytko, otwórz. Przyjechał Miłosz – usłyszałam jej głos.

Niechętnie podeszłam do drzwi i uchyliłam je lekko.

Stała za nimi sama. Miłosza widocznie musiała zostawić na dole, przestrzegłszy go przed moim złym nastrojem.

Nie myliłam się. Manipulowała, jak zwykle.

– Gdzie Miłosz? – zapytałam.

– Na dole.

– Chyba zna drogę? Miłosz, chodź! – krzyknęłam. – Coś jeszcze? – fuknęłam i spojrzałam wzrokiem bazyliuszka.

– Nie – odparła.

Przybrała tę swoją zboląłą minę i otworzyła szerzej drzwi, by wpuścić Miłosza.

– Nie rozumiem, o co chodzi, Edytuś...

Stał pośrodku pokoju, pomiędzy mną a zamykającymi się za mamą drzwiami.

Machnęłam ręką, pragnąc położyć kres wątpliwościom i niedopowiedzeniom.

– Musimy ustalić termin wyjazdu do Hiszpanii – zakomunikowałam, próbując wyzwolić w sobie dobry nastrój sprzed kilku minut.

Miłosz nie podzielił mojego entuzjazmu. Usiadł z opuszczoną głową, bez słowa. Najwyraźniej musiało się wydarzyć coś niedobrego.

Czyżby zadziałała mamusia?, pomyślałam, czując otwierający się w kieszeni scyzoryk.

– Nie będę mógł teraz jechać, Edytko. – Miłosz odezwał się po dłuższej chwili. – Ta firma komputerowa, o której ci mówiłem, zaproponowała mi staż.

A więc to jednak nie mama.

– Nie możesz go przesunąć o kilka tygodni? – zapytałam.

– Niestety. Może pojedziemy wiosną?

Co on powiedział? Że niby i ja mam zrezygnować z wyjazdu i czekać do wiosny?

Spróbowałam jeszcze raz.

– Może jednak spróbujesz przełożyć ten staż? – spytałam, z góry pewna swojej odpowiedzi, jeżeli

odmówi.

Nie mogłam sobie pozwolić na rezygnację z wyjazdu do Hiszpanii po raz drugi. I znów z powodu bliskiej osoby. Nie chciałam.

– Muszę rozpocząć staż za tydzień. Takie postawiono warunki.

– Przykro mi, Miłku. Może na wiosnę pojedziemy razem – odparłam stanowczo, tonem dającym do zrozumienia, że jestem zdecydowana wyjechać natychmiast. – Nie chcę przegapić takiej szansy po raz drugi.

Aprobująco skinął głową. Siedział zgnębiony, spoglądając na mnie zza firanki jasnych, spadających na policzek włosów, które nerwowo odsuwał za ucho.

Wcale nie czułam się dobrze, zostawiając go w Polsce samego, choć w głębi duszy zostawiłam go w chwili, gdy podjęłam decyzję o wyjeździe. Myślami byłam już w Hiszpanii. Nawet kochając się z nim tej nocy, jedną nogą tkwiłam w samolocie. Przecież jeden krótki wypad nie może nic zmienić między nami! A poza wszystkim, ja po prostu muszę jechać! Bez względu na Juana, Miłosza i mamę.

Bo potrzebuję oddechu.

Urszula

Edyta omijała mnie, jak gdybym była niewidzialna.

Wszelkie próby nawiązania z nią normalnej rozmowy spełzały na niczym. Moja córka zonglowała monosylabami, w najlepszym wypadku wysilała się na operowanie równoważnikami zdań. Staralam się przeprosić ją za mój wybuch gniewu, załagodzić niepotrzebny konflikt. Przeprosiny przyjęła zdawkowo, ale nadal stroniła ode mnie jak od zarazy. Znikała na całe dni, a w pensjonacie zaszywała się w swoim pokoju, by prowadzić niekończącą się korespondencję via komputer.

Domyślałam się, że organizuje wyjazd.

Postanowiłam odpuścić, nie narzucać się jej i pozwolić relacjom między nami biec własnym torem. W końcu i jej złość musi kiedyś przejść.

Lidka podtrzymywała mnie na duchu, tłumacząc zachowanie mojego dziecka zmęczeniem materiału.

– Dziewczyna ma dosyć siedzenia w Krynicy – klarowała, biorąc Edytę w obronę. – Pojedzie na wakacje, odpręży się i wróci odświeżona.

– Przecież sama mówiłaś, że ona i Juan... – zaczęłam.

– Mówiłam, mówiłam – powtórzyła zniecierpliwiona. – Doszłam jednak do wniosku, że nie da się wszystkiego przewidzieć. A martwić się na zapas, to jak zło dodawać do zła. Co tam słyhać w bibliotece? – Zmieniła temat.

– To samo, co zawsze. Dzieciaki wypożyczają książki – odparłam z sarkazmem, celowo ignorując próby odwrócenia uwagi od jedyne go interesującego mnie obecnie tematu. No, może poza remontem pensjonatu.

– Czyli nuda.

– A w twoim butiku? – zrewanżowałam się, okraszając pytanie nutką złośliwości.

Roześmiała się.

– Też nuda.

Nagle odniosłam wrażenie, że w tym samym momencie wpadłyśmy na podobny pomysł, choć żadna z nas nie chciała się nim podzielić z drugą. Wydawał się kompletnie nierealny.

– Czy myślisz o tym samym, co ja? – zapytałam.

– Miałyby być wspólny wyjazd?

Nietrudno było dostrzec błysk w moich oczach, którego nawet nie próbowałam ukrywać. Chciałam odnaleźć akceptację dla niego w spojrzeniu Lidki.

Niestety, entuzjazm mojej przyjaciółki zgasł tak szybko, jak się pojawił. Z miejsca zorientowałam się, że to z powodu Kazika, i się nie pomyliłam. Lidka przygasła. Oczami wyobraźni widziałam, że nasza potencjalna wspólna wyprawa oddała się w bliżej nieokreśloną przyszłość.

– Teraz nie mogę. Wiesz z czyjego powodu – wyszeptala i spojrzała przeproszająco. – Bardzo mi przykro. Tyle dobrego, że przez chwilę o tym zapomniałam.

– Rozumiem. Właściwie to ja też nie mogę sobie pozwolić. Czeka mnie naprawa podjazdu, wymiana kafelków w łazience przy jednym z pokoiów, zakup kilku kompletów talerzy, wymiana dachu na budynku gospodarczym. Przydałaby się nowa półciężarówka...

– No właśnie. Ale może wiosną? – podsunęła nieśmiało, grzebiąc definitywnie nagle i piękne wyjazdowe marzenia. – Myślałaś o Kaziku?

Prawdę powiedziawszy, od chwili gdy Lidka przedstawiła mi plan inwigilacji męża, nie miałam głowy do roztrząsania jego szczegółów. Tym bardziej że udział w nim odczuwałam jako niełojalność. W głowie mi się nie mieściło, że Kazik może prowadzić podwójne życie i oszukiwać Lidkę. Tyle że ona nie przyjmowała żadnych moich argumentów. Starłam się ją przekonać, że jej mąż jeździ na te cholerne odbiory, tylko zaprzestał zapisków. Że nigdy jej nie oszukał. Że Marek też większość czasu spędzał poza domem.

Ale jeśli ona ma rację, a ja wykręcami się od pomocy?

Wątpliwości toczyły moją duszę jak robak miąższ jabłka.

– Zgadzasz się, Lidziu. – Podjęłam decyzję. – Spróbujemy zabawić się w detektywów. Powiedz, jak to sobie wyobrażasz.

Okazało się, że w planie brakuje konkretów. Moja przyjaciółka bazowała na mglistych wyobrażeniach o inwigilacji ślubnego, zaobserwowanych w telewizyjnych programach. Krótka mówiąc, planowała jeździć śladem męża, by odkryć, z kim spotyka się Kazik.

– Kiedy zaczynamy? – zapytałam, usiłując okazać zaangażowanie.

– Jutro?

Zaskoczyła mnie. Wolalabym poczekać do wyjazdu Edyty do Hiszpanii.

– To jakiś tydzień, dwa – tłumaczyłam. – Nie wiem, na kiedy zarezerwowała lot, bo właściwie ze mną nie rozmawia. Pewnie dowiem się dzień przed.

W spojrzeniu Lidki wyczytałam zawód. Westchnęła, wydeła usta, ale pod naporem mojego tłumaczenia zgodziła się przełożyć śledztwo do wyjazdu mojej córki.

Przyznam, że po raz pierwszy w życiu ulżyło mi, kiedy poszła do domu. Karcąc się w duchu za niedostateczne skupienie się na jej sprawie, pożegnałam ją serdecznie i obiecałam, że skontaktujemy się jutro.

Aby poprawić sobie samopoczucie, napuściłam wody do wanny i nie pożałowałam płynu do kąpieli. Pachnąca mgiełka otuliła łazienkę, zasnuwając lustro matową powłoką. Przetarłam dłonią gładką powierzchnię, uzyskując niewielki czysty fragment, w którym dostrzegłam swoją twarz.

Nie byłam nią zachwycona.

Szybko sięgnęłam po wacik, by zetrzeć z powiek resztki cieni i pozbyć się tuszu. Dostrzegłam bezbarwną i pozbawioną życia cerę, która z pewnością należała do mnie. Choć jeszcze niedawno nigdy bym się do tego nie przyznała.

– Kiedy żył Marek, a nawet po jego śmierci, nigdy tak nie wyglądałam. Postarałam się zrobić coś ze sobą dopiero przed klasowym spotkaniem – mamrotałam pod nosem, przerażona własnym wyglądem, na którym odcisnęło się piętno żalu po mężu, kłopotów z pensjonatem, a teraz i z Edytą. – Kobieto, weźże się wreszcie za siebie! – nakazałam sobie i otarłam łzę.

Tylko po co?, usłyszałam wewnętrzny głos. Żeby prowadzić pensjonat do końca życia i wydawać książki w bibliotece? Bo przecież wyprowadzka Edyty to tylko kwestia czasu, co uświadomiła mi wczorajsza rozmowa z córką. I chociaż robiłabym nie wiadomo co, nie wiem jak mobilizowała ją do studiów i ułożenia sobie życia w imię przyjętych przeze mnie i Marka standardów, nie będę w stanie przewalczyć jej oporu. Odwróciła się ode mnie, a ja potrafię jedynie reagować na to krzykiem.

Żadna kąpiel nie mogła mi pomóc w odzyskaniu dawnej twarzy, tej, która kiedyś potrafiła się uśmiechać. A tak się cieszyłam, że spotkanie klasowe pomogło mi odzyskać formę!

Wsunęłam się do wanny i szybkimi ruchami wyszorowałam ciało gąbką. Równie sprawnie opłukałam się, wypuściłam wodę i wytarłam się ręcznikiem, aż na ciele pojawiły się czerwone plamy. Stanąwszy

ponownie przed lustrem, zebrałam włosy w kitkę i wmasowałam krem w policzki. Pozostało umyć wannę, wyłączyć światło w łazience i znaleźć drogę do sypialni.

U Edyty jeszcze się świeciło. Po korytarzu niósł się dźwięk klikających klawiszy.

Przechodząc w pobliżu jej pokoju, miałam ochotę zapukać. Zrezygnowałam, gdy usłyszałam śmiech. Pewnie rozmawia z kimś na Skypie. Z kimś miłszym niż ja.

W mojej sypialni było zimno. Zamknęłam okno, które otworzyłam, by wywietrzyć przed snem, i zasunęłam zasłony, obiecawszy sobie, że niebawem je wypiorę. Włożyłam piżamę, wsunęłam się pod kołdrę i nakryłam nią głowę, żeby ogrzać zmarznięte ciało.

I usłyszałam dźwięk komórki, która sygnalizowała nadejście esemesa.

Niechętnie wysunęłam zimną dłoń w kierunku telefonu.

Pewnie Lidka, westchnęłam. Miałam nadzieję, że pogodziła się z Kazikiem i temat inwigilacji umarł śmiercią naturalną.

Na ekranie widniało jednak imię Daniela.

„Przepraszam, że nie pisałem tak długo. Życie wzięło mnie w obroty, choć bez związku z naszym spotkaniem, które wspominam bardzo miło. Czy mógłbym cię jeszcze kiedyś odwiedzić w Krynicy? Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że musiałem wcześniej wyjechać. Pozdrawiam serdecznie i liczę, że nie odmówisz. D.”.

Zanim zasnęłam, przeczytałam ten tekst przynajmniej sto razy.

„Liczę, że nie odmówisz”, powtarzałam jak mantrę, czepiając się tych słów jak tonący brzytwy.

„Czy mógłbym cię jeszcze odwiedzić w Krynicy?”, rozpamiętywałam każde słowo.

O dwunastej zdecydowałam się zgasić światło. Ale przedtem odpowiedziałam Danielowi.

Edyta

Skoro Miłosz zrezygnował z wyjazdu, wpadłam na pomysł, żeby zabrać Maję. Wprawdzie obawiałam się odmowy, bo miała nawał zajęć na studiach, ale zostałam mile zaskoczona.

„Bardzo żałuję, że nie mogłam poznać tych twoich Hiszpanów w Krynicy”, odpisała na mejla z zaproszeniem. „Nie wybaczyłabym sobie, gdybym teraz zrezygnowała z wycieczki do Alicante! Zrobię, co się da i wykołuję tydzień wolnego. Możesz na mnie liczyć. Jadę!”.

Oto właściwe podejście! Okazje trzeba łapać, a nie szukać wymówek!

Przerost odpowiedzialności Miłosza mnie dobił. Sama nie należałam do osób, które rzucają wszystko i oddają się przyjemnościom, ale on był klinicznym przykładem życiowego pragmatyka. Studia, staż, dobra praca, stworzenie solidnych podwalin pod przyszłą rodzinę stanowiły jego credo. Chociaż nigdy nie rozmawialiśmy na temat wspólnej przyszłości, nieraz wyczuwałam w jego tonie brzmienie wyznawanych zasad.

Nie były złe, ale nie zawsze ziarno pada na podatny grunt. Jak teraz, kiedy czeka mnie wyjazd do Alicante.

Porzuciłam myśli o Miłoszu i zredagowałam list do Mai.

„Super! Witam na pokładzie! Sprawdziłam loty do Hiszpanii – czternastego listopada, z powrotem dwudziestego pierwszego. Gdańsk odpada, bo oferuje kilkunastogodzinne loty za sporą kasę z jedną lub dwiema przesiadkami. Niech się buja! Najlepiej lecieć bezpośrednio z Modlina. Trzy i pół godziny i będziemy na miejscu. Koszt tysiąc czterdzieści pięć złotych w obie strony. Niemało, ale lepszego wyboru nie ma. Za pensjonat nie płacimy, Juan nas wykarmi. Myślę, że z dwieście pięćdziesiąt euro trzeba mieć na wydatki. Dasz radę? Odpisz, bo muszę bukować bilety. Nawet nie wiesz, jak się cieszę! E.”.

Na odpowiedź nie musiałam długo czekać.

„Załatwiał. Na pewno wygospodaruję pieniądze i wolne. Może byś wpadła do Gdańska omówić szczegóły? No wiesz, co zabrać ze sobą i tak dalej. M.”.

„Będę jutro po twoich zajęciach”, odpisałam i zabrałam się za rezerwację.

Następnego dnia pognałam do Trójmiasta, zostawiając za sobą obraz wiecznie zatroskanej mamy i cioci Lidki, ostatnio również nieswojej. Nastrój przygnębienia najwyraźniej bywa zaraźliwy. Obie wiecznie szeptały po kątach; nieraz widziałam ciotkę z kieliszkiem wina w dłoni. Pewnie dopadło je przedwczesne klimakterium, ale tym na razie nie miałam ochoty się przejmować. Były już dużymi dziewczynkami i swoimi frustracjami musiały zająć się same.

Przez większość czasu przed wyjazdem udawało mi się omijać mamę szerokim łukiem. Porozumiewałyśmy się niemal bez słów, wymieniając jedynie podstawowe informacje.

– Gdzie się wybierasz? – pytała, widząc mnie wsiadającą do omegi taty.

Zgodnie z prawdą informowałam, że do Gdańska.

Po ostatniej kolaboracji z Miłoszem niezręcznie jej było zasięgać informacji, czy moim celem są odwiedziny u niego. Ja również nie znajdowałam powodu, żeby informować ją, gdzie się zatrzymam. Nie o mieszkaniu podziękować za przelane trzy tysiące, które, nie ukrywam, pozytywnie mnie zaskoczyły, nie

na tyle jednak, by paść przed mamą na kolana. Tę jednorazową podwyżkę potraktowałam jak rekompensatę za dwa lata mizernej pensji. Gdybym masowała po zakończeniu kursu terapii manualnej, w pierwszym lepszym pensjonacie zarobiłabym więcej i nie musiałabym teraz oglądać każdej złotówki z obu stron.

Oddałam Miłoszowi ostatnią ratę za kurs i zostało akurat na wyjazd.

Opierał się, kiedy kilka miesięcy temu przelałam na jego konto pierwszy tysiąc złotych. Bez uzgodnienia odesłał mi pieniądze, z dopiskiem „nie trzeba” w tytule przelewu.

Zrewanżowałam się kolejnym przelewem, wpisując hasło „trzeba”. W końcu, na moje wyraźne życzenie, zgodził się przyjąć pieniądze.

Nie życzyłam sobie zobowiązań.

– Co się dzieje, Edytko? – podpytywała zwykle dyskretna pani Wiesia.

– Z czym? – Udawałam zdziwienie.

– Nie udawaj. Przecież widzę. Przepraszam, że się wtrącam, ale czuję się nieswojo, kiedy wy z Ulką tak się mijacie... Nawet Stefan chowa się po kątach.

– Pani Wiesiu, nic się nie dzieje! Mam po prostu dużo spraw przed wyjazdem. Przyślę pani kartkę. – Zbyłam gosposię uśmiechem i obietnicą, że po powrocie opowiem jej wrażenia.

Z wyrazu jej twarzy zorientowałam się, że nie dała się nabrać na głodne kawałki. Podbiegłam do niej i ucałowałam w oba policzki.

Dwa dni przed wyjazdem do Alicante zasiadłyśmy z mamą do wspólnej kolacji, którą przygotowała specjalnie na tę okazję. Choć w cynaderkach znać było ślad ręki pani Wiesi.

– Zaprośmy Wiesię i Stefana! – Wpadłam na świetny pomysł, uniemożliwiający mamie prawienie kolejnych kazań i pozwalający mi uniknąć oglądania jej skwaszonej miny.

W towarzystwie to nie groziło.

Zgodziła się niechętnie.

– Ale po co ja jestem wam potrzebna? – Krygowała się pani Wiesia.

Stawiała opór, ale wreszcie pozwoliła usadzić się przy stole. Pan Stefan, po dłuższym namawianiu, również nie odmówił.

– Nereczki, jak zwykle, wspaniałe! – chwaliłam, nałożywszy sobie na talerz solidną porcję. – Będę do nich tęsknić. I do sałatki z czerwonej kapusty też. – Uczyniłam ukłon w stronę maminego dzieła z włoskimi orzechami.

Chcąc przerwać nieco sztywny nastrój, zaczęłam paplać o jutrzejszym wyjeździe do Modlina, z którego wylatywałyśmy z Majką do Alicante. Zapewniłam, że bagaż już spakowany, opowiedziałam, gdzie będę mieszkać, co jadać i kiedy zamierzam wrócić.

Po niedługim czasie wymówiłam się koniecznością złapania kilku godzin snu. Całe towarzystwo ze zrozumieniem zwolniło mnie od sprzątania po kolacji. Ucałowałam wszystkich serdecznie, zerkając na zegarek. Do drugiej, o której musiałam wstać, pozostało zaledwie pięć godzin.

Pobiegłam do pokoju, zastanawiając się, czy w ogóle zdołam zmrużyć oko. Nie wiem, o której zasnęłam; w każdym razie zapadłam w tak głęboki sen, że budzik nie zdołał wywlec mnie z łóżka. Gdyby nie mama, przespałabym swój wielki dzień.

Usłyszałam walenie do drzwi i zerwałam się jak antylopa do biegu. W trybie ekspresowym, ze szczotką do zębów w jednej ręce i cieniem do powiek w drugiej, doprowadzałam się do porannego porządku.

– Jeszcze kurtka! I weź łyk kawy! – Mama pobiegła za mną, kiedy wypadłam na dwór.

Otworzyłam bagażnik, do którego wrzuciłam pięciokilogramową torbę. Tani bilet pozwalał jedynie na bagaż podręczny.

– Dzięki, mamuś!

Kilka łyków kawy ze śmietanką przyjemnie pieściło przełyk, pozostawiając po sobie smak poranka. Przez chwilę oddałam się rozkoszy chwili, zwiastującej kolejne, równie przyjemne.

– Trzymaj się i niczym się nie martw! – pożegnałam mamę w dobrym nastroju, cmokając ją w policzek.

– To ty dbaj o siebie, córeczko. Życzę ci wielu przyjemności – dodała z łezką w oku.

Wsiadłam do auta i ruszyłam na podbój wielkiego świata. Wsunęłam płytę Igleziasa do czytnika CD i mocniej nacisnęłam na gaz.

Siedzę przy oknie!, ucieszyłam się, gdy zajęłam miejsce po umieszczeniu torby w luku bagażowym nad głową.

Z wrażenia nie chciało mi się spać. Maja siedziała obok, równie podniecona jak ja.

– Patrz, jakie widoki! – pokazywałam jej linię Wisły. Po ponad dwóch godzinach podobnie zachwyciły mnie ośnieżone szczyty Alp.

Kiedy znalazłyśmy się nad niebieską taflą wody Morza Balearskiego, poczułam powiew zbliżającej się Hiszpanii.

– To Barcelona? – Maja wskazała na makietę domów pod nami.

– Być może. Chyba tak, bo za niecałą godzinę lądujemy.

Niebo nad Alicante było czyste i klarowne. Nie zaśmiecała go ani jedna chmurka. Naszym oczom ukazał się szeroki pas wysokiej zabudowy miasta wciśniętego między morze i pas piętrzących się od zachodu gór. Samolot łagodnie osiadł na płycie lotniska, za co pasażerowie nagrodzili pilota oklaskami. Taka nasza polska tradycja.

– Ciekawe, czy ten twój Juan się pojawi? – zapytała Maja, kiedy znalazłyśmy się w hali przylotów.

– Jaki tam mój? – Zdążyłam się obruszyć i w tej samej chwili dostrzegłam go w niewielkiej grupce oczekujących.

– *Hola, hola!* – Dobiegł do nas.

Objął mnie w pasie i przycisnął do siebie.

– To jest...

– ...Maja – dokończył, nie wypuszczając mnie z uścisku. – Cześć. – Spojrzał na moją towarzyszkę. – Chodźmy. Sergio czeka na parkingu – dodał.

Przetłumaczyłam Mai zaproszenie.

Znacząco przymrużyła oko.

Machnięciem ręki dałam jej do zrozumienia, że serdeczne przyjęcie to domena Hiszpanów. Taki styl.

Sergio powiózł nas drogą wzdłuż wybrzeża.

Zachłannie spoglądałam na bałwanki fal przelewające się po tafli morza, zerkałam na białe tynki domów, pochłaniałam widok wszechobecnych palm i pożółkłej od słońca ziemi. Po dziesięciu minutach minęliśmy port jachtowy i dotarliśmy do gęstego od ludzi placu, sprawiającego wrażenie centralnego punktu w mieście. Pokonaliśmy kilka wąskich uliczek i zatrzymaliśmy się przed rzędem starych kamienic, z których ta z niebieską fasadą okazała się pensjonatem ojca Juana.

– Zapraszam!

Juan wyskoczył z auta i zamaszystym gestem wskazał na zewnętrzne schody, ciągnące się dwa piętra w górę.

Wspinaliśmy się, pokonując kamienne bielone stopnie, ozdobione bugenwillą w niebieskich donicach. Drewniane, pamiętające dawne czasy drzwi z metalowymi okuciami i kolorową glazurowaną mozaiką zapraszały do wejścia. A że trzeba się było nieco schylić...

Było warto. Naszym oczom ukazało się patio zwieńczone płataniną gęsto ulistnionych gałęzi, obsypanych fioletowym kwieciem.

– Chodźcie, pokażę wam pokój – zakomenderował Juan, kierując się w stronę drzwi znajdujących się

w narożniku patio, tuż przy schodach. – Na górze możecie wieszać ręczniki – wyjaśnił. – A oto i wasz apartament.

Weszliśmy do białego pomieszczenia, ozdobionego malowidłem przedstawiającym niebieskie palmy.

– Przytulnie tu. I bardzo ładnie – odezwała się Maja.

Przetłumaczyłam z przekonaniem.

– Może chcecie się odświeżyć po podróży? – zapytał Juan. – Zaprowadzę was do łazienki i do kuchni.

Podążyliśmy za naszym przewodnikiem, napawając się widokiem wszechobecnej terakoty, białych ścian, zieleni roślin, które teraz w Polsce przybrały jesienne barwy. Rosnące na drugim piętrze palmy do końca pobytu stanowiły dla nas tajemnicę nie do rozwiązania.

– Zostawię was samym sobie na jakiś czas – stwierdził po spełnieniu obowiązków gospodarza Juan. – A potem pójdziemy coś zjeść. A wieczorem na Esplanadę, potańczyć. Wzięłaś tę czerwoną sukienkę? – zapytał, znizywszy głos, żeby nie usłyszała Majka.

Chyba zapomniał, że ona nie zna hiszpańskiego.

Oczywiście, że wzięłam tę kieckę. Ale nie spodziewałam się, że przyda się już pierwszego wieczoru. Poczułam, że jestem w Hiszpanii.

– Tak – wyszeptałam szczęśliwa.

Odprawiliśmy Juana i Sergia i zajęliśmy się rozpakowywaniem naszych mizernych bagaży.

– Podoba ci się? – zapytałam kręcącą się wokół łóżka Majkę.

– Jest super. Nie spodziewałam się, że będzie aż tak pięknie! – Rozanieliła się.

– Idziemy się myć, czy masz ochotę się przespać?

– No coś ty, spać? Może zanim przyjdą, ogarniemy trochę okolicę? Przecież od nas niemal widać morze. Pójdziemy nad morze? Chodźmy nad morze!

Majkę ogarnęło szaleństwo. Nigdy bym się nie spodziewała po mojej koleżance i przyszłej farmaceutce, pilnej studentce i poważnej osobie, takich emocji. Było lepiej, niż sobie wyobrażałam.

– Idź do łazienki, ja pójdę do tej drugiej. Spotkamy się za chwilę i pobiegniemy na tapasy – zdecydowałam.

– Na co?

– Idź się wykąpać. Potem ci wytłumaczę – dodałam ze śmiechem.

Poczułam, że jestem u siebie.

Urszula

Wydawało mi się, że aby odpisać Danielowi, wystarczy zasiąść do klawiatury komputera i skreślić kilka zdań. Nigdy nie miałam kłopotów z formułowaniem myśli i przelewaniem ich na papier czy wypełnieniem zdaniami wordowskiego pliku. Od dawien dawna korciło mnie napisanie powieści, nęciła wizja wykreowania losów fikcyjnych bohaterów, obarczenia ich swoimi problemami, włożenia w ich usta własnych przemyśleń, frustracji, radości. Niejedną noc przegadałam z Lidką o tej niezrealizowanej dotąd pasji.

– Pisz! Po co tyle gadania? – zachęcała, mobilizując mnie do pracy.

Zawsze jednak czas był nie ten. Latem rezygnowałam z powodu najazdu gości, jesienią robiliśmy remonty. W ostatnich latach musiałam skoncentrować się na opiece nad mamą.

– Szukasz pretekstów! – Lidka była bezlitosna.

Nie wzruszała jej litania wymówek, których miałam pełne spektrum na każdą okazję.

– A jeżeli nie potrafisz? – pytałam.

Bo tak naprawdę nie miałam pojęcia, jak się zabrać do pisania książki.

– Ale chcesz?

– Chciałabym.

– To zacznij. Nie spróbujesz, nie dowiesz się.

Mimo to aż do tej pory nie udało mi się rozpocząć pisania powieści. I chyba dobrze, w kontekście totalnej blokady, która ogarnęła mnie przed napisaniem kilku zdań w odpowiedzi Danielowi.

Samo rozpoczęcie listu nastęrczyło mi nie lada trudności.

„Cześć”, rozpoczęłam. Skasowałam, zmieniłam na: „Witam”, które też mi się nie spodobało.

Lepiej by zabrzmiało: „Danielu”, uznałam jednak, że jest zbyt oficjalne. „Danek”?, pomyślałam i czym prędzej porzuciłam myśl o nigdy nieużywanym przez mnie zdrobnieniu.

Wreszcie postanowiłam pominąć formy grzecznościowe i przejść do sedna.

„Sprawiłeś mi radość”, zaczęłam i dopiero wówczas słowa znalazły swobodne ujście.

Palce biegały po klawiaturze, przelewając na ekran moje myśli.

„Po twoim wyjściu impreza jeszcze trochę trwała, a niektórych naszych kolegów z trudem trzeba było przekonywać, by wrócili do domu. Po śniadaniu mieli ochotę na dalszy ciąg, a nawet, co poniektórzy, zafundowali sobie solidnego klina.

Wspominam imprezę z łezką w oku i z dużą przyjemnością. Po raz pierwszy od śmierci Marka udało mi się bawić w miarę beztrudnie i cieszyć chwilą, za co chciałabym podziękować wam wszystkim, tobie oczywiście też.

Naturalnie nie mam pretensji, że musiałeś wyjechać. Marek przyzwyczał mnie do ciągłych wyjazdów i ekstrapilnych spraw.

Mam nadzieję, że wszystko u ciebie w porządku?

Bardzo chętnie spotkam się z tobą w Krynicy, jeśli zechcesz przyjechać. A może zobaczymy się w Gdańsku? Będę tam niebawem podpisywać umowę z firmą remontową, która ma mi naprawiać podjazd. Jeżeli znajdziesz czas, to możemy się spotkać.

Daj znać, kiedy możesz.

Pozdrawiam, Urszula”.

Przeczytałam całość i nie wnikając już dłużej w formę i treść, kliknęłam w przycisk „wyślij”.

Rano obudziłam się z niespotykanym od dawna radosnym podnieceniem, w oczekiwaniu odpowiedzi od Daniela. Jednak skrzynka mejlowa była pusta.

Skarciłam samą siebie za niecierpliwość.

W ciągu dnia kilkakrotnie włączałam komputer, sprawdzając korespondencję. Bez skutku. Daniel milczał.

Kiedy zrezygnowana i zła na siebie za pielęgnowanie nadziei na spotkanie, jaką wywołał swoim esemesem, po raz ostatni tego dnia zerkałam do komputera, dostrzegłam informację o nadejściu oczekiwanej wiadomości. Niezwłocznie zabrałam się do czytania.

„To ja, Uleczo. Bardzo mnie ucieszył twój list. Wspaniale, że chcesz się ze mną spotkać, zapraszam do Gdańska.

W ostatnim czasie, jak ci pisałem wcześniej, miałem trochę kłopotów. Nieoczekiwane wydarzenia wytrąciły mnie nieco z równowagi. Ale teraz sytuacja się stabilizuje. Mam nadzieję, że przyjedziesz i będziemy mogli porozmawiać, a przede wszystkim wspólnie napić się kawy, na którą zawsze miałem ochotę cię zaprosić.

Spotkanie klasowe zorganizowałaś świetnie. Dziękuję, że mogłem w nim uczestniczyć. Przyznam szczerze, wspominki nie są moją mocną stroną. Zastanawiałem się nawet, czy odpowiedzieć na zaproszenie. Ale nie żałuję. Przynajmniej teraz wypiję kawę z kimś miłym.

Proszę cię jeszcze o chwilę cierpliwości, powiedzmy o tydzień, dwa. Muszę wyjechać i nie do końca wiem, kiedy wrócę. Przypuszczam, że w połowie listopada. Jeśli nie odejdzie ci ochota na odwiedziny, zapraszam serdecznie.

A teraz pozdrawiam. Daniel”.

Mimo zrozumienia dla jego problemów, czułam się zawiedziona. Jakaż ja byłam głupia, ekscytując się myślą o spotkaniu! Co też mi przyszło do głowy? Że facet rzuci wszystko i natychmiast popędzi pogadać ze starą koleżanką? Po raz kolejny skarciłam się w myślach za emocjonalną zdradę Marka. A że zbliżał się pierwszy listopada, postanowiłam następnego dnia zrobić porządki na cmentarzu i zamówić wieniec w kwiaciarni.

Wszyscy mieli swoje sprawy. Daniel, Edyta, Lidzia. Ja również – sprzątanie grobu. Krótkie spotkanie klasowe skończyło się szybko, koledzy powrócili do swoich rodzin i spraw. Najwyższy czas zabrać się za remont.

I tego się trzymaj!, nakazałam sobie, powracając do rachunków.

Dzień Wszystkich Świętych zaskoczył mnie zdumiewająco dobrą pogodą. Wyjęte z piwnicy ciepłe kurtki i kożuchy wciąż czekały w garderobie na zimę, ustąpiwszy miejsca lżejszym jesionkom.

Mimo nie najlepszej w ostatnich dniach komitywy z Edytą, na cmentarz poszliśmy razem. Na wyszorowanej i nabłyszczonej płycie nagrobka już od kilku dni zapalałam znicze.

Obok kilku donic z białymi chryzantemami położyliśmy wieniec, a do granitowego wazonu wstawiliśmy wiązanek jesiennych astrów.

– Jesteśmy tutaj już po raz trzeci, Edytko – stwierdziłam.

Zdawałam sobie sprawę, że w ubiegłych latach powtarzałam to samo. Zmieniały się jedynie liczebni.

Nie ochrzaniła mnie za przewidywalność. Patrzyła na zdjęcie ojca na nagrobku, ignorując moje trywialne próby zastąpienia ciszy słowami.

Zamilkłam speszona.

– Wyjeżdżam do Gdańska – zakomunikowała moja córka, nie spoglądając nawet w moją stronę.

– Dzisiaj?

– Tak.

Otarłam łzę, która tym razem nie popłynęła jednak z powodu Marka. Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego tak rwą mi się stosunki z Edytą. Onieśmielona jej stanowczym tonem, obawiałam się zapytać, czy jedzie do Miłosza. Żeby nie usłyszeć, że to nie moja sprawa.

Spędzając pierwszy listopadowy wieczór samotnie, nie mogłam doczekać się połowy listopada, kiedy Edyta wyjedzie i wróci, być może, w lepszym nastroju. Przyjedzie Daniel. My z Lidką zabierzemy się za inwigilację Kazika. Zawsze to lepsze niż myślenie o samotności zakrapianej problemami z finansowaniem remontów.

Radziłam sobie z życiem coraz gorzej.

Marku, dlaczego mnie zostawiłeś?

Powrócił zły nastrój, tak dobrze znany mi po pogrzebie.

Powłokłam się do kuchni, żeby sprawdzić, czy w szafce nad lodówką zostały jeszcze różowe tabletki, które tak mi pomogły w trudnych chwilach. O dziwo, trochę ich było. Prawie dwa kompletne opakowania, skonstatowałam z radością. Sięgnęłam po jedną, ale żeby wzmocnić skuteczność działania, połknęłam kolejną. Zabrałam je z kuchni i zaniiosłam do sypialni. Włożyłam do szafki przy łóżku.

Tam były bezpieczne.

Edyta

Tutaj jest bosko! – zachwycała się Maja, wieszając na lince mokry ręcznik, w który właśnie wytarła swoje starannie przycięte ciemne włosy, ledwie zakrywające uszy.

Na dworze było ciepło. Temperatura z pewnością przekraczała dwadzieścia stopni. Pogoda nie zrobiła nam niemiłej niespodzianki.

Przed wyjazdem, pod kątem przygotowania odpowiednich ubrań, sprawdziłam na Interii, jakiej aury możemy się spodziewać. Jeśli się sprawdzi, nie powinniśmy marznąć. Serwis pogody zapowiadał słońce, ponad dwadzieścia stopni i żadnego deszczu.

Oby tak było, pomodliłam się w duchu, bo zabrałam minimalną ilość cieplejszych rzeczy. Tylko tyle, ile zdołałam narzucić na siebie. Niestety, jeżeli chce się latać tanio, w niewielkiej torbie zmieści się jedynie kilka T-shirtów, ze dwie spódniczki, jakaś kiecka, przybory toaletowe, ręcznik. I bagaż waży wymagane pięć kilogramów.

Najważniejsze, że przyjechała ze mną czerwona sukienka!

– Czekamy na nich, czy lecimy na rekonesans? – zapytała podniecona Majka, susząc włosy na słońcu.

Zerknęłam na zegarek; dochodziła czwarta. Do spotkania z Juanem i Sergiem pozostała godzina.

– Idziemy! – Podjęłam decyzję za nas obie.

Po chwili zbiegłyśmy po znanych już nam bielonych schodach i znalazłyśmy się na wąskiej uliczce o nazwie Villavieja. Rozejrzałyśmy się wokół, wybierając kierunek marszruty. Ulica, zabudowana urokliwymi kamieniczkami, z jednej strony prowadziła w górę w kierunku placu, przy którym usytuowany był jakiś stary kościół i nowoczesny budynek, jak się później okazało – muzeum sztuki współczesnej. Z drugiej kierowała się w dół.

– Ja bym poszła w dół – zaproponowałam. – Przyjechałyśmy stamtąd. – Wskazałam na zakręt w lewo. – A Sergio jechał nad morzem. Pójdźmy tym tropem, to znajdziemy się na plaży.

Maja zgodziła się bez sprzeciwu.

– Ty tu rządzisz. Chcę nad morze!

– Mało ci tego miodu w Gdańsku? – żartowałam. – A może skusimy się na tapasy? Takie kanapki, przystawki – wytłumaczyłam.

– Potem. Teraz chcę zobaczyć, czy woda jest ciepła.

Pokonałyśmy kilka zaułków, ze cztery zakręty i znalazłyśmy się przy szerszej ulicy prowadzącej wzdłuż wybrzeża.

Boże mój, miałyśmy miejscówkę oddaloną cztery, może pięć minut od plaży! Brodząc w drobnym piasku, omiotłyśmy wzrokiem panoramę miasta, w którym miałyśmy spędzić najbliższy tydzień, napawając się widokiem promenady wysadzonej palmami. Za szeregiem wysokich różnokolorowych budynków, na szczycie piętrzącej się nad miastem góry, ulokowały się mury jakiejś historycznej twierdzy.

Maja pognała zamoczyć nogi.

– Zobacz, jaka ciepła! W Bałtyku o tej porze nabawiłybyśmy się reumatyzmu! – pokrzykiwała.

Zaskoczyła mnie niespotykanym u niej entuzjazmem.

Rzeczywiście, nogi po kontakcie z wodą nie odpadały. Mało tego, odniosłam wrażenie, że spokojnie

mogłabym się wykąpać.

Chwila, którą spędziłyśmy na plaży, rozkoszując się podmuchami ciepłego wiatru i pieszcząc oczy widokiem Alicante, trwała już ponad godzinę. Trzeba było wracać do chłopaków.

– A, tu jesteście. Szukamy was wszędzie – usłyszałam znienacka za plecami.

Juan przyprowadził niemal wszystkich, których poznałam w Krynicy. Rozpoznałam Claudię, Adelinę, Vincenta i oczywiście Sergia.

– *Hola!* – poderwałam się, by ich przywitać. – To jest Maja – dokonałam prezentacji. – A gdzie Patricio?

– Dołączy później. Teraz zabieramy was na miasto. – Juan pełnił rolę przewodnika stada.

Niemówiąca po hiszpańsku Maja przycichła nieco. Tłumaczyłam jej, ile mogłam, w głębi duszy mając nadzieję, że wkrótce dogada się na migi. Zwłaszcza że nasi gospodarze byli bardzo bezpośredni i chętni się porozumiewać.

Słońce opadło nisko i skryło za murami budynków. Na pobliskiej promenadzie, wyłożonej niezliczoną ilością drobnej terakoty i obsadzonej szpalerem dorodnych palm, zapalały się latarnie oświetlające niekończący się rząd knajpek. Explanada de España przygotowywała się do nocnego życia. Sobotni wieczór przyciągnął tu głównie mieszkańców, ale i turystów, których nie brakowało, mimo że lato minęło jakiś czas temu. Na ulice wylegli grajkowie z gitarami, ławeczki obsiedli starzy i młodzi, chętni, by spędzić wieczór poza domem.

– Zatańczymy? – zaproponował Juan, porywając mnie w objęcia.

Zaczęliśmy poruszać się w rytmie *Bamboleo*, a obok nas Majka z Sergiem i reszta towarzystwa. Poczułam, że żyję. Wrażenie to nasiliło się jeszcze, gdy zakąszając *paella de marisco*, popijałam zimną *estrella* w rozbawionym hiszpańskim towarzystwie. Maja również bawiła się świetnie i coraz lepiej dogadywała... po hiszpańsku. A już zwłaszcza, co nie uszło mojej uwagi, z Sergiem.

Nad ranem wracaliśmy w znakomitych nastrojach do pensjonatu ojca Juana, snując plany zwiedzania miasta i być może czegoś dalej. Nie ogarniałam wszystkiego, ale po co? Miałam przecież wspaniałych przewodników.

Pożegnaliśmy się serdecznie, obiecawszy wcześniej spotkanie w porze niezbyt wczesnej. Wszak obie z Majką musiałyśmy się wyspać po wyczerpującej podróży.

– I co? – zapytałam ją, z satysfakcją opadając na łóżko. – Fajna ta Hiszpania?

– Super! Mogłabym już chyba nie wracać do Polski... – ziewnęła i tęsknym wzrokiem spojrzała na poduszkę.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, usłyszałam jej miarowy oddech. Zasnęła.

Przykryłam Maję kocem i wyszłam do patio na papierosa. Kilka lampek rzucało przyjemne nastrojowe światło na nasze pachnące jaśminem podwórko. Zerknęłam na ekran komórki i zobaczyłam kilka nieodebranych połączeń. Przypomniały mi, że zapomniałam dać znać bliskim po wylądowaniu.

„Jestem na miejscu. Wszystko w porządku. Mam nadzieję, że u ciebie też. Pozdrawiam. E.”, odpisałam zaniepokojonej brakiem wiadomości mamie.

Zdecydowałam się też odpowiedzieć Miłoszowi, który miał bardzo ważne powody, żeby ze mną nie pojechać.

„Żałuj, że nie ma cię w Alicante. Naprawdę warto. E.”.

Próbowałam sobie wyobrazić, jak by się nam tańczyło razem na Explanadzie. Może tak dobrze jak z Juanem? A może jeszcze lepiej?

Nie, chyba jednak nie.

Takie rozważania lepiej zostawić na inną okazję, skarciłam się w duchu. Jeżeli nawet trochę zatęskniłam za Miłoszem, to niepotrzebnie. Gdyby naprawdę chciał, byłby ze mną tutaj i już.

Wypaliłam ostatnią fajkę tej nocy, zarzuciłam ręcznik na ramię i poszłam wziąć prysznic.
Majka spała jak zabita.

Urszula

Dwa tygodnie przed wyjazdem Edyty do Hiszpanii przeżyłam na lekkim rauszu, dzięki różowym tabletkom, moim wypróbowanym przyjaciółkom, które pomogły mi przetrwać śmierć Marka. Próbowałam ukrywać oszołomienie nimi przed panią Wiesią i panem Stefanem, więc często chowałam się w pokoju pod pretekstem migreny czy sprawdzania rachunków. Przesypiałam pół dnia, a pozostałe pół usiłowałam wykorzystać na powrót do aktywności.

Do szkolnej biblioteki chodziłam dwa razy w tygodniu, a wtedy odkładałam przyjęcie dziennej porcji tabletek na po pracy. Zdecydowałam się przenieść remont pensjonatu na wiosnę, gdy będę w lepszej kondycji.

Niemal każdego dnia moja córka znikła rano i wracała wieczorem, a czasami dopiero następnego dnia. Omijała mnie skrupulatnie, więc nie była w stanie dostrzec efektów działania medykamentów.

I bardzo dobrze.

Lidka wpadała rzadko. Zaczęłam się nawet zastanawiać, czy nie zabrała się za śledzenie Kazika samodzielnie.

Byłam zła na siebie, że poddałam się tak nagle i nieoczekiwanie. I przygnębiona tym faktem łykałam kolejne pigułki.

Daniel nie dzwonił i nie zanosilo się, że zadzwoni kiedykolwiek. A ja poważnie rozpatrywałam sprzedaż pensjonatu. Tak naprawdę nic mnie w nim nie trzymało, nie licząc rodzinnych sentymentów, zdewaluowanych ostatnio nieco przez stosunek Edyty do naszego rodzinnego siedliska. Które najprawdopodobniej opuściłaby przy pierwszej nadarzającej się okazji.

W imię czego mam samotnie borykać się z tym całym majdanem? I dla kogo?, myślałam, siedząc przed komputerem i sprawdzając na jednym z portali oferty kupna-sprzedaży nieruchomości.

– Rozumiem, że jesteś zmęczona prowadzeniem interesu, ale jeżeli sprzedasz dom, z czego się utrzymasz? Z pensji bibliotekarki? – Lidka zasiewała wątpliwości.

A kiedy snułam plany wyprowadzki do Trójmiasta, wytaczała argument najcięższego kalibru.

– Zamierzasz mnie tutaj zostawić samą?

Niezupełnie samą. Ona ma przecież Kazika, o którego niewinności pozostawałam przekonana niezmiennie.

Doczekałam do wyjazdu Edyty, który sprawił mi ulgę, grając przed nią dobrze wszystkim znaną rolę nadopiekuńczej i o wszystkim myślącej matki. Z panią Wiesią zorganizowałyśmy kolację pożegnalną, na której moje dziecko traktowało mnie jak powietrze. Nastawiłam na drugą w nocy oba budziki, żeby w razie konieczności nie pozwolić Edycie zaspać. Powstrzymałam się od przyjęcia lekarstw, by obudzić się na czas. Rano zaparzyłam nam obu kawę i pokiwałam ręką na pożegnanie.

Dopiero wtedy mogłam połączyć trzy różowe tabletki i porządnie się wyspać.

Kiedy się obudziłam i dostrzegłam za oknami ciemność, nie potrafiłam odpowiedzieć sobie na pytanie, czy to jeszcze noc, czy przespałam może cały dzień. Zegarek wskazywał szóstkę; najprawdopodobniej była osiemnasta. Odruchowo sięgnęłam po komórkę, by sprawdzić wiadomości od Edyty, która powinna była wylądować ponad trzy godziny temu.

Skrzynka była pusta.

„Wylądowałaś?”, napisałam. „Daj znać, córciu”.

Mimo wszystko niepokój wziął górę nad drobnymi nieporozumieniami i moim otępieniem.

Odpowiedź przyszła po kilku godzinach, około czwartej nad ranem. Nie spałam jeszcze, wyjątkowo wypoczęta i pobudzona do życia esemesem od Daniela.

„Wróciłem do Gdańska. Czy kawa nadal jest aktualna, na co liczę? Obiecuję, że nie będę cię zanudzał swoimi problemami. D.”.

Decyzję o jeździe do miasta podjęłam błyskawicznie.

„Możesz spotkać się ze mną jutro? Na przykład o czternastej? Napisz gdzie. U.”.

„Jasne. Proponuję knajpkę »Ewa« w Sopocie. Odpowiada?”.

To była chwila, w której uświadomiłam sobie, że oto właśnie umówiłam się na randkę. Po raz pierwszy od śmierci Marka.

Spróbowałam zawańczyć z różowymi tabletkami, których pozostało już tak niewiele...

Po raz pierwszy od dwóch tygodni postanowiłam nie ruszać ich z półki. Mimo że była piąta nad ranem, nie chciało mi się spać. A ochota na sen przeszła mi na dobre, kiedy przeczytałam anons na eksploatowanym od jakiegoś czasu portalu nieruchomościowym.

„Kupię pensjonat w Krynicy Morskiej. Oferty proszę kierować na adres...” (w tym miejscu potencjalny nabywca podał adres mejlowy i numer telefonu). „Jestem poważnie zainteresowany”, dodał.

Podeksytowana, przeczytałam wiadomość kilkakrotnie.

Brzmiała dobrze.

Analizując ogłoszenie, wyobrażałam sobie niezłą cenę, jaką mogę uzyskać ze sprzedaży, mieszkanie w Gdyni dla mnie i drugiej, mniejsze, dla Edyty, nowe nieznanne życie i książkę, którą być może wreszcie uda mi się napisać. Fabuła dojrzewiała we mnie przez wiele lat i tkwiła w mojej głowie, tylko czekając na ujście. Może właśnie teraz nadchodzi pora realizacji marzeń? Nie tutaj, w Krynicy, gdzie nigdy nie udało mi się zasiąść na dobre przed komputerem, a w Gdyni? W nowym domu, w nowym życiu?

No i Edyta uwolniłaby się ode mnie nareszcie...

Myśl o przyszłości mojej córki, o studiach, których nie podjęła, zwyczajnie mnie zmęczyła.

Chyba najwyższy czas przestać się tym przejmować.

Powstrzymałam się przed natychmiastową odpowiedzią na ofertę i postanowiłam poradzić się Daniela. Nie dostrzegałam nikogo innego, z kim mogłabym porozmawiać o tym teraz. Bo przecież nie z zajętą sobą Lidką.

On jeden mógł na moją sytuację spojrzeć z boku. A tego właśnie potrzebowałam.

Edyta

Obudziłam się wyspana i pełna sił, by smakować kolejny dzień pobytu w Alicante. Maja odsypiała noc, nie zwracając uwagi na szarpanie za ramię.

– Już dziesiąta! Wstawaj! Zobacz, jakie piękne słońce! – Próbowałam zachęcić ją do życia.

Nakryła głowę poduszką, bełkotliwie informując mnie, że potrzebuje jeszcze trochę czasu na wypoczynek.

Machnęłam na nią ręką i skierowałam się do kuchni, aby zaparzyć poranną kawę.

W pensjonacie poza nami nie było nikogo.

Włączyłam czajnik elektryczny, wyciągnęłam z szafki kubek ozdobiony podobiznami torreadorów i wsypałam do niego dwie łyżeczki kawy, którą postanowiłam wypić w patio, w promieniach słońca prześwitujących przez gęstwinę roślin rozciągającą się pomiędzy palmowymi liśćmi. Siedziałam rozparta w fotelu i kontemplowałam piękno tego miejsca. I własne szczęście, wywołane pobylem w tak urokliwym zakątku.

Decyzja o wyjeździe do Hiszpanii była trafiona, jak żadna inna do tej pory. A ja zdałam sobie sprawę, jak bardzo potrzebna mi była odskocznia od polskiej codzienności. Mogłabym tak siedzieć w nieskończoność.

Byle pod hiszpańskim niebem.

Odebrałam esemesa od Juana.

„Będziemy o dwunastej. Nie za wcześnie?”.

Nigdy w życiu! Czekam. Wręcz nie mogę się doczekać!

Dokończyłam kawę i zdecydowałam się w końcu dobudzić moją towarzyszkę. Chciałam zaciągnąć ją do pobliskiego baru na hiszpańskie śniadanie.

Tym razem Majka nie stawiała oporu.

– Już wstaję – zakomunikowała, energicznie podnosząc się z łóżka. – Gdzie jest łazienka?

Wskazałam palcem na drewniane drzwi z kutą klamką.

Maja zebrała się sprawnie i po niecałych dwudziestu minutach siedziałyśmy już na rogu Jorge Juan i Bendicho, przeglądając menu.

– Myślę, że najlepiej będzie wziąć kawę z grzanką – zaproponowałam. – Dwa euro za całość. Co ty na to?

– A z czym ta grzanka?

– Z szynką serrano albo z tuńczykiem. Chyba że wolisz z mielonką?

– Wolę z tuńczykiem.

Złożyłam zamówienie. Dla siebie wybrałam tostadę serrano, dla Mai wzięłam tostadę atun.

Kawa była jak trzeba: mocna, pachnąca i smakowita. Grzanka też niezła.

Za to czas wśród Hiszpanów, wpadających do knajpki na śniadanie, nie do przecenienia.

– Dlaczego u nas to tak nie działa? – Majka smakowała śródziemnomorskie klimaty, przyglądając się życiu ulicy, którą miałyśmy na wyciągnięcie ręki. – Fajnie byłoby zaczynać dzień od śniadania z kimś miłym w pobliskim lokaliku. Albo nawet i samemu.

Podzielałam te spostrzeżenia. Majka mieszkała w Gdańsku, więc było jej łatwiej, ale ja w Krynicy mogłam jedynie wpaść na śniadanie do swojej własnej kuchni i uraczyć się kanapką z dżemem roboty pani Wiesi.

– Oni tutaj po prostu potrafią się cieszyć życiem. – Zdobyłam się na inteligentne podsumowanie. – Od samego rana. Do wieczora – dodałam, przypomniawszy sobie zakończenie wczorajszego dnia.

Obie w tym samym momencie, dopijając ostatnie łyki kawy, oddałyśmy się marzeniom o przyjemniejszym życiu, jakie czekało nas w najbliższym tygodniu.

– Jesteśmy! I zabieramy was na Benacantil!

Juan z Sergiem pojawili się w pensjonacie punkt dwunasta. Zgodnie z zapowiedzią.

– Czyli?

– Idziemy. Zaraz się przekonacie. – Juan postanowił pozostać tajemniczy.

Wycieczkę rozpoczęliśmy od wjazdu na górę z twierdzą Castillo de Santa Barbara, z której rozciągał się imponujący widok na rozłożyste miasto, okolone z trzech stron górami, a od wschodu przytulone do lazurowej morskiej tafli.

Po rzetelnym zwiedzaniu i cyknięciu niezliczonej ilości zdjęć przysiedliśmy w zacisznej knajpce, by skosztować lokalnego wina. Mimo listopadowego popołudnia, słońce nie przestawało świecić.

– Idziemy się wykąpać? – zaproponował Sergio, spoglądając na Majkę.

– Chcesz? – Juan szukał aprobaty u mnie.

Spojrzałyśmy z Mają po sobie ze znaczącymi półuśmieszkami. Oto klarował się układ dwóch par. Fakt, że Sergio wyraźnie skłaniał się ku mojej koleżance, w żadnym razie mi nie przeszkadzał, ale spojrzenia Juana-Miguela w moją stronę i jego urocza adoracja bardzo mnie niepokoiły. Przede wszystkim dlatego, że sprawiały tyle przyjemności.

Tymczasem w Polsce został Miłosz.

– Chcę – odparłam po zastanowieniu. – Musimy tylko wskoczyć do pensjonatu po kostiumy.

Wątpliwości postanowiłam odłożyć na później i nie zaprzętać sobie głowy wyrzutami sumienia. Przecież nie idę z nim do łóżka, stwierdziłam.

I nie poszłam do końca pobytu. Ponieważ nigdy nie próbował sprawić, abym znalazła się w niezręcznej sytuacji.

Powoli, systematycznie i bardzo umiejętnie poszukiwał drogi do mojego serca. Wykorzystywał swój wdzięk, spojrzenie spod ciemnych długich rzęs, którymi obdarzyła go natura, uśmiech przeznaczony wyłącznie dla mnie, jak gdyby nikt inny wokół nie istniał, chęć spełniania wszystkich moich życzeń. Wreszcie metodę „przez żołądek”.

– Dzisiaj będzie specjalne menu – obwieścił, kiedy kolejnego dnia po godzinnej wycieczce statkiem przybiliśmy do wyspy Tabarka. – Lokalna specjalność, ryba *el caldero*. Nigdzie takiej nie zjecie – dodał i przywołał kelnera. – Masz ochotę? – zwrócił się do mnie, pomijając Majkę i Sergia.

Zamówił karafkę wina, która po opróżnieniu cudownym zbiegiem okoliczności napełniła się ponownie. Wcześniej oprowadzał mnie po wiosce, robił zdjęcia, odgarniał mi włosy z czoła, kiedy pozowałam na tle bielonych kamieniczek, okrywał kurtką, chroniąc przed wiatrem w drodze do knajpki.

Wino trochę szumiało mi w głowie, więc wyszłam na pokład łodzi wiozącej nas z powrotem do domu. Obserwowałam Majkę i Sergia i zaczynałam się obawiać, że dzisiejszego wieczoru nie zechcą spędzić z nami. Zajęci sobą, nie zwracali uwagi na otaczający świat.

Odczułam niepokój. Mimo niewątpliwego uroku Juana nie bardzo miałam ochotę pozostać z nim sam na sam.

Moje obawy okazały się bezpodstawne.

Po kolacji wszyscy wróciliśmy do świecącego pustkami pensjonatu. Zapaliliśmy światła w patio,

razem przygotowaliśmy kawę, rozstawiliśmy szklanki do piwa. Na stole pojawiły się ser i oliwki.

Sergio włączył muzykę, która pobudziła Majkę do tańca.

Siedzieliśmy z Juanem, przyglądając się balującej parze.

– Juan, dziękuję za zaproszenie. Czuję się tutaj naprawdę świetnie.

– Cieszę się, że przyjechałaś, Edita – powiedział po prostu. – Zatańczysz?

– Może potem. Gdybyś mógł nalać mi jeszcze trochę piwa... – wymówiłam się, podskórnie obawiając się problemów z nadmierną bliskością.

Nie tak szybko, pomyślałam w popłochu. Żeby tylko nie chciał za dużo!

Nie byłam gotowa.

Nie chciał.

– O! Chyba jest reszta! – Ożywił się po mojej odmowie i pozdrowił gestem Adelinę. Ona otworzyła szerzej drzwi, zza których wyłonili się Vincente, Patricio i Claudia. – *Baila me!* – zawołał, wtórując piosence. – Jedliście? Może coś przyrządzić?

Przenieśliśmy się do kuchni, pozostawivszy na kolorowym brukowym parkiecie pochłoniętych tańcem Majkę z Sergiem.

Z zachwytem przyglądałam się, jak Juan zabiera się do przyrządzania paelli, do której składniki musiał zgromadzić wcześniej. To, że w szafce znalazł się średnioziarnisty ryż jeszcze mnie nie zdziwiło, podobnie jak butelka białego wina czy szafran, który można kupić w każdym hiszpańskim markecie. Ale fakt, że w zamrażalniku tkwiły duże krewetki *langostinos*, *almejas* (małże), krążki kalmara, omułki i przygotowany wywar z ryb i owoców morza, nie mógł być dziełem przypadku. Musiał podrzucić zapasy rano, zanim jeszcze wstałyśmy.

Ze zręcznością zwyczajcy *Top Chefa* kręcił się po kuchni, krojąc cebulę, czosnek, czerwoną i zieloną paprykę oraz ucierając pomidory. Spoglądałam, jak z wdziękiem kręci patelnię, rozprowadzając na niej oliwę, na której po chwili umieszcza krewetki i omułki, podlewa je winem, by wyjąć zaraz po otwarciu się muszli. A w międzyczasie puszcza do mnie oko, wsypuje na patelnię posiekane warzywa, groszek i liść laurowy, a później dodaje kalmary i przetarte pomidory.

Na koniec, kiedy wyparowała część soku, wsypuje ryż i smaży kilka minut.

Jak zaczarowana przyglądałam się tym kuchennym zabiegom. Obserwowałam bacznie każdy ruch Juana, czekając na kolejne spojrzenie przeznaczone wyłącznie dla mnie.

– A teraz najważniejsze! Edita, podejdź do mnie – poprosił, a ja ocknęłam się z zapatrzenia. – Dodaj małże i wlej gorący wywar. Nie mieszaj! – przestrzegł.

Podtrzymał moją rękę, lejącą aromatyczny rosół na dymiącą patelnię.

Staliśmy nad nią dwadzieścia minut, aż ryż wchłonał płyn i można było nań wyłożyć usmażone krewetki. Blisko siebie, skupieni, myślami tutaj (albo i gdzieś dalej), niezwracający uwagi na pozostałych, którzy kręcili się wokół kartonu z piwem, muzyki, zagadywali, wychodzili, przychodzili, robili szum, czekali głodni na paellę. Byli fantastycznym tłem dla naszego gotowania.

Pozwoliłam się przytulić. Niemal zasnęłam, kołysząc się w ramionach Juana, zapomniawszy o bulgoczącej na patelni potrawie. Z tej nadzwyczaj przyjemnej zapaści wyrwał mnie dopiero łagodny głos mojego towarzysza.

– Gotowe. Trzeba kończyć...

Odwróciłam się, spojrzałam mu w oczy, z których wyczytałam, że i według niego paella doszła zbyt szybko. Niestety, ciche skwierczenie zwiastowało koniec przyjemności.

– Co upichcimy jutro? – zapytał Juan, gdy już zawołał pozostałych na ucztę.

Spojrzeniem dał mi do zrozumienia, że będzie to coś równie smacznego jak dziś.

– Co tylko chcesz – odparłam.

Wsunął palce w moje włosy i przyciągnął mnie delikatnie. A ja odwzajemniłam pocałunek.

Do kuchni wpadli zgłodniaли biesiadnicy.

– No, nareszcie! Myśleliśmy, że zasnęliście nad tymi garami! Dajcie to czym prędzej! – Vincente porwał patelnię z rąk Juana.

Podążyliśmy za nim w rytm *Tu quieres Volver*, by w drodze do stołu zatańczyć tego wieczoru jeszcze jeden raz.

Słońce nad Alicante świeciło do końca pobytu. A my kąpaliśmy się w morzu, gotowaliśmy, cieszyliśmy się każdym dniem. Aż do wyjazdu, który musiał przecież nastąpić. Do ostatniego ranka, kiedy na dźwięk budzika wstałyśmy z Mają o czwartej, ze spakowanymi wcześniej bagażami zeszłyśmy na dół po dobrze nam znanych bielonych schodach i w ciszy pozwoliłyśmy się zawieźć naszym hiszpańskim przyjaciółom na lotnisko.

– Jedźcie już, nie czekajcie! Odprawimy się same – powiedziałam za nas obie, żegnając się z Juanem i Sergiem, wypakowującymi nasz skromny dobytek przed halą odlotów.

– Nie śpieszy się nam. Poczekamy. – Sergio spojrzał na Majkę.

– Mogą? – Poszukała u mnie wsparcia.

Przysiedliśmy na plastikowych krzesłach, każde pogrążone we własnych myślach.

– Jeszcze dużo czasu. Może pójdziemy na kawę? – Przerwał ciszę Juan.

– Ja chętnie – odparła Maja cichutko.

O dziwo, Sergio zrozumiał, mimo że powiedziała po polsku. Poderwał się z krzesła.

Nie pozostawało mi nic innego, jak się przyłączyć.

Kawa przy stoliku w lotniskowym bistro smakowała rozstaniem. Cała nasza czwórka tkwiła zapatrzona w głąb tekturowych kubeczków, na próżno próbując doszukać się w nich smaku minionego tygodnia. Znajdowaliśmy jedynie goryczkę.

– Napiszesz? – zapytał Juan, całując mnie na pożegnanie.

– A ty?

W odpowiedzi pocałował mnie u usta.

Poczułam jego smak. Smak Hiszpanii.

Urszula

Do sopockiej knajpki spóźniłam się ponad pół godziny. Na szczęście Daniel, czekający na mnie przy stoliku pod oknem, nie wyglądał na zniecierpliwionego. Na mój widok podniósł się z krzesła i pomachał bukietem żółtych tulipanów.

Przebisnęłam się między stolikami i po krótkim powitaniu zaczęłam się tłumaczyć.

– Przepraszam cię bardzo. Edyta wyleciała wczoraj do Hiszpanii i do piątej nad ranem nie dawała znaku życia. Niepokoiłam się. Dorosłe dziecko, ale dla matki zawsze pozostanie dzieckiem – dodałam.

Oczy miał pełne zrozumienia.

Nie wspomniałam o nocnym przeszukiwaniu portali nieruchomościowych, które przeciągnęło się do szóstej rano. Na doprowadzenie się do stanu używalności przed spotkaniem musiały mi wystarczyć dwie godziny snu. Jako tako zlikwidowałam skutki zarwanej nocy i dojechałam do Sopotu.

– To raczej ja jestem winien ci przeprosiny, za moje wygodnictwo. Powinienem przyjechać do Krynicy, a nie ciągnąć ciebie tutaj. Przyjmij ten skromny bukiet w ramach przeprosin.

– Nic się nie stało. Bardzo chętnie ruszyłam się z domu. Jest tak buro na dworze, że mała przejażdżka i łyk świeżego powietrza nie zaszkodzą.

– A zatem czego się napijesz? A może masz ochotę na tartę z jagodami? – zapytał.

Szczęśliwie po wzajemnej wymianie uprzejmości przeszliśmy do kwestii ustalenia menu.

Polegając na rekomendacji, zdecydowałam się na tartę i cappuccino. Wino, z wiadomych względów, musiało poczekać na inną okazję.

Po krótkiej chwili niezręcznej ciszy odezwaliśmy się jednocześnie.

– Co u ciebie?

– Raz, dwa, trzy, moje szczęście! – roześmiałam się i złapałam za guzik.

Daniel również się uśmiechnął. Kącikiem ust.

Pamiętałam ze szkoły, że nigdy nie należał do klasowych wesołków. Trzymał się raczej na uboczu, rzadko uczestniczył w życiu zbiorowości, wybierając zazwyczaj wygodną pozycję obserwatora. Na biwakach mało pił, nie tańczył, nie dawał się przekonać do udziału w szkolnym kabarecie. Niejedna koleżanka próbowała zagiąć na niego parol, ale bez skutku. Dzisiaj zapewne byłby podejrzewany o odmienną orientację seksualną, jednak w naszych dawnych czasach słowo „gej” nie było tak powszechnie używane jak obecnie. Z czasem dziewczyny pogodziły się z faktem, że marnuje się taki przystojny, ciemnowłosy okaz o śniadej skórze, a w dodatku bardzo zdolny facet, lecz mnie było wszystko jedno. Miałam Marka.

– W porządku – zaczęłam pierwsza. – Jak ci wspomniałam, Edyta wyjechała do Hiszpanii, w pensjonacie marazm. Powinnam robić remont, ale... – zawiesiłam głos, powstrzymując się od ujawniania ewentualnych planów sprzedażowych. – Muszę zastanowić się nad zakresem prac – wyrecytowałam jak dobrze wyuczony wiersz. – A u ciebie? – Odbiłam przysłowiową piłeczkę na jego boisko.

– Też dobrze – odparł powściągliwie i zamilkł.

A zatem zmienił się niewiele.

Przy stoliku po raz drugi w ciągu dziesięciu minut zapadła niezręczna cisza. Przerwał ją kelner.

– Cappuccino dla pani?

– Tak. I tarta.

Ochoczo pomogłam rozdzielić zawartość tacy.

Daniel również ożywił się nieco, odsunął cukiernicę i zrobił miejsce na talerzyk z ciastem.

Oboje zabraliśmy się za słodkości, chwając wypieki i starając się przetrwać jakoś długie chwile milczenia. Nawet zaczęłam się zastanawiać, co ja tutaj robię i w jakim celu Daniel chciał się ze mną spotkać, skoro teraz wyraźnie nie ma nic do powiedzenia. Na spotkaniu klasowym wydawał się bardziej rozmowny.

– Cieszę się, że przyjechałaś – bąknął, nie podnosząc oczu znad talerzyka.

– Ja również. Dobrze trafiłaś. Miałam ochotę wyrwać się z Krynicy.

– Ładny masz pensjonat. Spotkanie po latach wypadło znakomicie.

– Masz rację. Fajnie było się zobaczyć. Myślę, że wszyscy wybawili się jak za dawnych czasów, szczególnie Wiktor i Grześ – roześmiałam się na wspomnienie obu mocno wprawdzie nietrzeźwych, za to bardzo wesołych pod koniec imprezy kolegów. – A prawda, ty już wtedy wyjechałaś do pacjenta! – Przypomniałam sobie nagłe wezwanie. – Wszystko z nim w porządku?

– Z kim?

– Z tym kimś, dla którego porzuciłaś zabawę.

– Przepraszam. To było już kilka tygodni temu, zdążyłem przerobić kilka kolejnych przypadków. Na ortopedii połamańców jest dość.

Zanim zdążyłam zadać kolejne pytanie dla podtrzymania konwersacji, która zaczęła mi coraz bardziej doskwierać, zabrzączał telefon Daniela.

– Pozwolisz, że odbiorę?

Nie czekając na zgodę, poderwał się z krzesła i odszedł od stolika.

Mówił cicho, więc nie słyszałam słów. Jednak z gestów i mimiki zorientowałam się, że informacja, którą otrzymał, jest ważna. Dobiegły mnie ostatnie, dobitnie wypowiedziane zdania.

– Jest z nią Iwona? To dobrze. Przyjadę jeszcze dzisiaj.

Na tym stanęło, lecz Daniel połączył się z kolejnym numerem.

Obserwowałam go kątem oka, przełykając ostatni kęs tarty i dopijając kawę. Zgarnęłam kilka swoich drobiazgów do torby, zdecydowana pożegnać się niezwłocznie. Nie było to udane spotkanie.

Tymczasem Daniel nerwowo przeczesywał dłońią włosy.

– Nic nie rób. Zrobiłaś już wystarczająco dużo – mówił podniesionym głosem. – Wstrzymaj się do mojego przyjazdu. Będę. Tak, będę na pewno. Ro-zu-miem, że musisz wyjechać! – krzyknął na koniec i się rozłączył.

Z trudem hamował wzburzenie.

– Przepraszam, trudno uciec przed problemami. Ale teraz już nikt nam nie przeszkodzi.

Nie chciałam być niegrzeczna, więc zastanowiłam się, jak najspokojniej poinformować Daniela, że właśnie postanowiłam zakończyć naszą „randkę”. Że lepiej będzie odłożyć ją na bardziej dogodny czas.

Sięgnęłam po pustą filiżankę i odsunęłam krzesło.

– Chyba już pójdę – zakomunikowałam po prostu.

Poderwał się gwałtownie i równie gwałtownie zaczął przeproszać za zamieszanie.

– Proszę, zostań. – Patrzył błagalnie. Chwycił moją dłoń. – Wyłumaczę ci wszystko. Wysłuchaj, proszę.

– Jeżeli muszę...

Przysiadłam z powrotem. To potrwa zaledwie kilka minut, pomyślałam.

– Byłem żonaty – zaczął. – Osiem lat temu rozwiedliśmy się z Iwoną, która przeprowadziła się z naszą dziesięcioletnią wówczas córką Igą do Warszawy. Była żona utrudniała mi kontakty z małą, zorientowana na sowite alimenty. Miałem płacić i zejść jej z oczu, chociaż to jej romanse były przyczyną rozpadu małżeństwa. Chciała się rozwieść, a ja nie oponowałem. Od czasu do czasu udawało mi się spędzać z Igą wakacje lub święta. Za każdym razem miała „nowego tatusia”. Trudno mi było nawiązać z nią kontakt, bo była rozpuszczona i po prostu niewychowana, ale Iwona nie miała zamiaru słuchać moich uwag na ten temat. A tamtej soboty... Wtedy, na klasowym spotkaniu, zadzwoniła, żeby poinformować mnie, że nasza córka, obecnie uczennica klasy maturalnej, jest w ciąży. To dlatego, nie zastanawiając się długo, pojechałem do Warszawy. Żeby zorientować się w sytuacji.

– To jeszcze nie jest nieszczęście. Zdarza się. – Spróbowałam pocieszenia.

– To prawda. Wprawdzie pierwszy jest szok, ale później zaczyna się szukać rozwiązania. Rzecz w tym, że Iwona znalazła to rozwiązanie beze mnie.

Spojrzałam pytająco.

– Namawiała Igę do usunięcia ciąży, na co nie chciałem się zgodzić. Wyglądało na to, że nasza córka też nie jest przekonana, ale pod wpływem matki może podjąć decyzję, której żałowałyby przez całe życie. W ciągu ostatnich kilku tygodni kursowałem z Gdańska do Warszawy i z powrotem jak dreżyna, ale udało mi się załagodzić sytuację. Moja małżonka wspaniałomyślnie przestała namawiać Igę do aborcji, a mała się uspokoiła. Jak się okazało, pozornie. Właśnie dzwonił mój brat z informacją, że Iga jest w szpitalu, bo po kolejnej kłótni z matką nałykała się pigułek uspokajających.

Zażenowana, przypomniałam sobie moje różowe tabletki.

– Jak ona się czuje?

– Michał twierdzi, że dobrze. Tyle że Iwona, jak zwykle, musi wyjechać na jakieś kolejne prowadzone przez siebie szkolenie i zostawia Igę samą. Nie pozostaje mi nic innego, jak wsiadać w samochód i pędzić do Warszawy. Jeszcze dzisiaj – dodał ciszej Daniel i spuścił wzrok. – Przepraszam, że nam się nie udało. Masz dosyć własnych problemów, nie chciałem zamęczać cię swoimi.

– Nie gniewam się. Przecież chodzi o dziecko.

A nawet o dwoje, pomyślałam, ale powstrzymałam się od komentarza.

– Czas na mnie. A ty jedź – dodałam. – Spotkamy się przy innej okazji. Aha, zadzwoń, kiedy zorientujesz się w sytuacji. Może będę mogła ci jakoś pomóc – zadeklarowałam, gdy żegnaliśmy się na parkingu.

– Wiesz, że byłaś moją pierwszą miłością? – wyznał Daniel i ucałował mnie w policzek. – Odezwę się na pewno. Uważaj na siebie.

Odetchnęłam, że porzucił temat szkolnej namiętności, o której nie miałam pojęcia.

– Jedź bezpiecznie. Zobaczysz, wszystko się ułoży. – Pomachałam mu zza szyby samochodu.

Do Krynicy wracałam z silnym postanowieniem napisania książki.

Daniel nieświadomie zmobilizował mnie do przelania na papier historii, którą nosiłam w sobie od ponad trzydziestu lat.

Urszula

Jak się udał wyjazd, Uleczko? – Pani Wiesia z miotłą w rękach i z uśmiechem na ustach przywitała mnie w progu pensjonatu.

Zgarniała brzoźowe liście.

– Bardzo dobrze – odparłam, starając się, by mój głos brzmiał pewnie. Pogodny nastrój, który towarzyszył w drodze z Sopotu, dziwił mnie samą. – Dlaczego pani nie odpuści tym liściom? Zaraz spadną następne – skarciłam gospozię życzliwie, zdając sobie sprawę z bezcelowości tego komentarza.

Nasza znana z pedanterii i niezwyklej pracowitości Wiesia nie była w stanie darować ani jednemu listkowi, który odważył się zaśmiecić teren.

– Trzeba zamieść schody, bo... – zaczęła.

Dopowiedziałam tak dobrze mi znaną i często powtarzaną kwestię.

– ...można się poślizgnąć i złamać nogę.

– Właśnie. Jak tam kawaler? Widzę, że przyniósł kwiatki. – Zerknęła na tulipany.

– Wspominałam, że jadę się z kimś spotkać? – zapytałam, odwzajemniając uśmiech.

Spostrzegawczym oczom gospozi nic nie mogło umknąć.

– Nie musiałaś. Jeżeli kobieta po raz pierwszy od dwóch lat wkłada swój najlepszy płaszcz i buty na obcasach, a do tego kręci włosy, to chyba idzie spotkać się z mężczyzną? Mam rację?

Parsknęłam śmiechem i uściskałam ją za tę życzliwą przenikliwość. Wiedziałam, że nie będzie zadawała wścibskich pytań. Poczekaj, aż dojrzeję do rozmowy.

Przemknęłam po schodach, lawirując między miotłą i szufelką. Śpieszyłam się, by otworzyć szafę i odnaleźć zagrzebane głęboko pudełko po butach z moimi skarbami.

– Zrobiłam zapiekankę z borowikami! Zejdziesz?

Głos pani Wiesi dopadł mnie, kiedy wchodziłam do pokoju.

Czego jak czego, ale popisowego jesienno dania naszej gospozi nie mogłam odmówić, tym bardziej że skromny kawałek tarty już dawno zdążył ułożyć się w moim żołądku.

Zawartość pudełka czekała tyle lat, że może poczekać jeszcze godzinę.

– Już idę! Przebiorę się tylko! – krzyknęłam.

Zmieniłam sukienkę na wygodne dżinsy i zastąpiłam szpilki balerinami.

Z dołu dochodził zapach grzybów w śmietanie, przyprawionych rozmarynem i tymiankiem. Uwielbiałam to połączenie smaków, dopieszczone duszonym porem i odrobiną czosnku. Nie czekając na powtórne zaproszenie, przegarnęłam dłonią włosy i pobiegłam do kuchni, żeby pomóc Wiesi wyjąć z piekarnika sporą brytfannę, której zawartość już na oko przekraczała nasze możliwości.

– Chyba nie damy rady, pani Wiesiu. Pan Stefan będzie? – zapytałam z nadzieją.

– Będzie. To właśnie on poprosił, żebym przygotowała dla ciebie kolację, Uleńko. Ma przynieść tę swoją nalewkę z głogu.

– Dla mnie?

– I co się dziwisz? Ostatnio byłaś taka nieswoja... Martwiliśmy się. – Otarła z kącika oka łzę.

Wzruszyła mnie zatroskaniem.

Gdyby nie gorąca brytfanna, przytuliłabym ją, ale gorąco przenikało nawet przez grube rękawice. Odstawiałam właśnie pachnący ciężar na kamionkową podstawkę, kiedy odezwał się dzwonek przy drzwiach.

– Pani Wiesiu, otworzy pani? To pewnie pan Stefan! Ja nie mam ręki! – zawołałam, próbując wyswobodzić się z kuchennych rękawic.

Z przedpokoju dobiegały głosy pani Wiesi i... Lidki. Domyśliłam się zmywy.

– Wchodź, Lidka. Widzę, że spisek został obmyślony perfekcyjnie. – Podeszłam do kumpeli, by się przywitać.

Moja przyjaciółka zareagowała zdziwieniem.

– Nie rozumiem... Pan Stefan zaprosił mnie na kolację.

– Stefan? Nic z tego nie rozumiem. Wchodź!

Nie byłam do końca przekonana, że Lidka mówi prawdę, bo przyniosła misę sałatki warzywnej i półmisek koreczków. A jednak było mi miło, że ktoś się o mnie martwił.

Pośpiesznie rozkładałam serwetki, talerzyki, sztucce. Zapalałam świece, podstawiałam krzesła.

– Gdzie pan Stefan? – Zaczęłam się denerwować.

Zapiekanka stygła powoli. Zaparzona herbata czekała w dzbanku.

– Zajrzę do niego. – Zaofiarowała się pani Wiesia.

– Ja pójdę! – Gwałtownie zaoponowała Lidka. – Proszę usiąść. – Wskazała gosposi krzesło.

Byłam nieco zdezorientowana. Najwyraźniej tych dwoje coś knuło. Tylko co?

Z Edytą chyba wszystko dobrze?, pomyślałam, ale odsunęłam na bok ten niedorzeczny pomysł. A co, jeżeli zamierza zostać w Hiszpanii, a oni próbują delikatnie mi to przekazać?

Zdenerwowałam się natychmiast, przede wszystkim tym, że moje dziecko nie podzieliło się informacją w pierwszej kolejności ze mną. Choć właściwie nie byłoby w tym nic dziwnego. Z ważnymi sprawami Edyta najpierw biegła do babci...

Ta myśl, jak zwykle, ukłuła mnie głęboko.

Mimo że mama już nie żyła.

– Jesteśmy!

Widok pana Stefana i Lidki w drzwiach pozwolił mi otrząsnąć się z nagłego przygnębienia.

A kiedy zobaczyłam w rękach naszego ogrodnika bukiet czerwonych róż, myśli o Edycie rozpierzchnęły się jak poranna mgła, naznaczona pierwszym promieniem słońca.

– Siadajcie – zarządziła Lidka, odbierając od pana Stefana kwiaty i umieszczając je w przygotowanym (!) wazonie. – Pozwólcie, że nałożę zapiekankę. – Zabrała się za wybieranie ziemniaków z grzybami z brytfanny.

Poddałam się scenariuszowi wieczoru bez zadawania pytań.

– Wspaniała! Delicje! – Rozsmakowałam się i posłałam rozanielone spojrzenie pani Wiesi.

– Bardzo dobra! – Wspomogła mnie Lidka.

Jedynie pan Stefan dłubał widelcem w talerzu, z trudem przełykając każdy kęs.

Niezręczną ciszę, która nagle zawisła nad stołem, przerwała moja przyjaciółka pytaniem o Edytę.

– Co u niej słyhać? Masz jakieś wiadomości?

– Doleciała wczoraj – odparłam zgodnie ze stanem mojej wiedzy. – Poza tym nic.

Byłam zła, że Lidka zadaje tak trudne pytania. A gdybym tak ja zahaczyła: „Co tam u Kazika? Wciąż wyciera kąty poza domem?”.

Oczywiście nie zrobiłabym tego nigdy, bo pytanie było absolutnie niewinne. Ale jak zawsze, gdy czułam się niepewnie, pozwoliłam, by rozdrażnienie wzięło górę.

Zanim jednak zdążyliśmy skoczyć sobie z Lidką do oczu, z krzesła podniósł się pan Stefan, na którego

żadna z nas nie zwracała uwagi.

– Czy mogę? – Delikatnie postukał nożem o kieliszek.

W jego kierunku zwróciły się trzy pary oczu.

Przez chwilę stał nieruchomo, przyglądając się własnej dłoni obejmującej kieliszek z nalewką. Zbierał siły do wygłoszenia toastu.

– Za wspólną kolację i miły wieczór – wykrztusił wreszcie i szybko usiadł z powrotem.

Stuknęliśmy się, wysuszając do dna zawartość kieliszków.

Ciszę przerwała Lidka, proponując kolejną porcję zapiekanki.

– Ja nie. – Podziękowałam gestem.

Pani Wiesia nie poruszyła się na krześle. Pan Stefan dolał jej porcję nalewki.

I wtedy mnie oświeciło. Spojrzenie, które wymienili, nie pozostawiało wątpliwości. Jej zażenowane, skromne i pełne tkliwości. I jego zerknięcie spod oka, niepewne i pełne nadziei...

Nie musiałam długo czekać na dalszy ciąg. Obie z Lidką zamilkłyśmy, kiedy pan Stefan wyjął z wazonu bukiet czerwonych róż i przyklęknął przed naszą Wiesią, która wstała natychmiast.

– Stefan, proszę cię...

– Wiesiu, może to nie wypada w moim wieku, ale chciałbym... – Pan Stefan nie zamierzał słuchać. – Czy może... To znaczy, czy zdecydowałabyś się... zostać moją żoną? – Spojrzał niepewnie.

– Naprawdę nie wiem, co powiedzieć... Co ja mogę?

W ciszy, która zapadła, można było usłyszeć przysłowiowego komara.

– Tak. – Padło po chwili.

– Dziękuję. – Pan Stefan ucałował dłoń narzeczonej.

Lidka poderwała się z miejsca. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, w jej rękach pojawiła się butelka szampana.

– Wiedziałaś? – zapytałam szeptem.

– Coś mi się obilo o uszy! – roześmiała się. Znacząco przymrużyła oko. – Za was!

Fachowo pozbyła się korka i rozlała musujący płyn do kieliszków.

– Dziewczynki, czy zgodzicie się nam świadcować?

Pan Stefan patrzył tak, że nie sposób było odmówić.

– Z największą przyjemnością!

Jeszcze długo w noc rozpamiętywałam wydarzenia minionego wieczoru, rozłożona wygodnie na łóżku. Nie miałam siły rozebrać się i pójść spać. „Wiesia i Stefan”, kołatało w mojej głowie. „Stefan i Wiesia”.

Nigdy bym się nie spodziewała! Jak mogłam nie zauważyć?

Gdy wreszcie zebrałam się w sobie i poszłam do łazienki, zegar wybijał północ.

Prysznic przywrócił mi do życia. Odruchowo sięgnęłam po różowe tabletki, ale dzisiaj nie były potrzebne. Przypomniał mi się Daniel, jego córka i po linii skojarzeń dotarłam do pudełka, które czekało na odnalezienie od... Od wielu lat.

Rzuciłam się w głąb szafy, odsuwając pudła z butami, koce, narzuty, nieużywaną pościel, lecz mimo determinacji nie mogłam odnaleźć mojego skarbu.

Postanowiłam uderzyć w pawlacze. Wspięłam się na drabinkę, by dosięgnąć do najwyższych półek w szafie. Niestety i tam nie znalazłam tego, czego szukałam.

– To niemożliwe, do jasnej cholery! – klęłam na głos, wyrzucając na podłogę starannie poukładane swetry, bluzki i stare spodnie.

– Czyżby ktoś je wyrzucił? Niemożliwe! – powtarzałam jak mantrę.

Byłam jak pozbawiona części siebie. Nieważne stało się, że zapomniałam o pudle już dawno temu, że nie chciałam wracać do starych spraw. Wreszcie dojrzałam, a tymczasem namacalne dowody wspomnień

zniknęły.

Po prostu ich nie było.

Zrezygnowana, po raz ostatni przed snem zerknęłam na ekranik komórki.

Daniel zawiadamiał mnie, że dojechał do Warszawy i że jest z Igą. Pozdrowił i życzył dobrej nocy.

Okej. Położę się spać, a jutro znów zajmę się szukaniem, chociaż prognozy są mizerne. Przecież nigdy nie wynosiłam pudełka z pokoju!

Zauważyłam, że pani Wiesia zmieniała mi pościel i na dobranoc pomyślałam ciepło o niej i o panu Stefanie. Zapowiedzieli ślub na święta. Z pewnością odbędzie się jeszcze w pensjonacie.

Nie sprzedam go do tego czasu! Choćby ze względu na nich, postanowiłam.

Urszula

Edyta miała dużo szczęścia, wyjeżdżając do Hiszpanii w drugiej połowie listopada, który obdarzył nasze wybrzeże, a z prognoz wiem, że i całą Polskę, obrzydliwą przygnębiającą pogodą. Przez zachmurzone od rana do wieczora niebo nie mógł przecisnąć się choćby najmniejszy promyczek słońca, wiatry przyginały rosnące na wydmach sosny niemal do ziemi, morze opanował sztorm. Całymi dniami paliliśmy światło, wypatrując poprawy. Jak się okazało, aura nie zamierzała zmienić się w najbliższych dniach. Listopadowa słota towarzyszyła nam do dnia przylotu Edyty z Alicante. Do kolejnej soboty.

Samolot, z którego odbierałam dziewczyny, planowo lądował w Modlinie o wpół do jedenastej. Obliczyłam, że potrzebuję około pięciu godzin, by bezpiecznie i z rezerwą dotrzeć na miejsce.

Dawno nie wyjeżdżałam w trasę, niemniej jednak po ostatnich kilku wypadach do Gdańska postanowiłam pokonać obawy i wypuścić się gdzieś dalej. A moja córka wyjątkowo nie oponowała, kiedy zaproponowałam transport do domu. Cieszyłam się z jej udanego pobytu i humoru, którym tryskała, gdy zadzwoniła do mnie dwa dni przed odlotem z Hiszpanii, wyraźnie z nadzieją na ciąg dalszy w Krynicy. Tym bardziej że podczas nieobecności Edyty zaszły spore zmiany, a ja nie byłam pewna, czy pomysły na bliższą i dalszą przyszłość przypadną jej do gustu.

Wsiadając do auta, aby udać się w kilkugodzinną podróż do Modlina, miałam okazję raz jeszcze wszystko przemyśleć. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie poczyniłam przedwczesnych deklaracji, ale w ostatnich dniach życie nabrało takiego rozpędu...

W poniedziałek, po wizycie u córki w Warszawie, zajechał do mnie Daniel. Nietrudno było zauważyć, że jest przygnębiony i zgaszony.

– Nie gniewasz się, że wpadłem bez zapowiedzi? – zapytał, kiedy otworzyłam mu drzwi. – Że ośmieliłem się wstąpić...

– Wejdz. Oczywiście, że się nie gniewam. Jesteś głodny? Mam reszkę wspaniałej wczorajszej zapiekanki – zareklamowałam sztandarową potrawę pani Wiesi, której nie byliśmy w stanie zjeść w całości. – I jeszcze nalewkę z głogu! – Przypomniałam sobie.

– Jestem samochodem – odparł.

Ja, w doskonałym nastroju po zaręczynach w pensjonacie, natychmiast znalazłam wyjście z sytuacji.

– Mam wolne pokoje. Jeśli chcesz, możesz zostać.

Nie było problemu. Dyżur rozpoczynał następnego dnia o czternastej.

Zaprowadziłam go do pokoju, włączyłam grzejnik, pokazałam łazienkę.

– Wieczorem, kiedy będziesz kłaść się spać, będzie już ciepłutko. W łazience też, włączę tylko ogrzewanie podłogowe. Teraz jest zimno, bo poza sezonem w pensjonacie nie grzejemy – tłumaczyłam chłód w pokoju. – Ogrzewamy drugi budynek, w którym mieszkamy.

– Jasne. Nie jestem specjalnie wrażliwy. Bardzo ci dziękuję.

– Rozgość się. Czekam na ciebie z zapiekanką lub kawą. Według zamówienia.

Od wczoraj nie opuszczał mnie niespotykane dobre nastrój.

Daniel pojawił się na dole po półgodzinie, odświeżony (z gęsią skórką na plecach skonstatowałam, że musiał się kąpać w łazience-lodowni), wypachniony bardzo przyjemną wodą kolońską. Lśniące wilgotne

włosy zaczesał do góry, marynarkę zastąpił wełnianym swetrem. W rękach trzymał jakiś pakunek.

– To dla ciebie.

Wręczył mi pudełko czekoladek z czerwoną różą na wieczku i usiadł we wskazanym przeze mnie fotelu, zapewniając, że będzie mu wygodnie.

– Zaraz przyniosę zapiekanekę – zawołałam, znikając w kuchni. – Rozstawisz talerze? Są obok kominka.

Zmiótł resztkę zawartości brytfanny, jak gdyby nie jadł od wielu godzin. Podsunęłam mu jeszcze półmisek ze swojską kielbasą, którą po każdym świniobicu raczył nas sąsiad Waliński, dodałam słoik kiszonych ogórków.

Przy Danielu, ku swojemu zdziwieniu, upodabiałam się do pani Wiesi. Może po prostu przypomniiał mi się Marek i nasze wspólne kolacje po jego powrotach z trasy?

Cokolwiek to było, odnajdowałam przyjemność wywołaną obecnością mężczyzny w moim domu.

– A teraz mów, co u Igi – ponagliłam, kiedy po zaspokojeniu głodu Daniel nalał nam do kieliszków czerwonego wina, które przyniósł do kolacji.

– Sam nie wiem, co z tym wszystkim począć. Nie jest dobrze.

Spojrzałam pytająco. Powie, ile będzie chciał, stwierdziłam.

Przez dłuższą chwilę milczał, myślami krążąc daleko. Aż w końcu się zdecydował.

– Chyba nie powinienem cię tym obarczać...

Ależ obarczaj, obarczaj!, miałam ochotę zawołać. Od dawna nie robię nic innego, jak tylko uzalam się nad sobą i co najwyżej znoszę niezadowolenie Edyty z mieszkania na zadupiu i robienia niczego. Chętnie porozmawiam!

Chociaż słowa cisnęły mi się na usta, wrodzona i potwierdzona życiowym doświadczeniem wstrzeźliwość nie pozwoliła im wychynąć na światło dzienne.

– Jeszcze jest w szpitalu? – Zdobyłam się na krótkie zachęcające pytanie.

– Tak. I będzie przez dwa, trzy dni. A ja muszę zastanowić się co dalej. Iwona nie da sobie rady w tej sytuacji – podsumował i zamilkł.

Doświadczenie nabyte podczas naszego ostatniego spotkania podpowiadało mi, że teraz nastąpi długa cisza, którą będę musiała przerwać, żeby nie trwała do rana.

– To znaczy?

– To znaczy, że moja była żona nie przyjmuje do wiadomości, że nasza niepełnoletnia córka jest w ciąży. Uważa to za wstyd, a przede wszystkim za kłopot. Nie chce zostać babcią w tak, jak mówi, młodym wieku i ponosić konsekwencji czynu nieodpowiedzialnej pannicy. Rozumiesz? Pannicy! Bo dla niej córka to nieodpowiedzialna pannica! Nie Iga, nie dziewczyna. Pannica, która zjawiła się na świecie wyłącznie po to, by sprawiać jej zawód. Chyba miałbym ochotę porządnie potrząsnąć moją byłą!

Daniel zdenerwował się nie na żarty.

Nie odzywałam się.

Wychylił kieliszek wina, odetchnął. Wydawało się, że nieco się uspokoił.

– Muszę małą zabrać do siebie – powiedział stanowczo. – Iga jest zdezorientowana i chociaż walczy, krzyczy, złości się, jest bezbronna. W końcu łyknęła te tabletki.

Przyglądając się Danielowi, cofnęłam się myślami do tamtych odległych lat, kiedy mój tato, zamiast denerwować się, godził się na wszystko...

Z determinacją postanowiłam wesprzeć szkolnego kolegę.

– Też mi się tak wydaje. Powinieneś zabrać Igę do siebie. Zmieni szkołę, zrobi maturę, urodzi, pójdzie na studia – mówiłam, choć coraz ciszej.

Skoro własnej córki nie potrafiłam namówić na studia, co tu gadać o pannie z dzieckiem?

Na usta cisnęło się pytanie o ojca malucha, lecz kindersztuba nie pozwalała mi go zadać.

Daniel wyraźnie się ożywił.

– Uważasz, że to możliwe?

– Jak najbardziej. – Brnęłam, coraz mniej przekonana o jakości moich rad. – Niemniej jednak, Iga musi tego chcieć – dodałam, otwierając zawór bezpieczeństwa.

– Zaproponowałam jej przeprowadzkę do Gdańska. Ma stracha.

– Dlaczego?

– Nie chce chodzić do szkoły w ciąży. Boi się spojrzeń. Po prostu braku akceptacji.

W tej samej chwili wpadł mi do głowy diabelski pomysł, którego pożałowałam, ledwie otworzyłam usta. Ale klamka zapadła. Powodowana dobrą wolą i własnymi doświadczeniami sprzed lat, zaproponowałam rozwiązanie.

– A może Iga zamieszkałaby u mnie w pensjonacie? Cisza, spokój. Mogłaby skończyć klasę maturalną eksternistycznie i zdać egzaminy w terminie.

– Ale ty masz przecież swoje sprawy... – zaproponował Daniel słabo.

– Rozważmy to – odparłam. – Tylko nalej mi jeszcze kieliszek wina – dodałam, starając się ukryć wątpliwości związane z tą bardzo odważną propozycją.

Teraz, przemierzając trasę między Krynica a Modlinem, zastanawiałam się, czy nie przesadziłam, nie pytając o zdanie Edyty. Ta myśl nie dawała mi spokoju przez całą drogę na lotnisko.

Nieważne, że objął mnie wtedy i pocałował w usta. Było mi miło, ale jako osoba o zdrowych zmysłach musiałam wziąć pod uwagę, że ten gest jest podyktowany wdzięcznością. Wprawdzie nasze późniejsze kilkukrotne spotkania w Gdańsku mogły sugerować, że miło nam ze sobą przebywać, ale nie opuszczały mnie wątpliwości, czy bezpieczny i dyskretny pensjonat w Krynicy, z miłą właścicielką, koleżanką ze szkoły ojca, nie jest ostatnim miejscem, w którym Iga powinna zamieszkać.

Dojechałam do Modlina godzinę przed przylotem dziewczyn. Zaparkowałam, weszłam do hali przylotów i odetchnęłam głęboko w tym pięknym miejscu, w którym oczekujący wypatrują swoich bliskich spadających z nieba z walizkami, wrażeniami i całusami na dzień dobry.

Wypiłam kawę, odsłuchałam komunikat o lądowaniu samolotu z Alicante i podeszłam do barierki.

Moja Edytka szła z Mają. Opalona, zadowolona z życia. Z jej twarzy odczytałam, że pełna wrażeń.

Ogarnęło mnie wzruszenie.

Tylko nie rycz!, powtarzałam sobie w myślach, machając.

Dobrze, że przyjechała.

Edyta

Zdziwiłam się, kiedy mama zaproponowała, że odbierze nas z lotniska. Do tej pory nie ruszała się z Krynicy dalej niż do Nowego Dworu, a wycieczka do Gdańska stanowiła już nie lada wyprawę. A tu nagle kilkugodzinna jazda.

– Jesteś pewna, że dasz radę? – zapytałam zaskoczona, ale otrzymałam odpowiedź twierdzącą.

– Oczywiście. Jeżeli tylko chcesz.

Jeżeli chcę.

Oczywiście, że chciałam. Na bus do Gdańska musiałybyśmy czekać z Majką w Modlinie cztery godziny z okładem. Znacznie wygodniej było przemieścić się samochodem.

Kiedy samolot osiadł na płycie lotniska, pasażerowie nagrodzili pilota oklaskami. Stewardesa stanęła w drzwiach gotowa do pożegnania, a ja uświadomiłam sobie po raz drugi smutny fakt, że mój hiszpański sen właśnie dobiegł końca.

Zanim wypatrzyłam mamę w wianuszkach oczekujących, rozdzwonił się mój telefon. Na ekranie dostrzegłam dwa esemesy, od Juana i od Miłosza. Rozanielona mina Majki sprawiła, że domyśliłam się wiadomości od Sergia na jej komórce.

Mama stała za barierką, jedną ręką kiwając w naszym kierunku, drugą ocierając łezkę. Obie z Mają wyłączyłyśmy telefony w tym samym momencie.

Porwała nas w objęcia, jakbyśmy wracały z wyprawy na Spitsbergen, i zarzuciła pytaniami.

– Jak było, dziewczyny? Ale opalone! Jesteście zmęczone? Może pomogę? – Usiłowała odebrać moją torbę, którą z trudem utrzymałam przy sobie.

– Mamuś! Tyle jeszcze uniosę.

Droga do domu okazała się całkiem przyjemna. Paplałyśmy bez przerwy, prześcigając się z Mają w ochach i achach na temat Alicante. Snułyśmy plany kolejnego wyjazdu.

Mama, o dziwo, była w zaskakująco dobrym nastroju. Wypytywała nas o lokum, jedzenie, towarzystwo. Zabrała nas na obiad, sprawnie dowiozła na miejsce. Byłam zbyt zaaferowana wycieczką, a jedną nogą nawet w Hiszpanii, by zapytać co w domu.

Do Krynicy dotarliśmy pod wieczór, odstawiwszy wcześniej Maję do Gdańska. Odebrałam spod jej bloku omegę.

Pensjonat stał na swoim miejscu. Przywitał nas smugami deszczu spływającego po pędach winobluszczu.

W kuchni kręciła się pani Wiesia, kończąc smażenie placków ziemniaczanych, których zapach przyjemnie nęcił już w korytarzu.

– Jest nasza dziewczynka! – powitała mnie od progu, wycierając dłonie w fartuch. – Widzę, że zadowolona i opalona. – Przyjrzała mi się z perspektywy wyciągniętych rąk.

– O tak! Było pięknie. – Odwzajemniłam jej uściski i zapowiedziałam się przy stole za dziesięć minut.

O ile będzie śmietana do placków.

– Oczywiście, że tak! – Pani Wiesia wskazała na pełną miskę gęstej śmietany, od niepamiętnych czasów kupowanej w tym samym miejscu. Od sąsiadki Wasiakowej.

Nareszcie miałam czas odpowiedzieć Juanowi, którego wiadomość dopadła mnie na lotnisku.

Pominałam esemesa od Miłósza i raz jeszcze przeczytałam, co napisał mój ognisty Hiszpan.

„Mam nadzieję, że ci się podobało. Bo mnie tak. Wprost nie mogę doczekać się kolejnego spotkania.

Alicante jest puste bez ciebie. Juan”.

Odpisałam niezwłocznie.

„Dojechałam do domu, ale tęsknię za Hiszpanią. Dziękuję za wszystko. Edyta”.

Przycisnęłam klawisz „wyślij” z nadzieją, że nie wyszło zdawkowo.

Nadszedł czas, by odpowiedzieć Miłósza.

Z lekkim ukłuciem w sercu po raz kolejny przeczytałam wiadomość od niego.

„Już pewnie wylądowałaś. Witam na polskiej ziemi i czekam. Żałuję, że nie pojechałem z tobą. Chyba nikt mi ciebie nie ukradł? Odezwij się. Tęsknię. Miłósza”.

Nie zastanawiając się długo, wystukałam odpowiedź, która zadziwiła mnie samą.

„Ja również. Spotkajmy się jutro w Gdańsku. E.”.

Komórka zasygnalizowała nadejście esemesa.

„Kiedy?”.

„Możesz o dziesiątej?”.

„Mogę”.

Odetchnęłam pełną piersią. Spojrzałam w lustro i zobaczyłam w nim opaloną twarz. Odgarnęłam włosy z czoła, przyjmując pozę modelki przed wyjściem na wybieg.

Było dobrze. Czułam na sobie słońce Hiszpanii, rozpiekała mnie radość życia. A z dołu dochodził zapach placków ziemniaczanych, które dzisiaj miały zastąpić mi hiszpańskie smakołyki.

Paella nie pachniała tak nigdy.

– Jestem! – zaanonsowałam się, wbiegając do salonu, w którym spodziewałam się zastać mamę.

– Weź ode mnie półmisek, Edytko – odezwała się z kuchni pani Wiesia. – Ulka zaraz przyjdzie.

Rozmawia przez telefon.

Mama nie wracała przez dobre dwadzieścia minut. Zdążyłam spałaszować połowę zawartości półmiska, skosztować sałatki, dobrać się do maślanki, kiedy wreszcie, zaróżowiona na twarzy i dziwnie podniecona, zjawiała się w jadalni, przepaszając za spóźnieniem.

– Jestem. Musiałam porozmawiać. Dobre placki? – zapytała, ale myślami pozostawała w krainie, w której placki ziemniaczane z pewnością nie znajdowały się w centrum uwagi.

– Stało się coś? – zainteresowałam się z niepokojem.

– Nic, nic. Opowiadaj – zachęciła mnie, nakładając sobie na talerz.

– A co chcesz jeszcze wiedzieć? Rozmawiałyśmy przez kilka godzin w aucie – odparłam, bo dostrzegłam, że pyta, aby odwrócić uwagę od swojego nietypowego zachowania. – Lepiej powiedz, co się dzieje tutaj. – Spojrzałam znacząco.

– Dobrze – zgodziła się niespodziewanie. – Poczekajmy tylko, aż pani Wiesia pójdzie do siebie.

Zaniepokoiłam się nie na żarty. Czyżby nasza Wiesia chciała się od nas wyprowadzić? A może była chora? Wizja pensjonatu bez niej uwierała jak drzazga za paznokciem. Z trudem przełknęłam kolejny kęs placka.

Okazało się jednak, że moje przypuszczenia były bezpodstawne.

– Teraz już mogę ci powiedzieć... – zaczęła mama, kiedy zostaliśmy same. – Pan Stefan oświadczył się Wiewi. W święta ślub.

– Co ty mówisz? To wspaniale! – Ulżyło mi. – Opowiadaj!

Że też nie było mnie przy tych oświadczeniach! Nie rozumiałam, dlaczego mama się tak nimi przejmuje. Do chwili, gdy wyjawiała mi właściwy powód.

– Napijesz się herbaty? – zaproponowała, kiedy skończyłyśmy jeść. – Muszę ci powiedzieć jeszcze o czymś. – Postawiła filiżanki na stole.

Zamieniłam się w słuch.

– Pamiętasz Daniela? Tego mojego kolegę z klasy? – zapytała.

Wprawdzie facet dość szybko opuścił imprezę, lecz trudno było nie zauważyć przystojniaka o śniadej cerze i ciemnych oczach wpatrzonych w moją mamę.

– Co z nim?

– Zaczęliśmy się trochę spotykać. Ale to nie tak, jak myślisz...

– Bardzo dobrze, że w końcu po dwóch latach zdecydowałaś się na randkę. Czas najwyższy – poparłam ten pomysł. A nawet bardzo się ucieszyłam.

Dzięki takiemu obrotowi sprawy mamie z pewnością będzie łatwiej zaakceptować moje plany na przyszłość, w ostatnich dniach wielokrotnie obgadane z Mają.

– Daniel, a właściwie jego córka, ma kłopoty.

– A cóż jego córka ma do waszych kontaktów? – zdziwiłam się, dostrzegając zafrasowaną minę mamy.

– Zobaczysz, ucieszy się. Jak ja.

– Nie w tym rzecz. Sytuacja jest dość skomplikowana.

– To jej bardziej nie komplikuj i powiedz wreszcie, o co chodzi.

No i mama wyłożyła kawę na ławę.

Dowiedziałam się o ciąży Igi i jej próbie samobójczej. Współczułam panu Danielowi takiej córeczki do czasu, kiedy dowiedziałam się o propozycji, by młoda zamieszkała w pensjonacie. Mówiąc wprost, wkurzyłam się.

– Co ty o niej wiesz? Chcesz brać pod swój dach nastolatkę z brzuchem i skłonnościami do samobójstwa? I to wszystko tylko dlatego, że kilka razy spotkałaś się z facetem, którego nie widziałaś od trzydziestu lat? Zamierzasz ją niańczyć? Jeżeli chcesz znać moje zdanie, to młoda ma matkę i ojca, którzy powinni się nią zająć. I jeszcze jedno. Dziecko samo się nie zmajstrowało, a zatem jest gdzieś szczęśliwy tatuś. Nie daj się wrobić!

Gdy wyrecytowałam tę tyradę, zobaczyłam, że mama kuli się w sobie, coraz bardziej wciśnięta w narożnik tapczanu.

– Powinnam zapytać cię o zdanie – odezwała się cicho po chwili. – To nasz wspólny dom.

– No właśnie. Mogłaś pomyśleć, jak ja się będę czuła w towarzystwie przybranej siostrzyczki w ciąży – podniosłam głos. – Na szczęście wszystko można jeszcze odkręcić. Odmówisz i już.

– Edytko, proszę cię, zastanów się jeszcze. Daniel w środę przywozi Igę do Gdańska. Zależy mi, by mu pomóc.

Wglądało na to, że mama już podjęła decyzję i czeka jedynie, aż zmiękne.

Nie spodziewałam się takiego powitania. Po cichu liczyłam, że dojrzeje do sprzedaży pensjonatu, a mnie uda się wreszcie wyrwać z Krynicy. Tymczasem sprawy przybrały niekorzystny obrót.

Wstałam od stołu i zaczęłam zgarniać puste filiżanki.

– Idę do siebie – zakomunikowałam, kończąc rozmowę. – Jutro jadę do Majki.

Może nie postąpiłam w porządku, zostawiając mamę samą, lecz emocje wzięły górę nad kurtuazją.

Wpadłam do pokoju z zamiarem spakowania się przed jutrzejszym wyjazdem do Gdańska.

Gdy przeszukiwałam pawlacz, rozglądając się za nieużywanym od lat plecakiem, natknęłam się na jakieś stare pudełko po butach. Potrąciłam je, zawartość wysypała się na podłogę.

– Co to takiego? – wyszeptalam pod nosem, zbierając niemowlęce ciuszki, których mama nie pokazywała mi nigdy. I wypis ze szpitala z osiemdziesiątego trzeciego roku.

Przyglądałam się tym drobiazgom z niedowierzaniem, usiłując złożyć do kupy elementy układanki.

Puzzle trafiły na swoje miejsce.

Urszula

Stało się to, czego się spodziewałam.

Edyta była oburzona, kiedy wspomniałam jej o propozycji przyjęcia Igi pod nasz dach. Poderwała się zniecierliwiec z fotela i zebrawszy filiżanki ze stołu, popędziła do siebie. W progu oznajmiła tylko, że jutro jedzie do Gdańska.

Moje możliwości wychowawcze się wyczerpały. Na dwudziestodwuletnią pannę wpływać już niełatwo, a stosowanie siły mija się z celem. Również dyskusja okazała się nieskuteczna. Edyta zawsze reagowała gwałtownie, trzaskała przysłowiowymi drzwiami i przerywała ledwie rozpoczęty dialog. A wydawało się, że po śmierci Marka, a potem mamy, zbliżyliśmy się do siebie i nareszcie zaczęliśmy grać w tej samej drużynie. Owszem, do czasu przyjazdu Hiszpanów, kiedy to w mojej córce odezwały się skrywane emocje. Ostatnio jakby przygasła (nawet zdziwiła mnie jej decyzja pozostania w domu po maturze), ale tłumaczyłam to przygnębieniem po śmierci ojca i potrzebą odnalezienia własnej drogi przed podjęciem studiów. Kiedy jednak zapowiedzieli się zagraniczni goście, Edyta nagle się ożywiła i coraz częściej zaczęła przebąkiwać o sprzedaży pensjonatu.

Lidka mogła mieć rację, sugerując, że moje dziecko potrzebuje rewolucji w swoim życiu.

Nie chciałam myśleć, na czym miałyby ona polegać. Teraz jednak, patrząc na Edytę, rozpromienioną i zaaferowaną pobytem w Alicante, oczami przewrażliwionej matki, dostrzegłam zagrożenie. Miałam słabą nadzieję, że nie zmaterializuje się ono nigdy i wyjazd na dłużej do Hiszpanii nie nastąpi. Albo, nie daj Boże, na stałe! Gorszych scenariuszy wolałam sobie nie wyobrażać, chociaż kiedy słuchałam paplaniny dziewczyn w samochodzie, przeplatanej imieniem „Juan” odmienianym przez wszystkie przypadki, popadałam w coraz większe przygnębienie.

A w domu musiałam jeszcze powiedzieć o Idze, prowokując Edytę do gwałtownej reakcji.

Miała rację. Nie powinnam była składać Danielowi deklaracji bez przegadania z nią sprawy. Jako osoba od lat pracująca w szkole, miałam świadomość problemów z nastolatkami, zwłaszcza z będącymi w tak szczególnej sytuacji jak Iga. Moje zobowiązanie musiało zrodzić określone konsekwencje nie tylko dla mnie, ale i dla wszystkich wokół.

Czułam jednak, że z uwagi na własną przeszłość muszę pomóc Danielowi i jego córce.

Właśnie dlatego przedstawiłam propozycję, której skutki odczułam już przy pierwszej rozmowie z Edytą. Mogłam jedynie liczyć na to, że ona da się przekonać i zrozumie. Nie zamierzałam zmieniać zdania. Choć raz w życiu postanowiłam nie ulegać presji otoczenia i postąpić zgodnie z własną wolą.

Utwierdziwszy się w słuszności podjętej decyzji, rozprostowałam ramiona i głęboko odetchnęłam. Wstałam, aby zaparzyć herbatę.

Trzaśnięcie drzwi i tupot nóg na schodach zasygnalizowały bliskość kolejnych problemów.

Do kuchni wpadła Edyta, potrząsając pudełkiem, którego szukałam od jakiegoś czasu.

– Czy możesz mi wytłumaczyć, co to jest? – krzyknęła. Nie dała mi dojść do głosu. – Miałaś dziecko?

Pod żadnym pozorem nie chciałam, żeby moja tajemnica ujrzała światło dzienne w taki właśnie sposób! I nawet wymyśliłam, jak powiedzieć o niej Edycie. Ale skoro za sprawą pudełka, które nie wiadomo z jakich powodów znalazło się w rękach mojej córki, prawda wyszła na jaw, musiałam stawić czoło

wydarzeniom sprzed trzydziestu dwóch lat.

Bez słowa wzięłam pudełko i wyjęłam z niego malutkie błękitne śpioszki, batystowe koszulki, wydziergane szydełkiem buciki, wełniany sweterek... I wypis ze szpitala, który zachowałam nie wiadomo po co.

– Tak. Miałam dziecko. Urodziło się martwe pod koniec piątego miesiąca ciąży. To był chłopiec – wyjaśniłam rzeczowo, nie dbając o ewentualny kolejny wybuch gniewu.

Edyta patrzyła szeroko otwartymi oczami, z których biła nienawiść.

– Wypis jest z osiemdziesiątego trzeciego roku! Miałas wtedy siedemnaście lat! Dobrze liczę? – zapytała sarkastycznie.

– Zgadza się.

Kiedy Edyta zaczęła nerwowo przemierzać pokój, potrząsając wypłowiałym papierkiem, przypominała Marka, reagującego tak samo w trudnych sytuacjach. Nieodrodna córka swojego ojca! Tyle że mojemu mężowi takie zachowania zdarzały się niezmiernie rzadko.

– Kiedy zamierzałaś mi o tym powiedzieć? A może nigdy?

Mój wrodzony spokój (czy być może wyuczona wstrzeźliwość w okazywaniu emocji), też miał swoje granice. Edycie należała się prawda, ale agresywne wywoływanie mnie na dywanik zakrawało już na lekką przesadę. Gdybym nie była jej matką, zastanowiłabym się zapewne, kto ją tak wychował.

Mimo wszystko się opanowałam. Dałam mojemu dziecku szansę, aby spuściło z tonu.

– Kochanie, pozwól, że ci wyjaśnię... – Ważyłam słowa. – Wiesz, zbieram się w sobie, żeby napisać książkę, której treść noszę w sobie od dawna. Nawiązującą do moich przeżyć sprzed lat. Całkiem niedawno szukałam tego pudełka, które ty znalazłaś dzisiaj przez przypadek. W jakimś sensie miało mi pomóc w rozpoczęciu pracy. Wybacz, że dowiedziałaś się o przeszłości w taki sposób...

Niestety, strategia „zachować spokój” nie przyniosła oczekiwanych rezultatów. Edyta wpadła już w spiralę złości. Waliła słowami na oślep, obrażając mnie bez pardonowo.

– Całe życie oszukiwaliście mnie z ojcem! – Musiała być bardzo zdenerwowana, bo po raz pierwszy od śmierci Marka nie nazwała go tatą. – A teraz mi mówisz, że zamierzałaś ujawnić prawdę! Nie wierzę ci! – wysyczała. – Jak można wierzyć komuś, kto oszukiwał cię tyle czasu? Tato powiedziałby mi z pewnością, ale ty go pewnie powstrzymywałaś! A może on w ogóle nie wiedział?

– Milcz.

Nie powstrzymałam się od przerwania potoku tych gorzkich słów, które raniły mnie jak sztylety. Moje pierwsze dziecko urodziło się martwe dziesięć lat przed przyjściem na świat Edyty i było moim i Marka wspomnieniem. Tak naprawdę nie musiałam czuć się winna, że nie ujawniłam swojej przeszłości. Moja córka jednak tak nie uważała.

– Milcz? – ciągnęła, niezrażona ostrym słowem. – To mnie się namawiało na studia dla lepszej przyszłości, to mnie się dyscyplinowało do nauki i pracy, bez której kołaczy nie ma, czy coś takiego, a samej się miało dziecko w liceum? Wiesz, jak to się nazywa? Hipokryzja! To dlatego teraz chcesz przygarnąć tę młodą w ciąży? Bo masz wyrzuty sumienia? To przecież jasne. Aha, dzięki za szczerość. Idę do siebie. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że bardzo się na tobie zawiodłam!

Nie dopuściła do dalszej rozmowy. Po kilku minutach zbiegła po schodach z plecakiem i odpaliła omegę Marka.

Domyśliłam się, że postanowiła pojechać do Gdańska już dzisiaj.

Z trudem powstrzymując łzy, odebrałam wiadomość od Lidki.

„Kazik na pewno kogoś ma. Widziałam ich dzisiaj razem w Piaskach. Mam nadzieję, że u ciebie w porządku? L.”.

„O nic się nie martw. Pogadamy jutro. Ula”, wystukałam odpowiedź, nie ruszając się z kanapy.

Edyta

Wsiadłam do auta roztrzęsiona i wściekła.

Z trudem trafiłam kluczykiem do stacyjki, bo kawalkada myśli pędzących z prędkością wyścigówek Formuły 1 nie pozwalała mi skupić się na jednej sprawie. Równie mocno, jak problem młodocianej córki Daniela, wkurzała mnie zamieciona pod dywan historia z licealną ciążą mamy. Nawet o zaręczynach Wiesi i Stefana dowiedziałam się dopiero po przyjeździe. Czy, do cholery, w tym domu nikt się ze mną nie liczy?

Ogarnięta furia, zaczęłam robić sobie wyrzuty, że dwa lata temu nie wyjechałam z Michaliną do Hiszpanii.

– Nie trzeba było przejmować się mamą, skoro i ona niewiele się mną martwi! – złorzeczyłam pod nosem, szacując zyski i straty, jakie przyniosło mi pozostanie w Krynicy.

Michalina po krótkim pobycie w Andaluzji przeniosła się do Walencji, gdzie wygodnie osiadła w jednym z hoteli. Obecnie była szefową hotelowej obsługi. Znalazła sobie chłopaka, Brazylijczyka, z którym planowali wspólną przyszłość. Olała studiowanie, ale nie zaprzestała się doksztalcać. Kilka szkoleń i chęć do pracy bardzo korzystnie ustawiły ją na tle niezbyt zaangażowanych w pracę Hiszpanów i zaowocowały awansem. Ja w tym czasie ukończyłam kurs terapii manualnej, ale nawet na dobre nie zaczęłam masować, bo zajęła mnie pomoc w pensjonacie.

Czysty zysk.

Nie udało nam się wprawdzie spotkać z Michaliną podczas mojego pobytu w Alicante, ale na bank umówiliśmy się wiosną, kiedy ona odwiedzi rodzinę w Polsce. Obiecała załatwić mi pracę w swoim hotelu, gdy tylko dojrzeję do takiego rozwiązania, co bardzo sobie ceniłam. Juan był uroczy, ale tak naprawdę nie znałam jego oczekiwań wobec mojej osoby i do propozycji zatrudnienia w pensjonacie jego ojca podchodziłam z rezerwą.

Krótko mówiąc, nie zakochałam się w Juanie na tyle, by zostawić dla niego Miłosza i całe swoje życie przewrócić do góry nogami. Wprawdzie cudownie gotował, a ja czułam się przy nim piękna, mądra i urocza, ale skąd mogłam mieć pewność, że jego adoracja nie jest podyktowana wyłącznie temperamentem południowca? Chociaż jeszcze wczoraj w Alicante omal nie rozplakałam się przy pożegnaniu. Bo z drugiej strony – może potrzeba zobaczenia Miłosza wynika jedynie z wyrzutów sumienia? Przecież w ostatnich dniach tak smakowały mi pocałunki Juana...

Jadę do Majki!, zdecydowałam, zmieniając pierwotny zamiar zaskoczenia wizytą Miłosza. Z nim zobaczę się jutro, kiedy trochę ochłonę po maminyh rewelacjach i obgadaniu sprawy z przyjaciółką.

Wybrałam numer Mai. Niestety, mimo kilkukrotnych prób połączenia, nie udało mi się jej wywołać. Esmes wyjaśnił wszystko.

„Jestem u rodziców. Nie bardzo mogę rozmawiać. Coś ważnego? M.”

„Pozdrów ich ode mnie. W najbliższym czasie pomieszkam trochę w Gdańsku. Daj znać, kiedy będziesz miała czas się spotkać. E.”, odpisałam.

Zastanowiłam się, czy dzwonić do Miłosza, czy postawić na zaskoczenie.

Zrobię mu niespodziankę!, podjęłam decyzję. A jeśli nie będzie go w domu, prześpię się pod mostem.

Wzięłam kurs na mieszkanie, które Miłosz wynajmował na spółkę z kolegą.

Dochodziła północ.

Sprawnie przemierzyłam niemal pustą o tej porze Aleję Grunwaldzką, dopilnowałam znajomego skretu w Chrzanowskiego. Teraz już wystarczyło wykołować dwa razy w prawo i zaparkować.

Z ulgą dostrzegłam, że świeci się w kuchni, co oznaczało, że spanie pod mostem raczej mi nie grozi. Któryś z chłopaków jest w domu na pewno.

– To ja – wyszeptałam, gdy w telefonie usłyszałam głos Miłosza.

Na wszelki wypadek nie zdradziłam, że stoję na ulicy.

– Oczywiście. A ty? Odpoczęłaś po podróży?

– Owszem.

– Nie mogę się doczekać jutra...

Potok aksamitnych słów, w tym momencie tak bardzo mi potrzebnych, był jak balsam na moje serce.

– A co byś powiedział, gdybyśmy zobaczyli się jeszcze dzisiaj?

Zamilkł zdziwiony.

– Wyjrzyj przez okno.

Po chwili Miłosz był już na dole. Chwycił mnie w objęcia, jak istotę cudownie uratowaną z kataklizmu. Której życie jeszcze do niedawna wisiało na włosku.

– Cudownie, że jesteś! Jaka opalona! Wejdz, zabiorę bagaże. A może chcesz postawić samochód na podwórku? Tak się cieszę! – mówił i mówił, gładząc moje włosy. Odsunął się nieco, żeby lepiej przyjrzeć mi się w świetle latarni. – Taka niespodzianka! Wejdz! Właśnie przygotowuję dla ciebie śniadanie na jutro.

W pierwszej chwili osłupiałam, że z wyprzedzeniem smaży jajecznicę, ale kiedy w przedpokoju dotarł do mnie zapach, wszystko stało się jasne.

– Robisz paellę?

– Aha. Pomyślałem, że sprawię ci tym przyjemność. Udało się?

Bąknęłam pod nosem słowa pochwały dla jego zapobiegliwości i ani słowem nie wspomniałam o stercie pochłoniętych wcale nie tak dawno placków ziemniaczanych.

– Jesteś sam? – zapytałam, rozglądając się za Marcinem.

– Przez cały tydzień. Mój współlokator wyjechał na kurs.

Kumpel Miłosza rozpoczął niedawno pracę w międzynarodowej firmie informatycznej i rzadko bywał w domu. Albo pracował do późna, albo zaliczał najróżniejsze szkolenia.

– A co na stażu? Zadowolony?

– Pytasz, czy było warto zrezygnować z Hiszpanii? Jest w porządku, ale sądzę, że do pobytu w Alicante się nie umywa. Opowiadaj! Ja będę kończyć paellę.

Przysiadłam na kuchennym taborecie i obserwowałam Miłosza w fartuszku, krzątającego się wokół patelni. Najwyraźniej mam szczęście do gotujących mężczyzn, stwierdziłam w duchu. Lecz mimo dobrej woli i wysiłków, by wykrzesać z siebie entuzjazm sprzed kilku godzin, nie bardzo wiedziałam, o czym mówić.

Myśli miałam zajęte mamą i Igą, których wspomnienie ponownie wywołało mój gniew.

Najwyraźniej nie miałam zadatków na dobrą aktorkę, bo po kilku pochlebnych zdaniach na temat pobytu w Hiszpanii prosto z mostu wyłożyłam Miłoszowi cel nagłego przyjazdu do Gdańska.

– Czy mogę zamieszkać u ciebie przez jakiś czas? – wypaliłam, przerwawszy nieskładną opowieść o wycieczce do Alicante.

– Oczywiście. Napijesz się wina?

Nawet nie spytał o powód.

Znał mnie wystarczająco, by wiedzieć, że nie będę się ociążać z wyjaśnieniami. Zasada „co w sercu, to na języku” nie była mi obca.

– Hiszpańskie, specjalnie dla ciebie. Podobno dobre – powiedział. I nie pożałował trunku.

Wychyliłam połowę zawartości kieliszka. Czerwony płyn rozlał się po moim ciele, pozostawiając w przełyku przyjemne ciepło, a w głowie delikatny szmer. Po kilku kolejnych łykach poczułam się na tyle rozluźniona, by zacząć mówić.

– Nie mam gdzie mieszkać. Moja mama zamienia mnie na nowszy model. W dodatku w ciąży.

– Co ty mówisz? Nic nie rozumiem.

Opowiedziałam mu o Danielu, Idze i propozycji, by młoda zamieszkała w pensjonacie. Miłosz wysłuchał uważnie. Delikatnie, żeby mnie nie urazić, spróbował uspokoić.

– Po pierwsze, z tego, co mówisz, mama nie podjęła jeszcze ostatecznej decyzji. A po drugie... Może nie powinnaś brać wszystkiego do siebie? Ta dziewczyna będzie mieszkała w pensjonacie jak każda klientka. Jej ojciec zapłaci za pobyt i tyle. Jeszcze na tym zarobicie.

Nie wiem, czy artykułując te totalne bzdury, popisywał się naiwnością, czy przebiegłością.

Musiałam zareagować.

– Bredzisz, mój drogi! Myślisz, że matka chce przyjąć tę młodą dla pieniędzy? Otóż się mylisz.

Ni z tego, ni z owego zdecydowałam się wyrzucić z siebie dalszy ciąg ciężących mi informacji, którymi zostałam nakarmiona zaledwie kilka godzin temu.

– Ona chce zmazać swoje winy z przeszłości, bo sama jako nastolatka zaszła w ciążę, a to dziecko zmarło. Rozumiesz? Pewnie rozumiesz. Zawsze się z nią doskonale dogadywałeś – zakpiłam, z trudem opanowując łzy. – Opowiedziała mi o wszystkim dzisiaj, ale dopiero wtedy, kiedy znalazłam dowody. Gdyby nie to, ukrywałaby tę swoją przedmaturalną ciążę do końca życia.

– Kochanie... – Miłosz niemal szeptął. – Uspokój się... Albo popłacz sobie – dodał, nie potrafiąc sobie poradzić z potokami słonej wody płynącej mi po policzkach. – Masz rację, że się denerwujesz...

– Gadasz, byle coś powiedzieć! – Niemal krzyczałam. – Jak mam się czuć? Oszukiwana przez całe życie, a teraz odstawiona na boczny tor!

– Nie musi tak być... Na pewno tak nie jest.

Wstałam gwałtownie z tapczanu i lekko chwiejnym krokiem skierowałam się w stronę nierozpakowanego jeszcze plecaka.

– Niczego nie rozumiesz. Wychodzę! – Zdecydowałam, drżącą ręką sprawdzając w portmonetce, czy wystarczy mi na noc w najtańszym hotelu.

Drobne się zgadzały, stać mnie było. Narzuciłam na siebie kurtkę.

Miłosz zastąpił mi drogę, zamknął drzwi na klucz, a klucz schował do kieszeni.

Próbowałam wyrwać się z jego objęć. Walczyłam z mocnym uściskiem, gotowa byłam uderzyć, lecz w odpowiednim momencie przytrzymał mi dłonie.

– Kochanie, już dobrze – szeptął, próbując okiełznać rozjuszoną kobietę. Jedną ręką przytrzymał moje ręce, drugą gładził włosy. – W porządku? – zapytał, kiedy odpuściłam i oparłam się na jego ramieniu. – Chodźmy do pokoju. Zaparzę ci melisę i spokojnie porozmawiamy. Albo pójdziesz spać.

Podążyłam za nim grzecznie, pozwoliłam ułożyć się w pościeli i podać sobie kubek z parującą zawartością, której przed zaśnięciem nie zdążyłam jednak wypić.

– Możesz tu mieszkać, jak długo zechcesz – usłyszałam błogie słowa. – Pamiętaj, że zawsze jestem z tobą. Kocham cię.

Zasypiałam kołysana brzmieniem tych słów i ciepłem dłoni Miłosza ogrzewającej moją, zimną jak sopel lodu.

Chwilowo nie miałam siły walczyć.

Urszula

Liczenie na to, że Edyta odezwie się z Gdańska, było jak czekanie na cud. A że cuda zdarzają się raczej rzadko, telefon milczał jak zaklęty.

Obraziłam ją!, robiłam sobie wyrzuty przez cały następny dzień, posypując głowę popiołem. Powinnam ją powstrzymać. Wyjaśnić.

Przecież była najbliższą mi osobą, którą kochałam ponad wszystko. Nigdy nie miałam zamiaru działać niezgodnie z jej interesem, a tym bardziej oszukiwać ją, zawieść, zataić przed nią prawdy.

Nieraz rozmawialiśmy z Markiem o ujawnieniu Edycie mojej licealnej ciąży, lecz zawsze dochodziliśmy do wniosku, że przyjdzie na to czas. Przecież fakt ten w żaden sposób nie rzutował na życie naszej córki. Marek postulował nawet, aby pozostał wyłącznie naszym wspomnieniem. Nie spodziewałam się, że Edyta może odkryć go przypadkiem i zareagować tak gwałtownie. Najwyraźniej słabo znam własną córkę, dotarła do mnie smutna prawda, wywołując ukłucie w sercu.

Ten ból mógł zostać ukojony, gdyby odebrała połączenie ode mnie, o co starałam się od niedzieli.

Bezskutecznie. Abonent był „czasowo niedostępny”, a „połączenie niemożliwe do zrealizowania”.

Poza wszystkim dobijała mnie sprawa Igi i propozycji złożonej Danielowi, która tak bardzo ugodziła Edytę. Nie mogąc sobie z tym poradzić w samotności, poprosiłam o pomoc Lidkę.

Wpadła do mnie we wtorek, załamana i pobudzona jednocześnie.

– Nareszcie znalazłaś czas, żeby się ze mną spotkać! – zawołała z wyrzutem od progu. – Wsiadaj do samochodu! Kazik właśnie odjechał w stronę Piasków, pojedziemy za nim!

Zanim zdążyłam zaproponować, zgarnęła mnie z przedpokoju, pozwalając jedynie na narzucenie kurtki.

Za oknem szalała listopadowa zawierucha. Deszcz ciął po twarzy. Gdyby nie włączone reflektory, zatonełbyśmy w ulewie. Wycieraczki lewie nadały zgarbiać mokre krople wymieszanego ze śniegiem deszczu.

– Dawno wyjechał? – zapytałam, skoncentrowana na drodze. Wypatrywałam dzików, które w każdej chwili mogły wypaść na szosę i zakończyć naszą wyprawę.

– Jakies dziesięć minut temu – odparła Lidka. – Możesz przyspieszyć?

Starałam się, ale zakręty i mokra mgła rozpostarta nad jezdnią uniemożliwiły szaleńczą jazdę.

Z duszą na ramieniu dobrnęłam do Piasków, ostatniej miejscowości na mierzei. Bez względu na to, gdzie zatrzymał się Kazik, nie groziły mi dalsze wyścigi. Teraz jedynie pozostało rozejrzeć się wokół i zlokalizować wiarołomnego.

– Jedź w lewo – zadysponowała Lidka, tknięta intuicją. – Ostatnio widziałam ich niedaleko wydmy. Może i teraz... Są! – dodała szeptem i skurczyła się w sobie, wbijając w oparcie fotela. – Widzisz?

Faktycznie, zauważyłam męża mojej przyjaciółki rozmawiającego z jakąś kobietą na placu budowy drewnianego domku. Pokazywał jej coś na sporej płachcie papieru, po czym objął ramieniem i poprowadził w kierunku budynku.

Oboje zniknęli w środku.

– A widzisz! Mówiłam! To właśnie ta baba Kazika! Zauważyłaś, jak na nią patrzył? Nawet nie chcę sobie wyobrazić, co oni tam robią! – wycharczała Lidka, próbując opanować płacz.

– To może zobaczymy? – zaproponowałam mało delikatnie.

– Nigdy w życiu! – Zakryła oczy dłońmi. – Nie chcę tego oglądać! To koniec! Uła, ja tego nie wytrzymam! Witek w Anglii, a Kazik... – rozbeczała się na dobre.

– Chcesz się dzisiaj przespać u mnie?

Jutrzejszy poranek mógł przynieść jakieś pomysły.

– Jedźmy – zgodziła się.

Odpaliłam rozrusznik i wycofałam. We wstecznym lusterku dostrzegłam Kazika z tą kobietą, wychodzących z budynku. Serdecznym gestem zaprosił ją do swojego samochodu i grzecznie otworzył drzwiczki, dbając, by nie unurzała długiego płaszcza w kałuży. Na szczęście Lidka była zbyt zajęta ocieraniem łez, aby dostrzec przez nie cokolwiek.

A więc jednak jest coś na rzeczy, stwierdziłam, oddalając się z parkingu i kierując w stronę Krynicy.

Było mi żal Lidki. Miałam wyrzuty sumienia, że jej nie uwierzyłam, i przez całą drogę zastanawiałam się, jak jej pomóc.

Rozwiązanie nadeszło nieoczekiwanie. Opowiem jej o własnych problemach!

– Chodź, odgrzeję ci kopytka z sosem gulaszowym – zaprosiłam przyjaciółkę do domu i usadziłam na kanapie.

Nieoceniona pani Wiesia zostawiła w lodówce również zasmażaną kapustę kiszoną i buraczki.

Po chwili smakowity zapach rozszedł się po całym domu. Mnie pozostało przygotowanie półmisków i rozstawienie talerzy na stole, przy którym moja koleżanka siedziała bez ruchu.

– Jedz.

– Nie jestem głodna.

– Jesteś. Jedz.

– A ty?

– Je też sobie nałożę.

Z westchnieniem zaopatrzyłam swój talerz w sporą porcję kopytek z gulaszem, nie żałując kapusty i buraków.

Lidka nieśpiesznie poszła za moim przykładem.

– Sama widziałaś, że on ma kogoś – bąknęła, jakby szukała potwierdzenia.

– Widziałam, że spotkał się z jakąś kobietą – odparłam, wbrew temu, co naprawdę chciałam jej powiedzieć.

A jednak nie potrafiłam uwierzyć w wiarołomność Kazika. Musi się znaleźć jakieś racjonalne rozwiązanie!

– Co ty mówisz? Jesteś po jego stronie? A może ty coś wiesz, a nie chcesz mi powiedzieć? Oszukujesz mnie! Wychodzę! – Lidka gwałtownie odsunęła talerz, wstała i skierowała się do drzwi.

– Nie! – krzyknęłam i chwyciłam ją za rękę.

Nie mogła mnie tak zostawić! Zupełnie jak Edyta!

– Lidziu, usiądź, proszę.

Ciepłe słowa sprawiły, że pozwoliła się z powrotem usadzić na kanapie.

Spokojnie jej wytłumaczyłam, że nigdy nie kolaborowałam z Kazikiem, że nie wiem o nim niczego, czego nie wiedziałyby ona sama. A to, że spotkał się z jakąś kobietą, nie świadczy o jego zdradzie. Że Lidka najlepiej zrobiłaby, fundując sobie szczerą rozmowę z mężem.

Po długiej uspokajającej przemowie nalałam sobie i Lidce po kieliszku czerwonego wina. A kiedy zadzwonił Kazik, zaniepokojony jej nieobecnością, moja przyjaciółka rozluźniła się nieco. I zapytała o Edytę.

W tym momencie role się odwróciły. To ja weszłam na deski teatru rozterek, pozwalając, by popłynęła

lawina wyrzutów sumienia w stosunku do mojej córki. Lidka słuchała uważnie, by w finale, mówiąc kolokwialnie, zdrowo mnie opieprzyć.

– Ty masz chyba coś z głową, koleżanko. Wiesz, jak kocham Edytkę, ale jej zachowanie jest niedopuszczalne. Robiła ci wyrzuty z powodu dawnej ciąży? A co ją to obchodzi? Niedługo zaczniesz cię wypytywać o życie seksualne z Markiem! Tkwiłaś w tym pensjonacie jak zakonnica, nigdzie nie wyjeżdżałaś, bo Marek najeździł się w pracy, a teraz, kiedy spotkałaś Daniela, to be? Nie daj się! Masz prawo dysponować sobą i swoją wolą!

Amen, zakończyłam w myślach tyradę przyjaciółki.

Słuchałam zaskoczona. Wiedziałam, że czasami Lidka z Edytą kolaborowały za moimi plecami, zazdrościłam im kontaktu, nie mogąc z własną córką nawiązać podobnego. A teraz Lidka stanęła murem za mną. Wzruszyłam się.

– Naprawdę uważasz, że mogę zaprosić tu Igę?

– Oczywiście, jeżeli tego chcesz. Edyta musi to zaakceptować, a jeżeli nie, to jej sprawa. Nie martw się, w końcu się z tym pogodzi. Kiedy już znajdzie swoją drogę. Na razie sobie ze sobą nie radzi, więc o wszystko obwinia ciebie. Rób, co musisz. A tak na marginesie, ten Daniel to chyba musi być fajnym facetem, co?

– To nie ma znaczenia – odparłam zbyt szybko.

– Rozumiem. Po prostu jesteś samarytanką.

– A ty jesteś głupia! – roześmiałam się. – Porozmawiasz z Kazikiem? – Zmieniłam temat.

– Dobra. Ale uważaj, bo jeśli nie masz racji, oberwę ci głowę.

– Dobrze się trzyma.

Kładąc się spać, myślałam o spotkaniu z Danielem. Już wiedziałam, co mu odpowiem. Iga może liczyć na pokój w pensjonacie.

Dzięki, Lidka!

Urszula

Wrzucając torebkę do samochodu, ledwie mogłam utrzymać popychane wiatrem drzwiczki. Nie uległam prośbom pani Wiesi, żeby odwołać wyjazd do Gdańska. Musiałam spotkać się z Danielem i Igą, a poza tym miałam zamiar odwiedzić Edytę, która prawdopodobnie zatrzymała się u Mai. I żaden porywisty wiatr, nawet ten, który przyniósł deszcz ze śniegiem, nie miał prawa mi w tym przeszkodzić.

Wsunęłam się do wnętrza auta, odgarnęłam włosy z twarzy i sięgnęłam po grzebień, aby rozczesać zmierzwioną zawieruchą czuprynę. W środku było miło i przytulnie, a po włączeniu ogrzewania poczułam miłe ciepło. Pozostało jedynie uruchomić radio, przetrzeć wycieraczkami szyby i ruszyć w drogę.

Daniel powiadomił mnie, że spodziewa się wrócić z Warszawy około czternastej. Zaprosił do siebie na Morenę godzinę później, po rozpakowaniu gigantycznego, jak twierdził, bagażu Igi i ogarnięciu mieszkania. Biorąc pod uwagę jego zalatanie w ostatnich dniach, nie spodziewałam się uczyty, dlatego w bagażniku wiozłam blachę z szarlotką i pleśniakiem. Drugie połówki słodkości zamierzałam dostarczyć Edycie.

Jako że moja córka wciąż nie odbierała połączeń ode mnie, zadzwoniłam do Mai.

– Witam, pani Ulko – odezwała się prawie natychmiast.

– Cześć, Maju. – Ucieszyłam się, że chociaż z nią udało mi się nawiązać kontakt. – Zatrzymała się u ciebie Edytka?

Majka zamilkła.

Prawdopodobnie odebrała instrukcję, jak postępować w sytuacji kryzysowej, kiedy matka zacznie poszukiwać u niej córki.

– Nie ma jej u mnie – odparła po chwili.

– Zapytałam, czy zatrzymała się u ciebie.

Po raz kolejny natrafiłam na mur ciszy. Pozwoliłam Mai przejąć inicjatywę.

– Pani Ulko, obiecałam Edycie, że nie powiem, gdzie jest. Ale trochę mi niezręcznie w tej sytuacji... – plątała się w zeznaniach. – Jest u Miłosza – wykrztusiła wreszcie, zrzuciwszy z barków ciężar danego słowa. – Ale proszę, niech pani nie zdradzi, że wie to ode mnie.

– Oczywiście – obiecałam.

Palił mnie wstyd, że poszukuję własnego dziecka w taki sposób.

Żeby moja córka ukrywała się przede mną!

– Nie było rozmowy – dodałam i zakończyłam połączenie.

Chwała Bogu, że zadzwoniłam z parkingu, na którym zatrzymałam się na chwilę, bo w przeciwnym wypadku łązy utrudniłyby mi prowadzenie samochodu. Już miałam zadzwonić do Lidki i pożalić się na Edytę, kiedy przypomniałam sobie słowa przyjaciółki, którymi wsparła mnie w trakcie ostatniej rozmowy. „Masz prawo dysponować sobą i swoją wolą”.

Lidka miała rację. Ale że łatwiej powiedzieć, a trudniej wdrożyć dobrą radę w życie, musiało upłynąć kilka minut, zanim udało mi się powstrzymać płacz i za pomocą chusteczek do demakijażu, cienia i tuszu doprowadzić się do porządku.

Miałam w komórce numer do Miłósza, zdecydowałam jednak nie stawiać go w tak niezręcznej sytuacji, jak przed chwilą Mai. Zaczekam, pomyślałam. Z trudem powstrzymałam się od pokonania kilku ulic dzielących miejsce, w którym stałam, od mieszkania wynajmowanego przez chłopaka mojego dziecka, w którym być może Edyta coś pichciła, siedziała nad książką, odpoczywała...

Ona tak lubi czekające w bagażniku szarlotkę i pleśniaka!

A gdyby tak mimo wszystko tam pojechać?, przemknęło mi przez myśl.

Nie pozwoliłam temu pomysłowi rozkwitnąć. Mogłam sprowokować potężną awanturę i po raz kolejny oberwać cięgi od córki.

Ostatecznie nie uległam pokusie i zakończyłam dywagacje na temat wizyty przypudrowaniem twarzy. Również Daniel nie powinien zauważyć zmartwienia ukrytego pod warstwą pudru. Włożyłam do odtwarzacza ulubioną płytę i ruszyłam w kierunku Moreny. Raz jeszcze wybrałam numer Edyty, ale nie odpowiadał.

Samochód Daniela stał pod domem. Zaparkowałam obok. Puste wnętrze auta sugerowało, że właściciel zdołał uporać się z bagażami.

Siedziałam przez moment bez ruchu, zastanawiając się, co robić. W jaki sposób zachować się w obecności Igi, jak się przywitać. Edyta nawet na chwilę nie przestawała zaprzętać moich myśli, ale nie potrafiłam się przestawić.

A może po prostu zwać? Może jednak pojechać do Miłósza?

Moje wątpliwości rozwiał Daniel, który zniemacka pojawił się przy drzwiczkach mojego samochodu.

– Jesteś! – powitał mnie radośnie. – Wypatrywałem cię. Może wejdiesz? – zapytał żartobliwie, przyglądając się mojej niepewnej minie.

Pomógł mi przy blasze z ciastem, które wykarmiłoby znacznie większą gromadę niż trzy osoby, wskazał drogę do mieszkania. Otworzył drzwi, za którymi czekała jego córka.

Spodziewałam się zbuntowanej nastolatki. Z góry nastawiłam się na jej wydęte usta, manieryczne pozy i przejawy niezadowolenia. Tymczasem moje przewidywania wzięły w łeb. W przedpokoju powitała mnie skromna brunetka niewielkiego wzrostu, z włosami sięgającymi do pasa, nie na tyle jednak zahukana, by się ze mną nie przywitać.

– Jestem Iga. – Wyciągnęła dłoń, którą uścisnęłam z przyjemnością.

Mimo pewnych obaw, zapalałam sympatią do tej dziewczynki (tak właśnie o niej pomyślałam), na chwilę zapominając, że jest w ciąży, co czyniło z niej pełnokrwistą kobietę.

– Urszula. – Odwzajemniłam uścisk.

– Pani Urszula – poprawił mnie Daniel.

Spojrzałam na niego karcąco.

– Urszula – powtórzyłam. – Oczywiście, jeśli chcesz – zwróciłam się do Igi.

– Oczywiście – zgodziła się.

Spontanicznie i naturalnie.

Kupiła mnie od pierwszego wrażenia. Spokojna, zrównoważona i zagubiona, co zauważyłam w jej oczach. W spojrzeniu dziewczyny, którą znałam dawno temu, w licealnych czasach.

To były moje oczy.

Powróciły wspomnienia.

Z Markiem chodziliśmy niemal od początku pierwszej licealnej, a właściwie od czwartego grudnia, od imienin Baśki, naszej wspólnej klasowej koleżanki. W ciągu pierwszych trzech miesięcy nauki spoglądaliśmy na siebie na lekcjach, zagadywaliśmy na przerwach, odprowadzaliśmy się nawzajem do autobusu, prosząc opatrność, by się spóźnił, próbowaliśmy się poznawać, opanowani chęcią, by być ze sobą jak najwięcej, najczęściej, najdłużej. Szukaliśmy się na przystanku, pragnęliśmy pomagać sobie

w nauce. Aż zagrała muzyka i mogliśmy ze sobą zatańczyć. Od tej chwili nie tylko my, ale i cała nasza klasa wiedziała, że Ula i Marek są parą. Szczęście nie opuszczało nas przez dwa lata, do czasu, kiedy pewnego dnia zorientowałam się, że spóźnia mi się okres. Kończył się kwiecień, nauczyciele zapowiadali klasówki na zakończenie drugiej klasy, a ja zaczynałam dzień od wymiotów, które ukrywałam przed rodzicami, jak potrafiłam. Do czasu, bo przyszedł moment, w którym mama zaczęła się niepokoić. Usłyszałam, jak klaruje ojcu, że trzeba mnie wysłać do lekarza.

– Może Ulka cierpi na bulimię? – Niepokoiła się.

Ojciec był spokojniejszy.

– Daj spokój, Danusiu. Może się odchudza albo co? Przejdzie jej.

Nie przeszło. Dzień, w którym musiałam poinformować rodziców, że jestem w ciąży, należał do najgorszych w moim życiu.

Byli przerażeni. Jak to, ich córeczka, najlepsza uczennica w klasie i takie coś?

Tato siedział w milczeniu, mama z miejsca znalazła rozwiązanie na miarę czasów. A nie były to czasy, kiedy nastolatki prymuski rodziły dzieci. I nie było to środowisko, które mogło taki stan rzeczy zaakceptować.

– Urodzisz, a ja wychowam to dziecko jako swoje – zdecydowała, tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Jest kwiecień, w grudniu rozwiązanie. – Przeliczyła szybko. – Pojedziesz do ciotki Elki, a my coś wymyślimy, by wytłumaczyć twoją nieobecność.

– Danka! – Ojciec zgromił ją wzrokiem i nalał sobie kieliszek wódki.

Odpowiedziała podobnym spojrzeniem.

– Chciałbyś, żeby zmarnowała sobie przyszłość? – Dobiła słowem.

Ojciec, oczywiście, nie chciał. I zgodził się na zaproponowany scenariusz.

Do końca roku szkolnego udało się nam z Markiem nie ujawnić, że jestem w ciąży. Staraliśmy się zachowywać jak do tej pory. No, może nieco spauzowaliśmy z imprezami, tłumacząc się nauką.

Lato spędziłam w pensjonacie. Dotrwałam jakoś do końca sierpnia, kiedy trzeba było zacząć pakować walizki do ciotki Elki i zakombinować, jak usprawiedliwić moją nieobecność pierwszego dnia w szkole na rozpoczęciu trzeciej licealnej.

Rozwiązanie przyniosło życie.

W ostatnim tygodniu sierpnia urodziłam martwe dziecko. Chłopczyka. Tomka.

Kilka dni po pogrzebie wróciłam do szkoły. Jak gdyby nic się nie stało.

Nie mogłam patrzeć na mamę, której wyraźnie ulżyło. Nie mogłam patrzeć na tatę, który nigdy się jej nie sprzeciwiał, nawet w mojej sprawie. Nie mogłam patrzeć na siebie, że zgodziłam się oddać dziecko mamie. I miałam pretensje do losu, który odebrał mi Tomka.

Przy mnie trwał tylko Marek.

Dociągnęliśmy jakoś do matury i oboje dostaliśmy się na studia. Pokonaliśmy przykre wspomnienia, choć powracały nieraz.

Teraz przywołał je widok Igi.

Nawet nie wiesz, jak cię rozumiem, pomyślałam. Pragnęłam opowiedzieć jej o ciąży, Marku, o tamtym czasie.

Czy jednak ona chciałaby słuchać? Powstrzymałam się.

– Cieszę się, Iga, że będziemy mówić sobie po imieniu – stwierdziłam po prostu i spróbowałam ją przytulić.

O dziwo, nie oponowała.

– Pomożesz mi wyłożyć ciasta na stół?

Edyta

Dni u Miłosza mijały błogo i spokojnie, głównie na przeglądaniu Internetu, czytaniu, pichcieniu małego co nieco na obiad i rozpamiętywaniu możliwości związanych z kolejnym wyjazdem do Alicante. Juan nie pozwalał o sobie zapomnieć, śląc zachęcające mejle. Nie wspominałam o nich Miłoszowi, bo czułam przez skórę, że nie byłby zachwycony.

Jakkolwiek nie wyrażały one wprost uczuć mojego Hiszpana ani nie niosły ze sobą żadnych deklaracji, to jednak nie można było zaliczyć ich do przyjacielskich. Juan potrafił uderzać w czułe struny i zręcznie przypomnieć miłe chwile, w czym pomagał mu język, ognisty jak czerwona sukienka tancerki flamenco. I chociaż zdawałam sobie sprawę, że jeśli południowiec pisze, że kocha, nie zawsze musi oznaczać to miłość na całe życie, a jedynie chwilowe zauroczenie czy pasję, to jednak czułam się dowartościowana. Jak każda kobieta. A może nawet więcej? Bo jak zareagować inaczej na wyznanie, że nigdy nie brakowało mu nikogo tak jak mnie? Że tęskni, składa ręce do Boga, żebym przyjechała jak najszybciej? Że nie zauważa słońca, które świeci dla innych ludzi, ponieważ jego świat pograżył się w mroku?

Może było to trochę egzaltowane, ale jakże przyjemne!

Codziennie przeglądanie poczty, jedno z najchętniej wykonywanych ostatnio przeze mnie zajęć, przerwał mi dochodzący z przedpokoju głos Miłosza.

– Kochanie, jestem! Może wybierzemy się dzisiaj na pizzę? – usłyszałam. – Dostałem od firmy dwa vouchery.

Musiałam przyznać, że trafił na dobry moment. Zapamiętałam się w przeglądaniu zdjęć z Hiszpanii i nie zdążyłam pomyśleć o obiedzie.

– Jak minął dzień? – zapytał Miłosz przy stoliku w pobliskiej knajpce, którą zwykle wybieraliśmy, pragnąc uraczyć się doskonałą capriciosą.

Domyśliłam się, że próbuje dowiedzieć się, czy znalazłam pracę. Cóż, siedziałam mu na głowie (i nie ukrywając, w kieszeni) od ponad trzech tygodni, czego mi nie wypominał. Jeżeli w ogóle podejmował temat, to jedynie dla mojego dobra.

– Może powinnaś zacząć masować – zachęcał, obawiając się, że mój pobyt w Gdańsku jest tylko chwilowy i wkrótce pogna mnie gdzieś dalej.

Miał rację. Bujałam w obłokach, bycząc się na jego kanapie, odreagowując pensjonat, marząc o podróżach. Nie po to jednak wyfrunęłam spod skrzydeł mamy, by wpaść w kleszcze ramion Miłosza. On rozumiał to doskonale, a nawet jeśli nie, wyczuwał niebezpieczeństwo. Nie ukrywam, że wykorzystywałam sytuację, wdzięczna mu jak nie wiadomo co, ale zdawałam sobie sprawę, że nie będzie ona trwała wiecznie. Czas samodzielności zbliżał się wielkimi krokami.

Dałam sobie jeszcze kilka tygodni, do stycznia. Przed świętami Bożego Narodzenia, które przypadały za czternaście dni, i tak żaden pracodawca nie byłby zainteresowany zatrudnieniem nowych pracowników.

– Proszę zadzwonić po Nowym Roku – odpowiadano na moje telefony i mejle z CV, które wysyłałam przy okazji surfowania po Internecie.

– Dzień jak co dzień – odparłam. – Dostałam zaproszenie na ślub pani Wiesi i pana Stefana. –

Ożywiłam się, przypomniawszy sobie fakt godny uwagi.

– O! Kiedy sobie ślubują?

– Pierwszego dnia świąt. Też jesteś zaproszony.

Miłosz podziękował, nie pytając, dlaczego informuję go tak lakonicznie.

Temat Krynicy zaliczał się do drażliwych. Od mojego przyjazdu do Gdańska pomiędzy mną a mamą nastąpiła cisza na łączach. Nie odbierałam telefonu.

Ostatnie połączenie od niej odnotowałam, kiedy próbowała poprzez Maję złapać mnie trzy tygodnie temu.

Majka podpadła mi, bo nie dotrzymała słowa. Miała się nie wygadać, gdzie jestem, niestety, zrobiła to przy pierwszej nadarzającej się okazji. Nie rozmawiałam z nią kilka dni, ale w końcu wybaczyłam. Tym bardziej że mama nie zrobiła użytku z informacji i nie poszukiwała mnie u Miłosa.

Chociaż musiała być wściekła, co przez jakiś czas smakowałam z satysfakcją. Wreszcie zrozumiała swój błąd i odczepiła się ode mnie!, myślałam. A mimo to, teraz, w kontekście zbliżających się świąt i braku kontaktu z domem, zaczynałam czuć się nieswojo. Nie wiedziałam, czy Iga zamieszkała w pensjonacie ani co porabia mama. Jak się układa wszystkim? Kartonik z zaproszeniem na ślub nie dał odpowiedzi na piętrzące się wątpliwości.

– Chętnie pojadę. A ty? – Miłosz zadał mi proste pytanie, na które nie potrafiłam znaleźć równie prostej odpowiedzi.

– Ja? No wiesz, Wiesia i Stefan zawsze byli mi bliscy. Cieszę się, że im się ułożyło. – Zrobiłam unik.

W oczach Miłosa wyczytałam chęć kontynuowania tematu. Wiedziałam, że chce zapytać o mamę i nasze kontakty, ale się nie odważył.

– Ja również. Miło będzie spotkać się ze wszystkimi. Musimy pomyśleć o prezencie.

– Aha. A zmieniając temat, napisała do mnie Michalina. – Wywinęłam się od niebezpiecznego tematu.

– O! – zainteresował się. – Przyjeżdża na święta?

– Nie wiem, ale to całkiem prawdopodobne. Być może załatwi mi pracę w swoim hotelu. W lutym albo w marcu.

– Chcesz jechać? – zapytał Miłosz, z trudem ukrywając zawód.

– Zastanawiam się. Muszę coś ze sobą zrobić. Nie mogę już dłużej siedzieć ci na głowie.

Miłosz wsparł brodę na dłoniach. Spojrzał mi w oczy.

– Nie siedzisz mi na głowie – powiedział spokojnie. – A teraz posłuchaj mnie i nie przerywaj przez chwilę. Może byś pomyślała o studiach?

Spróbowałam zaoponować, ale nie dopuścił mnie do głosu.

– Wiem, co o mnie myślisz – ciągnął. – Że jestem jak twoja matka. Trudno, jeśli wydam ci się ramolem czy innym tatusiem. Edyta! Musisz podjąć studia! Jesteś mądrą dziewczyną, perfekcyjnie znasz hiszpański. Dżisus, cały świat przed tobą! I masz mnie. Ale studia zrób dla siebie.

Miał szczęście, że nie trafił na mój psychiczny dołek. Bo chociaż od czasu do czasu łapała mnie tęsknota za domem i poczucie przeciekającego przez palce czasu, to jednak propozycja Juana, którą włożyłam w usta Michalinie, pozostawała aktualna. W lutym mogłam jechać do Alicante, znaleźć pracę i nie myśleć o studiach. Zła byłam na Miłosa, który mierzył wszystkich swoją miarą. Mnie również chciał stworzyć na swój obraz i podobieństwo.

Szkoda, że nie spotkali się z mamą ileś tam lat temu. Byliby wspaniałą parą!

– Żebyś wiedział, że jesteś ramolem czy innym tatusiem! – Gwałtownie wstałam od stolika. – Nie będziesz mi mówił, co mam robić! To, że jesteśmy razem, nie daje ci prawa do decydowania o moim życiu. Wyprowadzam się!

Nie zważając na jego protesty, wybiegłam z pizzerii. Za zakrętem ukryłam się w bramie. Po jakimś

czasie rozejrzałam się po okolicy. Miłosza nie było.

Zadzwoiłam do Mai.

– Przechowasz mnie przez kilka dni? – spytałam wprost.

– Tak. Co się stało?

– Będę za godzinę. Wszystko ci wytłumaczę – odparłam i się rozłączyłam.

Czekało mnie jeszcze spotkanie z Miłoszem u niego i spakowanie rzeczy.

Być może zrobiłam kolejną głupotę. Opuściłam kolejną bliską osobę, ale po prostu nie mogłam inaczej.

Urszula

Minęły trzy tygodnie od wyprowadzki Edyty. Znałam narwany charakter mojej córki, ale w najśmielszych oczekiwaniach nie spodziewałam się, że zamilknie jak grób.

Poszłam za radą Lidki i również przestałam dzwonić. Nie próbowałam naruszać prawa Edyty do samodzielności, choć Bóg mi świadkiem, że nie przyszło mi to łatwo. O ile na początku godziłam się z faktem, że musi ochłonać po rewelacjach na temat Igi i mojej dawnej ciąży, przetrwać je i dojrzeć do rozmowy, o tyle po jakimś czasie coraz częściej spoglądałam na ekran komórki, zaniepokojona ciszą na łączach.

Miłosz okazał się lojalny wobec Edyty. Kiedy po tygodniu do niego zadzwoniłam, wywinął się od odpowiedzi.

– Pani Urszulo, mogę pani jedynie powiedzieć, że mieszkamy razem, ale wolałbym nie mediować między matką a córką. Musicie porozumieć się we własnym zakresie – zakończył rozmowę.

Uspokojona, że moje dziecko nie mieszka pod mostem, postanowiłam poczekać na kontakt. Edyta wiedziała, gdzie mnie szukać, a ja nie wyrzuciłam jej krzywdy aż tak wielkiej, by nie mogła mi wybaczyć. Chyba tylko taką, że przeżyłam jej ukochaną babcię i ojca...

Na szczęście, od chwili gdy w pensjonacie pojawiła się Iga, moje złe chwile i dołujące nastroje nie trwały zbyt długo. Decydując się na przyjęcie córki Daniela, nie zdawałam sobie sprawy, jak jej obecność ożywi moje puste jesienne dni.

Pierwsze dobre wrażenie, jakie odniosłam spotkawszy ją w mieszkaniu Daniela, trwało nadal. Iga idealnie przystosowała się do nowego miejsca, przed którym nie próbowała się bronić.

Wówczas, po wstępnej prezentacji, stremowany Daniel z gracją słonia w składzie z porcelaną zabrał się za parzenie kawy do szarlotki. Z kuchni dochodziły niepokojące dźwięki: upuszczonej na podłogę filiżanki i zgarniania skorupki po gatunkowej zastawie. Rozkładając w pokoju serwetki i rozstawiając talerze, zaśmiewaliśmy się z Igą z odgłosów tej niezręczności. A on się denerwował, czemu niespecjalnie się dziwiłam. W pomieszczeniu obok kręciły się dwie kobiety, z którymi do tej pory miał niewielki kontakt. Dorosła córka, która dziesięć lat temu została od niego odseparowana, i dawna koleżanka z liceum. Pewnie myślał, czy moja propozycja ugoszczenia Igi jest aktualna i czy ona zgodzi się na takie rozwiązanie do porodu.

– Wiecie co? – Przerwał nam przygotowanie stołu, znieczeka wpadając do pokoju. – Zabrakło śmietanki do kawy. Skoczę do sklepu!

I wybiegł na klatkę schodową.

– Iga, co powiesz na moją propozycję? – zagadnęłam, wykorzystując moment. – Tato ci ją przedstawił? Młoda przysiadła na tapczanie. Spojrzała na mnie poważnym wzrokiem, zgoła nie osiemnastolatki.

– Bardzo chętnie. Dziękuję bardzo, że będę mogła u ciebie mieszkać (nie zapomniła o przyjacielskiej formie!). W Warszawie, u nas w szkole... Nie miałabym życia. A nie chcę usuwać ciąży, choć radzi mi tak wiele osób.

Nie wspomniła, że jedną z nich jest jej matka.

– I co zamierzasz? – spytałam. – Chcesz wiosną robić maturę?

– Muszę. Wybieram się na medycynę – odparła z determinacją. – Dziecko ma się urodzić w połowie lipca. Dam radę.

W obliczu tak zdecydowanych planów niezręcznie było mi pytać o niedawną próbę samobójczą, a mimo to spróbowałam. Iga zrozumiała zawieszenie głosu, kiedy zaczęłam:

– Ale dlaczego w takim razie...

– To było głupie i nie miało nic wspólnego z dzieckiem – powiedziała. – Nie zrobię tego nigdy więcej.

Zarzuciłam dalszą inwigilację i zajęłam ręce krojeniem ciasta. A po chwili pojawił się Daniel z kartonikiem dwunastoprocentowej śmietanki.

– Mam! – obwieścił tonem zdobywcy, stawiając pudełko na stole.

– Siadajże wreszcie! – ponagliłam, żeby nie błąkał się dłużej po pokoju. – Chcemy ci z Igą o czymś powiedzieć.

Przycupnął na pufie, gotów w każdej chwili zwać do kuchni.

– Twoja córka zgodziła się zamieszkać w pensjonacie – powiedziałam.

Dostrzegłam w oczach mojej przyszłej lokatorki aprobatę.

Danielowi wyraźnie ulżyło. Chyba nie był facetem, który potrafi załatwiać trudne sprawy. Wzrokiem wyraził wdzięczność, że załatwiły się bez jego udziału.

W dobrych nastrojach przystąpiliśmy do jedzenia, przy okazji omawiając techniczne szczegóły pobytu Igi w Krynicy. Przyznam, że cieszyłam się na obecność tej energicznej osobki w moim otoczeniu, zwłaszcza dlatego że listopadowe słoty za oknem sprzyjały depresji, a Edyta wyjechała bez słowa. Jakkolwiek pani Wiesia i pan Stefan wspierali mnie, jak potrafili, swoją żywotnością i sprawiali, że nie czułam się w domu jak w grobie, podskórnie potrzebowałam świeżego oddechu. Ucieczki przed kolejną falą depresji. Ganianie za wiarołomnym mężem Lidki nie nastrajało optymistycznie. A niańczenie jej w pensjonacie nie odpowiadało mi zupełnie.

Od pamiętnej śledczej wyprawy moja przyjaciółka nosiła się z zamiarem wyprowadzki z domu i zainstalowania u mnie. Nie miałam pewności, czy pani Wiesia właśnie nie przygotowuje dla niej gościnnego pokoju. Oczywiście, przytuliłabym ją, bo jak inaczej, choć bez przekonania o winie Kazika.

Teraz we trójkę postanowiliśmy złapać byka za rogi i bez zbędnych ceregieli przepakować bagaże Igi do mojego samochodu i zabrać ją do Krynicy.

Pani Wiesia czekała na mój telefon.

– Przyjeżdżamy – zadzwoniłam do niej po rozmowie z Danielem i Igą. – Lidka się odezwała?

– Nie. Ale Stefan spotkał ją w sklepie. Pytała, kiedy wracasz.

– Zatem pani Wiesiu, tak jak się umawialiśmy. Iga zatrzyma się w zielonym pokoju. Tylko niech pani nie zarobi się w kuchni – poprosiłam. – Przywieziemy pizzę.

– Nie obrażaj mnie, Uluś! – Uniosła się gospoia. – Robię placki ziemniaczane.

Jej słowa ukłuły mnie w samo serce. Placki ziemniaczane, ulubiona potrawa Edyty. Czyżby chciała poruszyć czułą strunę?

Nie dałam się sprowokować.

– Świetnie. Dziękuję, pani Wiesiu. Będziemy wieczorem.

Zapakowałyśmy się z Igą do samochodu. Wcześniej pożegnałam się z Danielem, który za kilka godzin rozpoczynał w szpitalu dwudziestoczworgodzinny dyżur. Obiecaliśmy sobie spotkanie w Krynicy, gdy tylko nieco odsapnie.

Ruszyłam do domu, gdzie czekały już pyszności i ramiona pani Wiesi.

Mimo że obawiałam się przyjęcia domowników, okazało się miłe.

– To ty jesteś tą młodą osobą, która będzie z nami mieszkać? – Gospoia powitała Igę serdecznie. – Chodź, pokażę ci pokój. – Machnęła ręką w kierunku schodów na górę.

Byłam jej wdzięczna, że przyjęła córkę Daniela jak rodzinę, choć nie potrafiła przeboleć wyjazdu Edyty. Dziękuję, pani Wiesiu!

Iga zaaklimatyzowała się fantastycznie. Jej zdolności adaptacyjne wzbudziły mój nieklamany zachwyty. Lawirując między mną, Wiesią i Stefanem, zarażała dobrym słowem, doceniała każdy gest. Po prostu cieszyła się, że z nami mieszka.

Zastanawiałam się, co jest nie tak. Obserwowałam, czy jej spontaniczna radość nie zwiastuje narastającej depresji. Jednak kolejne dni nie przynosiły pogorszenia nastroju, a wręcz przeciwnie. Iga włączyła się do pomocy w domu. Szeptala po kątach z Wiesią. Nie miała nawet nic przeciwko rozmowom ze mną.

Ustaliliśmy, że od przyszłego semestru pójdzie do liceum w Nowym Dworze, w którym moja koleżanka Joaśka załatwiła jej miejsce w klasie maturalnej. Przekonałyśmy Daniela, aby kupił córce samochód na dojazdy, bo po co ma być uzależniona od kursowania lokalnych autobusów? Zaplanowałyśmy rozkład korepetycji przed maturą, które miały zwiększyć szansę dostania się na medycynę.

Nie minął tydzień, a Iga zadomowiła się u nas na dobre. Kolejne dwa tylko utwierdziły mnie w tym przekonaniu. Daniel przyjeżdżał do Krynicy w każdej wolnej chwili, pani Wiesia witała go jego ulubionymi wieprzowymi polędwiczkami w sosie musztardowo-miodowym. Ja natomiast wypatrywałam jego samochodu za zakrętem. I coraz mocniej tęskniłam, gdy nie mógł się pojawić, bo miał nagły dyżur.

Dzisiejszego ranka uświadomiłam sobie, że do świąt pozostały zaledwie dwa tygodnie, a Edyta wciąż milczy. Zwierzyłam się pani Wiesi.

– Nie wiem, co robić. Edyta nie dzwoni.

– Wysłaliśmy jej zaproszenie na ślub – odparła wymijająco. – Może przyjedzie? Wiem, że ci przykro – dodała po chwili. – Ale może jeszcze raz spróbujesz się z nią skontaktować? – Spuściła oczy. – Młodzi są porywczy.

– Nie odbierze.

– Nie dowiesz się, jeżeli nie spróbujesz. Powinna poznać Ige. Polubią się.

Zmroziło mnie. Porozumienie pomiędzy Edytą a Igą było tak prawdopodobne, jak połączenie wody z ogniem.

– Pomyślę o tym – zgodziłam się dla świętego spokoju, nie chcąc kontynuować dyskusji.

Faktycznie, powinnam sprawić, żeby Edyta przyjechała na ślub.

Bo poza wszystkim bardzo się za nią stęskniłam.

Edyta

Nie mogę cię przechować, Edytko. Przykro mi.

Tym stwierdzeniem Maja ugodziła mnie w samo serce.

– Nawet do jutra? – Próbowałam ugrać choć jedną noc.

– Sorry, ale do Anety przyjechał jej chłopak. A ja zgodziłam się przeprowadzić na kilka dni do koleżanki – wyjaśniła sytuację. – Poza tym czeka mnie kilka kolokwiów, do których muszę się przygotować. Zero możliwości manewru. Ale powiedz, co się stało, że szukasz mety? Posprzeczałicie się z Miłoszem?

Machnęłam ręką na wyjaśnienia i ukierunkowałam umysł na wykoncypowanie planu B.

Powrót do Miłosza i kajanie się za impulsywną decyzję o wyprowadzce nie wchodziły w rachubę. Chociaż złość na niego powoli zaczęła mi przechodzić, a wizja powrotu do przytulnego pokoju i zasypiania w poczuciu bezpieczeństwa nęciła, honor nie pozwalał mi się ugiąć. Słowo się rzekło.

– Trudno, Majka. Poradzę sobie – odparłam. Nie zamierzałam wypłakiwać się na niczym ramieniu. – Nie ma sprawy – zakończyłam, ucinając kolejne pytania.

Na ulicy przed domem Mai zabrałam się za przeglądanie kontaktów w komórce, w poszukiwaniu osób, u których mogłabym znaleźć schronienie. Delikatnie mówiąc, nie było ich wiele. Spenetrowałam książkę adresową od A do Z, pod którą to literą figurowała ciocia Lidka Zaniewska.

Olśnienie! Ciotka pomoże mi z pewnością! Do tego jeszcze ugości. A przede wszystkim pogada.

Niezwłocznie wyklikałam jej numer. Lecz musiałam kilkukrotnie ponawiać próby połączenia, aby wreszcie usłyszeć jej głos.

– Halo? To ty, Edytko?

Dawno nie ucieszył mnie tak czyjś głos w słuchawce. Starając się zachować pogodny, niezdradzający kłopotów ton, przedstawiłam swoją sytuację. Że posprzeczałam się z Miłoszem i chciałabym na kilka dni zatrzymać się u niej, zanim nie otrzymam pierwszej wypłaty z pracy, którą niebawem podejmę, a która pozwoli mi wynająć pokój w Gdańsku.

Więc gdyby ciocia mogła mnie przyjąć, byłabym wdzięczna...

Cisza w komórce zwiastowała kłopoty. Wiedziałam, że ciotka jest lojalna wobec mamy, niemniej jednak, mając na względzie nasze wcześniejsze dobre relacje, liczyłam na przychyłność.

Niestety, czekał mnie kolejny zawód. I kolejna odmowa.

– Kochanie, nie mogę cię przyjąć, ponieważ nie mieszkam teraz w domu – odpowiedziała niemal szeptem. – Jestem u Ulki w pensjonacie.

– Ale dlaczego? – wyrwało mi się.

– Chodzi o Kazika... Zresztą nieważne. Po prostu na jakiś czas musiałam się wyprowadzić. Co najmniej do świąt.

Zamilkłam. Moja ciotka Lidka i wyprowadzka z domu? To nie mieściło się w głowie!

Szukałam słów, by zapytać, pocieszyć, wyrazić zainteresowanie. Ale żadne nie przychodziły do głowy.

Z pomocą przyszła mi sama ciotka.

– Przyjeżdżaj do Krynicy. Mama czeka na ciebie.

– Ciociu...

– Mówię poważnie.

Przerwałam dyskusję prowadzącą w niebezpieczne rewiry, i spróbowałam polubownie. Obiecałam, że odezwę się w wolnej chwili. Kolejne próby nawiązania do mamy zbyłam milczeniem i pożegnałam się pośpiesznie.

Nie chciałam przyznać, że tęsknię i ja.

Stojąc w bramie pod blokiem Mai, głowiłam się, w którą stronę się udać. Ciekawe, ile grosików zostało mi jeszcze na koncie? Bo te kilka złotych w portmonetce wystarczy na kawę w pobliskiej knajpce, do której weszłam zmarnięta na ciele i duszy.

– Poproszę o kawę z ekspresu – złożyłam zamówienie u kelnera.

Przez i-Pada weszłam do banku.

O dziwo, konto nie okazało się puste. Cieszyło oczy tysiącem złotych wpłaconym kilka dni temu przez mamę. A zatem miałam na hotel. Wystarczyło przepatrzyć co tańsze oferty, odebrać rzeczy od Miłosa i zacząć się na dzień czy dwa. A potem pomyśleć co dalej. Bo oczywiście praca, o której wspomniałam ciotce Lidce, nie istniała. Istniałam tylko ja, samotna w osiedlowej kawiarence.

Raz jeszcze przejrzałam portmonetkowe zasoby i znalazłam zabłąkanego w jednej z przegródek pięćdziesiątka. Dla animuszu zamówiłam kieliszek wina, po nim drugi.

Nalewają stanowczo zbyt mało, stwierdziłam.

Wnętrze kafejki zaczęło się zapełniać. Piątkowy wieczór przyciągnął pary i grupki osób spragnionych relaksu i zabawy po kolejnym nudnym tygodniu. Kelnerzy kręcili się wokół stolików, przyjmując kolejne zamówienia, w tym moje, które przestałam kontrolować. Wino poprawiło mi humor. Muzyka stawała się coraz głośniejsza. Zaczęłam ruszać się na krzesło w jej takt.

– Może zatańczymy? Wojtek jestem.

Na dźwięk tak sympatycznej propozycji przystojnego bruneta poderwałam się i spojrzałam w stronę parkietu obłożonego przez rozbawionych gości.

– Czemu nie? – odparłam.

Wykonałam slalom pomiędzy stolikami, prowadzona przez partnera, i oddałam się energetycznym wygibasom, które z czasem uspokoiły się nieco, by po północy rozleniwzić się namiętnie.

Parki bujały się na parkiecie, a ja nie odmawiałam Wojtkowi kolejnych kieliszków wina.

– Chodź, usiądziemy – dotarł do mnie jego głos.

W końcu chwiejnym krokiem dotarłam z powrotem do stolika i z trochę zbyt dużym impetem opadłam na krzesło. W głowie miałam helikopter, w nogach watę.

Żeby usłyszeć, co mówi do mnie mój przygodny partner, musiałam się skoncentrować. Lecz wreszcie dotarło do mnie, czego chce ten człowiek, którego nie znałam, chociaż przebalowałam z nim cały wieczór.

– Zamówiłem nam po jeszcze jednym drinku. A potem zapraszam cię do siebie – oznajmił i podał mi kolejny kieliszek.

– Okej – odparłam. – Zaraz wracam.

Tknięta ostatnim przecuciem przed utratą jasności myślenia wstałam od stolika i skierowałam się do łazienki, dla niepoznaki posyłając Wojtkowi całusa.

Nie miałam zamiaru spędzać nocy z przypadkowym facetem, nawet jeżeli nocleg miałby być za friko. Miłosz nie pisał, Maja nie mogła mnie przyjąć, mama przesłała mi pieniądze bez słowa. A ja właśnie uciekałam przed gościem, którego nie miałam zamiaru poznawać bliżej.

Pozostało mi znaleźć drogę do wyjścia.

Idąc do łazienki, obejrzałam się za siebie. Wojtek zajęty był rozmową z kumplem i nie spoglądał

w moją stronę. Podeszłam do drzwi wejściowych, otworzyłam je i drżącą ręką wystukałam numer radiotaxi. Podałam adres.

– Za rogiem, przy śmietniku – poinformowałam, znalazłszy miejsce niewidoczne z kafejki. – Kiedy będziecie?

Taksówka podjechała, zanim zdążyłam schować komórkę do torby.

– Dokąd? – zapytał kierowca, gdy usadowiona na tylnym siedzeniu nie odzywałam się zbyt długo.

Podjęłam decyzję.

– Krynica Morska. Pensjonat „Z morskiej piany”, proszę.

Urszula

Siedziałam jeszcze przed komputerem, pisząc kolejny, piąty już rozdział książki, kiedy zegar w salonie wybił północ.

Jak na nowicjuszkę szło mi całkiem nieźle. Jutro miałam w bibliotece wolne, więc postanowiłam wytrwać jeszcze trochę.

Nowe zajęcie doskonale zapełniało pustkę po Edycie, zaprzatając myśli i kierując emocje w stronę fikcyjnego życia tworzonego na kartach powieści. Fikcyjnego, oczywiście, do pewnego stopnia, gdyż zarówno główna bohaterka Julia, jak i jej rodzice sporo cech i zachowań przejęli ode mnie i mojej rodziny.

Daniel, którego uczyniłam recenzentem pierwszych rozdziałów, chwalił mnie za wiarygodność postaci. Choć prawdę mówiąc, dziwił się, skąd przyszedł mi do głowy pomysł z nastolatką w ciąży. Na własny użytek doszedł do wniosku, że zainspirowała mnie sytuacja Igi.

Nie wyprowadzałam go z błędu, czekając na właściwy moment. Mimo że chodziliśmy do jednej klasy, nie wiedział o mojej wpadce i jej niefortunnym zakończeniu. Lidkę, która wprowadziła się do nas po burzliwej rozmowie z Kazikiem, poprosiłam w tej kwestii o dyskrecję. Pani Wiesi i pana Stefana byłam pewna bez proszenia.

Jako że pomysł stworzenia powieści rodził się przez wiele lat, często myślałam, jak zabrać się do jego realizacji. Wykorzystując wolny czas w bibliotece, z zainteresowaniem czytywałam wywiady z pisarzami, wyławiałam ich spostrzeżenia dotyczące warsztatu, robiłam notatki, jeździłam na spotkania autorskie, chłonąc każde słowo człowieka, któremu udało się popełnić i wydać książkę, co stanowiło dla mnie czyn godny zdobycia Mount Everestu. Fiszki z notatkami chowałam do pudełka obok ciuszków Tomka i wypisu ze szpitala.

Nareszcie dojrzałam, żeby przyjrzeć im się ponownie. Odczytać, przemyśleć i zrobić z nich użytek.

Przyznam jednak, że gdy klamka zapadła, z gromadzonych przez lata zapisków skorzystałam niewiele. Po prostu pewnego dnia zasiadłam przed komputerem i zaczęłam pierwszy rozdział. Narodziły się: Julia, trzydziestopięcioletnia bohaterka, i jej niemal osiemnastoletnia siostra Klara, które właśnie w wypadku samochodowym straciły rodziców...

Już w jednym z pierwszych rozdziałów czytelnik został poinformowany, że w rzeczywistości Klara jest córką Julii, o czym miała się dowiedzieć od rodziców po osiągnięciu pełnoletności. Ci, niestety, zginęli, więc ciężar przekazania wiadomości spoczął na barkach Julii, która niegdyś zgodziła się oddać Klarę rodzicom. A teraz, po latach bardzo tego żałowała.

Nie wiem, skąd mi przyszła do głowy taka właśnie fabuła ani dlaczego uśmierciłam rodziców obu „sióstr”. Niemniej jednak dobrze się stało, ponieważ pisanie kolejnych rozdziałów nie przysparzało mi kłopotów. Słowa spływały spod palców, wypełniając strony wordowskiego pliku. Bohaterów przybywało, więc zaczęłam sporządzać zapiski, by nie ugrzęznąć w gąszczu zdarzeń i ludzi. Pracowicie wypracowywałam własny amatorski warsztat i styl. Codziennie wieczorem, po wcześniejszej kolacji, siadałam przy biurku i z przyjemnością otwierałam komputer, klikając w plik roboczo zatytułowany *To wszystko przez ciebie*. Oddawałam się wspomnieniom tamtego pamiętnego roku, kiedy omal nie zostałam

matką.

Treści przybywało.

Piąty rozdział zbliżał się do końca. Z zapamiętaniem wystukiwałam ostatni akapit.

Matka Julii tłumaczyła jej właśnie, że nie można zatracać się w żałobie po tragicznej śmierci ojca Klary, Leona.

„Daj sobie spokój”, napisałam. „Tak jak jest, jest dobrze, uwierz. Jeszcze kiedyś mi za to podziękujesz. Rozumiem, dziecko, że kiedy on nie żyje, a my zostaliśmy z problemami, wszystko widzisz w czarnych barwach, ale to minie. Wszystko się ułoży. – Poderwała się z krzesła. – Chodź zobaczyć, czy Klarus się nie odkryła. A potem zrobimy kolację”.

Stawiając kropkę po ostatnim zdaniu, z trudem powstrzymałam łzy. Współczułam Julii, która nie dość że została pozbawiona dziecka przez własnych rodziców, to jeszcze straciła ukochanego. Ja lata temu miałam przy sobie przynajmniej Marka.

Jej nikt nie mógł pomóc – Klara została dzieckiem swoich dziadków, Julia zaś musiała zacząć żyć, jak gdyby nic się nie stało. Ktoś mógłby powiedzieć, że na własne życzenie. I pewnie by się nie pomylił, gdyby życie było proste, a człowiek nie posiadał funkcji myślenia.

Gdyby Tomek nie urodził się martwy, też miałabym podobny problem, dumałam, kiwając się na krześle, zapatrzona na podjazd przed pensjonatem, nad którym górowały pozbawione liści gałęzie klonu i smukłe sylwetki wiecznie zielonych świerków. Tak samo jak Julia przetrwałabym ciężę u ciotki, urodziła, oszukała otoczenie, oddała mamie dziecko. Złapałam się na tym, że myślę o swojej bohaterce jak o żywym, istniejącym bycie, kobiecie z krwi i kości, od której mogłabym się wiele nauczyć, chociaż w swojej wyobraźni nie zaplanowałam jeszcze, jak postąpi dalej. A gdyby tak..., zaczęłam myśleć nad dalszym ciągiem.

I jednocześnie dostrzegłam podjeżdżającą taksówkę, z której z trudem wytoczyła się moja córka.

Natychmiast porzuciłam komputer i zbiegłam na dół.

– Pomogę ci! – Podtrzymałam Edytę, która niezbyt pewnie trzymała się na nogach. – Ile płacę? – spytałam taksówkarza. – Zaczeka pan? Zaraz ureguluję – dodałam, odprowadzając dziecko do domu i pośpiesznie szukając portmonetki.

O żadnej rozmowie z moją córką nie mogło być mowy. Szczęśliwa, że domownicy już śpią lub dyskretnie nie wychodzą ze swoich pokoi, zaprowadziłam Edytę do jej sypialni i zapakowałam do łóżka.

Mimo okoliczności kładłam się spać spokojna, że ona śpi obok. Wszystkie niedopowiedzenia da się załatwić w najbliższym czasie. Nie myślałam o Idze, Lidce ani o żadnych innych sprawach. Cieszyłam się z obecności dziecka, chociaż dawał o sobie znać lekki dreszcz obawy, co dalej.

Niepotrzebnie. Rankiem Edyta powitała mnie jajecznicą w kuchni, do której trafiłam około dziesiątej rano, robiąc sobie wyrzuty z powodu tak długiego spania.

– Na boczku czy na maśle? – zapytała, jak gdyby nie było poprzedniego dnia, taksówki, „drobnej” alkoholowej niedyspozycji.

Postanowiłam pozostać w konwencji.

– Na boczku, jeśli można. Znalazłaś w lodówce wędzony?

– Mhm. Przyjechałam na trochę. Mogę zostać? – Zbyła moje pytanie milczeniem.

Równie naturalnie odpowiedziałam, że oczywiście.

– Nie musisz pytać. Tu jest twój dom.

Do kuchni ściągnęły pani Wiesia, Lidka i Iga. A ja spodziewałam się awantury. Oczami wyobraźni widziałam, jak Edyta ulatnia się do siebie, pozostawiwszy za sobą kilka nieprzyjemnych słów skierowanych do córki Daniela. I siebie między nimi dwiema, z poczuciem bezsilności.

Nic takiego się nie stało.

Moja córka przywitała się z Igą, wyściskała Wiesię, machnęła ręką Lidce, nie wyrażając zdziwienia jej pobytom.

– Zostanę z wami do świąt. Pani Wiesiu, tak się cieszę z waszego ślubu! Gdzie jest pan Stefan? Pewnie w szklarni? – dopytywała, choć wiedziała, gdzie nasz ogrodnik spędza większość czasu. – Też bym chciała go uściskać.

– Wczoraj pojechał jeszcze coś załatwić ze swoją rodziną...

Nie umknęło mojej uwadze, że swoją aktywność Edyta rozkładała na Wiesię i Lidkę, którą zaczęła wypytywać o samopoczucie i wyrażać zadowolenie z powodu spotkania z ciotką. Igę pomijała, starając się nie spoglądać w jej kierunku.

Poczułam, że muszę zadziałać i pod byle pretekstem wyciągnęłam Lidkę z kuchni. Wiesia zrozumiała bez słów. Odwiesiła fartuch na haczyk i zaczęła się zbierać.

– Muszę iść porozmawiać z księdzem o dekoracji kościoła na ślub – zakomunikowała, wycofując się dyskretnie.

Edyta z Igą zostały same.

Porwałam Lidkę do swojego pokoju i usadziłam na łóżku.

– Sądzisz, że się dogadają? – zapytałam pełna obaw.

– Nie wiem. Byłoby dobrze.

– No.

Czekałam, nasłuchując podniesionych głosów, trzaskających drzwi, oznak braku porozumienia.

Nic takiego nie nastąpiło.

Wreszcie postanowiłyśmy z Lidką opuścić moją sypialnię i bez względu na to, co zastaniemy na dole, zaparzyć sobie kawę.

Iga z Edytą siedziały w fotelach i spokojnie rozmawiały przy filiżance herbaty.

Miałam nadzieję, że żadna z nich nie zauważyła mojego oddechu ulgi, który wypełnił całą przestrzeń salonu. A przynajmniej takie miałam wrażenie.

– Potrzeba wam czegoś? – zapytałam, jednocześnie wskazując Lidce wyjście.

Chciałam ponownie zostawić dziewczyny same, skoro tak dobrze im szło.

– Możesz mi kupić dezodorant i szczoteczkę do zębów? – zwróciła się do mnie Edyta, a ja, szczęśliwa, odpowiedziałam, że owszem.

Kupiłam jej dwa dezodoranty i cztery szczoteczki! Z radości, że jest i nie wyjedzie za godzinę z powodu Igi.

Edyta

Obudziłam się w nocy, nie mając pojęcia, gdzie jestem.

Firany w ciemne koła przypominały mi te z domu. A kiedy wzrok przyzwyczał się do ciemności, dostrzegłam stojący w kącie stary sekretarzyk po babci i lampę z Ikei, zwieńczoną białym papierowym abażurem, nabrałam pewności, że leżę we własnym łóżku w Krynicy.

Niestety, próby przypomnienia sobie, jak się tutaj znalazłam, w pierwszej chwili spełzły na niczym. Usiadłam gwałtownie i odrzuciłam kołdrę, która nagle zaczęła mnie parzyć. Moja głowa pękała z bólu, czoło pokrywał pot.

Boże święty, urwał mi się film!, skonstatowałam z przerażeniem. Chyba jechałam taksówką...

Wysiłek umysłowy zaczął przynosić rezultaty.

Z knajpy!, doznałam olśnienia. Co ja tam robiłam?

Miałam nadzieję, że nie narozrabiałam za bardzo.

Otworzyłam okno i z poczuciem wdzięczności do mamy sięgnęłam po stojącą przy łóżku półtoralitrową butelkę mineralnej, która przecież nie przywędrowała sama. Świeże mroźne powietrze i życiodajny płyn pomogły mi wygrzebać z odmętów niepamięci fakty minionego wieczoru.

Pokłóciłam się z Miłoszem. Tylko o co?

Tego nie pamiętałam.

Mając nadzieję, że może esemesy rozświetlą nieco sprawę, odnalazłam komórkę, na której nie było jednak żadnej wiadomości. Odczytałam za to kilka nieistotnych reklam i przeprosiny Mai, że nie mogła mnie przygarnąć pod swój dach.

A zatem musiałam wyprowadzić się od Miłosza. Jasna cholera! Dlaczego jestem taka narwana?, robiłam sobie wyrzuty, płonąc ze wstydu. Przecież on nieba by mi przychylił!

Mimo nieodpartej chęci, by natychmiast połączyć się z nim i wyjaśnić sprawę, odłożyłam telefon. Była czwarta nad ranem.

Kojarzyłam coś mgliście, że poszło o moje studia...

Kiedy w pokoju zapanował przenikliwy chłód, przymknęłam okno i wsunęłam się pod kołdrę. Sen jednak nie nadchodził. Obmyślałam plan na jutro, mając nadzieję, że nikt z domowników, poza mamą, która musiała mnie rozebrać i zaopatrzyć w wodę, nie oglądał mnie w takim stanie.

Najlepiej będzie nie wracać do tego, co się stało, i zachowywać się normalnie, postanowiłam, nastawiając budzik na ósmą.

Planowałam zaskoczyć wszystkich dobrym samopoczuciem i odwdzińczyć się мамie przygotowaniem śniadania. Uspokojona, szybko zapadłam w sen.

Poranek przywitał mnie ciszą. Zajrzałam po cichutku do maminej sypialni. Spała.

Dochodziła dziewiąta. Powinna chyba być już w bibliotece?, zdziwiłam się.

Chyba że coś się zmieniło w ciągu minionych trzech tygodni, kiedy nie miałyśmy kontaktu, uświadomiłam sobie ze wstydem.

Zeszła z góry godzinę później, ale nawet słowem nie nawiązała do wczorajszego dnia. Z zadowoleniem przyjęła propozycję zjedzenia jajecznicy, zapewniła, że mogę zostać, ponieważ tu jest mój dom. Nie

pytała o nic. Wkrótce ściągnęły pani Wiesia i ciocia Lidka, a tuż za nimi ta młoda Iga. A więc jednak zamieszkała w pensjonacie!

Poczułam nagły przyływ zazdrości. Mama szybko pocieszyła się po moim wyjeździe, przyjmując pod dach kolejną „córeczkę”. Mimo to szybko opanowałam niezdrowe emocje i ustawiłam się do pionu, postanawiając najpierw wybadać sytuację. Może rzeczywiście Daniel, jak sugerował Miłosz, płaci za pobyt młodej, więc nie warto kruszyć kopii?

Po śniadaniu domownicy, usuwając się z kuchni, pozostawili nas z Igą sam na sam. Ona przygotowała mi herbatę i zaproponowała maślane ciasteczka, które upiekła wczoraj.

No tak, supercórca!, ponownie zazgrzytało mi w sercu, jednak i tym razem zachowałam spokój.

Wykorzystałyśmy ten czas na, hm, miłą pogawędkę.

O dziwo, Iga okazała się całkiem fajną i otwartą dziewczyną. Trzeba przyznać, że potrafiła zjednywać sobie ludzi, nawet nastawionych tak anty jak ja.

Na wstępie przeprosiła za zwalenie się nam na głowy i zadeklarowała, do kiedy zamierza pozostać. Planowała wyprowadzkę pod koniec września, kiedy z trzymiesięcznym dzieckiem zainstaluje się w Gdańsku i rozpocznie studia medyczne.

Nie wyobrażałam sobie, jak ona zamierza pogodzić tak absorbujące studia z opieką nad maluchem, ale na szczęście to nie był mój kłopot. W końcu kasiastego tatusia stać chyba na wynajęcie niańki?

Wypytywała, co robię, i wyraziła zrozumienie dla moich ciągot do Hiszpanii, dzielając fascynację i krajem, i ludźmi.

– Zazdroszczę ci, że znasz hiszpański – rozmarzyła się, kiedy wspomniałam o klasie językowej.

Mimo początkowych wątpliwości co do dobrych intencji, po naszej pierwszej rozmowie Iga po prostu mnie kupiła. Postanowiłam bacznie ją obserwować. Dałam sobie czas do świąt, do których nie zamierzałam opuszczać pensjonatu.

Mama i pani Wiesia przyjęły moją decyzję z radością. Nawiasem mówiąc, ja też byłam z niej zadowolona. Wbrew obawom, również Miłosz nie obraził się na mnie za moją nagłą decyzję, tylko przyjął tłumaczenie. Na szczęście wszystko udało się jakoś załagodzić.

Pozostałe do świąt dwa tygodnie postanowiłam poświęcić na przygotowania. Kroiła się przecież duża wspólna impreza, której clou miał być ślub pani Wiesi i pana Stefana.

Dwie ostatnie wigilie bez taty spędzaliśmy we czwórkę, w nastroju zgoła niewigilijnym. Mama przed dziesiątą szła popłakać do swojego pokoju, pani Wiesia z łezką w oku brała się za sprzątanie ze stołu, pan Stefan po zniesieniu talerzy do kuchni wymykał się z salonu, a ja zostawałam sam na sam z ulubionym filmem świątecznym *To tylko miłość*, przy którym zasypiałam, zanim wybiła dwunasta i dzwony w kościele na pasterkę.

W tym roku zanosilo się, że będzie inaczej. Do naszej stałej czwórki mieli dołączyć Daniel i Iga, zaproszenie przyjęli również Miłosz i ciocia Lidka, która z niewiadomych dla mnie powodów wyprowadziła się od wujka Kazika i urządziła sobie pokój na górze. Jak gdyby zamierzała pozostać w pensjonacie przez dłuższy czas.

Na pytania, co się stało, ukradkiem ocierała oczy i zniknęła z pola widzenia. Mama również nie chciała udzielić mi żadnej informacji. Trudno. Zająłam się sprawami, w których mogłam pomóc. Przyznałam się sama przed sobą, że dobrze jest się czymś zająć. Trzy tygodnie laby u Miłosza może i były miłe, ale mało inspirujące. A w pensjonacie zaczynało się dziać.

W pierwszych dniach pobytu, po odebraniu samochodu z Gdańska, wcieliłam się w rolę taksówkarza państwa młodych załatwiających ślubne formalności. Krążyłam pomiędzy kościołem, krawcową, fryzjerką i kwiaciarnią, wieczorami planując grafik ślubnych zaproszeń, zdobienie sali, menu, listę gości.

– A dzieci pana Stefana? – zapytałam mamę.

Na wstępnej liście gości mama nie uwzględniła jego rodziny.

– Nie będzie ich – ucięła.

– Okej. Ale dlaczego?

– Edytko, po prostu ich nie będzie. Najwyraźniej uważają, że wszystko, co mogli od niego dostać, już dostali. Skoncentrujmy się na sąsiadach i przyjaciółach.

Do wigilii pozostał tydzień.

Przygotowania do ślubu dobiegały końca, należało zatem się zająć oprawą domu, w czym z dużym zapałem pomagała mi Iga. Nie zastanawiałam się nad przyszłością, zajęta zdobieniem choinki do sufitu bombkami i lampkami. Ochoczo wieszałam jemiołę, a nawet pomagałam lepić pierogi z grzybami i wyrabiać uszka do barszczu.

Wieczorami, po pracowitym dniu, siadywałam z mamą i Lidką przy kieliszku nalewki pana Stefana, planując kolejne prace. Iga dyskretnie zaszywała się w swoim pokoju, przyszli młodzi znikali równie niepostrzeżenie.

W końcu ciotka nie wytrzymała i rozplakała się przy mnie.

– Edytko, jesteś dorosła, masz prawo wiedzieć, dlaczego tu jestem – zaczęła i przedstawiła mi historię romansu swojego męża. – To nie był jedyny raz, kiedy w Piaskach widziałyśmy go z tą kobietą – zakończyła, spoglądając na mamę. – Potem siedział z nią w kawiarni. I byli razem w składzie budowlanym w Nowym Dworze. Tak, tak – potwierdziła, zobaczywszy moje zdziwienie. – Nawet tam z nią dotarł. Najwyraźniej budują sobie dom. Niewielki drewniany domek za wydmą. – Popłynęły łzy.

– Rozmawiałaś z nim? – Pytanie samo cisnęło się na usta.

– Co z tego, że zaprzeczył? Powie wszystko, co chcę usłyszeć. Do czasu kiedy zdecyduje się złożyć pozew o rozwód.

Nie komentowałam. Odczuwałam coś w rodzaju przewrotnego zadowolenia, że Miłosz jest facetem pewnym i odpowiedzialnym.

Korzystając z niewielkiego zamieszania wywołanego parzeniem kawy przez obie panie, skreśliłam do niego kilka słów.

„Przygotowania do świąt i ślubu idą pełną parą. Przy stole też będzie pełno. Cieszę się na te święta i... że przyjedziesz. Kocham cię. E.”.

Nie czekał długo z odpowiedzią.

„Ja również nie mogę się doczekać. Gdyby nie robota, już byłbym z tobą. Do ucałowania pod jemiołą w wigilię. Mikołaj ma nie lada kłopot, co ci przywieźć. M.”.

„Siebie”, odpisałam.

Także Juan napisał tego wieczoru.

„Nie wiem, jak w Polsce obchodzą Boże Narodzenie. Ja zjem z ojcem rybę, a potem wybierzemy się z przyjaciółmi na miasto. Szkoda, że nie ma cię z nami, ale żyję nadzieją na spotkanie w lutym, kiedy pojawią się pierwsi goście. Wtedy Alicante się ocknie, podobnie jak ja. Całuję mocno. Nigdy o mnie nie zapominaj, bo złamiesz mi serce. To, które przesłałem ci pocztą, możesz złamać, a nawet zjeść. Ale moje czeka na ciebie tutaj. Juan”.

Wylogowałam się ze skrzynki.

Jutro miałyśmy z panią Wiesią jechać po ryby i kiszoną kapustę na bigos, a po południu kroić bakalie na piernik, keks i makielki.

Otworzyłam okno i wpuściłam do pokoju trochę świeżego powietrza. Musiałam przewentylować myśli, by położyć się spać bez rozterek.

Nie pomógł grudniowy mróz, gorąca kąpiel ani racjonalne myślenie. W łóżku marzyłam o wigilii z rodziną i Miłoszem. Niestety, gdzieś tam daleko, na horyzoncie, majaczył pensjonat w Alicante, a w nim

Juan.

Postanowiłam zatem przed snem poczytać książkę, by uwolnić głowę od natrętnych myśli, a zająć ją problemami książkowych bohaterek. Sięgnęłam po ostatnią wypożyczoną przez mamę. Nosiła tytuł *Rozważna czy romantyczna*.

Zniechęcona poważnym dylematem w tytule odłożyłam ją na półkę i zadowolłam się ostatnim numerem kolorowego pisma. Obfitowało w świąteczne przepisy kulinarne i sposoby na zdobienie choinki.

Bezpieczniejszy temat, pomyślałam, zagłębiając się w treść.

Niebawem nadszedł sen.

Urszula

Nie wiedziałam, jak dziękować Bogu za cudowny przedświąteczny czas, który zesłał na moją rodzinę. Edyta z dawno u niej niewidzianym zapałem włączyła się w domowe obowiązki, dzielnie sekundując Wiesi i Stefanowi w przygotowaniach do ślubu. A co mnie zadziwiło najbardziej, razem z Igą wzięły się do prac kuchennych. Lepiły pierogi, kleiły uszka, mieszały w garach z bigosem.

– Dogadały się! – Niezwłocznie przekazałam Danielowi radosną wiadomość, którą przyjął z ulgą.

Najwyraźniej spodziewał się bardziej pesymistycznego scenariusza.

Znając jednak charakter swojej córki, nie wybiegałam w przyszłość. Cieszyłam się każdym kolejnym pracowitym i udanym dniem, który kończyłyśmy z Lidką kieliszkiem nalewki pana Stefana. Iga po wypiciu filiżanki herbaty dyskretnie wymykała się do swojego pokoju pod pretekstem nauki, której, choć przerwała na dwa miesiące, nie zarzuciła całkowicie. Przerabiała program klasy maturalnej, który podsunęła jej Joaśka.

Byłam wdzięczna kumpeli za ulokowanie Igi u siebie w klasie od przyszłego semestru i umożliwienie jej dobrnięcia do matury. Na szczęście jako wicedyrektor liceum miała takie możliwości.

– Niech realizuje w domu program do końca stycznia – zdecydowała, przekazując Idze wymagania przedmiotowe. – Sprawdzimy, a jeśli je spełni, od półroczka będzie uczestniczyć w zajęciach ze wszystkimi.

Nie znałam Igi i nie miałam pojęcia, jak poradzi sobie z wyzwaniem. Czy będzie w stanie zmobilizować się na tyle, żeby przyswoić materiał, a potem znaleźć się w gronie rówieśników. I to wszystko z rosnącym brzuchem?

Joanna, widząc mój niepokój, uspokajała.

– Mieliśmy już podobne sytuacje – mówiła. – I wierz mi, jesteśmy tolerancyjni. Młodzież też. Nie Iga pierwsza i nie ostatnia.

Niedużo brakowało, a zaczerwieniłabym się na te słowa. Gdyby moja kumpela wiedziała, że ja kiedyś też...

Obecność Igi mobilizowała mnie do pisania książki. Jej problem, który kiedyś był moim, popychał do zasiadania przed komputerem. Niestety, nawał pracy przed świętami, do których pozostał zaledwie tydzień, skutecznie uniemożliwiał mi tworzenie kolejnych rozdziałów.

Chociaż panią Wiesią i panem Stefanem zajęła się Edyta, na mnie spadł obowiązek ogarnięcia pensjonatu i podtrzymania na duchu Lidki. A ta rozpadła się na kawałki. Podczas kolejnej wycieczki detektywistycznej zastałyśmy Kazika z „tą kobietą” w składzie budowlanym w Nowym Dworze. Wybierali kafelki.

– Sama widzisz! Szykują sobie gniazdko! To koniec! – łkała mi w rękaw przyjaciółka.

Nie potrafiłam znaleźć argumentów, żeby zaprzeczyć.

– Nie martw się, Lidziu. Jakoś to będzie – prawilałam komunały, bo nic sensownego nie było do powiedzenia. – Zaczekajmy do świąt. To taki czas próby. Może wtedy Kazik...

– Co: wtedy Kazik? – zawołała. – Przyniesie mi pod choinkę pozew?

– Może jednak powinnaś odbierać telefony od niego? – zapytałam cichutko, ale i tak naraziłam się na

wybuch złości.

– Nie!

Miotając się pomiędzy złością a bezsilnością, Lidka przynajmniej była aktywna. Ale kiedy zadzwonił Witek z informacją, że nie przyjadą z Alą i Jaśkiem na święta, załamała się kompletnie.

Nieustanna reanimacja przyjaciółki była ponad moje siły. Pozałam się esemesowo Danielowi.

Nie minęły dwie godziny, a na ekranie komórki pojawiła się wiadomość.

„Wyjdź za płot, ale tak, żeby cię nikt nie widział. Powiedz, że jedziesz po ryby czy coś innego. Porywam cię na kolację. Nie będę wchodził. Czekam. D.”.

Zabrzmiało zachęcająco.

– Kochane moje, muszę na chwilę wyjechać – oznajmiłam Edycie i Lidce. Ubrałam się niezbyt elegancko, żeby nie wzbudzać podejrzeń. – Mam coś do załatwienia.

– Teraz? – Obie nie posiadały się ze zdumienia.

Prędyutko wymyśliłam stosowną wymówkę.

– Muszę się z kimś spotkać.

Wypuściły mnie bez problemu. Prawdopodobnie pomyślały o Kaziku.

Wymykając się z domu, zerknęłam, czy spoglądają zza firanki.

Nie zauważyłam nikogo.

Daniel zaparkował kilkanaście metrów od bramy pensjonatu. Gdy wsunęłam się do ciepłego wnętrza auta, przywitał mnie uśmiechem, delikatnym całusem w policzek i jednym słowem, którego tak dzisiaj potrzebowałam.

– Jestem.

Chociaż siedziałam w samochodzie, poczułam się jak w domu. Bezpiecznie, ciepło i miło.

Potem było już tylko lepiej. Kilka kieliszków wina, kolacja, oczy Daniela wpatrzone wyłącznie we mnie. I to nieodparte uczucie, że chyba się zakochuję. Chociaż moja życiowa rezerwa podpowiadała, że to tylko działanie alkoholu i słodkiej hiszpańskiej muzyki sączącej się z głośników przy barze.

– Chyba muszę już wracać... – Zerknęłam na zegarek po jakimś czasie. Otrząsnęłam się z przyjemnego nastroju. – Dziewczyny myślą, że poszłam na spotkanie z Kazikiem, a nie chcę mówić...

– Nie mów – przerwał mi. – Nie muszą wszystkiego wiedzieć. Niech to będzie nasz wspólny wieczór. Tylko nasz. Czy mówiłem ci już, jaki byłem w tobie zakochany? Kiedyś, w szkole.

Na moje serce polał się słodki miód. Usłyszałam takie wyznanie po raz pierwszy od śmierci Marka, ale nie skurczyłam się w sobie. Dotknęłam ręką szorstkiego policzka Daniela.

Przytrzymał moją dłoń i przeprosił, że nie zdążył się ogolić.

– Miałem dyżur w szpitalu. Chyba nie wyglądam najlepiej.

Wyglądał idealnie. Gdyby nie to, że musiałam wracać do domu, ten wieczór zapewne zakończyłby się inaczej. Mówiły o tym nasze oczy. I dłonie, szukające dłoni drugiego.

Zapomniałam o pensjonacie, Edycie, Lidce. O wszystkim. Po raz pierwszy od wielu lat.

– Chyba naprawdę muszę już wracać – wyszeptałam, niemal ze łzami w oczach. – A może prześpisz się u nas? – zaproponowałam, choć znałam odpowiedź.

– Przyjechałem, żeby spotkać się z tobą. Zobaczymy się niebawem. W wigilię.

– A może jednak?

– Za sześć godzin muszę być w szpitalu.

– Nie powinno cię tutaj być! – przeraziłam się. – Masz siłę wracać?

Zamknął mi usta pocałunkiem.

– Ciiiicho... Smakujesz malinami. – Oblizwał się, nie odrywając oczu od moich ust.

– Nie mów nic więcej. Jedziemy – zdecydowałam.

– Obiecasz mi coś? – zapytał, kiedy zatrzymaliśmy się przed bramą pensjonatu.

Spojrzałam pytająco.

– Pojedziesz ze mną do Hiszpanii?

– Dlaczego tam?

– Bo bardzo podobała mi się dzisiaj muzyka. Pojedziesz?

Zdobyłam się na jedyną możliwą odpowiedź.

– Kiedy?

– Kiedy tylko będziesz chciała. A może nawet jeszcze prędzej.

– Nie rozumiem.

– Pozostawmy ten temat do wigilii, dobrze? Rozumiem, że zaproszenie do Krynicy jest aktualne.

– No tak... Tyle że w dalszym ciągu nie wiem, o co ci chodzi.

Zakrył mi dłonią usta.

Pomógł mi wysiąść z auta i odprowadził kawalek.

– O nic mi nie chodzi. Chyba że o takie wieczory, jak dzisiejszy. A jeśli któryś odbędzie się pod hiszpańskim niebem? Pojedziesz ze mną? – Powtórzył pytanie.

– Brzmi zachęcająco – bąknęłam, bo zobaczyłam przed sobą dom, do którego za chwilę miałam zamiar wkroczyć, zastać w nim śpiących domowników i przypomnieć sobie o świątecznych przygotowaniach, które nie miały nic wspólnego z wyjazdem do Hiszpanii.

To przecież nieustające marzenie Edyty.

Daniel nie chciał ujawnić żadnych szczegółów dotyczących wyjazdu, chociaż domyśliłam się, że musiałam kiedyś wspomnieć, że w wolnych chwilach uczę się hiszpańskiego. Zaglądałam czasami do podręcznika, żeby zająć czymś myśli po śmierci Marka.

A niech tam!

Pożegnałam się z Danielem namiętym pocałunkiem. Oto kolejne zaskoczenie po wielu latach. Smakował bardzo dobrze.

Mocno przytulił mnie do siebie. Odgarnął moje włosy za ucho i całował, robiąc wszystko, żebym tylko nie potrafiła się z nim rozstać.

I bardzo mu to wychodziło.

– A jak się sprawuje Iga? – Przypomniał sobie, już wsiadając do samochodu.

Cały czas trzymał mnie za rękę.

Podniosłam kciuk.

– Dajemy radę. Kiedy przyjedziesz? – spytałam, jakbyśmy nie umówili się wcześniej na wigilię.

– Na wigilię – odparł z przewrotnym uśmiechem. – Ale jestem gotów wpaść zawsze, gdy będziesz mnie potrzebować.

– Jedź już – odparłam, uświadomiwszy sobie, jak jest zmęczony. – I dziękuję za wszystko. Uważaj na siebie!

Machając mu na pożegnanie, kochałam go za ostatniego namiętnego całusa. Kochałam go za to, że go mam. Jak widać, życie nie znosi pustki.

Przepraszam, Marku!

Weszłam do ciemnego zaspanego domu. Delikatnie pokonywałam skrzypiące schody, starając się nikogo nie obudzić. Stapałam ostrożnie. Równie cicho otworzyłam drzwi. Z ulgą zrzuciłam ubranie i zaserwowałam sobie kąpiel w pianie.

– Och! Jak miło! – westchnęłam i oddałam się we władanie rozpuszczonych w wodzie olejków.

Dzisiejszego wieczoru byłam piękna i powabna. Kochana.

Chyba nigdy nie siedziałam w wannie tak długo. Wyszłam z wody po godzinie i sięgnęłam po komórkę,

żeby upewnić się, że Daniel bezpiecznie dotarł do Gdańska.

Nie odebrał.

Spróbowałam połączyć się ponownie. I jeszcze raz. Bez skutku. Abonent był czasowo niedostępny.

Widocznie jeszcze nie dojechał. A może właśnie parkuje?, pomyślałam z lekkim niepokojem i ponowiłam próbę za kilka minut.

Telefon wciąż pozostawał niemy, a ja robiłam się coraz bardziej niespokojna.

„Proszę zadzwoń, kiedy dojedziesz”, zaesemesowałam.

Nie potrafiłam znaleźć sobie miejsca.

Położyłam się do łóżka i sięgnęłam po książkę. Przewracałam kartki, raz po raz spoglądając na ekran telefonu, który nie chciał rozbłysnąć. Litery się zlewały. Musiałam kilka razy czytać jedną stronę, żeby zrozumieć cokolwiek.

Obudziłam się rano, z komórką w dłoni i otwartą książką.

Niestety, bez wiadomości od Daniela.

Urszula

Kiedy gnana złym przeczuciem wbiegłam do kuchni, Iga, mimo wczesnej pory, siedziała przy stole ze szklanką mleka. Roześmiana, zadowolona, podniecona. Ekspresowo zaczęłam myśleć, czy powiedzieć jej o wczorajszym spotkaniu z Danielem i o swoich obawach, że musiało się coś wydarzyć, skoro do tej pory nie dał znaku życia. Zanim jednak zdążyłam podjąć decyzję, młoda wyjawiała przyczynę swojego dobrego nastroju.

– Słyszałam tatę w radiu! Jest bohaterem! – zawołała rozemocjonowana. Zobaczywszy moje zaskoczenie, niezwłocznie wyjaśniła, w czym rzecz. – Wczoraj w nocy był karambol na trójmiejskiej obwodnicy, a on akurat tamtędy przejeżdżał. I udzielił pomocy kilku osobom, zanim jeszcze przyjechały karetki. Podobno jednemu człowiekowi uratował życie!

Przysiadłam na taborecie, z trudem ukrywając ulgę. Starłam się zapanować nad drżącymi dłońmi.

– Ciekawe, co on tam robił? Podobno miał być na dyżurze – dodała Iga ze znaczącym uśmiechem. – A przynajmniej tak mi powiedział...

Powinam obłudnie wyrazić podziw dla Daniela i cieszyć się razem z jego córką ze sprawnej akcji ratowania cudzego życia, jednak radość, że jest cały i zdrowy, nie pozwoliła mi dłużej ukrywać naszego wczorajszego spotkania.

– Nieważne, Iga. Dobrze, że nic mu się nie stało. Tak się bałam... Byliśmy wieczorem na kolacji – dodałam. – Od tamtej pory nie dał znaku życia. Rano zaczęłam umierać z niepokoju...

Wierzchem dłoni ocierałam łzy.

Iga podeszła i objęła mnie niezdarnie.

– Już dobrze – uspokajała. – Co mu się mogło stać?

Dzieciom, niezależnie od wieku, wydaje się najwyraźniej, że ich rodzice są niezniszczalni. Albo że mają drugie życie w zapasie.

Poprosiłam Igę, żeby nie wspominała o wizycie Daniela Edycie i Lidce. Nie chciało mi się tłumaczyć wszystkiego od nowa każdej po kolei.

– Okej? – zapytałam.

– Przecież i tak wszyscy wiedzą, że ty i mój tato jesteście parą.

– Jakim cudem? – Nie posiadałam się ze zdumienia.

Do niedawna sami o tym jeszcze nie wiedzieliśmy.

Iga machnęła ręką i dołąła sobie mleka do szklanki.

– Wróble ćwierkały – odparła oględnie, sięgając po pieczywo. – Takie ukrywanie się po kątach to dziecinada. Jak gimnazjaliści! – podsumowała lekko drwiącym tonem, z którego przebijała nuta serdeczności.

Danielowi należała się bura za milczenie, nie omieszkałam zatem wysłać mu esemesa z niezłą reprimendą. Jeszcze tego samego dnia posłaniec dostarczył mi bukiet kwiatów z bilecikiem.

„Przepraszam, że cię zdenerwowałem. Nie miałem takiego zamiaru. Za to przy okazji dowiedziałem się, że komuś na mnie zależy. Że tobie na mnie zależy. Dziękuję losowi. Tęsknię i czekam na wigilię. D.”.

Ja nie czekałam, tylko zakasałam rękawy i zabrałam się do roboty.

Ostatni tydzień przed świętami pędził niczym zaprzężone w renifery sanie Świętego Mikołaja, a każdy dzień przybliżający nas do dwudziestego czwartego grudnia wywoływał coraz większy stres, czy zdążymy ze wszystkim. Zamrożone pierogi z grzybami, uszka z kapustą i borowikami i łazanki do makiełek spoczywały w lodówce obok kilkunastu woreczków z bigosem.

Pierniki i keksy zajmowały miejsce w spiżarni, nabierając smaku.

W przeddzień wigilii kuchnia zapachniała rybami, pasztetem i warzywami gotowanymi na sałatkę.

– Już czas do fryzjera! – Niemal siłą musiałam wygonić Wiesię, żeby nie spóźniła się na umówioną wizytę.

– Aby na pewno dobrze doprawisz pasztet? – powątpiewała, dorzucając do masy garść majeranku. – I nie zapomnij wyłożyć foremki plastrami słoniny! – rzuciła od drzwi.

Pożegnałam ją groźnym spojrzeniem.

Wigilijny poranek zaczęłam o szóstej. Nawet nie próbowałam dospać, bo i tak nic by z tego nie wyszło. Po raz pierwszy przygotowanie świąt spoczywało niemal wyłącznie na moich barkach, ponieważ panna młoda została odsunięta od większości prac. Przy pomocy Lidki, Edyty i Igi udało się zrealizować świąteczne menu, ubrać choinkę, która w tym roku, jak za czasów Marka, sięgała do sufitu, przystroić pokój jemiołą i ostrokrzewem. Pan Stefan zadbał o ogród: oświetlił lampkami wejście do domu, pozamiatał, wygrabił liście, zainstalował nawet na frontowej ścianie wchodzącego po drabinie Mikołaja. Pensjonat prezentował się pięknie i po raz pierwszy od wielu lat nie narzekałam, że nie będziemy mieć żadnych komercyjnych gości. Ci mieli się pojawić dopiero na sylwestra.

Mimo ogromu zajęć i podniecenia towarzyszącego przygotowaniom do świąt, męczyła mnie sprawa Lidki i Kazika. Niestety, nie zdołałam przekonać przyjaciółki do kontaktu z mężem, nie wspominając o zaproszeniu go do wspólnego stołu. Lidka zamknęła się w sobie, rozpamiętując rozżalenie na Kazika i Witka.

Edyta podpytywała, jak wyobrażam sobie przyszłość ciotki.

– A skąd ja mam wiedzieć? – odpowiadałam, nieco już znudzona stałą obecnością Lidki w pensjonacie.

Wprawdzie ostatnio dłużej niż zwykle przesiadywała w butik, jeździła po towar, słowem wykazywała zawodową aktywność, niemniej jednak nie było co ukrywać, że utargi w Krynicy zimową porą nie należały do największych, a zatem i zyski bywały nieduże. Zaś moja ambitna przyjaciółka postanowiła nie korzystać z pieniędzy, które na wspólne konto przelewał jej mąż, co mnie wydawało się niezrozumiałe. Bo skoro, w co w dalszym ciągu trudno mi było uwierzyć, miał kogoś, Lidka powinna czerpać z tej kasy bez skrupułów. Dodajmy – z wciąż wspólnej kasy.

– Poczekajmy do końca roku. Mam wrażenie, że wkrótce sprawa się wyjaśni i Kazik przejmie inicjatywę. Nic nam do tego. Ja jedynie mogę udzielić Lidce gościny i jej wysłuchać. Niech się dogadują na własną rękę – odparłam, ucinając temat.

W wigilijny poranek dom oddychał snem jego mieszkańców. Zaczynałam lubić tę porę, gdy pachniało rozgrzaną pościelą, a ciszę przerywało czasem pochrapywanie dochodzące zza którychś drzwi.

Czyżbym zaczynała się starzeć? Gdzie podziały się czasy, kiedy południe uchodziło za nieprzyzwoicie wczesną porę?

Załadowałam ziarenka do pojemnika ekspresu, nalałam wody. Młynek zaczął chrobotać miarowo, a kuchnię wypełnił cudowny aromat mielonej kawy. Po chwili do filiżanki spłynęły cucące czarne krople.

– Już wstałaś? – Zaskoczyła mnie pytaniem Edyta.

– A ty dlaczego nie śpisz? – Zrewanżowałam się.

– Kiedy idziemy do taty? – Zmieniła temat.

Wspomnienie Marka sprawiło, że aż przysiadłam na taborecie pod ciężarem wyrzutów sumienia. Tak niewiele myślałam o nim ostatnio... Wprawdzie w komórce czekał już przygotowany na grób wieniec

z ostrokrzewu, a na półce piętrzyły się znicze, ale moje myśli krążyły wokół Daniela. Nawet teraz na jego wspomnienie odczułam przyjemny skurcz serca.

– Może po śniadaniu? – zaproponowałam. – Zanim przyjadą Miłosz i Daniel?

I znów to miłe podniecenie!

Na cmentarzu posprzątałyśmy już kilka dni temu. Użyłyśmy do dekoracji świerkowych gałązek i zapaliłyśmy dziewięćdziesięciosześciodzinne znicze, które miały dotrzeć do naszego przyjscia. Faktycznie, kiedy w wigilię stanęłyśmy nad grobem Marka, ogniki jeszcze nie wygasły.

Zaczęłyśmy normalną krzątanie: zebrałyśmy opadłe na płytę liście, zagrabiłyśmy ziemię wokół postumentu, poprawiłyśmy kwiaty w wazonie, przetrąłyśmy ściereczką niewidoczne smugi na krzyżu i fotografii. Ot, takie pieszczonienie kamienia, postawionego ku pamięci mojego męża...

– Mamuś, nie płacz. – Edyta objęła mnie ramieniem. – Bo i mnie robi się smutno.

– Taki czas, córeczko. – Otarłam łzy.

– Pora się zbierać – zdecydowała nagle moja córka. Kiedy zerknęłam na zegarek, okazało się, że tkwimy na cmentarzu już ponad godzinę. – Muszę jechać po suknię ślubną pani Wiesi, pamiętasz?

Po raz kolejny pożegnałam się z Markiem i wróciłam do domu przepełnionego atmosferą przygotowań do wigilii i jutrzejszego ślubu. Zrzuciłam z siebie przygnębienie, w które zawsze wpędzały mnie wizyty na grobie.

Do stołu mieliśmy zasiąść o czwartej, a na dokończenie czekało jeszcze kilka potraw. Trzeba było ugotować kaszę gryczaną do grzybowego sosu, suszone owoce na zupę, dopilnować, aby na karpiu ścięła się galareta. I wreszcie rozstawić na stole zastawę.

Wszyscy domownicy już wstali; przyjechał Miłosz, za godzinę zapowiedział się Daniel. Ja zabrałam się za krojenie cebuli na sałatkę śledziową ze śmietaną, w międzyczasie wydając dyspozycję dziewczynom, które zniknęły we własnych pokojach pod pretekstem pakowania prezentów. Dołączyła do mnie jedynie Lidka. Raz po raz ocierała łzy.

– Drażni mnie ta cebula – tłumaczyła.

Nie reagowałam, licząc na polepszenie jej nastroju pod wigilijnym drzewkiem.

Około czwartej cała nasza ekipa była już na miejscu. Cudowny tłumek bliskich kotłował się pomiędzy kuchnią a salonem, nosząc, rozstawiając, przygotowując, zapalając świece, pomagając sobie wzajemnie, wspólnie czekając na rozpoczęcie, które w końcu nastąpiło, kiedy zapowiedziałam wniesienie pierwszej potrawy. Zabłyśła symboliczna pierwsza gwiazdka, a my przystąpiliśmy do dzielenia się opłatkami.

– Kochanie, życzę ci, żebyś nigdy nie przestała marzyć. Jeżeli będziesz pewna swoich marzeń, one się spełnią. I tego ci życzę. Spełnienia. – W pierwszej kolejności przełamałam się z Edytą.

– Tobie życzę powodów do uśmiechu, a sobie życzę ciebie. – Wzrok Daniela sprawił, że zmiękły mi kolana.

Poza nim nie widziałam nikogo. Z niemałym trudem wyzwoliłam się z jego ramion, żeby przełamać się opłatkami z pozostałymi, a w szczególności z Lidką, która mimo dobrej miny do złej gry trzymała fason w obecności trzech zakochanych par i jednej rozbawionej nastolatki w ciąży.

– Kochani, jeżeli wszyscy wszystkim złożyli już życzenia, zabieramy się do jedzenia! – zadysponowałam, zauważywszy, że opłatek zniknął z talerza.

Prezenty postanowiliśmy rozpakować po konkretach.

Na stół wjechały ciasta i dzbanki z kawą i herbatą. W tle sączyły się dźwięki kolęd, które podśpiewywaliśmy do wtóru. Salon wypełniała wigilijna atmosfera. Chociaż pozostawione puste nakrycie dla zbłąkanego wędrowca sugerowało, że kogoś brakuje, mnie nie brakowało nikogo. Był Daniel, Edyta z Miłoszem, pani Wiesia z panem Stefanem, którzy jutro mieli stanąć na ślubnym kobiercu, Iga, którą traktowałam jak domownika, i Lidka, moja najlepsza przyjaciółka.

Trochę, musiałam przyznać, skwaszona, ale starająca się udawać dobry nastrój.

O dziesiątej wieczorem ktoś zapukał do drzwi.

– Słyszeliście? Ktoś puka. – Ponad gwarem rozmów rozległ się głos Edyty.

– Faktycznie – potwierdziłam.

Od progu dobiegał chrobot.

– Wędrowiec! – zawołała Iga.

– Pójdę zobaczyć.

Energicznie wstałam z krzesła i udałam się do przedpokoju.

Kiedy otworzyłam drzwi, ujrzałam Kazika.

– Wejdz – zaprosiłam go do środka, starając się nie okazywać emocji. Miałam nadzieję, że nie przyszedł z pozwem rozwodowym. – O co chodzi?

– Czy mogę porozmawiać z Lidką? – zapytał.

Wywołałam moją przyjaciółkę z salonu. Wyszła, zamykając za sobą drzwi i pozostawiając nas w oczekiwaniu na efekt spotkania. Mimo obaw, że Lidka zaraz wpadnie z powrotem cała we łzach, wróciła całkiem spokojna.

– Pojedziecie z nami do Piasków? – spytała, czym wywołała ogólną konsternację.

– Teraz? – zdziwiłam się.

– Teraz – odparł Kazik. – Jeśli, oczywiście, możecie...

Zapakowaliśmy się do samochodów i po dwudziestu minutach zatrzymaliśmy na podjeździe przed domkiem za wydumą, przed którym z Lidką widziałyśmy Kazika z „tą kobietą”.

Mąż mojej przyjaciółki pilotem otworzył bramę i zapalił światła oświetlające budynek od zewnątrz.

– Zapraszam. – Wskazał na schody.

I wprowadził na nie Lidkę.

Weszliśmy do środka i przemaszerowaliśmy przez niewielki przedpokój prowadzący do salonu połączonego z kuchnią. Po prawej znajdowały się drzwi do łazienki i kolejnego pokoju. Dzięki dużym białym lampom puste wnętrza wydawały się przestronne i jasne. Na prowizorycznym stoliku ze skrzynki leżała biała serweta, na której stały kieliszki i butelka szampana.

– Lidziu, to wszystko dla ciebie – powiedział Kazik po prostu, gdy umilkł już gwar, a wszyscy zebrali się wokół stolika. – Zawsze chciałaś mieć dom w Piaskach, więc pragnę podarować ci go pod choinkę.

Patrzyłam na moją przyjaciółkę, trzymając kciuki, by się po raz kolejny nie rozpadła na kawałki. Niestety, nie dała rady.

– Nie płacz... – Kazik reanimował żonę, która nie potrafiła opanować łez.

Ja również ukradkiem ocierałam oczy. I Iga. I Edyta. Nie wspominając o pani Wiesi.

– Co się z wami dzieje? – Daniel stanął na wysokości zadania i zaproponował szampana.

Posmakowaliśmy ociupinę i powróciliśmy na dalszą część wieczoru do Krynicy.

– Mądra byłaś, że nie wierzyłaś w winę Kazika – szepnęła mi Lidka do ucha, kiedy wsiadałyśmy do samochodu. – Ta baba była inspektorem nadzoru. Jestem taka szczęśliwa...

– Mam nadzieję, że się wreszcie ode mnie wyprowadzisz – odparłam, puszczając do niej oko. – Bo mam już ciebie serdecznie dość!

– Ty zołzo! A rozpakowałaś już prezent? – zapytała.

– Nie.

– To weź się za to wreszcie! Dostałaś kieckę na jutrzejszy ślub. Sprowadziłam ją dla ciebie z Mediolanu!

– A, jeśli tak, to możesz jeszcze trochę pomieszkać – roześmiałam się. – Bo będę potrzebować jeszcze kilku.

Edyta

Już od dawna nie zdarzyło mi się przeżyć tylu wzruszeń, co podczas tych świąt.

Okazja goniła okazję, a ja zaczynałam być na siebie zła, że popadam w nastroje egzaltowanej pensjonarki z dziewiętnastowiecznego romansu.

Spontanicznie podjęta decyzja o pozostaniu w domu okazała się słuszna. Hiszpańskie ciągoty, podsycane przez mejle od Juana, ustępowały miejsca podniecającej atmosferze związanej z przygotowaniem wigilii i ślubu pani Wiesi i pana Stefana. A wszechobecne aromaty cynamonu, goździków, liści laurowych i świerkowych gałązek wprawiały w magiczny nastrój. Uchyłały drzwi do świata dostępnego jedynie przez te trzy dni w roku.

Nie do końca jestem pewna, że muzyka łagodzi obyczaje, ale czyni to z pewnością woń zbliżających się świąt.

Prawdę mówiąc, pragnęłam, by taki stan trwał i trwał. Mimo ogromu pracy i braku czasu.

Nie przeszkadzała mi nawet obecność Igi, jak się okazało całkiem fajnej dziewczyny. No, może jedynie ciotka Lidka nieco zakwaszała atmosferę, ale starałam się ją zrozumieć.

– Rzeczywiście Kazik przesadził, znajdując sobie babę po tylu latach małżeństwa – wściekałam się do czasu, kiedy w wigilijny wieczór, niczym Święty Mikołaj, rzeczony Kazik przyszedł do żony z prezentem, którego nie był w stanie upchnąć w worku.

Siedzieliśmy wszyscy w salonie, rozpakowując prezenty i pochłaniając kolejne kawałki ciasta. Otworzyłam pakunek od Miłosza i wyjęłam piękną czerwoną sukienkę.

– Przepiękna! – zachwyciłam się i podziękowałam darczyńcy pocałunkiem. – Sam wybierałeś? – zapytałam, kątem oka spoglądając na ciotkę.

Gorliwie zajmowała się swoją paczuszką.

Niewiele brakowało, bym rozplakała się, wzruszona, że Miłosz kolaborował z Lidką, żeby sprawić mi przyjemność. Nie po raz pierwszy i nie ostatni tego wieczoru.

Wzruszenia prześladowały mnie zresztą od samego rana, kiedy z mamą wybrałyśmy się na cmentarz. Chociaż zbliżały się już trzecie święta bez taty, a mama zaczęła podejmować próby ułożenia sobie życia, to jednak jej łzy sprawiły, że trudno mi było zachować spokój.

Objęłam ją ramieniem, kiedy gładziła płytę nagrobka, szepcząc słowa pożegnania i z trudem powstrzymując się od płaczu. Mogłam mieć jedynie nadzieję, że nie rozklei się, tak jak w poprzednich latach.

Zaskoczyła mnie życzeniami przy wigilijnym stole.

– Kochanie, życzę ci, żebyś nigdy nie przestała marzyć. Jeżeli będziesz pewna swoich marzeń, one się spełnią. I tego ci życzę. Spełnienia.

Spodziewałam się raczej tradycyjnego bla, bla – podjęcia studiów, realizacji planów, odnalezienia szczęścia w rodzinie. A tu zaskoczenie. Moja mama chyba zaczyna mnie rozumieć!

Za to niespodzianka, którą przygotował Kazik, zwałała z nóg nas wszystkich. Kiedy dojechaliśmy do Piasków, weszliśmy do domu, a wujek włączył lampy rozświetlające wnętrze, ciotka Lidka rozkleiła się kompletnie. A wszystkie baby, nie wyłączając mnie, szukały chusteczek do nosa, by otrzeć spocone oczy.

Dobrze, że chociaż Daniel stanął na wysokości zadania. zaproponował wypicie kieliszka szampana i powrót do Krynicy, by w powiększonym gronie zakończyć wigilijny wieczór.

W związku z jutrzejszym ślubem nie mogliśmy sobie pozwolić na zawalenie nocy.

Kładłam się spać w ramionach Miłosza, otulona poczuciem bezpieczeństwa i szczęścia, że wszystko wszystkim się układa.

– Śpisz? – Dotarło do mnie, gdy już odpływałam w sen.

– Mhm – odparłam, moszcząc głowę na poduszce i przytulając się do ramienia mojego chłopaka.

– Wiesz, że cię kocham?

Milczałam, czekając na ciąg dalszy.

– Zawsze cię kochałem. Od pierwszej klasy liceum. A teraz jeszcze bardziej.

Pocałował mnie.

To było jak ostatni wigilijny prezent. Smakowało długo i namiętnie. Nie przypuszczałam, że Miłosz potrafi aż tak...

Rano byliśmy już grzeczni. Puszczając do siebie oko od czasu do czasu, energicznie pomagaliśmy nowożeńcom w przygotowaniach do ślubu.

Kiedy zobaczyłam panią Wiesię i pana Stefana stojących przed ołtarzem, łza w oku zakręciła mi się po raz kolejny. Boże, jak ona na niego patrzyła! On nie pozostawał jej dłużny. Po prostu tonął w oczach oblubienicy!

Gdybym przeczytała taki tekst w książce, uznałabym go za czyste grafomaństwo. Tacy starzy ludzie i miłość? Co innego chęć dotrwania do końca u boku drugiej osoby. Ale nie! Nie oni! Oni naprawdę wyglądali na zakochanych, czego wcześniej jakoś nie zauważałam. Wprawdzie widziałam nieraz, jak pani Wiesia dokłada narzeczonemu kolejne plasterki boczku do jajecznicy, a on przynosi jej bukietki fiołków z ogrodu, ale nigdy bym nie przypuszczała, że to nie przywiązanie, a szczere uczucie.

Dopiero kiedy ksiądz wygłosił zwyczajową formułkę i zapytał oboje, czy biorą sobie siebie za małżonków, oni zaś zgodnie odpowiedzieli „tak” i wymienili się obrączkami, dotarło do mnie, że oto nagle pensjonatowy romans znalazł szczęśliwe zakończenie.

I znów po moich policzkach popłynęły łzy.

Nie chciały przestać nawet wtedy, kiedy po ceremonii nowożeńcy odwrócili się do nas, zgromadzonych w kościele. Rodziny, za którą miałyśmy się z mamą, przyjaciół, sąsiadów, wiernych, którzy nigdy nie odpuszczają uczestnictwa w tak miłej uroczystości jak ślub.

Marsz Mendelssohna obwieścił koniec uroczystości kościelnych i początek nowego wspólnego życia.

Szkoda, że wśród gości nie znalazł się nikt z rodziny państwa młodych. Jak z przekąsem stwierdziła mama, najwyraźniej zostali już obdarowani przez nowożeńców wszystkim, co mogli otrzymać.

Przed kościołem posypały się ryż i drobniaki. Ja złożyłam życzenia. A później odjechałam z mamą, Danielem i Miłoszem, by powitać państwa młodych przed domem. Chlebem i solą.

Musieli odtańczyć pierwszy taniec, wychylić kieliszek szampana i bawić się do rana. Jak my wszyscy.

Po raz ostatni tego dnia rozplakałam się, kiedy pani Wiesia, opuszczając własne wesele i życząc nam dalszej dobrej zabawy, zapytała nieśmiało, czy może zechcę, jeśli potrafię i nie będzie to dla mnie przykre ze względu na Bunię, mówić do niej „babciu”. To, że pan Stefan miał zostać „dziadkiem”, rozumiało się samo przez się.

– Oczywiście! – odparłam. – W końcu byłaś przy mnie od urodzenia – dodałam przez łzy.

W salonie wciąż rozbrzmiewała muzyka. Na parkiecie mama tańczyła z Danielem, a Kazik nie wypuszczał z rąk Lidki. Nawet Iga próbowała się bujać.

Dołączyliśmy do nich z Miłoszem.

– Kocham cię – wyszeptał mi do ucha, kołysząc się w rytm melodii.

Dotarło do mnie, co płynie z głośników i zamarłam.

Nunca Te olvidaré. „Nigdy cię nie zapomnę”.

Wtuliłam się w ramiona Miłosza, zagłuszając niepokojące myśli o Juanie.

Urszula

Dzień po świętach przed nasz pensjonat zajechała błękitna toyota, z której zgrabnie wysunęła się elegancka dama, otulona pasującym pod kolor auta niebieskim kożuszkim.

Nie spodziewałam się gości.

Przerwałam zmywanie kuchennego blatu po obiedzie z tego, co pozostało po świętach, sprawnie zsunęłam fartuszek i pobiegłam otworzyć drzwi.

Pani wspinała się po zewnętrznych schodach, czepiając się poręczy, by nie stracić równowagi w botkach na wysokich obcasach.

Nigdy nie potrafiłam pojąć, jak można prowadzić samochód w tak niewygodnym obuwiu. Nie byłam amatorką szcudła.

– Zapraszam do środka. Czym mogę służyć? – zapytałam uprzejmie, wskazując na wejście.

– Rostowska. Iwona Rostowska – przedstawiła się przybyła nazwiskiem Daniela.

Domyśliłam się, że mam do czynienia z jego byłą żoną. Dostrzegłam nieprzyjazne spojrzenie, wymuszony uśmiech i zaczęłam przeczuwać kłopoty.

– Urszula Wrzesińska – zrewanżowałam się prezentacją. – Jestem właścicielką pensjonatu. Czym mogę służyć? Interesuje panią wynajęcie pokoju?

Spojrzała na mnie z politowaniem.

– Proszę sobie darować grzeczności i zawodową uprzejmość. Przyjechałam do córki, którą przetrzymujecie tutaj razem z Danielem – wypaliła. Najwyraźniej nie zamierzała się bawić w konwenanse. – Gdzie ona jest?

Ta arogancja niemal zwała mnie z nóg. Nigdy nie byłam specjalnie przebojowa i skłonna do ciętych ripost. A już w momentach, gdy ktoś walił z grubej rury, całkowicie traciłam pewność siebie. Lecz mimo że poczułam się dotknięta bezczelnym potraktowaniem, zaprosiłam gościa do salonu i zaproponowałam coś ciepłego do picia.

Iwona Rostowska zdecydowała się na kawę i rozsiadła wygodnie w fotelu. Kożuszek rzuciła na kanapę.

– Będzie pani musiała chwilę poczekać – oznajmiłam, stawiając na stole dwie filiżanki. – Iga wyszła.

– To może i dobrze, że jesteśmy same – zaczęła. Poprawiła usta pomadką. – Może pani mi powie, co się tutaj dzieje?

– Nie rozumiem.

– Świetnie to sobie Daniel wymyślił! – ciągnęła. – A teraz widzę, że ma piękne wsparcie.

Może powinnam się ucieszyć z tego przymiotnika?

– Pani wybaczy, ale wciąż nie rozumiem.

– Nie rozumie pani? – Iwona sięgnęła po papierosy. Nie pytając o zgodę, zapaliła. – Ma pani dzieci?

Nie zaoponowałam, więc kontynuowała.

– Jak by się pani czuła, gdyby jej własna córka nie chciała spędzić z nią świąt? Przez osiem lat po rozwodzie z Danielem wychowywałam ją samotnie, a teraz nagle mój były mąż poczuł przyływ rodzicielskich uczuć! Nie aż taki jednak, żeby przygarnąć córkę pod własny dach! Wolał podrzucić ją do jakiegoś pensjonatu! Do obcych ludzi! – emocjonowała się. Ale dodała niespodziewanie spokojnie. –

Jeżeli pani ma dzieci, to powinna pani zrozumieć. Czy mogę prosić o popielniczkę?

Pobiegłam szybko, by ocalić obrus przed podziurawieniem.

Poczułam wzbierającą złość na arogancję przybyłej, jej pewność siebie i kategoryczność wydawanych sądów. Jak Daniel mógł ożenić się z kimś takim?

– Kiedy wróci Iga? – zapytała Iwona.

Jak gdybym była aniołem stróżem jej córki!

– Porozmawiajmy spokojnie... – Powstrzymałam złość i nastawiłam się na porozumienie. – Po pierwsze, uważam, że sprawy Igi powinna pani rozstrzygać z Danielem, a nie ze mną. A po drugie, zachęcam przede wszystkim, żeby poczekać na Igę i porozmawiać z nią. Nawiasem mówiąc, nie będzie musiała pani długo czekać, bo chyba właśnie weszła. – Odetchnęłam z ulgą, gdy dobiegł mnie dźwięk zamykanych od wewnątrz drzwi.

Iga gadała przez telefon.

Podeszłam do niej i oczami dałam do zrozumienia, że ma gościa.

– Mama? – wyszeptła, spinając się w sobie.

Przytaknęłam. Udałam się na górę i zamknęłam za sobą drzwi od sypialni.

Po napisaniu esemesa do Daniela, z informacją, że do Igi przyjechała Iwona, zajęłam się książką, której pisanie zarzuciłam przed świętami.

Ogarnęło mnie miłe podniecenie, towarzyszące scytywaniu ostatnio napisanego rozdziału i kreowaniu kolejnego. Zakończyłam wątek w momencie, kiedy niespełna osiemnastoletnia, będąca w ciąży Julia, dowiaduje się o śmierci Leona, ojca swojego dziecka, i ostatecznie decyduje na oddanie maleństwa na wychowanie rodzicom. I zabrałam się do planowania następnych wątków.

Julia rodzi z dala od domu, a po wakacjach wraca do szkoły. Nikt nie orientuje się, że to właśnie ona jest matką maleńkiej Klary. Wszyscy gratulują późnego macierzyństwa jej mamie. Po maturze Julia podejmuje studia w Warszawie, po ich zakończeniu pracuje w różnych firmach, by w końcu założyć własną. I zostaje kobietą sukcesu.

Poczułam zadowolenie. Miałam ogólny zarys, historia zaczynała nabierać rumieńców, wystarczyło tylko wypełnić kartki treścią. Z pewnością jednak nie dzisiaj!, westchnęłam ciężko.

Skutki wizyty Iwony dawało się słyszeć mimo zamkniętych drzwi.

Porzuciłam pracę twórczą i zbiegłam na dół.

Dotarł do mnie podniesiony, zakrapiany płaczem głos Igi.

– Zostaw mnie! Dziecko ma już dwa i pół miesiąca i nie zamierzam go usuwać! A te pieniądze od Kuby zabierz sobie z powrotem!

– Nie przyda ci się trzydzieści tysięcy? Nawet jeśli nie chcesz usuwać, to chociaż weź tę kasę! – Iwona nie zamierzała odpuścić.

Postanowiłam zainterweniować, wsparta wcześniejszym esemesem od Daniela.

„Ona potrafi być bardzo nieprzyjemna”, napisał. „Wyproś ją, zanim doprowadzi Igę do ostateczności. Przepraszam za Iwonę. D.”.

Weszłam do salonu i mimo wrodzonej nieśmiałości przerwałam kłótnię.

– Przepraszam, że się wtrącam, ale słysząc panie w całym domu. Wszystko w porządku, Iga? – Spojrzałam na zapłakany kłębek nerwów.

Nie miałam wątpliwości, że czas wizyty dobiegł końca.

Iga uciekła na górę, pozostawiając nas same. A ja usłyszałam kilka nieprzyjemnych słów.

– Nie życzę sobie, żeby pani wtrącała się w nie swoje sprawy. Córka wciąż pozostaje pod moją opieką.

– I uważa pani, że ma prawo namawiać Igę do usunięcia ciąży? Myśli pani, że to się spodoba sędziom

w sądzie rodzinnym? – odparowałam wzburzona.

– A może pani nie ma dzieci? Skoro tak pani zależy na mojej córce... – wysyczała Iwona cynicznie.

– Proszę opuścić mój dom – powiedziałam, zdziwiona własnym kategoriycznym tonem, którego nie trenowałam nigdy. – I porozmawiać z Danielem.

Z wściekłością na twarzy zaczęła się zbierać. Zauważyłam, że na stole zostawiła kopertę.

– Proszę to zabrać – zakomunikowałam. – Iga nie chciała jej przyjąć.

– A więc pani podsłuchuje! Pięknie! Gratuluję Danielowi! I dziękuję za kawę. – Iwona wydeła usta. – Jeszcze się odezwę – dodała złowieszczo.

Udała się do samochodu, pozostawiając mnie roztrzęsioną na schodach.

Powstrzymałam się przed telefonem do Daniela. Miał dzisiaj niełatwy dyżur.

Z ciężkim sercem udałam się do Igi, która na szczęście nie zamknęła drzwi do pokoju.

Edyta

Z popołudniowej poświętecznej drzemki ostatecznie wyrwały mnie podniesione głosy, stukot obcasów na schodach i trzask drzwi w pokoju Igi. Mimo głośniejszej rozmowy prowadzonej przez, jak się domyśliłam z treści, matkę Igi i moją mamę, próbowałam kontynuować sen. Nadaremnie. Uspokoiło się nieco, kiedy mama pozostawiła Rostowską z córką sam na sam i udała się do siebie.

Nadzieja, że konwersacja na dole będzie prowadzona w bardziej spokojnym tonie, okazała się płonna. Po kilkunastu minutach Iga z płaczem pognęła po schodach, a mama po nich zbiegła, by stanowczo wyprosić nieoczekiwane gościa z domu.

O śnie mogłam zapomnieć.

Cholera jasna, czy mama naprawdę musi załatwiać takie sprawy za Daniela?, wściekałam się w duchu. Na co on ją naraża?

Wiecznie go nie było, a kiedy przyjeżdżał, traktowano go jak króla. Ulubione potrawy, kolacyjki przy kieliszku wina, bo następnego dnia pan doktor śpieszy na dyżur. Między Bogiem a prawdą, Iga nie była niczemu winna, ale jej tatuś...

Ten to umiał się wygodnie urządzić!

Wyskoczyłam spod koca, by poważnie porozmawiać z mamą i uzmysłowić jej, że rodzinne brudy państwo Rostowscy powinni pracować we własnym gronie, a nie obciążać nimi naszą rodzinę. I nie budzić mnie z popołudniowej drzemki.

Kiedy w bojowym nastroju, bez pukania, wpadłam do pokoju Igi, zastałam ją pakującą walizkę.

– Co robisz? – zdumiałam się.

Spojrzała na mnie z buzią mokrą od płaczu, ale nie przestała wrzucać rzeczy.

– Wyjeżdżam.

– Spokojnie...

Opanowałam głos i przysiadłam na łóżku.

W tej samej chwili do pokoju weszła mama.

– Możesz na chwilę zostawić nas same? – zapytałam tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Czułam po prostu, że właśnie teraz Iga potrzebuje rozmowy z kimś w swoim wieku.

Poza tym moja rodzicielka dostatecznie już oberwała od Rostowskiej.

– Co się tutaj dzieje? – Mama nie zamierzała się wycofywać.

Podeszłam do niej i delikatnie wypchnęłam za próg.

– Daj nam chwilę, okej?

Kiedy zostałyśmy same, odciągnęłam młodą od walizki i siłą usadziłam na krześle.

– Przestań płakać i się uspokój – przemówiłam łagodnie, obawiając się napływu kolejnej fali rozpacz.

To nie był czas na uzewnętrznianie własnych emocji. – Chcesz wody?

Skinęła głową.

Sięgnęłam po stojącą w pobliżu butelkę. Iga łąpczywie nasyciła się kilkoma łykami.

– Mama już pojechała? – zapytała z niepokojem.

– Aha – odparłam. Nie dodałam, że fajną ma mamusię. – A ty gdzie się wybierasz?

– Nie wiem. Może do taty, do Gdańska? Siedzę wam na głowie, a Ula... to znaczy, pani Ula... Tylko ma przeze mnie kłopoty.

Uważałam podobnie. Ale uważałam również, że to nie moment, by przyznawać młodej rację.

– Daj spokój! Teraz powinnaś się uczyć do egzaminów. Masz je zdać i po pierwszym semestrze wrócić do szkoły – gadałam niczym matka córce. – Mówiłaś coś o medycynie?

– Nie dam rady. To się nie uda... – odparła przybita.

Po raz pierwszy widziałam u niej takie przygnębienie. Nie ma cudów, musiało mieć dużo wspólnego z wizytą mamusi.

– Dasz radę. Widzę przecież, ile się uczysz – próbowałam podnieść Igę na duchu. – Mnie nigdy nie zdarzała się taka gorliwość.

– Kuba chciał mi przekazać trzydzieści tysięcy, żebym się odczepiła... – zmieniła temat.

Aha! Pewnie chodzi o szczęśliwego tatusia jej dziecka!

Uznałam, że nadszedł moment, aby Iga się otworzyła. Mimo żywego charakteru była zamknięta w sobie i nigdy wcześniej nie podzieliła się ze mną swoją historią. Nie ukrywam, że nieraz miałam ochotę zapytać, ale jakoś nie było okazji.

Powstrzymałam się od pytania: „Kuba, czyli ten palant, który zrobił ci dziecko?”, na rzecz bardziej cywilizowanej retoryki.

– Masz na myśli swojego chłopaka?

– Czy ty sobie wyobrażasz, że zostaliśmy parą w pierwszej licealnej?

Zamieniłam się w słuch.

– Zakochałam się w Kubie już pierwszego dnia w szkole. Kiedy tylko go ujrzałam. Był taki pewny siebie, a jednocześnie uroczy, kulturalny, uśmiechnięty. Polubili go wszyscy nauczyciele, a głównie nauczycielki... Wysoki blondyn, niebieskie, lekko przymrużone oczy, bardzo dobrze wychowany. Przy nim byłam nieśmiała i spłoszona, więc kiedy zaprosił mnie na pierwszą randkę, otworzył się przede mną świat. I okazało się, że nie taki diabeł straszny. Powoli przełamałam nieśmiałość, zostaliśmy parą. A moje koleżanki, które zaginały na niego parol, musiały zaakceptować fakt, że klasowy amant wybrał szarą myszkę.

Nie chciałam jej przerywać, więc powstrzymałam się od stwierdzenia, że jest bardzo ładną dziewczyną.

– Rodzice Kuby mieli jacht, na który zabrali nas po drugiej licealnej – kontynuowała. – Żeglłowaliśmy u wybrzeży Chorwacji, bajka! A jednak po przyjeździe zaczęło się między nami psuć. Kuba wykpiwał się od spotkań nauką, „bo to klasa maturalna”, ktoś uprzejmie mi doniósł, że widział go na imprezie, na którą nie byłam zaproszona. Nie reagowałam. Ludzie są złośliwi, przyłożą ci, kiedy nadarzy się okazja. No i okazało się, że to ja byłam głupia, lekceważąc podszepty i głosy rozsądku. Bo byłam zakochana po uszy. Mało to, nie wyobrażałam sobie życia bez Kuby. A wieczór, kiedy kochaliśmy się ostatni raz, na imprezie u Jacka, utwierdził mnie w przekonaniu, że jesteśmy sobie przeznaczeni.

Przerwała i otarła łzę.

Siedziałam cicho, czekając na dalszy ciąg. Trzeba przyznać, że Iga ma dar opowiadania.

– Po jakimś czasie zorientowałam się, że jestem w ciąży. Powiedziałam mu o tym w naszej ulubionej knajpce. Ociągał się, tłumaczył domowymi obowiązkami, ale w końcu przyszedł. Kiedy podzieliłam się wiadomością, oczekując wsparcia, a może nawet i radości, okazało się, że natrafiłam na mur. Kuba siedział bez ruchu, zapatrzony we mnie. Zupełnie jakby zobaczył bałwana na pustyni.

– No to mamy kłopot – stwierdził.

Potem to już wiesz. Przestałam chodzić do szkoły i chciałam... zasnąć. – Podsumowała próbę samobójczą. – A teraz mama przywiozła kasę od Kuby, żebym się odczepiła. Tyle jestem warta.

Trzydzieści tysięcy.

Skończyła.

A ja nie znajdowałam słów, więc milczałam. W końcu zdobyłam się na jedno, najważniejsze.

– Skurwiel.

– Masz rację. Zwyczajny skurwiel. – Iga, już niemal spokojna, podzieliła moją opinię.

Na chwilę zapadła cisza. Młoda patrzyła w okno, ja szukałam stosownego pocieszenia, którym mogłabym ją wesprzeć. Ale nie przychodziło mi nic innego do głowy, jak tylko rada, by zapomniała i wykreśliła faceta z życiorysu.

– Myślałam, że u nas odzyskałaś dobry nastrój... – bąknęłam.

– Bo tak jest. Ale Kuba, przekazując przez mamę kopertę, przypomniał mi o sobie boleśnie.

– Niech się buja!

Nie dodałam: „z twoją matką na jednej gałęzi”.

– Teraz rozpakuj się i zadzwoń do ojca – zarządziłam. – Powinnaś chyba powiedzieć mu o niespodziewanej wizycie.

– Dzięki za wszystko! – Iga uwiesiła się na mojej szyi. – A później się pouczę. To mnie uspokaja.

Wróciłam do siebie i zaległam na łóżku, przyglądając się ciemnej plamie na suficie, przypominającej kształtem Muminka. Od lat tkwiła w tym samym miejscu. Nie wyobrażałam sobie, żeby mógł ją zmieść jakikolwiek remont. Ona z kolei uspokajała mnie.

– Trzeba się stąd zbierać, Mumin – zagadnęłam.

Postanowienie, by pozostać w pensjonacie do sylwestra, przestało być aktualne. Mama spodziewała się kilkorga gości, z którymi bez problemu poradzi sobie sama albo zaprzęgnie do pomocy Lidkę i Igę. Żeby nie wspomnieć o pełnych werwy nowożeńcach.

„Wracam do Gdańska. Będę szukać roboty. E.”, zaesemesowałam czym prędzej do Miłosa, żeby nie zmienić zdania.

I mimo protestów mamy wyjechałam następnego dnia.

Skoro nawet Iga w swojej godnej pożałowania sytuacji potrafi się zabrać do nauki, to chyba ja też powinnam się zmobilizować i pomyśleć o przyszłości? A w pensjonacie raczej nie potrafiłabym skupić się na trudnych sprawach.

– Będziemy w kontakcie. I niczym się nie martw. – Ucałowałam mamę, wkładając plecak do samochodu.

– Dzwoń do mnie, kiedy tylko będziesz chciała pogadać – pożegnałam się z Igą.

Uścisnęłam panią Wiesię i pana Stefana, raz jeszcze życząc im długiego wspólnego życia.

Droga do Gdańska minęła niepostrzeżenie. Na widok domu, w którym czekał Miłosz, zrobiło mi się ciepło na duszy.

– Myślę o fizjoterapii w Warszawie – zakomunikowałam, zanim jeszcze zdążyliśmy przenieść rzeczy z omegi do jego pokoju. – Tam przynajmniej nie wymagają matury z biologii i chemii, tylko kasy.

– A Gdańsk? – zainteresował się.

Nie zadawał pytań, skąd ta nagła decyzja.

– Odpada. Musiałabym przystąpić do matury po raz drugi. Nierealne. Kurs z terapii manualnej mam, coś tam wiem i nie zamierzam znów bawić się w zdawanie egzaminów. Odłożę pieniądze i od października zacznę zaoczne studia w Warszawie. Co ty na to?

Spodziewałam się entuzjastycznej reakcji, jednak Miłosz swoim zwyczajem zaczął ważyć racje.

– Może jednak powinnaś pomyśleć o studiach stacjonarnych? Masz kilka miesięcy na przygotowanie się do matury i w kieszeni naukę za darmo. A w dodatku na miejscu – kusił.

Że też on zawsze musi być taki racjonalny!

– Nie. Kasę zarobię w Hiszpanii. Michalina proponuje mi wyjazd w lutym, marcu. A poza tym, chętnie co któryś weekend wyrwę się do stolicy. Daj spokój, już postanowiłam – przerwałam dyskusję. – Teraz tylko muszę znaleźć pracę i przetrwać do wyjazdu – zakończyłam, zadowolona z planu.

Miłosz nie wyglądał na zachwyconego.

Oczywiście wolałabym dostrzec w jego oczach aprobatę, ale skoro się nie udało, trudno. On mnie przecież nie pytał, gdzie ma studiować i zarabiać.

Wieczorem zadzwoniłam do Igi.

– Ogarnęłaś się? Jak ci idzie nauka? – zapytałam, czując, że młoda jest jedyną osobą, z którą mogę porozmawiać o swoich planach, a jednocześnie nie narazić się na śmieszność i potok wątpliwości.

– Dobrze. Przerobiłam kilka rozdziałów. Dojechałaś?

– Tak.

Przedstawiłam jej perspektywę najbliższej przyszłości, z zarobieniem w Hiszpanii na czesne włącznie. Tak jak się spodziewałam, Iga wsparła mnie na całej linii.

– Wspaniale! To doskonały pomysł. Sama bym chciała wyjechać do Hiszpanii i popracować, choćby na zmywaku, ale nie mogę...

– Popracuję za nas obie! Dzięki. I nie martw się, Iga. Urodzisz i dostaniesz się na medycynę – dodałam z przekonaniem, pewna, że uda się nam obu.

Stwierdzenie, że oto zyskałam siostrę, której nie miałam nigdy, byłoby patosem. Niemniej jednak, obecność Igi w Krynicy psychicznie zwalniała mnie z obowiązków córki i mobilizowała do działania. Okej, Danielu. Może jednak umieszczenie córki w pensjonacie nie było takie złe?

Od jutra zamierzałam postarać się o pracę w Gdańsku i poprosić Michalinę o zabukowanie mi zajęcia w Walencji. Wyjazd do Juana raczej nie wchodził w rachubę.

Zamierzałam zarobić i wrócić, by opłacić studia bez wikłania się w męsko-damskie relacje, chociaż mejle z Alicante wcale nie były mi obojętne.

Co mnie trochę niepokoiło.

Urszula

Iwona Rostowska wyprowadziła mnie z równowagi i – jak mogłam przypuszczać – własną córkę również. Kiedy pobiegłam do pokoju Igi, Edyta już tam była i stanowczym głosem wyprosiła mnie za drzwi. W pewnym sensie odczułam ulgę, że wzięła na siebie nieprzyjemny obowiązek rozmowy z Igą po wizycie jej mamy, choć domyślałam się, że awantura na dole wybudziła ją z popołudniowej drzemki, nie wprawiawszy tym samym w dobry nastrój.

Postanowiłam pozostawić dziewczyny sam na sam.

Zesłam na dół, nalałam sobie kieliszek wina i po chwili w całym ciele poczułam przyjemne ciepło. Wyjrzałam przez okno, próbując dostrzec przykryte śniegiem krzewy, otulone białym puchem świerki, bałwanki na morskich falach, ale ujrzałam tylko bijący o szyby deszcz i usłyszałam wiatr zawodzący w gałęziach. Prognozy nie przewidywały zmiany pogody aż do sylwestra, zatem o śnieżnym Nowym Roku można było zapomnieć.

Żeby tylko goście, którzy zarezerwowali pokoje, się nie rozmyślili, pomyślałam z niepokojem, licząc ewentualne straty.

W okresie jesienno-zimowym na wagę złota był każdy gość i każda złotówka zarobiona na utrzymanie pensjonatu. Przyznam, że prowadzenie biznesu ciążyło mi coraz bardziej, a myśl o pozbyciu się balastu atakowała umysł z narastającą siłą. Żeby chociaż Edyta podjęła decyzję odnośnie do swojej przyszłości!

Na razie na kilka miesięcy przyjął Igę, więc powinnam wytrwać w tym zobowiązaniu. Dziewczyna po maturze (na co liczyłam), ma studiować w Gdańsku. W przypadku ewentualnej sprzedaży pensjonatu pani Wiesia z panem Stefanem wciąż będą mogli pozostać w Krynicy. Na szczęście na posesji stały dwa budynki mieszkalne, a ja po sprzedaży pensjonatu byłabym w stanie pozostawić naszym nowożeńcom jeden z nich.

Gonitwę myśli przerwał mi głos schodzącej z góry Edyty.

– Pogadałam z nią – zakomunikowała po wyjściu od Igi. – Doszła chyba do siebie, ale co dalej będzie się działo, nie wiem. Jest rozgoryczona na matkę i Kubę. Generalnie współczuję ci i wyjeżdżam do Miłosza.

Ten ostatni komunikat niespecjalnie mnie zdziwił. Sama chętnie pojechałabym do Daniela i zmieniła otoczenie na jakiś roztańczony, sylwestrowo udekorowany trójmiejski lokal. Z Lidką i Kazikiem przy jednym stoliku, i z toastem za Nowy Rok. A tu? Owszem, mogłam liczyć na przyjazd pana doktora, ale nie sądziłam, by miał w planach porywać mnie na szaleńczą zabawę. Kroił się wieczór na starych krynickich śmieciach.

Edyta napomknęła coś jeszcze na temat swoich planów dotyczących studiów i znalezienia pracy, a także o planowanym wyjeździe do Hiszpanii. Obawiałam się, że chodzi o Juana, ale ona, jakby wyczuwając moje wątpliwości, wyjaśniła, że zamierza wyjechać do Michaliny.

– Ma mi załatwić robotę w Walencji. Zarobię na studia.

Nie do końca wierzyłam własnemu dziecku, ale nauczona doświadczeniem postanowiłam nie pytać, by po raz kolejny nie ustawiać między nami barykady. Dobrze, że Edyta w ogóle chce ze mną rozmawiać! Mogłam jedynie żywić nadzieję, że wytrwa w swoich zamierzeniach.

Wyjechała następnego dnia, pozostawiając po sobie pustkę i codzienność.

Daniel przyjechał dzień przed sylwestrem i pomógł mi zorganizować imprezę dla gości i domowników w pensjonacie. Iga odzyskała już dobry nastrój. Uspokoiła się wyraźnie, zwłaszcza że ojciec pogadał z nią i na nowo nastawił właściwie na przyszłość.

Niestety, miłe chwile minęły szybko. Daniel zostawił nas w Nowy Rok i pośpieszył przejąć dyżur w szpitalu.

W pensjonacie zapanował spokój, a my pozamykałyśmy się w pokojach i oddałyśmy swoim zajęciom. Iga przysiadła nad książkami, a ja po pracy w bibliotece biegłam, by pisać książkę. Fabuła nabierała rumieńców.

A mnie zastanawiało, czy podobny scenariusz napisałoby życie w moim przypadku. Gdyby żył mój syn. Gdyby nie urodził się martwy w piątym miesiącu ciąży. Jak wytłumaczyłabym po latach dorosłemu mężczyźnie, że zdecydowałam się oddać go swoim rodzicom? Jak pozwoliłabym, żeby rósł w przeświadczeniu, że jest ich synem?

Myśl goniła myśl, a ja przelewałam emocje na przysłowiowy papier. Plik w Wordzie dzień po dniu wypełniał się treścią, dając nadzieję na wydanie książki.

Daniel wypytywał o postępy, prosił o przesyłanie kolejnych rozdziałów, mobilizował do pracy.

W takim rytmie minął czas do lutego, kiedy Iga po zdaniu egzaminów zaliczyła materiał z pierwszego semestru klasy maturalnej i wróciła do szkoły. Wyjeżdżała samochodem o wpół do siódmej rano, a wracała po południu.

Podziwiałam jej determinację i obowiązkowość. Po obiedzie siadała do książek, potem razem jadłyśmy kolację, a późnym wieczorem, kiedy kładłam się spać, jeszcze widziałam światło sączące się spod drzwi pokoju Igi. Pracowała.

Mogłam jedynie mieć nadzieję, że moja Edyta również nie zarzuciła myśli o studiach.

Przyjeżdżała rzadko, choć esemesami informowała mnie na bieżąco co u niej. Czasami rozmawiałyśmy przez telefon. Przez Daniela, który wpadał, kiedy tylko pozwalał mu czas, przekazywałam specjały zawekowane przez panią Wiesię, dodając czasem w kopercie kilka groszy, chociaż, o ile wiedziałam, Edyta znalazła dorywczą pracę w gabinecie rehabilitacji. Niemniej jednak dziękowała za wsparcie, zatem chyba nie zarabiała zbyt dobrze...

Sama nie wiedziałam, kiedy zaczęłam zbliżać się do końca książki. Minęła połowa marca, a moja bohaterka, pogodzona z córką i zakochana w Witoldzie, zaczęła układać sobie nowe życie. Odetchnęłam z ulgą, gdy jako tako wyprowadziłam ją na prostą. Cieszyłam się, że wkrótce moje dzieło będzie gotowe. Jeszcze dwa, trzy rozdziały, a postawię sakramentalną ostatnią kropkę. I spróbuję zainteresować własną twórczością wydawnictwa.

Tamtego popołudnia, podczas pisania epilogu, byłam wyjątkowo podniecona. Zasiadłam do komputera już o drugiej, nie czekając na Igę i obiad. Słowa spływały na ekran, wyprzedzając myśli. Pełna twórczej weny i podekscytowana rozwojem akcji bębniłam w klawisze, nieczuła na zewnętrzny świat. Historia Julii, niemal moja historia, zbliżała się do finału. Zdania pojawiały się niemal bez udziału mojej woli. Po prostu żyłam emocjami bohaterki. Julia właśnie poczuła bóle porodowe i poprosiła Witolda, żeby zawiózł ją do szpitala. Miała urodzić jego dziecko, zostać mamą po raz kolejny. I tym razem nie musiała się zastanawiać, czy oddać je rodzicom na wychowanie.

Para dogadała się, że nazwie chłopca Leonem, na cześć nieżyjącego ojca Klary. Witold z pewnego powodu nie oponował...

KONIEC, wystukałam. I odetchnęłam.

Rozparłam się wygodnie na krzesło i rozprostowałam ramiona na jego oparciu. Przyjemność ponownego przeczytania ostatniego rozdziału i sprawdzenia, czy zgadza się z resztą książki,

pozostawiłam sobie na jutro.

A więc zrobiłam to! Napisałam powieść, pomyślałam z satysfakcją.

Zanim zadzwoniłam do Daniela z dobrą wiadomością, zeszłam zaparzyć kawę. Zabrałam pełną filiżankę na taras, żeby pomimo chłodu przysiąść na ławce i sięgnąć po komórkę, gdy już nieco ochłonę.

– Daniel? Skończyłam! Właśnie siedzę przed domem. Wiesz, jestem podniecona i szczęśliwa zarazem – powiedziałam do telefonu, gdy odebrał.

Ton głosu po drugiej stronie nie zwiastował niczego dobrego.

– To wspaniale, kochanie. Tyle że ja jadę właśnie do Nowego Dworu. Iga miała wypadek. Leży w szpitalu. Odezwę się.

Urszula

Zadzwoił po półgodzinie.

– Wpadła w poślizg, dachowała i uderzyła w drzewo. Na szczęście, nie licząc siniaków i lekkiego wstrząśnienia mózgu, nie odniosła poważnych obrażeń. Niestety... – zawiesił głos.

Jego lekkie drzenie nie uszło mojej uwagi.

I już wiedziałam, co się stało. A mimo wszystko milczałam, z nadzieją, że jednak się mylę. Że Daniel nie dokończył zdania z powodu ulgi, jakiej doznał, usłyszawszy dobre wiadomości.

Nic z tego.

Czarny scenariusz, który wyczułam szóstym zmysłem, okazał się prawdziwy.

– Iga traci dziecko – wyszeptał.

Wstrząsnął mną dreszcz. Szczelniej otuliłam się kocem; dotarło do mnie, że tkwię na tarasie już pół godziny. Na kilkustopniowym mrozie, w kłuszącym powietrzu. Mimo że natychmiast wycofałam się do ciepłego salonu, nie przestawałam drzeć.

Identyfikowałam się z Igą każdą komórką ciała.

Po chwili ciszy zdobyłam się na pytanie.

– Czy ona już wie?

– Miała krwotok. Na pewno orientuje się, że z dzieckiem może być źle – odparł Daniel. – Teraz jest na sali. – Z trudem hamował łzy. – Lekarze wywołują poród. Dziecko jest martwe.

– O Boże...

A zatem powtórzyła się moja nieszczęsna historia.

Natychmiast przypomniałam sobie niekończące się godziny skurczów i mobilizowania organizmu do wydania na świat dziecka, które nigdy nie miało nazwać mnie mamą. Fizyczny ból, potworny żal z powodu straty i wściekłość na niesprawiedliwość losu.

Rozumiałam Igę jak nikt inny. Wiedziałam, że pomimo młodego wieku nie zostaną jej oszczędzone najstraszliwsze emocje. Za drzwiami porodówki, otoczona obcymi białymi fartuchami, nie myśli, że oto „rozwiązują” się jej problemy. Nie tłumaczy sobie, że jeszcze kiedyś, w bardziej odpowiednim momencie, będzie miała dzieci. Po prostu odczuwa żal, że traci maleństwo, które od kilku tygodni delikatnymi ruchami dawało o sobie znać.

Byłam pierwszą osobą, której córka Daniela zakomunikowała tę ekscytującą wiadomość.

– Mały się poruszył! Czuję takie delikatne szemranie w brzuchu, jak gdyby pływały w nim rybki – obwieściła radośnie któregoś dnia, sprzątając ze mną po kolacji. – Chcesz wiedzieć, jak dam mu na imię? – zapytała niepewnie. Oczywiście, że chciałam. Od chwili, gdy po ostatniej wizycie u ginekologa przyniosła wiadomość o płci dziecka, tknięta hazardową żyłką przebierałam w imionach dla chłopców, czyniąc ciche zakłady sama ze sobą, czy trafię.

Iga mogła zdecydować się na modnego ostatnio Stasia, Jasia czy Kacpra albo pójść w kierunku klasyki, do której zaliczałam Piotra, Pawła, Jakuba. Nie przypuszczałam, żeby trafił się Patryk, Allan czy Krystian. Ale może warto wziąć pod uwagę niezbyt modnych ostatnio Grzegorza, Krzysztofa lub Zbigniewa?

Możliwością było mnóstwo, a zabawa w przewidywanie przysparzała i mnie, i Lidce dużo frajdy.

A mimo to, nie spodziewałam się imienia, które usłyszałam od Igi.

– Nazwę go Tomasz – oznajmiła radośnie. – Podoba ci się?

– Bardzo! Naprawdę! – odparłam, może nieco zbyt szybko.

Odchrząknęłam i wybiegłam z kuchni po chusteczkę do nosa.

Dlaczego wybrała właśnie to imię? Czy powinnam się cieszyć, że pod moim dachem rośnie w maminym brzuchu kolejny Tomek? Czyżby zrządzanie losu? A może to mój zmarły synek przypomina w taki sposób o sobie? Jakby wskazując, że powinnam pomagać Idze do końca ciąży, a może i później, po porodzie.

– Czy coś się stało? – Córka Daniela podeszła do mnie.

– Ten pieprz! Działa na mnie fatalnie. Kręci w nosie. – Wykpiłam się pierwszą lepszą wymówką. – Tomasz! To brzmi znakomicie! – pochwaliłam, już całkowicie opanowana i skłonna do okazania entuzjazmu.

Wtedy nie myślałam o złych konotacjach. Nie przysły mi do głowy szatańskie myśli o powtarzalności zdarzeń, tych dobrych i tych złych. Ale teraz, kiedy Iga rodziła martwe dziecko, wstrząsała mną nie tylko gorycz własnych wspomnień, ale i wyrzuty sumienia, że nie odwiodłam jej od pomysłu. Może gdyby nadała dziecku inne imię, dzisiaj nie wpadłaby w poślizg i o czasie urodziła żywego chłopczyka?

Kotłowanina w głowie sprawiła, że ledwie słyszałam w komórce głos Daniela.

– Jesteś tam?

Ocknęłam się.

– Tak. Zaraz wsiadam w samochód i do was jadę. – Staralam się mówić spokojnie. – Będę niebawem.

– To nie ma sensu, Ula. Iga będzie rodzić jeszcze kilka godzin, jeżeli nie kilkanaście. Lekarze przewidują, że to potrwa. Gdybyś jednak podtrzymała swój zamiar... Może jutro po południu...?

– Wcześniej się nie przydam?

– Lepiej zostań w domu. Pada marznący śnieg. Na dodatek zapowiadana jest zadymka. Nie chcę cię narażać. Ale dziękuję za wszystko – dodał.

Pożegnałam się, usiadłam na kanapie i rozbeczałam jak bóbr.

– Co się dzieje? – W progu stanęła pani Wiesia.

– Iga miała wypadek. I właśnie rodzi martwe dziecko! – załkałam.

Kołysała mnie w ramionach, nie pytając o szczegóły. Powiedziałam jej o nich z własnej woli.

Wysłuchiwała spokojnie, nie wypuszczając mnie z objęć.

– Może powinnaś do niej pojechać? – zapytała.

Spojrzała w okno, na szalejącą zamieć, i natychmiast pożałowała własnych słów.

– A może lepiej jutro? – dodała.

Nasza kochana gosposia martwiła się o mnie!

– Nie wiem, pani Wiesiu. – Siąknęłam nosem. – Daniel nie chce, żebym jechała. Mówi, że to może potrwać.

– I pewnie ma rację. Zresztą, gdzie będziesz gnała w taką zadymkę? Jeszcze jakieś nieszczęście się przydarzy. A Idze i tak nie pomożesz – podsumowała racjonalnie.

– Ale kiedy sobie przypominam **mojego** Tomka... – rozryczałam się ponownie.

– Wiem, wiem. – Stanowczy ton pani Wiesi powstrzymał mnie przed rozpaczą absolutną. – Pojedziesz jutro za dnia. To postanowione. A teraz po prostu dobrze się wyśpij. Z Igą jest ojciec.

Myślałam o córce Daniela, mechanicznie przerzucając kanały w telewizorze. Myślałam, biorąc kąpiel. Ponure myśli nie opuściły mnie, nawet gdy zerknęłam na ekran komputera, zawierający na pulpicie plik z treścią książki o Julii. Nie mogłam zasnąć, bo sprzed moich oczu nie chciał zniknąć obraz cierpiącej na

porodówce dziewczyny. I Daniela, który nie pozwolił mi przyjechać do szpitala.

A zatem nie okazałam się na tyle ważna, żeby dopuścić mnie do współcierpienia!, desperowałam. Mam dojechać już po wszystkim! Iga, otoczona kręgiem lekarzy specjalistów, wspieranych być może przez psychologa, będzie dochodzić do siebie bez mojego udziału, z ojcem u wezgłowia! Dla Daniela przestaną być ważne dyżury w szpitalu; nie odstąpi córki nawet na krok!

A ja? W jakim mam wystąpić charakterze? Mam się pojawić w szpitalu jako znajoma ojca chorej, właścicielka pensjonatu, w którym ostatnio pomieszkiwała? Czy mam prawo być przy niej, gdy pozostanie na oddziale przez jakiś czas, zanim zbierze siły po traumatycznych przeżyciach?

Na myśl o własnym miejscu w tej całej sytuacji aż zakręciło mi się w głowie. Czyżby Edyta miała rację, mówiąc Lidce, że Daniel wcale mnie nie kocha? Że chce jedynie wykorzystać? Że nigdy nie ma dla mnie czasu, wpada jak po ogień, kwiatami i miłym słowem rekompensując swoją nieobecność, by zapewnić Idze spokój przed porodem?

Przed porodem... A co teraz? Poczułam skurcz w żołądku.

Tak bardzo chciałam być przy nich obojgu!

Miejsce złych myśli o Danielu zajęły nie do końca racjonalne pragnienia. Właśnie że powinnam się zebrać i wbrew jego woli pojechać do szpitala!

Pobiegłam na piętro, wzięłam kilka rzeczy.

Kiedy wsiadałam do samochodu, dochodziła dwudziesta trzecia. Czulałam zmęczenie, targały mną nerwy. W takim stanie niełatwo będzie jechać, zdałam sobie sprawę, ale od czego mój niezawodny sposób? Sięgnęłam do schowka po różowe tabletki, które powinny mnie ożywić na dwie godziny, zanim wprawiają w stan lekkiego oszołomienia. A ten z pewnością minie, gdy tylko znajdę się w szpitalu.

Cokolwiek pomyśli sobie Daniel, przynajmniej z nimi będę! A zwłaszcza z Igą.

Połknęłam jedną pastylkę i odpaliłam silnik.

Miałam nadzieję, że nie usłyszał tego żaden z domowników.

Nie chciałam, by mnie powstrzymywano.

Tymczasem zadymka rozszalała się na dobre. Wycieraczki nie nadążały ze zbieraniem śniegu z szyby. Lecz ja nieustępliwie przemierzałam kolejne kilometry przybliżające mnie do szpitala w Nowym Dworze.

Musiałam się śpieszyć, bo miałam całkiem sporo do przejechania.

Edyta

Cicho! Uciszcie się! Dzwoni moja komórka! – Machnęłam ręką, próbując uspokoić rozbawione towarzystwo.

Nikt nie zareagował.

Siedzieliśmy w ulubionej knajpce nad brzegiem morza, świętując kontrakt pozyskany przez firmę Miłosza i Marcina, na którym mieli skorzystać i oni.

Przewidując kaca po dobrej zabawie, wzięłam na jutro wolne w pracy. Chciałam sobie dać czas na regenerację. O ósmej wieczorem pojechaliśmy do „Żagla”, gdzie zamówiliśmy kilka porcji sandacza w ziołach. Wraz z nimi na stół wjechały litrowe dzbanki piwa. Toasty za kontrakt rozgrzewały.

Zabawa zaczęła nabierać rumieńców już od pierwszego kufła. Nastrój dopisywał.

– No to, drodzy zgromadzeni... – Marcin wstał z miejsca. – Pan Miłosz i pan Marcin – wypiął dumnie pierś – są urzędzeni. Będą kosić szmal, aż miło. Dzisiaj pijecie na nasz koszt! I za nas! – Stuknął się kuflem z Miłoszem.

– Hola, hola, przyjacielu! Nie tak prędko. – Mój chłopak próbował hamować entuzjazm kumpla. – Jeszcze nie będziemy pracować na pełen gwizdek, bo studia. Ale za kilka lat powinno być dobrze.

– Sknera! Nie chce stawiać! – odezwała się Kaśka z udawanym wyrzutem.

– Nie? Mogę prosić o piwo? – W odpowiedzi na jej zaczepkę Miłosz gestem przywołał kelnera.

Obserwowałam go uważnie, dumna, że w ostatnim czasie zyskał na pewności siebie. Z łączeniem studiów i pracy radził sobie doskonale. Wprawdzie nie mieliśmy zbyt dużo czasu dla siebie, ale od chwili, gdy zatrudniłam się w centrum rehabilitacji, i ja nie mogłam narzekać na jego nadmiar.

Gdy kilka dni temu oznajmiłam, że zamierzam zająć zwolniony pokój w mieszkaniu, które wynajmuje Maja, Miłosz nie był zadowolony.

– Przecież u mnie mieścimy się doskonale – stwierdził, kiedy tłumaczyłam mu swoją decyzję. – A niedługo wynajmiemy niezależne lokum tylko dla nas.

Ja jednak pozostałam nieugięta. Należący do Miłosza pokój w amfiladzie nie dawał mi poczucia komfortu. I ta wspólna kuchnia, i łazienka z Marcinem...

– Przeprowadzę się do Majki tylko na jakiś czas, dopóki nie będzie nas stać na wynajęcie czegoś – zdecydowałam. – Będziemy się spotykać na randkach. Całkiem fajnie, nie uważasz? – nęciłam.

Miłosz przytaknął bez entuzjazmu, ale pomógł mi przewieźć rzeczy do przyjaciółki.

Majka nie chciała uwierzyć, że powodem mojej wyprowadzki były niewygody związane z obecnością Marcina. Prawdę powiedziawszy, uświadomiła mi prawdziwą motywację.

– Mów, co się dzieje – nakazała przy pierwszej wspólnie przygotowanej kolacji.

– Z czym?

– Z Miłoszem. Pokłóciliście się? Nie wydawał się zbyt szczęśliwy, gdy przywiózł tutaj twoje rzeczy.

– Wszystko jest w jak najlepszym porządku – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. – Ale wiesz... – zawiesiłam głos i zastanowiłam przez chwilę. – Chyba po prostu muszę pomieszkać trochę sama. Bez Miłosza.

– Jasne. W końcu ślubu nie wzięliście. O ile jestem dobrze poinformowana.

– Jesteś, jesteś. Nie zamierzam szybko wychodzić za mąż – odparłam, mimo woli odczuwając zadowolenie z podjętej decyzji. – Poza wszystkim nie zauważyłam, żeby Miłosz mi się oświadczył – dodałam z uśmiechem. – Zresztą chyba jeszcze nie dorosłam do wyczekiwania na faceta z obiadem i gromadką dzieciaków.

W chwili obecnej absolutnie nie wyobrażałam sobie takiego stanu rzeczy. Przypadek rodziców, pary z czasów liceum, nie zachęcał do powtarzania ich życiowej drogi. Wystarczało mi, że mama ugrzęzła w Krynicy na całe życie. I nic nie wskazywało na to, żeby miało się coś zmienić w tej kwestii.

– Oj, Edyta, Edyta! Gdzie znajdziesz drugiego takiego gościa, jak Miłosz. Ja bym się go trzymała. – Majka nie miała zamiaru odpuścić. – Kocha cię jak szalony, a do tego niczego mu nie brakuje. Zauważyłaś?

I ty też, Brutusie, przeciwko mnie!, miałam ochotę zawołać i powstrzymać ją od takich uwag. Znalazła się druga mama!

– Weź się zajmij lepiej wkuwaniem nazw tych swoich leków – odparowałam. – I daj mi spokój. A jak tam Sergio? – zapytałam z nutką złości.

– A dobrze – odpowiedziała nieoczekiwanie szczerze. – Czasem piszemy do siebie.

Teraz, kiedy siedziałyśmy z towarzystwem w „Żaglu”, pijąc za przyszłe zyski Miłosza i Marcina, Majka wyszeptowała, że jak zwykle miała rację.

– Edyta! A nie mówiłam, że Miłosz sobie poradzi?

Machnęłam ręką i sięgnęłam po chipsy.

– Jak ci się tak podoba, to sobie go weź! – odparowałam ze złością.

Po cichu, żeby nikt nie usłyszał.

Postanowiłam w domu zrobić z nią porządek. Do licha, że też ja zawsze muszę trafiać pod skrzydła dobrych aniołów, które lepiej ode mnie orientują się, czego mi w życiu trzeba! Najpierw mama, potem Miłosz, a teraz i Majka! Uwzięli się na mnie, czy co?

Wydało mi się, że poprzez gwar i głośną muzykę słyszę popiskiwanie własnej komórki. Sprawdziłam i okazało się, że faktycznie. Na ekraniku telefonu, który w końcu udało mi się wydobyć z dna przepastnej torby, widniał numer pani Wiesi.

To niesłychane!, zdumiałam się. Przecież ona nigdy do mnie nie dzwoni, pomyślałam zaniepokojona.

Wstałam z krzesła i oddaliłam się w kierunku okna.

Odległy kąt knajpki dawał jako taką gwarancję, że usłyszę cokolwiek.

– To ja, Wiesia. – Zabrzmiał znajomy głos. – Edytko, Iga jest w szpitalu w Nowym Dworze. Miała wypadek. A Ula pojechała do niej przed chwilą. Jest taka zawierucha, że aż się boję...

Zerknęłam za okno, za którym szalał uderzający o szyby śnieg z deszczem. Przez tę zasłonę przebijała biel morskich grzywaczy.

– Co jest? – usłyszałam za plecami głos Miłosza.

Uciszyłam go gestem i kontynuowałam rozmowę.

– Pani Wiesiu, co się stało? Co pani wie? – pytałam gorączkowo.

– Edytko, Iga straciła dziecko! A Ulka wybrała się do niej samochodem! Jest taka zła pogoda, a ona była przygnębiona. Mówiłam jej, żeby nie jechała, ale...

Uspokoiliłam spanikowaną gosposię, sama z trudem utrzymując nerwy na wodzy i intensywnie myśląc, jak przemieścić się do szpitala w Nowym Dworze z promilami we krwi. Miłosz nie mógł jechać. Ani Majka. Ani nikt z naszego towarzystwa.

Pożegnałam się z Wiesią i spróbowałam połączyć z mamą. „Abonent niedostępny”.

Rozwiązanie znalazł Miłosz.

– Zadzwoń po Waldka – powiedział, mając na myśli swojego wuja z Gdyni. – Może on nas zawiezie.

W samochodzie Waldka, którego na szczęście zastaliśmy w domu, wytrzeźwiałam błyskawicznie. Zarzuciłam próby połączenia się z mamą. Nie mogłam się doczekać końca podróży.

Przecież pani Wiesia mogła się mylić. Mogła czegoś nie zrozumieć. Z pewnością na miejscu wszystko się wyjaśni i okaże się, że z dużej chmury spadł mały deszcz.

Miłosz obejmował mnie ramieniem i szeptał do ucha kojące słowa.

– Poczekajmy. Za chwilę dojedziemy i skończy się niepewność. Najgorzej jest nie wiedzieć. Jeszcze trochę.

Waldek sprawnie przebijał się przez zadymkę, pokonując kolejne kilometry. Cel podróży był coraz bliżej. Aż wreszcie zatrzymaliśmy się na szpitalnym parkingu i niemal wyskoczyliśmy z auta.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu samochodu mamy, ale nie dostrzegłam go wśród szeregu ośnieżonych pojazdów. Przystałam zatem wypatrywać i skierowałam się do izby przyjęć.

– Proszę pani, do szpitala została niedawno przyjęta niejaka Iga Rostowska. Czy mogę dowiedzieć się, gdzie ją znaleźć? – Zaatakowałam pielęgniarkę za kontuarem.

Odpowiedź była zgodna ze szpitalną procedurą.

– Czy pani należy do rodziny?

– Nie. Ale...

– W takim razie bardzo mi przykro. Nie mogę udzielić pani informacji.

– To niech mi pani powie przynajmniej, gdzie zastanę kogoś z rodziny pacjentki?

Myślałam o Danielu i przede wszystkim o mamie, która powinna być już na miejscu.

– Nie... – Pielęgniarka zawahała się, lecz w końcu machnęła ręką w lewo. – Pójdą państwo tym korytarzem. Czeka tam ojciec pani Rostowskiej.

A zatem mama nie dojechała!

Popędziłam we wskazanym przez recepcjonistkę kierunku, gdzie zastałam Daniela skulonego na plastikowym taborecie. Dłonie miał skrzyżowane na czole.

– Co jest? – zapytałam bez zabawy w kurtuazję.

Gdy wyjaśnił mi sytuację, aż przysiadłam.

Podtrzymał mnie Miłosz.

– Myślisz, że ten poród... – Słowa ledwie przechodziły mi przez gardło. – Czy to jeszcze długo potrwa?

– Ona może się męczyć nawet do jutrzejszego ranka – odparł przybity Daniel. – Ula ci powiedziała?

– Nie, pani Wiesia. Mama tu jedzie. Ruszyła parę minut po jedenastej – powiedziałam.

Tymczasem mój zegarek wskazywał wpół do trzeciej w nocy!

Mama powinna być w szpitalu jakieś dwie i pół godziny temu!

– Jak to: jedzie? – Daniel aż poderwał się z krzesła. – Przecież mówiłem jej, żeby zaczekała do jutra! Jest taka zadymka! Dzwoniłaś do niej?

Poinformowałam go, że wielokrotnie.

Nie usiadł już na taborecie. Nerwowo przeczesując włosy, kręcił się w kółko, by w końcu przedstawić mi plan działania.

– Zostaniesz tu. Wiesz, w razie gdyby Iga... urodziła? – zapytał.

– Oczywiście, że zostaniemy.

W oczach Miłosza dostrzegłam aprobatę.

– Jadę szukać Urszuli – oznajmił Daniel. – Musiało się coś stać. Dziękuję, że przyjechaliście – dodał.

– Nie martw się. Z Igą na pewno będzie wszystko w porządku. I mama też się znajdzie – uspokajałam, mimo że moje serce tłukło się jak oszałałe.

– Aha, i jeszcze jedno! – Daniel zatrzymał się w biegu. – Iga po wszystkim przez jakiś czas będzie

oszołomiona. Być może zaśnie. Ale gdyby jednak nie spała, powiedz jej, proszę, że w przyszłości będzie mogła mieć dzieci.

Zrozumiałam. Za niebieskimi drzwiami Iga właśnie traciła swojego synka. Nie wiedziałam, czy bardziej targa mną żal z powodu tej straty, czy lęk o mamę.

Pozostaliśmy z Miłozem sami.

Czekaliśmy na lekarzy, którzy wyjdą z porodówki i oznajmią, że wreszcie jest po wszystkim.

Czekaliśmy też na telefon od Daniela.

Edyta

Nerwową drzemkę na ramieniu Miłosza przerwał mi trzask otwieranych drzwi i skrzypienie kółek szpitalnego łóżka, na którym Iga wyjeżdżała z porodówki. Na wpół przytomna zerwałam się z taboretu i z trudem opanowawszy mrowienie w nogach, co sił popędziłam za pielęgniarką wiozącą pacjentkę na oddział.

Chwyciłam młodą za rękę.

– To ja, Edyta – powiedziałam, usiłując nie widzieć nieprzytomnego spojrzenia i twarzy wymęczonej kilkugodzinnym wysiłkiem.

Wyglądała okropnie i zapewne tak samo się czuła.

– Proszę pani, proszę odejść od łóżka. – Pielęgniarka odpędziła mnie stanowczo. – Chora potrzebuje spokoju.

– Może jednak mogłabym jej towarzyszyć? – Spróbowałam targów. – Proszę jedynie o chwilę rozmowy lub chociaż kilka minut przy Idze...

– Za jakiś czas, kiedy pacjentka odpocznie – odparła siostra tonem nieznoszącym sprzeciwu. – A i to, jeśli jest pani rodziną.

Nauczona doświadczeniem, przytaknęłam ochoczo.

– Zaczekajmy jeszcze chwilę. – Powstrzymałam Miłosza, który posłusznie zrobił w tył zwrot.

Gdy tylko pielęgniarka zostawiła Ige samą, wślizgnęłam się na salę.

Młoda przysypiała, ale broniła się przed snem, jak mogła. A ja w milczeniu głaskałam ją delikatnie po dłoni.

– To ty? – odezwała się po kilku minutach, przerywając nocną ciszę. – Nie ma już Tomka – poskarżyła się po prostu.

To jedno proste zdanie sprawiło, że nie potrafiłam powstrzymać łez.

A miałam się trzymać!

– Wiem – odparłam, próbując opanować emocje. – Jak ty się czujesz? Boli?

Pytanie zostało zignorowane.

– Jest tato?

– Zaraz będzie. Musiał na chwilę wyjść ze szpitala.

Nie wyjaśniłam powodu nieobecności Daniela, chociaż na myśl, że pojechał szukać mamy już ponad dwie godziny temu, robiło mi się słabo. Ukradkiem zerknęłam na ekran komórki, bez śladu jakiegokolwiek połączenia. A zatem jeszcze jej nie znalazł.

Niepokój narastał.

– Leż i odpoczywaj – wyszeptałam.

Uspokajające słowa, o które prosił mnie Daniel, nie mogły mi przejść przez gardło. Milczałam, aby nie dotknąć Igi niepotrzebnie najmniejszą aluzją do dziecka. Zaczekam, aż sama będzie gotowa mówić, postanowiłam.

Tymczasem ona raz po raz zapadała w króciutkie drzemki, z których budziła się z grymasem bólu. Ocierałam jej łzy spływające z kącików oczu. Płakała bezgłośnie, a mnie z żalu pękało serce.

Czuwałam w ciszy, którą przerwał dźwięk komórki. Dzwonił Daniel.

– Muszę na chwilę wyjść na korytarz. Zostaniesz sama? – zapytałam, unosząc się z krzesła.

Iga spojrzała na mnie niewidzącym wzrokiem, który bez zainteresowania przeniosła za okno.

– Zaraz będę – zapewniłam ją i gnana niepokojem opuściłam salę. – Tak, Daniel? – rzuciłam. –

Znalazłeś mamę?

Krótką chwilą oczekiwania na odpowiedź była jak wieczność.

– Mama czuje się dobrze – usłyszałam.

Nerwy puściły.

– Kiedy będziecie?

– Będę sam. Co z Igą?

– Urodziła. Siedzę z nią na oddziale izolacyjnym. Jest w kiepskim stanie psychicznym, ale dajemy radę.

Czeka na ciebie. A mama? – drążyłam.

– Ula ma złamaną nogę. Natrafiłem na jej samochód na stacji benzynowej po drodze i po nitce do kłębka dotarłem do szpitala, w którym zakładali jej gips. Została tam na kilka godzin. Odbierzemy ją w drodze do Krynicy.

– Ale co się stało?

– Powiem ci później. Za chwilę u was będę. Nie licząc tej nogi, z Ulką wszystko w porządku.

– Dlaczego nie zadzwoniła?

– Padła jej komórka.

Jej padła komórka, a ja pod wpływem emocji ostatnich godzin z ulgą padłam w ramiona Miłosza.

– Mama złamała nogę, Daniel jedź do szpitala, a ja wracam do Igi – zakomunikowałam w telegraficznym skrócie, całując go w policzek. – To może jeszcze trochę potrwać. Aha, zwolnij wujka – dodałam, przypomniawszy sobie o nieszczęśniku, który zapewne pałętał się po szpitalnych korytarzach.

– Nie martw się, już pojechał. Weźmiemy taksówkę.

Przytuliłam się mocno do mojego chłopaka, który bez słowa narzekania przeżywał wraz ze mną trudne chwile.

– Wiesz, że cię kocham? – zapytałam.

– Ja ciebie też. Idź do Igi. Przynieść ci kawę?

Skinęłam głową i nagle zdałam sobie sprawę z własnego zmęczenia. Po nieprzespanej, pełnej wrażeń nocy, która się jeszcze nie skończyła.

Iga spała mocno; przytulona do poduszki, pochrapywała ciężko. Siedziałam przy niej bez ruchu.

W drzwiach stanął Daniel. Podał mi kubek z gorącą kawą.

– Cześć, Edyta. Bardzo z nią źle? – Objął mnie serdecznie.

– Chyba nie najlepiej. Mało mówiła.

Bez słowa przysiadł obok. Tkwiliśmy przy łóżku w absolutnej ciszy, żeby nie przerwać życiodajnego snu, który był Idze tak potrzebny.

– Gdzie mama? – spytałam szeptem.

– W szpitalu. W Gdańsku.

– Jak ona się tam znalazła? Przecież do Nowego Dworu jest znacznie bliżej!

– Trafiała się karetka, która wiozła pacjenta do Gdańska. Zabrali ją ze Stegny.

– Jezus, Maria! Można się z nią jakoś porozumieć?

– Ma dzwonić do mnie ze stacjonarnego o ósmej rano. Przywiozę ją do Krynicy, kiedy tylko dojdzie do siebie po zabiegu.

Czułam, że Daniel nie mówi mi całej prawdy. A zatem były komplikacje po złamaniu.

Zorientował się, że powiedział trochę za dużo.

– To miała być tajemnica, żeby cię nie martwić, ale skoro już się wysypałem... Mama doznała złamania z przemieszczeniem, więc lekarze zabrali ją na stół. Kiedy dojechałem na miejsce, była już po zabiegu. Udanym. Teraz musi trochę oprzytomnieć.

Musieliśmy przerwać naszą szeptaną rozmowę, ponieważ Iga zaczęła się budzić. Kiedy otworzyła oczy i zobaczyła Daniela, zostawiłam ich samych.

– Przejdę się – powiedziałam. – Nie będę przeszkadzać.

– Zostań! – Iga przytrzymała moją rękę. – Chcę was mieć przy sobie oboje. Ula już wie? – Drżącym głosem zapytała o mamę.

Pewnie się zastanawia, dlaczego nie ma jej w szpitalu.

– Córeczko, Ulka jechała do ciebie i... doznała kontuzji. – Daniel przekazał wiadomość najdelikatniej, jak potrafił. – Ma złamaną nogę, leży w gdańskim szpitalu. Na dodatek wyładowała się jej komórka, więc poprosiła, żebym nagrał kilka słów do ciebie na swoją.

Włączył odtwarzanie i salę wypełniły słowa mamy.

„Iguniu, współczuję ci serdecznie, nawet nie wiesz, jak szczerze. Rozumiem, przez co przesłaś, ponieważ, niestety, w twoim wieku przeżyłam to samo. Tak mi przykro, że nie mogę być teraz z tobą i z twoim tatą. I z tobą, Edytko. Bo wiem, córciu, że i ty tam jesteś. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. Trzymaj się dzielnie, Iguniu, to minie, nawet jeżeli myślisz, że nigdy tak się nie stanie. Myślę o tobie, o was i wściekam się na los, który zesłał mnie do szpitalnego łóżka. Daniel obiecał, że jutro mnie stąd zabierze. Spróbujemy ci pomóc wspólnymi siłami”.

Spoglądaliśmy po sobie zaskoczeni, porażeni wyznaniem mamy. Iga, aby nie zalać się łzami i pokonać konsternację, poprosiła o szklankę wody. Aż do tej chwili, choć znałam historię mamy (mimo że bez szczegółów), nie do końca przyjmowałam ją do wiadomości. Po dzisiejszym wyznaniu dotarła do mnie, w pełni wiarygodna i prawdziwa.

– Na korytarzu jest Miłosz. Może wejść na chwilę? – przerwałam ciszę. – Chodź na moment. Iga się obudziła! – zawołałam go po otrzymaniu pozwolenia.

– Dzięki, że przyjechałeś. – Iga wyciągnęła do niego rękę.

– Jak się czujesz?

– Bywało lepiej – odparła z namiastką uśmiechu.

Rodzinną sielankę przerwało wejście pielęgniarki.

– A państwo co tutaj robią? – zagrzmiała, zobaczywszy nas przy łóżku. – Urządziliście sobie konferencję? Proszę natychmiast stąd wyjść! Zaraz zaczynamy obchód!

Opuszczaliśmy salę, gestami dając Idze do zrozumienia, że będziemy w pobliżu.

– Może jeszcze kawy? – zaproponował Miłosz, gdy zobaczył, jak z Danielem opadamy na szpitalne krzeselka, w stanie wskazującym na totalne wyczerpanie.

– Chętnie.

– Co robimy? – zapytałam, kiedy Miłosz oddalił się w stronę automatu z napojami.

– Trzeba odebrać Ulkę z Gdańska, Igę stąd i... Sam nie wiem. Ale chyba pojedziemy do Krynicy. Jak uważasz?

– A gdzie indziej?

– Nie wiem. Teraz, kiedy Iga straciła ciążę... Nie mam pojęcia, co postanowi. I co postanowi twoja mama.

– Nie wygłupiaj się! To chyba niczego nie zmienia?

– Masz rację. – Daniel ocknął się z otępienia. – Musimy przygotować święta! Przecież to już za trzy dni!

Prawdę powiedziawszy, zapomniałam o tym kompletnie. Za to przypominałam sobie, że od jutra mam

grafik wypełniony masażami. Do samej soboty przed Wielkanocą.

– Kawa i po bułeczce. Otworzyli bufet! – Miłosz przekazał nam łupy gestem zdobywcy.

Z przyjemnością zagłębiłam zęby w ciepłe pieczywo. Podobnie jak Daniel, głodny jak wilk.

– O świętach pogadamy za chwilę, okej? Mam kilka nieodebranych połączeń. – Poderwałam się, by w spokoju przeczytać wiadomości i zadzwonić do pani Wiesi. Chciałam przekazać jej informacje o mamie i Idze. Pewnie biedactwo denerwowało się przez całą noc!

Esemeasa napisała Majka. Z pracy przesłano mi grafik masaży na sobotę (!), czego nie przewidziałam. Nawet ciotka Lidka starała się ze mną połączyć, zapewne nastraszona przez panią Wiesię. Wśród reszty wiadomości dostrzegłam i tę od Michaliny. Pewnie świąteczne życzenia, pomyślałam. Zawsze o nich pamięta.

Niezwłocznie nacisnęłam na żółtą kopertkę.

„Mam dla ciebie pracę w naszym hotelu w Walencji. Od pierwszego kwietnia. Odpowiedz najpóźniej do jutra. Na razie na dwa miesiące. M.”.

Miałam ochotę skakać z radości. Niestety, tylko przez chwilę, dopóki nie przypomniałam sobie, gdzie jestem i co mnie czeka w najbliższej przyszłości. Do Wielkanocy pozostały zaledwie trzy dni, i trzy dni po nich do ewentualnego wylotu. A w domu mama ze złamaną nogą (z przemieszczeniem!), Iga po stracie dziecka i robota w Gdańsku. No i Daniel, którego wiecznie nie będzie.

A dusza aż rwie się do Hiszpanii!

To prawda, że historia lubi się powtarzać, pomyślałam i poczułam ciężar w piersiach. Postanowiłam zawalczyć z nim papierosem. Oto po raz drugi pojawia się szansa wyjazdu, a okoliczności sprzysięgają się ponownie!

Zadymka na zewnątrz uspokoiła się nieco, zastąpił ją szczypiący mróz. Wyszłam na schody prowadzące do głównego wejścia, naciągnęłam na głowę kaptur, włożyłam rękawiczki i szczelnie owinęłam szyję szalikiem.

Nie, tym razem nie mogę odmówić, przekonywałam się w myślach. Wyobrażałam sobie siebie na lotnisku w Modlinie, a potem na hiszpańskiej ziemi. Zarobię na studia, dumalam, oderwę się od kłopotów. A Miłosz jakoś przeżyje. Przecież to tylko dwa miesiące.

Z trudem powstrzymałam się od okazania nadziei na iberyjskie słońce Danielowi i Miłoszowi. Zanim jeszcze ponownie znalazłam się na szpitalnym korytarzu, odpisałam Michalinie.

„Dzięki. Jutro dam ci znać. E.”.

Kliknęłam „wyślij”, nie mając pojęcia, jaka będzie moja odpowiedź.

Urszula

Położyli mnie na łóżku obok wielu innych. Na korytarzu gdańskiego szpitala.

Misja dojazdu do Igi się nie powiodła, a ja miałam kwitnąć w placówce służby zdrowia nie wiadomo jak długo, bez kontaktu ze światem. Podczas tego nieszczęsnego wypadku moja komórka roztrzaskała się w drobny mak. Może i nie doszłoby do niego, gdybym nie dogodziła sobie różową tabletką, analizowałam wydarzenia ostatnich godzin, wściekła na siebie i na parszywą pogodę za oknem.

– Muszę zadzwonić! – tłumaczyłam kręcącym się pielęgniarkom, błagając o umożliwienie kontaktu z rodziną.

– Później do pani podejść.

Każda, co do jednej, wymigiwała się nawałem obowiązków.

W końcu któraś ulitowała się nade mną i była nawet skłonna spełnić moją prośbę, niestety, uświadomiłam sobie, że nie pamiętam numeru ani do Edyty, ani do Daniela. Pozostawało mi leżeć i czekać, aż któreś z nich mnie tutaj znajdzie.

A w szpitalu w Nowym Dworze Iga potrzebowała pomocy...

Po nastawieniu, nogę w gipsie trzymałam ułożoną na wyciągu, z zastrzeżeniem leżenia kilka godzin bez ruchu. Kręgosłup zaczynał już dawać znać o sobie, próby zaśnięcia kończyły się fiaskiem z powodu żarzących się świetlówek i krzątanim, tak charakterystycznej dla szpitala podczas dyżuru. Krótko mówiąc, w okolicy izby przyjęć, gdzie ustawiono moje łóżko, panował tumult nie do opisania. Poza wszystkim byłam zbyt podniecona i przygnębiona, żeby odpłynąć w sen choćby na kilka minut. Moje myśli krążyły pomiędzy Stegną a szpitalem w Nowym Dworze. Odtwarzałam przebieg wypadków, który doprowadził mnie do łóżka z wyciągiem.

Wyjechałam z Krynicy po dwudziestej trzeciej. Wzięłam pod uwagę trudne warunki drogowe, szalejącą zadymkę i bezksiężycową noc, spowijającą ciemnością prowadzącą przez lasy szosę, więc jechałam spokojnie, zwalniając na zakrętach i uważając na dzikie zwierzęta, w każdej chwili gotowe wskoczyć przed maskę. Pokonałam najgorszy odcinek drogi, mijając Kąty Rybackie i Sztutowo, i skierowałam się na Stegnę. Ruch był nieduży; z rzadka pojawiał się jakiś samochód. Niestety, kiedy minęłam tablicę z napisem „Stegna”, ogarnęła mnie senność. Najwyraźniej tabletką zaczęła działać zbyt wcześnie. Rozejrzałam się za stacją benzynową, żeby zatrzymać się na kilka minut i wypić kawę, i zobaczyłam wyłaniający się zza zakrętu neon.

Kierunkowskazem zasygnalizowałam skręt w prawo i zwolniłam. Resztką świadomości przed atakiem nagłego snu pozwoliła mi wjechać na parking i gwałtownie zatrzymać samochód. Szybko otworzyłam drzwiczki, by wpuścić do środka trochę powietrza.

Wystawiłam na zewnątrz lewą nogę, pragnąc jak najszybciej opuścić ciasne auto. Potrzebowałam oddechu. I właśnie wtedy poczułam potężne uderzenie, które najpierw wyrwało mi z ręki klamkę i sprawiło, że drzwi odskoczyły w kierunku maski, by po chwili z ogromną siłą trzasnąć mnie w nogę. Pewnie nie dał rady ominąć mnie inny samochód, pomyślałam i poczułam przeszywający ból. Nie próbowałam dociekać przyczyny. Upadłam na ziemię, tracąc świadomość.

Odzyskałam ją w ramionach nieznanego mężczyzny.

– Słyszysz mnie pani? Nic pani nie jest? – Głos dochodził z daleka.

– Boli! – krzyknęłam, łapiąc się za nogę, wykrzywioną nienaturalnie.

Przy próbie poruszenia nią ponownie zemdlałam z bólu. Facet cucił mnie wytrwale, zapewniając, że karetka właśnie dotarła na miejsce.

Obudziłam się w niej z nogą unieruchomioną w szynie.

– Gdzie mnie wieziecie? – zapytałam całkiem trzeźwo pochylonego nade mną ratownika w białoczerwonej kamizelce.

– Jedziemy do szpitala w Gdańsku. Złamała pani nogę. Trzeba ją prześwietlić i założyć gips – poinformował mnie rzeczowo.

– A mój samochód? Torebka? Telefon? – Gorączkowo zadawałam kolejne pytania.

– Telefonu nie ma, ale torebka jest. A samochód został na stacji benzynowej. Proszę się uspokoić, niebawem dojedziemy.

– Ale ja muszę do Nowego Dworu... – Spróbowałam jeszcze, ale ratownik najwyraźniej nie zamierzał kontynuować rozmowy.

Mimo bólu wzięłam się w garść, by przejść procedurę rejestracji w izbie przyjęć, poddać się badaniu rentgenowskiemu, nastawianiu kości piszczelowej, którą złamałam, i zakładaniu gipsu. Dopiero po tym wszystkim mogłam pomyśleć o próbie zawiadomienia Edyty albo Daniela.

I okazało się, że nie pamiętam numerów.

Wreszcie, mimo szpitalnej krzątaniny, zasnęłam. Śniło mi się, że słyszę napływający z oddali głos Daniela.

– To ja, kochanie. Jestem przy tobie.

Jak miło było go słyszeć i wyobrażać sobie, że Daniel jakimś cudem znalazł się przy moim łóżku. Teraz on zajmie się wszystkim i da radę problemom...

A może poród Igi też był tylko snem?

Otworzyłam oczy.

Daniel naprawdę siedział obok. Musiałam spoglądać niezbyt przytomnie, bo przedstawił się natychmiast.

– To ja. To znaczy Daniel Rostowski. Pamiętasz mnie? Jestem z tobą, kochanie.

– Ale co się dzieje? – Nie potrafiłam zebrać myśli.

– Miałaś wypadek. Złamałaś nogę i leżysz w szpitalu – tłumaczył jak małemu dziecku. – Chcesz się czegoś napić?

Uświadomiłam sobie, jak bardzo mam wysuszone usta, i z wdzięcznością przyjąłam butelkę mineralnej. Natychmiast przypomniałam sobie wszystkie wydarzenia wieczoru.

– Co z Igą? – Niemal krzyknęłam, podnosząc głowę z poduszki.

Daniel westchnął głęboko.

– Chyba jeszcze nie urodziła.

– Boże, zostawiłeś ją samą? A wszystko przeze mnie!

Dotarło do mnie, jak narozrabiałam.

– Musisz natychmiast jechać z powrotem! Przecież ona nie może być sama, kiedy już... Kiedy będzie po wszystkim.

– Bałam się o ciebie. Jest z nią Edyta.

Spoglądał na mnie z miłością, a moje serce miękło niczym rozpuszczane na patelni masło.

Zostawił dla mnie córkę? Wstydziałam się i miałam poczucie winy, choć sytuacja pozwoliła mi odczuć, że Daniel mnie kocha. W końcu nie zaaranżowałam jej z premedytacją.

Mimo że miałam ogromną ochotę powiedzieć mu, jak wielką sprawił mi przyjemność, zjawiając się

przy moim łóżku, opanowałam emocje. W tym byłam dobra. Lata wprawy przy Marku, któremu wystarczyło po prostu, że żyłam obok, pozbawiły mnie umiejętności okazywania uczuć.

Choć teraz bardzo by się przydała.

– To miłe – odparłam, mając na myśli zarówno niepokój Daniela o mnie, jak i obecność przy Idze mojej córki. – Mam do ciebie prośbę.

– Tak?

– Chciałabym przekazać Idze kilka słów. Mógłbyś je nagrać na komórkę?

Daniel wyjął telefon i odszukał funkcję dyktafonu.

– Proszę – podał mi działające urządzenie.

– Iguniu, współczuję ci serdecznie, nawet nie wiesz, jak szczerze... – zaczęłam.

Gdy skończyłam, Daniel patrzył na mnie oczami jak spodki, nieudolnie próbując ukryć szok wywołany moim wyznaniem. Trudno. W tym momencie liczyła się wyłącznie Iga, której mogłam pomóc tylko w taki sposób. Przynajmniej według własnego mniemania.

– Jedź już do niej – poprosiłam.

Daniel schował telefon do kieszeni.

– To prawda? – zapytał.

– Prawda, ale dawna prawda. A teraz wracaj do Igi.

– Wracam. A jutro wrócę po ciebie. I nikomu cię nie oddam – dodał i pocałował mnie w usta. – Pij dużo wody i spróbuj zasnąć. – Dostałam radę na pożegnanie. – Kocham cię.

Pomachałam mu na do widzenia. Odprowadzałam jego sylwetkę wzrokiem, aż zniknęła za załomem korytarza.

Przez cały czas miałam przed oczami wyraz jego zdziwionych i kochających oczu.

Bardzo nie chciałam się z nim rozstawać, ale gdzieś daleko przeżywało dramat jego dziecko. Dramat, który poruszał mnie nadzwyczajnie.

Leżałam nieruchomo, zapatrzona w sufit, wyobrażając sobie zmordowaną porodem Igę, która obudzi się po męczącym śnie.

Bez Tomka i wiary, że życie potrafi przynieść rozwiązanie każdego problemu.

Edyta

Pani Wiesiu, jestem! – zawołałam od progu, wchodząc do domu. – Dopiero udało mi się wyrwać z pracy – usprawiedliwiałam późny powrót w sobotnie przedświąteczne popołudnie.

Z kuchni dochodził nęcący aromat pasztetu z kaczki, którego nie pomyliłabym z żadnym innym. Wiesia zdradziła mi kiedyś tajemnicę tego wyjątkowego zapachu, który zapewniały dodane do masy dwa kieliszki śliwowicy.

Masowałam od samego rana i nie miałam czasu na zjedzenie czegokolwiek, więc głód kazał mi wziąć azymut na kuchnię. Zamiast pobiec przywitać się z mamą i Igą, pognałam, żeby sprawdzić, co jeszcze można skubnąć, zanim pasztet dojdzie w piecyku.

Na stole leżały: upieczony sernik wiedeński, wielkanocna baba i czekające na przystrojenie mazurki.

– Jesteś głodna, Edytko? – Pani Wiesia sięgnęła po nóż i odkroiła kawałek sernika. – Pewnie jeszcze nic dzisiaj nie jadłaś? Zamorzysz się, dziewczyno! W ogóle o siebie nie dbasz! – zrzędziła pod nosem, nakładając na talerz sałatkę z majonezem i kilka plasterków szynki uwędzonej przez pana Stefana. – Wprowadź przed jutrzejszym śniadaniem nie uchodzi, ale może podgrzać ci białą kiełbasę z kapustą? – zapytała.

Przytaknęłam bez zastanowienia. Zjadłabym chyba konia z kopytami.

Tymczasem sięgnęłam po sernik i zapełniwszy nim usta, poszłam przywitać się z mamą, która z kanapy w salonie wołała mnie od dłuższej chwili.

– Edytko, to ty? Pani Wiesiu, czy przyjechała Edytka?

– To ja! Bo któżby inny? – odpowiedziałam, przełknąwszy ciasto, które jak zwykle nie miało sobie równych. – Cześć, mamó. Jak się czujesz? – zapytałam i dałam jej całusa.

– A jak mam się czuć? Leżę tu bezużyteczna i wącham zapachy z kuchni! Koszmar!

Nie podjęłam tematu. Wiedziałam, że czeka ją jeszcze co najmniej sześć tygodni w gipsie, a później długa rehabilitacja. I niewiele mogłam pomóc.

– A Iga?

– No wiesz... – Mama zawiesiła głos. – Przeżywa, chociaż bardzo się stara dojść do siebie. Jest bardzo dzielna.

– Skoczę do niej, okej? – zapytałam, opierając się pokusie pożarcia sałatki warzywnej i szynki.

– Idź, idź. Jest u siebie.

Igę zastałam pochyloną nad książkami. Ta naukowa konsekwencja zdumiewała mnie od zawsze.

Mój widok autentycznie ją ucieszył.

– Edyta! Fajnie, że przyjechałaś! Wiesz, trochę się uczę – stwierdziła oczywisty fakt. – Powinnam więcej pomagać pani Wiesi, ale... Musiałam się oderwać – usprawiedliwiła się ze wzrokiem wyrażającym wyrzuty sumienia.

– No coś ty! Zaraz zabieram się do roboty – zapewniłam ją. – A ty razem ze mną, jeśli możesz. Jak się czujesz?

– Fizycznie dobrze. Goi się.

Nie zapytałam o nic więcej. Gdyby chciała, powiedziałaaby sama.

– To co? Za pół godziny w kuchni?

– Chętnie. Edyta... – zawiesiła głos. – Dziękuję ci za wszystko.

– Niby za co?

– Oj, przecież wiesz! Byłaś przy mnie, kiedy się obudziłam po tym... – Iga się rozpłakała. – Nie mogę się z tym pogodzić! Dobrze, że jesteś. Że przynajmniej z tobą mogę pogadać.

– A twój tato? A mama?

Próbowałam rzucić z siebie obowiązek dalszego wspierania Igi. Wiedziałam, że wkrótce będę musiała ją zawieść.

– Są wspaniali! Ale ty... To nie to samo.

Nie wiem, skąd mi się wzięło kolejne pytanie, którego zapewne nie zadałabym, gdybym pomyślała choć przez chwilę. Niestety, język okazał się szybszy.

– Czy twoja mama wie?

– Nie wie. – Usztywniła się Iga. – I Kuba też nie. A pewnie by się ucieszył...

Patrzyłam na ten nieszczęsny kłębek nerwów, ale nie przychodziła mi do głowy żadna terapia, poza tą najbardziej oczywistą – zejściem do kuchni i przystrojeniem mazurków. No, może jeszcze przygotowaniem farszu do kaczki, która z nogami w górze oczekiwała na stole na nadzianie. To ostatnie skojarzenie odpędziłam czym prędzej, bo źle się kojarzyło.

Że też ja zawsze muszę wymyślić coś głupiego!

Myśli powracały uparcie do matki Igi i do Kuby, ale się im nie dałam.

– To co? Schodzimy do kuchni?

Sobotni przedświąteczny wieczór spędziłyśmy pod skrzydłami pani Wiesi w charakterze dwóch chętnych podkuchennych, układając migdały na mazurkach, dekorując ciasta pałeczkami wanilii, polewając je lukrem i czekoladą. A nawet przygotowując farsz do nieszczęsnego drobiu...

Nasza gosposia szarżowała pomiędzy stołem a blatem. Wydawała polecenia, kazała próbować, chwalić. Mama co chwila wołała z pokoju, ciekawa, co się u nas dzieje. Pan Stefan pojawiał się od czasu do czasu i zgarniał ze stołu smakowite kąski. W pewnym momencie przez kuchnię przemknęła nawet ciotka Lidka.

– Przyniosłam babkę ziemniaczaną i żurek na jutro – oznajmiła od progu, stawiając na szafce garnek z zupą i zapakowaną w papier foremkę. – Edytka! Jak dobrze cię widzieć! Ta twoja matka tylko się wyleguje, podczas gdy reszta działa pod dowództwem pani Wiesi! – pokrzykiwała radośnie. Skubnęła kawałek pasztetu, który po wyjęciu z pieca trafił na stół. – Przesmaczny, pani Wiesiu! Jak zawsze!

Ucieszyłam się, że ciotka i wujek Kazik zjedzą z nami świąteczne śniadanie, a jeszcze bardziej, kiedy Lidka zaprosiła nas na obiad do ich nowego domku w Piaskach.

Wkręciłam się w przedświąteczny młyn, bo tak mi było wygodniej. Tu nie groziły mi niebezpieczne tematy, których chwilowo nie chciałam poruszać.

Daniel był w domu od rana. Zdziwiłam się, że nie ma dyżuru.

Po północy, kiedy wszystkie wielkanocne potrawy zajęły już miejsce w lodówce i spiżarni, blaty w kuchni zostały wypolerowane na błysk, kuchenka wymyta, a podłoga przejechana mopem, w domu nareszcie zapanował spokój. Ale mimo że położyłam się do łóżka, myśli nie sprzyjały snom. Nie dawał mi spokoju esemes, którego dwa dni temu wysłałam do Michaliny. Przewracałam się z boku na bok, ale wreszcie udało mi się odpłynąć w objęcia Morfeusza.

Wstałam o siódmej rano, żeby otworzyć drzwi Miłoszowi.

– Nie myślałam, że przyjedziesz – powitałam go zaskoczona, a jednocześnie zadowolona, że stoi w progu. – Miałeś być u rodziców.

– Nie wyobrażam sobie świąt bez ciebie! – Pochwycił mnie w ramiona i okręcił wokół własnej osi. –

Znajdzie się przy stole miejsce dla zbłąkanego wędrowca?

– Chyba pomyliłeś święta! – zawołałam szczęśliwa.

– Wszystko jedno jakie, byle z tobą!

I byliśmy w tę Wielkanoc bardzo ze sobą. I ze wszystkimi, którzy plątali się wokół nas. Zgromadzona przy stole gromadka dzieliła się jajkiem, smakowała białą kiełbasę w kapuście popijaną żurkiem i delektowała się wędzoną szynką od pana Stefana oraz Wiesinym paszтетem z kaczki. Patrzyłam na przymocowane do lampy nad stołem stroiki z wielkanocnymi jajeczkami, na bukszpanowy wieniec, z którego wystawały żółte kurczaczki, na zająca z cukru i masło w kształcie baranka. Życzyliśmy sobie wzajemnie szczęśliwej przyszłości, zapomniawszy na moment o kontuzjach niektórych i smutnych przeżyciach innych. Atmosfera euforii i dobrej nadziei zrobiła swoje. Miała dobry wpływ nawet na zakutą w gips mamę i poobijaną emocjonalnie Ięgę.

Przy obiedzie u Kazików Daniel wystąpił z toastem. Kiedy na stół wjechały ciasta, wstał i podniósł kieliszek. Gestem uciszył towarzystwo.

– Czy mogę? – zapytał, a kiedy zapanowała cisza, zaczął mówić. – Bardzo się cieszę, że jestem tutaj z wami. W te święta, które są z natury radosne i piękne. Kiedy słońce zaczyna zwyciężać ponurą zimową ciemność, a obietnica lata staje się coraz bardziej realna. Chociaż przyjdzie nam jeszcze nieco poczekać na lato, ten dzień jest wart, by go dostrzec. Jesteśmy tu razem, całą rodziną. Dziękuję ci, Uleczko, że mogę z tobą być. Dziękuję pani Wiesi i panu Stefanowi, Lidce i Kazikowi. Dziękuję ci, Miłoszu, że jesteś z nami. I tobie, córeczko, że tak wspaniale dajesz sobie radę. Ale najbardziej dziękuję tobie, Edytko. Trzeba mieć naprawdę wielkie serce, żeby odczuwać taką empatię wobec drugiej osoby. Okazałaś się wielkim wsparciem w trudnej chwili. Dziękuję, że zawsze można na ciebie liczyć.

Słuchałam tej przemowy z mokrymi oczami, jednocześnie wzruszona i opanowana pragnieniem, żeby wybiec z pięknego salonu Kazików i ukryć się w najbliższych krzakach. Dobre słowo Daniela było w tym momencie absolutnie nie na miejscu. To, o czym musiałam poinformować moich bliskich, z pewnością nie będzie przystawało do mojego wspaniałego, przedstawionego przed chwilą wizerunku...

Nie będę zakłócać tego popołudnia i nie powiem im dzisiaj o mojej decyzji, postanowiłam.

Podziękowałam za hymn pochwalny, opanowałam wzruszenie. Zaproponowałam wszystkim dokładkę mięsa i wreszcie wybiegłam do kuchni, gdzie pomogłam ciotce Lidce wyłożyć ciasto na patery. Przytulałam się do Miłosza, szepczącego, że znalazł dla nas jakieś fajne mieszkanko do wynajęcia. Ale w głębi duszy myślałam tylko o jednym.

W szufladzie przy łóżku od jakiegoś czasu leżał bilet do Walencji. Wyjazd miał nastąpić za cztery dni.

Kochałam tych ludzi, więc pękało mi serce. Ale czułam, że muszę dotrzymać danej samej sobie obietnicy.

Nie mogłam po raz drugi wejść do tej samej rzeki. Nie mogłam po raz drugi zostać w Krynicy wbrew temu, co czułam. Przepraszałam wszystkich moich bliskich w myślach, ciesząc się dniem dzisiejszym, popijając wino i całując z moim chłopakiem.

Klamka zapadła.

Urszula

Nareszcie w domu!

Bogu dzięki, miałam już za sobą pobyt w gdańskim szpitalu, spowodowany niefortunnym wypadkiem, i wyrzuty sumienia z powodu kłopotu, jakiego narobiłam Danielowi i całej rodzinie. Że nie wspomnę o poczuciu winy wobec Igi, której nie dość, że nie pomogłam, to jeszcze pozbawiłam ją obecności ojca w najważniejszej chwili w jej życiu. Postanowiłam, że wynagrodzę to im obojgu, oczywiście, kiedy zdołam już wygrzebać się z gipsu i w sensie dosłownym i przenośnym stanąć na nogach.

Miało to nastąpić najwcześniej za sześć tygodni.

Nad ranem Daniel zostawił mnie na szpitalnym łóżku. Ale już wieczorem, po wizycie u Igi, zwinął do samochodu i przewiózł do Krynicy.

– Jak Iga? – dopytywałam, żadna wieści z placu boju. – Jak ona się czuje? Nic jej nie jest? – Na dzień dobry zasypałam Daniela pytaniami.

– W miarę. Z medycznego punktu widzenia wszystko jest w porządku. Dochodzi do siebie.

– A psychicznie?

– Sporo płakała. Bardzo wzruszyły ją twoje słowa...

– Czy mogę do niej zadzwonić? – zapytałam. – Dasz mi telefon?

Zostawił mi komórkę i odszedł na chwilę.

Iga rozmawiała ze mną rzeczowo. Poinformowała o swoim samopoczuciu, powiedziała, że ucieszyła ją obecność Edyty i Miłosza, którzy, niestety, musieli już wyjechać do Gdańska. Z tonu jej głosu zorientowałam się, że doba od porodu zrobiła swoje. Zdawałam sobie sprawę, że Iga z trudem trzyma fason i czeka na przyjazd ojca. Daniel miał ją odebrać z Nowego Dworu następnego dnia. A kiedy wspomniała o planowanym pogrzebie malucha, wstrzymałam na chwilę oddech, by się nie rozpłakać.

Milczenie między nami nie mogło trwać wiecznie. Przerwałam je i zapytałam, gdzie i kiedy zamierza pochować Tomka.

– W Krynicy. W sobotę – powiedziała sucho. – Tato wszystko załatwi.

Niestety, ja przez tę cholerną nogę, nie mogłam pomóc Danielowi. Nikomu i w niczym nie mogłam być pomocna! Pozwoliłam się przewieźć do pensjonatu, ułożyć w salonie na kanapie przygotowanej przez panią Wiesię, poczęstować zimnymi nóżkami („na kości”). Pochłaniałam salaterki galaretek.

Lidka przytargała mi sterty babskich pism, żebym się nie nudziła, i co jakiś czas poprawiała poduszki.

W kuchni trwały przygotowania do świąt. Dobiegające mnie zapachy przyjemnie drażniły nozdrza. A mimo to nie potrafiłam się skupić. Czekałam z utęsknieniem na Igę i Edytę, która z powodu dodatkowej pracy zapowiedziała się dopiero na dzień przed wielkanocną niedzielą.

Następnego dnia po moim powrocie do domu, Daniel przywiózł Igę.

– Tak mi przykro, że nie dojechałam do ciebie... – powiedziałam, gdy podeszła do kanapy, by się przywitać.

Podziękowała. Wymęczona, marzyła wyłącznie o tym, aby jak najszybciej znaleźć się w swoim pokoju.

Przypomniałam sobie siebie sprzed trzydziestu trzech lat, kiedy po porodzie rodzice przywieźli mnie do domu maluchem. Obolała i odrętwiała ledwie dałam radę wsiąść; wytrzymałam te kilkadziesiąt

kilometrów dzielące pensjonat od szpitala z niemałym trudem. Pani Wiesia czekała z rosółem, niezawodnym w każdej sytuacji, pan Stefan krzątał się w okolicy podjazdu, grabiąc liście. Krępował się podejść, żeby wyrazić współczucie. Z gąszczu wspomnień wychynął tato, który z przesadną gorliwością pomagał mi wydostać się z niewielkiej puszki auta, i mamę, raz po raz ocierającą łzy. Brałam je za łzy współczucia, ale jak okazało się później, płakała z żalu po Tomku, swoim, jak ustaliłyśmy wcześniej, synu. Rozpaczała, że nie będzie mogła go wychować.

Przez wiele lat podskórnie czułam, że obwinia mnie o śmierć dziecka. Może byłam nieostrożna, może nie dość silna, by donosić ciężę? Zawiodłam ją i pozbawiłam maleństwa. Na szczęście dla niej dziesięć lat później urodziłam Edytę, którą wyrwała mi z objęć niemal zaraz po przyjściu małej na świat.

Mamo, dlaczego tak dybałaś na moje dzieci?, zastanawiałam się, zmagając się ze wspomnieniami. Przecież mogłaś mieć więcej własnych! Miałabym wówczas szansę cieszyć się córką!

Współczułam Idze zawodu i żalu, ale moje myśli zaprzętała **tamten** Tomek, którego mama z pewnością nie oddałaby mi bez walki. Zaanektowałyby go tak, jak zaanektowała Edytę. To w ramiona babci moja mała córeczka biegła ze swoimi problemami. To jej zwierzyła się z pierwszej miłości. To do jej łóżka wskakiwała, kiedy dręczyły ją nocne demony.

Moja mama po wielokroć odbiła sobie stratę wnuka.

Ja odzyskałam Edytę dopiero po jej śmierci. Tomkowi zaś poświęciłam książkę.

Na myśl o powieści zrobiło mi się ciepło na sercu. Oto inspirowana przeszłością historia ujrzała światło dzienne. Czy to dobrze, czy źle? Nieważne. Była prawdziwa.

Szczerze zazdrościłam wykreowanej przez siebie Julii, która oddała córkę matce na wychowanie. Ona nie urodziła przedwcześnie. A że potem miała problem, jak wyjawić prawdę? Chciałabym mieć taki dylemat! Zapewne nie poszłoby gładko, ale to żadna cena za życie dziecka...

– Idź, odpocznij. – Odesłałam Igę do pokoju, mimo ogromnej ochoty, żeby porozmawiać z nią o własnej przeszłości.

Piątek i sobota niczym nie różniły się od czwartku. Daniel miał dyżur w szpitalu, pan Stefan kręcił się po podwórku, pani Wiesia mieszała w garnkach, a Lidka przerwy od pracy w kuchni wykorzystywała na angażowanie mnie w świąteczne przygotowania. Z nogą wspartą na poduszkach malowałam jajka, dekorowałam stroiki, próbowałam maku na makowiec. Odnosiłam wrażenie, że najbardziej pomocna byłam, gdy przysypiałam i nie zawracałam nikomu głowy.

W sobotę odbył się pogrzeb Tomka.

Pochowaliśmy go przed południem, na naszym cmentarzu. Ja, mimo że nie mogłam ruszyć się z kanapy, pozostawałam myślami z podążającym za trumienką niewielkim konduktem.

Edyta przyjechała dopiero w sobotę wieczorem, głodna i w dobrym humorze.

Przedświąteczny czas to nawał roboty przy masowaniu pań pragnących pochwalić się podczas świąt kondycją i pięknym wyglądem, dumałam. Choć w głębi duszy cieszyłam się, że moja Edyta znalazła pracę, na której jej zależy. Za kilka tygodni jej umiejętności przydadzą się i mnie. Z utęsknieniem czekałam na zdjęcie gipsu, rehabilitację, krioterapię i powrót do normalności. Cieszyłam się na dłuższy pobyt Edyty w pensjonacie. A może i na rozmowę o przyszłości?

Leżałam w salonie i nawoływałam ją głośno. W końcu, nasycona sernikiem pani Wiesi, zajrzała do matki kaleki.

– Posiedź chociaż przez chwilę – poprosiłam, widząc, że kręci się niecierpliwie na krześle, nie potrafiąc skupić uwagi na rozmowie.

Wykpiła się brakiem czasu. Posłała mi całusa i pomknęła na górę.

– Muszę wejść do Igi, a potem biegnę do kuchni – zawołała i zniknęła za drzwiami.

Wówczas po raz pierwszy wyczułam, że coś przede mną ukrywa. Z westchnieniem sięgnęłam po jedno

z kolorowych pism, żeby wyedukować się w umiejętności pakowania prezentów od zajęcia i tworzenia kreacji odpowiednich na wielkanocne śniadanie.

Przedświąteczny wieczór pachniał, wzruszał i obfitował w wizyty. Lidka wpadła z babką ziemniaczaną i żurkiem, Daniel kręcił się po terenie z panem Stefanem, pod pretekstem uprzątnięcia podwórka racząc się pigwówką. Do pensjonatu zawitał Miłosz.

Edyta była taka szczęśliwa! Ja również, bo miałam u boku Daniela. Wprawdzie świeża pamięć o dzisiejszym pogrzebie powracała jak bumerang, ale co można na to poradzić? Dzięki Bogu, Edytce udało się ściągnąć Igę do kuchni i zaprzętnąć jej myśli prozaicznymi sprawami. Może zajęta wyrabianiem ciasta, choć na chwilę zapomniała o smutku?

Od Daniela, mojego nadwornego chirurga, dostałam pozwolenie, żeby zmienić pozycję z leżącej na siedzącą, więc zasiadłam wraz z innymi do wielkanocnego śniadania.

Podzieliliśmy się jajkiem, obdarowaliśmy prezentami i zabraliśmy za smakowanie potraw, tak pieczołowicie przygotowywanych przez kilka zręcznych kucharek pracujących pod nadzorem Wiesi. W pokoju zapachniało żurkiem na żytnim chlebowym zakwasie, przypieczoną białą kiełbasą w kapuście, dziełem sąsiada Wojciechowskiego. Nęciły: aromat majeranku, pasztetu z kaczki pani Wiesi i Lidkowa babka ziemniaczana. A pośrodku stołu, wśród kapuścianych liści, pyszniła się szynka wędzona przez pana Stefana, której – z uwagi na obecność pokaźnej świńskiej nogi – nikt poza nim nie odważyłby się pokroić. Chcąc nie chcąc, nasz ogrodnik musiał chwycić za potężny nóż i obdzielić towarzystwo plastrami soczystego mięsa.

– Smakuje? – podpytywał, a my mlaskaliśmy donośnie, chwając i podając sobie nawzajem chrzan i sos tatarski.

Typowo polskie obfite śniadanie, przed polskim obfitym obiadem, na który do swojego domku zaprosili nas Kazikowie, wymagało chwili na trawienie.

Około dwunastej Lidka z Kazikiem pożegnali się i przypomnieli o godzinie spotkania u siebie. W ferworze sprzątnięcia ze stołu, w którym nie mogłam uczestniczyć, i ogólnego ogarniania po posiłku nie było czasu na rozmowy. Edyta z Miłoszem biegali pomiędzy pokojem a kuchnią jak para wprawionych kelnerów. Wciągnęli do pracy Igę. Wiesia, jak zwykle, zarządzała, przy okazji lokując jedzenie w lodówce i spiżarni. Pan Stefan gdzieś się ulotnił, a Daniel próbował pomagać, całując mnie, gdy tylko znajdował się w pobliżu.

– Jest cudownie! – szepnął przy kolejnym buziaku. – Niebawem wyjdziecie z choróbska. Obie.

Puścił do mnie oko i pobiegł przytulić córkę.

Byłam pewna, że wkrótce wyzdrowiejemy. Świąteczny nastrój napawał optymizmem, u boku miałyśmy rodzinę. Iga uśmiechała się coraz częściej.

Kiedy u Kazików wysłuchaliśmy toastu Daniela, wszystkim zakręciła się w oku łezka wzruszenia.

Z dumą patrzyłam na mojego mężczyznę, który był nie tylko przystojny i odpowiedzialny, ale również potrafił słowem dotrzeć do serc wszystkich obecnych przy stole. Dziękował kolejnym osobom, zawsze znajdując powód do wdzięczności. Ale kiedy uhonorował Edytę za jej obecność przy Idze w trudnym momencie, aż zakryłam usta, żeby się nie poryczeć.

Ocierałam łzy, ukradkiem spoglądając na własne dziecko. Speszona Edyta zaproponowała nam dodatkę mięsa. A chwilę później wybiegła do kuchni, żeby z Lidką pokroić ciasto. Czyżby chciała ukryć wzruszenie?

Z pewnością był to jeden z powodów jej nagłej aktywności, ale matczyne serce podpowiadało, że nie jedyny. Choć wspaniały wieczór u Kazików odpędził przecucie, że dzieje się coś niedobrego.

Wróciliśmy do Krynicy niemal o północy. Daniel pomógł mi ułożyć się w łóżku w sypialni, a sam udał się jeszcze „na pół godzinki” z panem Stefanem. Chcieli sprawdzić, czy „działa piec”.

Pigwówka z pewnością pomoże im właściwie ocenić sytuację, pomyślałam z uśmiechem.

– Edytka, to ty? – zawołałam, słysząc kroki na schodach. – Możesz wejść?

– Tak? – Przysiadła na krawędzi łóżka. – Potrzebujesz czegoś? Może wody przyniosę? – zagadywała z uśmiechem.

– Co się dzieje? – zapytałam.

– O co ci chodzi?

– Wydaje mi się, że coś cię gnębi.

– A co może mnie gnębić? – roześmiała się nienaturalnie.

Zauważyłam to od razu.

– Edytko, gdzie jesteś? – Przerwało nam nawoływanie Miłosza w korytarzu.

– Muszę iść. Obiecałam Miłoszowi spacer po plaży. – Edyta pożegnała mnie całusem w policzek. –

I niczym się nie martw, mamuś. Daniel zaraz wróci – dodała i pomachała mi na pożegnanie.

– A ty?

– Też wrócę. Tylko trochę później!

Edyta

Nad Alicante samolot tak obniżył pułap, że byłam w stanie dostrzec budynki lotniska zbudowanego na wypalonych przez słońce ugorach, gdzieś porośniętych palmami i kępami kaktusów. Mimo trudnego pożegnania z rodziną i wyrzutów sumienia trawiących mnie z powodu dezercji, na widok znajomego, górującego nad miastem wzniesienia Benacantil i przycupniętych na jego obrzeżach kolorowych domków nie mogłam powstrzymać spontanicznej radości.

Znowu tutaj jestem!, miałam ochotę krzyknąć ze szczęścia.

Napawałam wzrok lazurem morza, ciesząc się z góry na dwadzieścia dwa stopnie za oknem i przygotowując psychicznie do powitania hiszpańskiej ziemi.

Samolot bez niespodzianek osiadł na płycie lotniska, a komplet pasażerów zerwał się z siedzeń, jak na komendę sięgając do luków po bagaż. Ja zaczekałam spokojnie, aż tłum się przerzedzi, i dopiero wtedy wyjęłam swoją niewielką torbę. Dwie minuty w tę czy we w tę nie robiło mi różnicy w obliczu dwóch miesięcy, które miałam spędzić w Walencji. Praca czekała, Michalina, zgodnie z umową, również.

Halę przylotów wypełniali ludzie z walizkami i ci, którzy wypatrywali przyjezdnych.

Przemierzałam korytarze, wzrokiem poszukując koleżanki. Jej nieobecność zaniepokoiła mnie po jakichś dziesięciu minutach, kiedy moi współpasażerowie już dawno ulokowali się w autobusach i taksówkach, a ja nie przestawałam krążyć.

– No, nareszcie! – Ucieszyłam się, słysząc w komórce jej głos. – Gdzie jesteś? Nie mogę na ciebie trafić! Stoję obok baru z tapasami na pierwszym poziomie.

Lotnisko było duże. Musiałyśmy się minąć.

– Edyta, mam kłopot – dobiegły mnie słowa zwiastujące problemy.

– Tak? – wyszeptałam.

Czekałam na dalszy ciąg.

– Załatwiłam ci pracę kelnerki, ale wczoraj szef przyjął na to miejsce bratanicę. I kaszanka. Ale nie martw się! Prześpij się jedną noc w Alicante, a ja do jutra coś znajdę i przyjadę po ciebie. Sorry, że nie mogłam dzisiaj, ale wypadł mi dodatkowy dyżur. Dasz sobie radę?

Czy dam sobie radę? Ogarnęła mnie taka wściekłość, że miałam ochotę zamordować Michalinę przez telefon. Zostawiłam Miłosza, matkę, Igę, wszystkich i wszystko, żeby śnić swój hiszpański sen, a tu jeden wielki zawód! A na koncie paręset złotych. A zresztą, gdybym nawet miała te drobne półtora tysiąca na samolot, nie skorzystałabym.

Powrót na tarczy nie wchodził w rachubę.

Opanowałam złość po dobrych kilku chwilach.

– Dam sobie radę – odpowiedziałam przez zaciśnięte zęby. – I nie musisz po mnie przyjeżdżać. Sorry, muszę kończyć.

Wyłączyłam komórkę.

Zastanowiłam się, czy nie przedwcześnie. Noc na lotnisku niezbyt mi się uśmiechała, a powrót do domu jeszcze mniej. Może Michalina do jutra rzeczywiście załatwiłaby mi jakąś robotę? Furia wzięła górę nad rozsądkiem, ale słowo się rzekło.

Musi znaleźć się inne rozwiązanie.

Palec podążył w kierunku numeru Juana, choć ociągał się przed naciśnięciem klawisza. To była ostatnia deska ratunku, być może zawodna. Sprawdzić ją czy nie sprawdzać?, wahałam się. Zawsze mogłam przechować się przez jedną noc w jakimś tanim hoteliku, ale co potem? Poprosić mamę o przesłanie kasy na bilet?

Zdecydowałam się spróbować.

Juan odebrał.

Od dawna dźwięk czyjegoś głosu nie sprawił mi takiej przyjemności.

Nie bawiąc się w uprzejmości, nakreśliłam sytuację.

– Czy mogę przespać się w waszym pensjonacie? – zakończyłam z nadzieją.

Modliłam się, by był w Alicante i mnie przechował.

Nie zawiódł.

– Czy możesz? Taka niespodzianka! Nareszcie jesteś! Kup sobie kawę, usiądź i czekaj na mnie. Zaraz po ciebie jadę – powiedział.

Niemal widziałam, jak szuka w kieszeni kluczyków do samochodu.

Odetchnęłam z ulgą. Przynajmniej dzisiejsza noc zapowiada się spokojnie. I pewnie za darmo. A jutro może poczekać.

Zgodnie z sugestią Juana powlokłam się do automatu z kawą, przysiadłam na twardym lotniskowym krzeselku i zabrałam się za informowanie rodziny w Polsce o moim szczęśliwym lądowaniu.

„Jestem na miejscu”, napisałam do mamy, nie wskazując, gdzie to miejsce się znajduje. „Jeszcze raz cię przepraszam za wyjazd i całuję. Pozdrów Igę, Daniela, Wiesię i Stefana. A, i Lidkę, i Kazika. Odezwę się. E.”.

„Cześć, kochanie”, zaczęłam esemesa do Miłosa. „Wylądowałam, jestem na lotnisku i czekam na dalszy rozwój wypadków. Przestań się już na mnie gniewać, pliz. Wróć z kasą. Szukaj dla nas fajnego mieszkanka. Kocham cię, E.”.

Kliknęłam w klawisz „wyślij”, wyobrażając sobie, jak odczytuje wiadomość. Ciekawe, czy nadal jest wściekły?

Chciałabym teraz być z tobą. Nie myśl, że łatwo mi przyszło zostawić cię w Polsce, pomyślałam, wkładając komórkę do torebki. Ale musiałam. Kiedyś mi to wybaczysz, westchnęłam.

Wstałam i skierowałam się w stronę parkingu, na którym niebawem miał pojawić się Juan.

Urszula

Obracałam w dłoni komórkę, po raz kolejny odczytując wiadomość od Edyty, jak gdyby treść esemesa do mnie nie docierała. Moja córka informowała, że jest już w Alicante, przeproszała za niespodziewany wyjazd, pozdrawiała. Jednak pierwszy odruch ulgi z powodu szczęśliwego lądowania szybko zastąpiły smętne myśli o jej „nagłej dezercji”, jak sama określiła swoją decyzję.

Powoli przyzwyczajałam się do myśli o jej dwumiesięcznej nieobecności, odsuwając od siebie obawy związane ze spotkaniem z Juanem. Edyta miała wprawdzie pracować w hotelu w Walencji pod skrzydłami Michaliny, ale półtorej godziny do Alicante nie stanowi żadnej przeszkody w kontaktach.

Niestety, byłam świadoma, że pisują do siebie. Że przynajmniej Juan nie odpuszcza.

Wstyd przyznać, ale zerknęłam kiedyś do mejla od niego, który tkwił otwarty na ekranie komputera Edyty.

– Może powinnam jej o tym powiedzieć? – Podzieliłam się wątpliwością z Lidką.

– No coś ty! Przecież i tak nie znasz hiszpańskiego, i niczego nie rozumiałaś. Piszą, to piszą. Nie od razu muszą to być listy miłosne, a nawet gdyby, to co poradzisz? Tylko narazisz się Edytcie.

Przyznałam przyjaciółce rację i zganiłam się w duchu za swatanie Edyty z Miłozsem. Choć sprzyjałam temu związkowi, widząc w nim rozwiązanie idealne dla mojej córki. Trzymałam kciuki.

Udawało się do świąt. Miłoz był taki szczęśliwy, taki pogodny, taki pełen planów na dziś, na jutro, na przyszłość. Edyta zresztą też. Dlatego trzy dni po świętach nie potrafiłam wyjść ze zdumienia, jakim cudem udawało się jej trzymać fason przed wszystkimi i nie zdradzić do wtorku.

Domownicy po śniadaniu przy kawie dojadali resztki ciast. Iga, która zdecydowała się ukończyć nowodworski ogólniak, miała jeszcze ferie, Daniel wziął dzień urlopu. Miłoz po wizycie u rodziców ponownie zawitał do Krynicy, nieco zaskoczony spóźnionym powrotem Edyty z pracy.

Niebawem, podobnie jak reszta, miał się dowiedzieć, z jakiego powodu.

Pozostałe po Wielkanocy mazurki znikwały ze stołu. Gotowana baba była jeszcze lepsza niż kilka dni temu. O ostatnie kęsy sernika toczyliśmy bitwę na widelczyki. Tylko Edyta siedziała markotna, dolewając sobie z dzbanka kolejne porcje kawy.

– Słuchajcie, chciałabym wam coś powiedzieć... – oznajmiła znienacka. Gwar przy stole umilkł. – No to powiem – potwierdziła, jakby dodając sobie animuszu.

I już nie zwlekając, poinformowała, że pojutrze wyjeżdża do Hiszpanii do pracy.

Przez chwilę nikt się nie odezwał. Spojrzałam na Miłozsa, próbując się zorientować, czy wiedział o planach mojej córki, ale on przyglądał się Edytcie z takim samym zdumieniem, jak pozostali.

– Na jak długo, Edytko? – zapytałam, przerywając niezręczną ciszę.

– Na razie na dwa miesiące. Przepraszam, że was tak zaskakuję, ale nie chciałam psuć świąt.

Miłoz z trudem powstrzymał się, by nie wstać od stołu.

Mogła go uprzedzić.

Nie wiem, jak przebiegała ich rozmowa, kiedy już znaleźli się sam na sam. W każdym razie Miłoz wyjechał krótko po obiedzie. Podczas pożegnania ze mną nie wyglądał na zadowolonego.

– Wróci za dwa miesiące – pocieszałam go, jak umiałam.

– Nie musi jechać. Dostałem dobrą pracę.

– Ale może tego potrzebuje? – broniłam. – Może chce sama zarobić na studia?

– Może – zgodził się, nieprzekonany. – W każdym razie dziękuję za przemiłe święta. I być może do zobaczenia – powiedział, z naciskiem na „być może”.

Zabrzmiało to złowieszczo. Chłopak mojej córki był na nią zły.

Wszelkie próby rozmowy z Edytą, żeby może jeszcze zmieniła zamiar, spełzły na niczym. Wywoływały tylko niepohamowaną złość i sprowadzały na moją głowę gromy.

– Mamo, przestań mnie odwozić od wyjazdu, bardzo cię proszę – zaczynała delikatnie, by wybuchnąć przy kolejnej próbie zwrócenia uwagi na Miłosza i jego dobre chęci. – Nie, nie, nie! – krzyczała. – Jadę i już! A może tobie chodzi o rehabilitację nogi? Bardzo cię przepraszam, że nie będę mogła ci pomóc, ale załatwiając ten wyjazd, nie wiedziałam, że w tak złych warunkach drogowych wybierzesz się samochodem do Nowego Dworu! Zresztą już raz zostałam w Polsce z twojego powodu!

Zamilkła, jak gdyby zorientowała się, że powiedziała zbyt dużo.

– Nie rozumiem.

– I dobrze. Niepotrzebnie z tym wyskoczyłam.

– Skończ, skoro zaczęłaś.

– Chcesz wiedzieć? Miałam nagrany Hiszpanię, kiedy zmarł tato. Zrezygnowałam i zostałam z tobą dwa lata, żebyś mogła wyjść z depresji. Cała prawda.

– Boże. – Nie wiedziałam. Byłam ślepa i skoncentrowana na sobie! Nie zauważyłam niczego. – Przepraszam, córuś.

– Nie musisz. Ale spróbuj zrozumieć.

Zrozumiałam. Próbowалам nawet doszukiwać się dobrych stron jej wyjazdu, mając oczywiście nadzieję, że Edyta wróci, ponieważ serce podpowiadało inny scenariusz. Oczami wyobraźni widziałam moją córkę ponad dwa tysiące kilometrów stąd, z mężem Hiszpanem i dziećmi, które będą oglądać na zdjęciach i rozmawiać z nimi na Skypie. Jeżeli poznają język polski.

Mimo czarnych myśli wzięłam się w garść i wsparłam Edytę.

Ostatni dzień przed wyjazdem spędziłyśmy razem, jeśli nie liczyć jej krótkiego wyjazdu do Gdańska.

Jak mi wspomniała, Miłosz nie wykazał się zbyt dużym zrozumieniem dla jej pomysłu. Walczył o zmianę decyzji do końca. Przedstawił nawet propozycję kilku mieszkań do wynajęcia. Bez powodzenia. Moja córka nie zmieniła zdania.

Wyjechała do Modlina następnego dnia i wsiadła do samolotu, jak przed kilkoma miesiącami z Mają. A teraz szczęśliwie wylądowała, o czym poinformował mnie krótki esemes.

Leżałam na kanapie w salonie. Miałam komfort przetrwania cisnących się do głowy myśli.

A gdyby tak, korzystając z wolnego czasu, zacząć się uczyć hiszpańskiego? A latem wyjechać na półwysep na wczasy?

Myślałam, gdzie wydać moją książkę. Poszukiwałam wydawnictw otwartych na nowych autorów, zapisywałam adresy. Dumałam, jak rozruszać działalność pensjonatu, by zwiększyć marne zyski. Niestety, ten temat trafiał na mur niemożności. Brakowało mi serca i pomysłu, a może po prostu chęci, by ciągnąć ten biznes. Niestety, nie znalazłam recepty, jak się z nim rozstać, nie sprzeniewierzając się rodzinnej tradycji, a jednocześnie nie kalecząc Wiesi i Stefana.

Na szczęście do zdjęcia gipsu pozostało jeszcze trochę czasu, a do całkowitej sprawności jeszcze więcej. Byłam pewna, że do tej pory coś wymyślę, wszak nikt mi nie przeszkadzał. Edyta była daleko, Daniel ciągle zajęty, a Iga nie wysuwała nosa z książek.

Kwiecień ostatecznie pożegnał zimę, obdarowując świat piękną pogodą. Siedząc na tarasie opatulona kocem, wypatrywałam majaczącego między drzewami morza i czułam przez skórę nadchodzący dobry

czas.

A przynajmniej taką miałam nadzieję.

Edyta

Wyszłam z hali przylotów na parking, z niepokojem wypatrując żółtego mini Juana. Od ostatniego spotkania wymienialiśmy mejle i fotki, wyrażaliśmy wolę spotkania w przyszłości, o czym myślałam z przyjemnością, jednak dzisiejsza sytuacja, wymuszona nieodpowiedzialnym zachowaniem Michaliny, krępowała mnie i zawstydziała. Zdałam się na koleżankę, zamiast po prostu skorzystać z wielokrotnie ponawianego zaproszenia z Alicante.

– Przyjeżdżaj do mnie, kiedy tylko zechcesz – zachęcał. – Ale pracę dla ciebie będziemy mieć dopiero pod koniec lutego – deklarował, gdy w którymś z listów nieopatrznie napomknęłam o planach zarobienia na studia. – Jak co roku spodziewamy się wtedy pierwszych gości.

Juan zachowywał się jak dżentelmen. Mimo wielu ciepłych słów, które słał do mnie w każdym mejlu, mimo wyznań, że bardzo mu brakuje mojego towarzystwa, że tęskni i czeka, nie wywierał presji, bym podjęła decyzję o przyjeździe. Ja natomiast wpędzałam się na własną prośbę w poczucie winy, bo byłam nielojalna w stosunku do obu adoratorów.

Zwierzyłam się Majce.

– Mam problem – zaczęłam, siadając przy kuchennym stole i stawiając przed nami filiżanki z gorącą herbatą z rumem, który pod choinkę przyniósł Mikołaj-Daniel.

– Mów. – Przysiadła i zamieniła się w słuch.

– Muszę... No, może nie muszę, ale chcę wyjechać do Hiszpanii, popracować.

– Wiem. I co w związku z tym?

Przez chwilę szukałam słów, żeby spowiedź wypadła prawdziwie.

– Pisuję z Juanem od przyjazdu z Alicante. Ciągłe mnie zaprasza, a teraz proponuje pracę w pensjonacie ojca. Od końca lutego.

– Doskonale! Nad czym się zastanawiasz?

Chyba nie zrozumiała.

– A wy piszecie do siebie z Sergiem?

– Tak.

– I jak się wam układa?

Majka wyglądała na zaskoczoną, ale po chwili coś jej zaświtało.

– Chcesz mi powiedzieć, że coś jest między tobą a Juanem? – zapytała.

– Nie wiem. Ale boję się, że gdy przyjmę zaproszenie, może zaiskrzyć.

– A Miłosz?

Albo wciąż nie rozumiała, albo udawała. Zdenerwowałam się.

– Kobieto, właśnie próbuję zasięgnąć twojej opinii, czy powinnam tam jechać! – Niemal krzyknęłam. – Ponieważ boję się sama siebie!

Siedziałyśmy kilka godzin przy herbacie z rumem, obgadując za i przeciw, ale nie doszłyśmy do żadnych konstruktywnych wniosków. Majka nadal korespondowała z Sergiem, snując plany wakacyjne w Alicante. Ja miałam Miłosza, a jednocześnie powzięłam zamiar wyjazdu do Hiszpanii.

Odnosiłam wrażenie, że każda z nas śni swój własny sen.

Kładłam się spać wściekła na przyjaciółkę, która nie potrafiła mi doradzić, ale teraz, kiedy czekałam na Juana na lotnisku, byłam jej wdzięczna, że nie próbowała wywierać na mnie presji.

Sama poprosiłam Michalinę o pracę. Na lotnisku w Alicante znalazłam się na własną prośbę. I na własną prośbę czekałam na przyjazd Juana.

Widać tak musiało się zdarzyć.

Kolejne samochody zatrzymywały się na parkingu, a żółty mini nie nadjeżdżał. Po raz kolejny z niepokojem zerknęłam na zegarek; wskazywał, że od rozmowy z Juanem minęło ponad pół godziny. Kiedy już zaczęłam się niepokoić, przed wejściem do hali przylotów z piskiem opon zaparkował czarny motocykl.

Juan zdjął kask i skierował się w moją stronę.

– Edita! Nareszcie jesteś! *Hola!* – przywitał mnie żywiołowo.

Pozwoliłam mu się wyściskać i włożyłam drugi kask. Torba trafiła na niewielki bagażnik, ja na siedzenie za kierowcą.

Pomknęliśmy w stronę pensjonatu. Obejmowałam Juana w pasie i w miarę możliwości zerkałam na morze, chłonąc widoki Alicante. Czułam się niemal jak w domu. Mogłabym tak jechać w nieskończoność, gdyby nie fakt, że lotnisko było oddalone od centrum miasta zaledwie o dziewięć kilometrów, których pokonanie zajęło nam kilkanaście minut.

– Jesteśmy na miejscu. – Juan zatrzymał się przed znanymi mi już, prowadzącymi do pensjonatu kamiennymi schodami.

Weszliśmy na górę i znaleźliśmy się w patio, o dziwo nawet pod koniec marca porośniętym pnączami rozciągniętymi pomiędzy dwiema palmami.

– Przygotowałem dla ciebie twój stary pokój. – Juan zaprowadził mnie do kanciapki w rogu patio, tuż przy schodach. – Może być?

Jeszcze by nie!

Wchodząc do wnętrza z niebieskimi palmami na ścianach, przypominałam sobie moment, kiedy obie z Majką stanęłyśmy jak wryte, oczarowane widokiem.

Lecz teraz znajdowałam się w innej sytuacji. Musiałam powściągnąć emocje i porozmawiać o interesach.

– Oczywiście. Dzięki za pomoc. Czy ewentualnie będę mogła wynająć go na kilka dni? – płatałam się, nie potrafiąc sobie przypomnieć zawilgoci hiszpańskiej gramatyki.

Chyba zapomniałam zbyt dużo.

– Jeżeli chcesz, to możesz pracować u nas. – zaproponował rozwiązanie Juan.

– Dzięki, ale jutro przyjedzie po mnie Michalina – odmówiłam uprzejmie, choć wątpiłam w tak pomyślne rozwiązanie.

– Jak chcesz. Ale gdybyś zmieniła zdanie... Tymczasem rozpakuj się, odśwież. A ja zapraszam na paellę. – Mrugnął porozumiewawczo i pozostawił mnie sam na sam z myślami.

Z każdą chwilą traciłam zapał, by zebrać o pracę u Michaliny, która najnormalniej w świecie wystawiła mnie do wiatru. Mogła przecież zadzwonić i zawiadomić o zmianie sytuacji.

Propozycja Juana nęciła, ale mogła skutkować zobowiązaniami. Mimo wszystko postanowiłam przegadać z nim temat i wysondować, jak wyobraża sobie moją rolę w pensjonacie. Wdychając dochodzące z kuchni zapachy, z przyjemnością pomyślałam, że miło będzie porozmawiać przy talerzu pełnym aromatycznego ryżu z owocami morza. Byłam głodna.

Po krótkiej wizycie w łazience zameldowałam się w kuchni.

– Będziemy jedli w patio? – zapytałam, widząc, że Juan wyjmuje talerze. – Może ja podam? Muszę nabrać wprawy – dodałam z uśmiechem, z gracją przewiesiwszy przez lewe przedramię ściereczkę do

wycierania naczyń, symbolizującą kelnerską serwetkę.

– Na stolik numer cztery, proszę. Ten przy donicy z agawą – polecił Juan z udawaną powagą, dostosowując się do mojego tonu.

Popędziłam w podskokach, by przetrzeć ściereczką stół, ułożyłam serwetki, rozstawiłam talerze i sztucce. Pamiętałam o przyprawach, wazoniku z kwiatami i podkładce pod gorącą patelnię.

– Bardzo proszę. – Wskazałam miejsce Juanowi, który nadchodził z paellą. – Pozwoli pan, że zaserwuję? – Zaprezentowałam swoje kelnerskie umiejętności, zręcznie posługując się dwiema łyżkami.

Kiedy zauważyłam, że mój „gość” wyjmuje butelkę wina, wymknęłam się po kieliszki. Szukałam ich przez chwilę w wyremontowanej kuchni, która zmieniła się od mojego ostatniego pobytu, ale w końcu natrafiłam na nie na jednej z półek i zaniiosłam na stół.

– Otworzę, żeby pooddychało. – Kontynuowałam grę w klienta i kelnerkę, wywołując coraz większe rozbawienie Juana.

Jak się okazało za chwilę, również podziw i akceptację dla moich kwalifikacji zawodowych.

– Została pani przyjęta – usłyszałam. Odebrał ode mnie butelkę i napełnił winem kieliszki. – Rozumiem, że się zdecydowałaś? – zapytał, posyłając mi szeroki uśmiech.

– Jeśli ci odpowiadam, to chętnie.

Pozostawiłam za sobą wszelkie wątpliwości. Nie pytałam o kasę ani o godziny pracy. Wiedziałam, że Juan mnie nie skrzywdzi. Kiedy zaspokoiliśmy pierwszy głód, z własnej inicjatywy nawiązał do spraw zawodowych. Przedstawił konkretne warunki.

– Mamy teraz kilkanaście pokoiów dla gości. Pewnie zdążyłaś już zauważyć, że zmodernizowaliśmy kuchnię – dodał. – Taka kelnereczka, jak ty, bardzo by się nam przydała.

– Macie kucharza?

– Oczywiście! – Wskazał na siebie. – I Sergia w zastępstwie.

Zakres obowiązków wydawał się ograniczony do podawania kolacji, zatem dopytałam, co będę robiła przez resztę dnia.

– Będiesz przyjmowała gości, zmieniała pościel, wkładała brudną do pralki, sprzątała. Pomagała mnie i ojcu, kiedy wreszcie powróci ze swojej corocznej podróży po Andaluzji.

Nie zrozumiałam.

Juan zaczął opowiadać o fiescie, którą teoretycznie znałam z lekcji hiszpańskiego. O lutowym święcie *tapas* w Sewilli, o karnawale w Kadyksie i Aquilas, o święcie ognia w Walencji, o procesjach zakapturzonych postaci przed *Semana Santa* (Świętami Wielkanocnymi), wreszcie wieńczącej okres *fiestas* *Ferri de Abril*, która miała odbyć się w Sewilli w połowie kwietnia. Była to bardzo plastyczna opowieść o zabawie, którą fundowali sobie Hiszpanie przy dźwiękach muzyki. Tańczyli wówczas w rytmie flamenco, przebierali się w ludowe stroje, pili *rebujito*, jedli smażone ryby i owoce morza, organizowali pochody *fallas*, przebranych kukieł *ninots*, wystrzeliwując w niebo feerie sztucznych ogni i po prostu przebywając ze sobą podczas niczym nieograniczonej zabawy. Która byłaby niepełna, gdyby zabrakło *corridy*.

– I mój ojciec po prostu musi w tym wszystkim uczestniczyć – zakończył Juan. – Jest saksofonistą w zespole muzycznym, który gra flamenco lub *sevillanas*, taką ludową odmianę flamenco, i przez trzy miesiące obskakuje wszystkie wielkie fiesty w Andaluzji. Nie dla kasy. Dla przyjemności. Zarabia na to w pensjonacie przez sezon, a potem wyfruwa.

– Fajny facet! – Rozmarzyłam się. – A ty? Nie jeździsz z nim na fiesty?

– Bywałem tu i ówdzie w tym roku, ale teraz obsługuję pensjonat – uciał. – Za dwa tygodnie wybieram się jednak do Sewilli. Może pojedziesz ze mną?

– Czy pan zapomniał, że ja tu pracuję? – Nawiązałam żartobliwie do konwencji pracodawca –

pracownik.

– A gdybym dał ci urlop?

– To kto wie? Kto wie? Może bym skorzystała?

Chryste Panie, co ja wygaduję?, skarciłam się w duchu. Jeszcze nie zaczęłam pracy, a już umawiam się z synem właściciela interesu! Ta moja spontaniczność nie do opanowania jest po prostu nieznośna! Tym razem zrzuciłam ją na karb wypitego wina i miłego wieczoru przy stole z niezwykle przystojnym Hiszpanem, dodatkowo autorem najlepszej paelli, jaką jadłam w życiu. I chociaż próbowałam wzbudzić w sobie wyrzuty sumienia wobec Miłosa, dylematy uleciały daleko.

Jestem tu i teraz! Zamierzam solidnie pracować i przy okazji korzystać z uroków Hiszpanii! Nawet jeżeli mojemu chłopakowi się to nie podoba.

– *Arriva, a bacha, per centre, par dentre!* – wzniósł toast Juan.

Wychyliliśmy ostatni kieliszek wina i wyszliśmy na miasto.

Na nadmorskiej promenadzie kwitło nocne życie.

Urszula

To nieustanne przesiadywanie na tarasie i okupowanie kanapy w salonie zaczynało mnie męczyć.

Do zdjęcia gipsu pozostały jeszcze trzy długie tygodnie. O planowanej rehabilitacji nawet nie chciałam myśleć. Zanosiło się na to, że pozostanę na zwolnieniu do końca roku szkolnego. Przyszłość jawiła się ponuro, w odcieniach nudy i bezsilności.

Przeczytałam już stosy książek i czasopism, dostarczanych regularnie przez Lidkę, próbowałam chwycić za druty i wydziergać sweter dla Daniela, aż w końcu, z braku innych zajęć, sięgnęłam po podręczniki hiszpańskiego, które Iga wyciągnęła z pokoju Edyty. Nie mówiąc nic nikomu, w obawie, że i to zajęcie zniechęci mnie szybko, zamówiłam przez Internet kurs językowy. Korzystając z chwil samotności, przyswajałam słówka i gramatykę. Jedynie nauka pozwalała mi na złudzenie, że nie tracę czasu.

Kiedy minęły dwa tygodnie, a zapał mi nie przeszedł, pochwaliłam się Lidce. Zaskoczyłam ją powitaniem po hiszpańsku i króciutką uwagą na temat pogody.

– Co ja słyszę? Czyżby i ciebie dopadły iberyjskie klimaty? – wyraziła swój zachwyt. – Wybierasz się do Edyty?

– Mam nadzieję, że zobaczę moje dziecko szybciej, niż nauczę się języka – westchnęłam. – Chyba, że o czymś nie wiem? – Przeszyłam moją przyjaciółkę wzrokiem.

W końcu nieraz obie kolaborowały za moimi plecami.

– No coś ty! Po prostu zapytałam. – Lidka wykpiła się od odpowiedzi i zmieniła temat. – Pościel pod trójką zmieniona. Jolka posprzątała górę i teraz pojechała oddać bieliznę do magła – zdawała relację z działań naszej nowej pomocnicy, którą nadzorowała z własnej i nieprzymuszonej woli.

– Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła – rozczuliłam się.

Miałam tak dobrą i oddaną przyjaciółkę!

Po świętach Lidka, która przygotowanie Wielkanocy wzięła w dużej mierze na swoje barki, zaproponowała mi pomoc w pensjonacie. Chciałam odmówić, ale nalegała stanowczo.

– Jak niby zamierzacie dać sobie radę? Ty w gipsie, a Wiesia ze Stefanem wszystkiego nie obkoczą. A na Edytę się nie obrażaj – dodała, domyśliwszy się przyczyn mojego rozkojarzenia. – Dziewczyna miała prawo jechać.

– Ale jak ty to sobie wyobrażasz? – zaoponowałam nieśmiało. – Przecież masz butik.

– Kobieto, ja tam nic nie robię! Zuza – wspomniła pracowniczkę – doskonale mnie zastąpi. A poza wszystkim nudzą mnie już te wszystkie szmaty. Chętnie zajmę się obsługą gości, bo sezon niebawem.

Rzeczywiście, pierwszych klientów spodziewałam się lada dzień. Na koniec kwietnia już dawno zapowiedziały się dwie klasy uczniów z Bielska, w ramach organizowanej co roku zielonej szkoły. Taka wataha to wymagające towarzystwo.

– Dobrze – zgodziłam się. – Ale nic za darmo. Musimy ustalić twoje wynagrodzenie. Robota u mnie znacznie przekracza zakres przyjacielskiej pomocy – dodałam.

– Pogadamy o tym później – rzuciła Lidka i zniknęła za drzwiami.

Zostawiła mnie przykutą do łóżka i wrzeszczącą, że tak tej sprawy nie zostawię!

Nie chcesz podejmować tematu?, złościłam się w duchu. Okej, ale nie myśl sobie, że nie podzielę się

z tobą zyskami za cały twój poświęcony pensjonatowi czas!

Obiecałam sobie solennie, że tak właśnie będzie.

Przyglądając się codziennej krzątaniu Lidki, jej werwie i inicjatywie we wprowadzaniu drobnych, ale jakże skutecznych zmian, odnosiłam wrażenie, że moja przyjaciółka czuje się w tym biznesie jak ryba w wodzie. Przyjęła do pomocy Jolkę, uporządkowała dokumenty, poważnie zainteresowała się promocją i poszukiwaniem gości. Efekty jej pracy zaczęły być widoczne już po dwóch, trzech tygodniach.

– Zobacz! Zeszłam nieco z ceny i już mamy kilka grup dzieciaków na majowe biwaki! I mogłybyśmy wreszcie zastanowić się nad organizacją turnusów rehabilitacyjnych. Zapotrzebowanie na takie usługi trwa cały rok.

Myślałam o tym kiedyś, ale plany rozbiły się o brak wyposażenia do zabiegów. Zrezygnowana machnęłam ręką.

– A pieniądze?

– A od czego są środki unijne? – odpowiedziała pytaniem na pytanie. – Tylko trzeba się pośpieszyć, bo niedługo będzie po zawodach. A pokoje na gabinety można przerobić, wystarczy tylko trochę przebudować jadalnię. I tak jest za duża.

Moja Lidzia entuzjasmowała się coraz bardziej. Ja, niestety, znacznie mniej.

– Nie znam się na tym – odparłam, z niechęcią myśląc o zapoznawaniu się z przepisami, wypełnianiu wniosków, oczekiwaniu na werdykt szanownej komisji do spraw przyznawania środków unijnych. Wreszcie o zakupie sprzętu i przebudowie jadalni.

– Chwilowo jesteś niezbyt sprawna – stwierdziła moja przyjaciółka zjadliwie, znacząco spoglądając na opartą na fotelu nogę w gipsie. – Ale niebawem ujrzysz świat w bardziej radosnych barwach.

Mimo najszczerzych chęci, nie udało się jej jednak porwać mnie planami reorganizacji pensjonatu. Na samą myśl o nich robiło mi się słabo. Co z tego, że będzie więcej gości, więcej śniadań, obiadów i kolacji do wydawania, więcej zakupów do robienia, pościeli do zmiany, rachunków do płacenia i spraw do załatwiania? A gdzie czas, żeby zobaczyć kawałek świata? Po pięćdziesiątce, sześćdziesiątce? A może nigdy?

– Muszę przemyśleć sprawę, Lidziu – odparłam.

I wtedy przyszedł mi do głowy wspaniały pomysł.

Postanowiłam, że przez jakiś czas zachowam go wyłącznie dla siebie. Z Lidką podzielę się nim w odpowiednim momencie. Na razie niech sobie zarządza pensjonatem, skoro chce.

– Widzę, że nie pałasz entuzjazmem – powiedziała. – Chwała Bogu, jeszcze tylko trzy tygodnie gipsu i odzyskam dawną przyjaciółkę! Przyniosę ci kawy – zdecydowała.

Nie usłyszała sprzeciwu, więc zniknęła w kuchni. Zaparzyła moje ulubione cappuccino i pobiegła do swoich zajęć.

A ja otworzyłam skrzynkę mejlową, w której znalazłam długo wyczekiwaną wiadomość od Edyty. Wieści od niej zawsze sprawiały mi radość i pobudzały wyobraźnię. Moja córka wyjątkowo plastycznie potrafiła opisywać świat, w którym się znalazła, a ja zazdrościłam jej wrażeń.

„Pracuję już ponad dwa tygodnie. Na dworze dwadzieścia stopni, nawet morze jest ciepłe! Zupełnie jak Bałtyk w lipcu. I te palmy wokół! Mówię ci, balsam dla oczu! Codziennie budzę się ze słońcem, chociaż nie powiem, że z nim zasypiam, ponieważ Alicante żyje również w nocy. A ja razem z nim. Juan, z towarzystwem, które dobrze znasz z Krynicy, zabiera mnie każdego wieczoru na Explanada de España. Trochę tańczymy, trochę pijemy, bo rano czeka praca.

Hiszpanie są wspaniali! Nie masz nawet pojęcia, jak chętnie nawiązują kontakty i uśmiechają się do wszystkich. Jestem, jak ci pisałam wcześniej, sprzątaczką, kelnerką, praczką i recepcjonistką, ale czuję się jak królowa. Moje jasne włosy robią furorę. Nie minę się z prawdą, jeżeli napiszę, że przysparzają

mi adoratorów, co ma swoje dobre strony. Często wpada do kieszonki kelnerczki kilka euro...

W najbliższy poniedziałek jadę z Juanem do Sewilli na fiestę Feria de Abril. Niesamowita tygodniowa zabawa w rytmie flamenco! Dziękuję losowi, że nie zahaczyłam się u Michaliny. Tutaj jest znacznie lepiej.

Jak tam twoja noga? Jeżeli dobrze liczę, to za trzy tygodnie pozbędziesz się gipsu?

Fajnie, że ciotka Lidka pomaga ci w pensjonacie, i to z taką gorliwością! Może w przyszłości ją zatrudnisz? Zawsze miała smykałkę do interesów.

Tak jak mi radziłaś, napisałam Miłoszowi, że pracuję u Juana. Trochę mi smutno, bo od tamtej pory Miłosz milczy jak grób. Pewnie się obraził i uważa, że całą sprawę ukartowałam. Nie zdawałam sobie sprawy, jaki z niego obraźliwy i zaborczy typ! Zaczyna mnie trochę męczyć.

Kończę, bo już czas wskoczyć do łóżka w moim małym pokoiku z niebieskimi palmami na ścianach, by jutro wcześnie wstać, bo żal każdej chwili. Całuję cię mocno i pozdrawiam domowników, do których teraz zaliczam również ciotkę Lidkę. Przy okazji ucałuj Daniela, który mógłby nieco przyhamować z pracą, jeżeli nie chce cię stracić. Co ty z niego masz?

Pa, pa, pa.

Edita”.

Odczytałam tę wiadomość kilkakrotnie, napawając się każdym słowem. Moja córka była szczęśliwa! A w dodatku posłuchała mojej rady, żeby nie ukrywać przed Miłoszem pracy u Juana.

Nabierałam coraz większej ochoty, by namówić Daniela na wakacyjny wyjazd do Hiszpanii. Ściągnięte z Internetu przewodniki przewertowałam wielokrotnie. Jeżeli nie będzie mógł, pojedę sama!, postanowiłam. Bez względu na to, ilu gości będzie w pensjonacie! Wszystko da się jakoś załatwić, kalkulowałam, odpychając od siebie wizję jakichkolwiek przeszkód. Chociaż na tydzień!

A potem się zobaczy.

Edyta

Jeszcze jeden kieliszek? – zaproponował Juan, kiedy po długim dniu usiedliśmy wreszcie w patio przy jednym ze stolików.

Wyciągnęłam przed siebie zmęczone nogi i skinieniem głowy zaakceptowałam propozycję.

Przed jutrzejszym wyjazdem do Sewilli pracowaliśmy jak szaleni. Wieczorne wałęsanie się po mieście dzisiaj nie wchodziło w grę. Mieliśmy zostawić interes w rękach Sergia i Adeliny, trzeba było zatem zadbać o zaopatrzenie kuchni, wyszorować łazienki, przekazać papierologię.

Podczas gdy ja przemierzałam pokoje ze szmatą i mopem, Juan targał po schodach tony jedzenia. W końcu zasiadł z Sergiem przed komputerem, żeby przejrzeć pliki z rezerwacjami.

– Tu masz gości, którzy zamawiali pobyt przez booking.com. A ci dzwonili bezpośrednio – docierało do mnie sprzed ekranu. – Kiedy dostajesz kasę, notujesz to w tym miejscu i drukujesz potwierdzenie. Przedtem sprawdzasz dane gości, prowadzisz ich do pokoju i pokazujesz, gdzie jest kibelek, łazienka i kuchnia, gdyby chcieli wieczorem zaparzyć sobie ziółka, a rano kawę. Informujesz ich, że mogą zjeść u nas kolację i napić się wina. Nie muszę ci mówić, że na alkoholu zarabiamy najwięcej, niech więc korzystają. Piwniczka jest pełna. I możesz wyjść na miasto z Adelina. – Nie uszło mojej uwagi, że Juan mrugnął znacząco. – Oczywiście, kiedy przyjdzie cię zmienić Javier. Wiesz wszystko?

Sergio bez słowa uniósł dłoń. Panowie przybili sobie piątkę.

– W takim razie rozliczymy się po moim powrocie.

– Jedź zabawić się z Editą i niczym się nie martw – usłyszałam dobrą radę. – I baw się dobrze.

Miałam nadzieję, że pod hasłem „zabawić się” nie kryło się nic zdroźnego.

Do końca dnia pensjonat został wyszorowany, zaopatrzony na cały tydzień i przekazany we władanie zastępcom.

– Chyba powinnaś się już położyć – stwierdził Juan, gdy spojrzał w moje oczy, z trudem opierające się senności. – Ruszamy o szóstej.

Ciężko podniosłam się z krzesła i skierowałam w stronę pokoju.

– Pa – rzuciłam na pożegnanie.

– Tylko tyle? – Juan delikatnie przyciągnął mnie do siebie.

– Dobrej nocy – poprawiłam się.

Wsparłam głowę na jego ramieniu.

Przytulił mnie i ukołysał.

Nie miałam siły na opór.

Juan doprowadził mnie do łóżka i ułożył do snu.

– Śpij dobrze. – Pocałował na pożegnanie we włosy.

Obudziłam się przestraszona, że zasnęłam, ale do szóstej brakowało dwudziestu minut. Na szczęście kilka nowych łasek, które kupiłam za pierwszą tygodniówkę, spokojnie spoczywało w plecaku, obok specjalnie zorganizowanej dla mnie przez Juana czerwonej sukienki flamenco.

– Bez takiego stroju nie możesz pokazać się na Ferii de Abril – tłumaczył, rozpościerając przede mną falbaniastą kreację swojej matki czy innej ciotki. – Zabierz ją, a zostaniesz gwiazdą w *casetas* –

zachwalał.

– A co to takiego te *casetas*?

Nie miałam pojęcia, o czym mówi.

– Zobaczysz! – Mrugnął tajemniczo.

Wyjechaliśmy zgodnie z planem, po wypiciu podwójnego espresso z kostką cukru. Kawę nauczyłam się słodzić dopiero w Hiszpanii. Z uwagi na swoją moc, bez odrobiny słodczy byłaby niestrawna.

Niemal sześćset kilometrów z Alicante do Sewilli minęło w okamgnieniu.

Chłonełam krajobraz za oknem, ciepło poranka, słońce zwiastujące pogodny dzień. Cieszył mnie urlop po wyczerpujących dwóch tygodniach pracy i wieczornych płasach na Explanadzie. Ale przede wszystkim obietnica wielu wrażeń. Wycieczki do Hiszpanii ze szkołą były fajne, ale nastawione głównie na zwiedzanie i przyswajanie kultury. Teraz liczyłam, że poznam prawdziwe życie. I atmosferę fiesty.

Nie pomyliłam się. Tydzień w Sewilli był absolutnie wyjątkowy.

I sprowokował mnie do wielu przemyśleń.

Miasto okazało się rozległe. Zanim dobrnęliśmy do kampera ojca Juana, który stał na specjalnie przygotowanym na fiestę parkingu w pobliżu ogromnego placu Real de la Feria, dokładnie naprzeciwko parku Maria Luiza, przemierzyliśmy wiele ulic. Odnosiłam wrażenie, że Juan wiezie mnie okrężną drogą, abym poczuła specyficzną atmosferę Sewilli.

– Patrz, po lewej katedra de Santa Maria, a obok niej minaret, zaprojektowany tak, żeby muezin mógł wjechać na jego szczyt konno i wygłosić stamtąd wezwanie do modlitwy. Zaraz dojedziemy do dawnego pałacu królewskiego. Stamtąd będziesz miała widok na plac de España, pełen palm i drzew pomarańczowych, nawiasem mówiąc, wszechobecnych w całym mieście.

Rzeczywiście, zapach kwiatów pomarańczy przyprawiał o zawrót głowy.

Straciłam poczucie kierunku jazdy. Nie miałam pojęcia, jaka odległość dzieli nas od parkingu, na którym stał kamper Miguela. Z Juanem przemierzyliśmy Barrio de Santa Cruz, gdzie urodził się słynny Don Juan, rzuciliśmy okiem na słynne Setas de la Encarnacion, nowoczesne budowle w kształcie grzybów, by w końcu udać się do miejsca przeznaczenia, czyli na plac Real de la Feria.

Czegoś takiego nie widziałam w życiu – na potężnej połaci ziemi stało ponad tysiąc *casetas* (Juan nareszcie wyjawiał mi, co to takiego), czyli namiotów o drewnianej konstrukcji, i tych mniejszych, i bardzo dużych, przygotowanych dla nawet tysiąca gości letnich knajpek. Ze scenami, stolikami, dekoracją. Wejście na plac wieńczyła główna brama, zwana Portada, punkt zborny dla przybyłych, a jednocześnie symboliczne przejście na miejsce fiesty dla Andaluzyjczyków, Hiszpanów i turystów z całego świata.

Z czasem pojęłam, dlaczego Juan zafundował mi ekspresowe zwiedzanie Sewilli. Przekroczywszy Portadę, miejsce imprezy opuściliśmy dopiero po tygodniu, kiedy trzeba było wracać do pracy. Pomijam nieliczne chwile, kiedy przenosiliśmy się na ulice, oglądać kolorowe parady. Na dogłębne poznawanie miasta zwyczajnie nie mieliśmy czasu.

Miguela zlokalizowaliśmy z pewnym trudem.

Starszy pan leżał na łóżku, zbierając siły przed mającym nastąpić o dwudziestej czwartej otwarciem ferii. Na nasz widok podniósł się i przywitał.

– Jestem Miguel. A ty pewnie Edita? – Wyciągnął do mnie rękę.

Miał miły głos.

Odwzajemniłam uścisk i wybąkałam pod nosem słowa powitania, nieco speszona bezpośredniością tego sześćdziesięcioletniego mężczyzny z uśmiechem na ustach.

– Piękna *chica* – usłyszałam komplement. – Mój syn ma szczęście – dodał, wprawiając mnie w zakłopotanie.

Juan nie wydawał się zaskoczony.

– Gdzie Rico i Pablo? – zapytał.

– W kamperze obok. My z Milą wolimy podróżować osobno. – Miguel wskazał na łaciatego cocker spaniela, kręcącego się wokół nóg swojego pana. – To właśnie Mila – dokonał prezentacji. – A to Miguel. – Wskazał na siebie.

Puścił do mnie oko i poprosił, bym mówiła mu po imieniu.

Był przesympatyczny. A gdy zaproponował, że specjalnie dla mnie zagra na saksofonie, kompletnie straciłam dla niego głowę.

Jeżeli Juan jest choć trochę podobny do ojca...

Po kilku krótkich frazach w rytmie flamenco Miguel odłożył instrument i zaprezentował nam miejsce do spania w drugiej klitce w kamperze.

Z jednym łóżkiem.

Juan uniesieniem brwi dał mi znać, żeby nie oponować i nie wprowadzać ojca w szczegóły naszej relacji. Wyraziłam zgodę na migi, bo doskonale zdawałam sobie sprawę, jak drogi musi być nocleg w Sewilli podczas fiesty.

Spanie w jednym łóżku nie oznacza przecież spania ze sobą.

– O! Są Rico i Pablo! – Miguela ucieszył widok dwóch przystojnych młodych mężczyzn, którzy wyrosli jak spod ziemi przy w drzwiach kampera. Trzymali tacki pełne *tapas*. – Moi synowie, a bracia Juana. A to jego *chica*.

Usłyszałam *hola, hola*, oddałam pocałunki, którymi zostałam spontanicznie obdarzona i wszyscy zabraliśmy się do jedzenia. Byłam naprawdę głodna i spragniona, choć jednocześnie nieco zdziwiona, że ojciec Juana traktuje mnie jak dziewczynę syna. Postanowiłam jednak machnąć na to ręką.

Nie musiałam dopraszać się o tapasy, które natychmiast trafiły również na mój talerz. Miguel wyjął kieliszki i napełnił je płynem o barwie cienkusa.

– To rebujito. Wszyscy je tutaj pijemy – zachęcił.

Spróbowałam i odnalazłam w szkle smak wina ze *sprite*'em. Było słabe, ale kilka kieliszków zrobiło swoje. Rozluźniłam się. Powoli nawiązywała się z czterema panami Martinezami całkiem bezpośrednia relacja.

– Od kiedy gracie razem? – Odważyłam się zapytać po jakimś czasie.

– Nie pamiętam. Ale chyba od kołyski? – roześmiał się Pablo, wyglądający na najstarszego. – Od kiedy po raz pierwszy powiedziałem „klarnet”!

– Gitara to łatwiejsze słowo, więc ja zacząłem jeszcze szybciej. – Dostosował się do konwencji Rico.

– Tylko nasz najmłodszy braciszek wciąż się leni. – Spojrzał na Juana.

– Spokój, synkowie! – Miguel uciął dyskusję. – W przyszłym roku zagramy z Juanem.

Mówiąc szczerze, przysłuchiwałam się tej dyskusji, nie mając pojęcia, o co w niej chodzi. O jakieś pretensje, że Juan nie chce z nimi grać? A może o to, że starsi bracia uważają, iż druga gitara, instrument najmłodszego, nie jest potrzebna w zespole?

Miguel nie przestawał nalewać rebujito hojną ręką. Od czasu do czasu proponował coś mocniejszego, lecz jednocześnie dbał, by atmosfera w kamperze nie wymknęła się spod kontroli.

W pewnym momencie zwrócił się do mnie.

– Bo widzisz, Edita, im chodzi o to – ważył słowa – że wyjeżdżamy z domu grać na fiestach i je celebrować, a kobieta zostaje. Z dziećmi, z domem.

– Tato, co ty wygadujesz?! – Juan poderwał się z miejsca. – Daj spokój – dodał i usiadł.

– Może zagramy Edicie? – Niezrażony reakcją syna Miguel sięgnął po saksofon. – Przynieście swoje instrumenty – polecił synom.

Po chwili kamper rozbrzmiał muzyką flamenco, przy której niemal zapomniałam o ostatnich słowach Miguela. Saksofon czarował dźwiękiem, starszy pan uśmiechem. A bracia Juana dali z siebie wszystko, by brzmieć prawdziwie po hiszpańsku – głośno, rytmicznie, z sercem i do tańca.

– Za ciebie, Edita! – Wzniósł toast Rico po zakończonym recitalu. – I za młodego, żeby wreszcie zaczął z nami grać – zwrócił się do Juana.

Życzliwie sekundowałam Juanowi, by dołączył do ojca i braci, których miałam jutro usłyszeć ponownie w jednym z *casetas*. Ale nawet po wypiciu kilku szklaneczek rebujito nie straciłam przytomności umysłu i dostrzegałam, że rodzinne rozmowy obracają się wokół mojej osoby. A raczej roli, jaką miałabym pełnić w przyszłości. Czyżby widzieli we mnie kandydatkę na żonę Juana?

Jeżeli tak, to bardzo się mylili. W życiu nie dałabym się upchnąć w domu z dziećmi, kiedy mąż z gitarą jeździłby na fiesty!

Na razie nie byłam jednak ani żoną Juana, ani synową Miguela, więc niecierpliwie czekałam północy. Początku imprezy.

Dla dodania sobie animuszu zaczęłam nawet tańczyć, ku zadowoleniu wszystkich panów, aż do chwili, kiedy Rico i Pablo ewakuowali się do swojego pojazdu, by wypocząć przed nocnym graniem.

Juan zaproponował mi wycieczkę po placu Real de la Feria.

Urszula

Po kolacji Iga nie poszła, jak zwykle, do swojego pokoju, a po odniesieniu talerzy do kuchni usiadła w fotelu naprzeciwko. Zorientowałam się, że chce porozmawiać.

Od porodu stale przesiadywała u siebie, unikając towarzystwa, a ja nie zamierzałam jej w tym przeszkadzać. Sama nieskłonna do wywnętrzania się, rozumiałam potrzebę przeżycia tragedii w samotności. Podobnie zareagowałam dawno temu, gdy odrzuciłam pomoc rodziców i pani Wiesi. Tato usunął się w cień, łowiąc chwile, kiedy mógł mnie pogłaskać po włosach i umknąć, by uniknąć rozmowy. Mama przeciwnie. Chciała „o tym” rozmawiać, najwidoczniej wychodząc z założenia, że słowa rozładują moją, a przede wszystkim jej traumę. Nie miała racji. Swoją nachalnością zapędzała mnie w najdalszy kąt.

Najlepszy wpływ terapeutyczny wywarła na mnie szkoła, codzienne obowiązki i brak czasu na myślenie. Żywiłam przekonanie, że u Igi będzie podobnie.

Drugi semestr nauki rozpoczął się już dwa miesiące temu, przygotowania do matury szły pełną parą. Termin egzaminu zbliżał się z każdym dniem. Do maja pozostały zaledwie dwa tygodnie.

– Co jest, Iga? – zapytałam. Próbowałam ułatwić jej początek. – Jakies kłopoty w szkole?

– Nie o to chodzi – bąknęła. – W szkole wszystko w porządku.

– No więc?

– Chciałam tylko powiedzieć, że w sobotę wybieram się do Warszawy. Do mamy.

Z uwagi na naturę kontaktów Igi z matką oraz ostatnią wizytę byłej pani Rostowskiej w Krynicy, wiadomość zaszokowała mnie nieco. Postanowiłam jednak poczekać na wyjaśnienia, które nastąpiły wkrótce.

– Ja wiem, co sądzisz o mojej mamie... – Iga czytała w moich myślach. – Tak, bardzo się na niej zawiodłam i nigdy jej tego nie zapomnę. Nie myśl sobie tylko, że jestem niewdzięczna w stosunku do ciebie i taty, i was wszystkich, którzy stworzyliście mi tutaj dom. Traktuję was jak najbliższych ludzi, dobrze mi tutaj. Ale chcę porozmawiać z mamą, bo wiem, że ona też tego chce. Muszę.

Z tak oczywistą deklaracją trudno było dyskutować. A mimo wszystko poczułam się nieco dotknięta, mimo ciepłych słów, które popłynęły w naszym kierunku. Fakt, Iga miała prawo dogadać się z własną matką. Właściwie nie powinnam się dziwić, chociaż raczej wyobrażałabym sobie wizytę Iwony w szpitalu w Nowym Dworze, niż jazdę młodej do Warszawy...

W porę ugryzłam się w język.

– Rozumiem. – Zdobyłam się na jedno słowo. – Nie wiem tylko, dlaczego mówisz to mnie? – zapytałam.

– Bo nie wiem, co będzie dalej – odparła. – Może zdecyduję się studiować w Warszawie?

– To dobrze. Ale w dalszym ciągu nie wiem, co to ma wspólnego ze mną? – drażyłam zdezorientowana.

– Uła, ja nie chcę wam przeszkadzać. Tobie i ojcu. Już wystarczająco namieszałam.

– Co ty mówisz!

Nareszcie dotarły do mnie intencje całej tej podprogowej przemowy.

Ona chce się usunąć! Nie stawać na przeszkodzie mnie i Danielowi!

– Dziecko, nikomu nie przeszkadzasz! Pójdiesz na studia do Gdańska, zamieszkasz z ojcem i będzie wszystko w porządku! A nami dwojgiem się nie martw. Dorośli zawsze znajdą rozwiązanie.

O ile będą chcieli, dodałam w myśli na własny użytek.

Pomyślałam o sobie i Danielu, o tym, co napisała o nim Edyta. Moja córka miała rację, oskarżając go o nadmierne zaangażowanie w pracę i niepoświęcanie mi wystarczającej uwagi.

„Co ty z niego masz?”

Te słowa dały mi do myślenia.

Oczekiwanie na kolejne przyjazdy Daniela zaczynało boleć nieznośnie. A teraz przez moją głowę przegalopowała myśl, co będzie, jeśli Iga się wyprowadzi. Otóż Daniel straci najważniejszy powód, żeby odwiedzać Krynicę.

Zdecydowanie powinnam przegadać sprawę z Lidką!

– Tak czy inaczej, postanowiłam spotkać się z mamą – oświadczyła Iga, nie pozostawiając pola do dyskusji. – A potem się zobaczy.

– Podejź do mnie, Iguniu – poprosiłam.

Przygarnęłam ją matczynym gestem.

– Jesteś dorosła, bardzo dojrzała jak na swój wiek i doświadczona. Zrobisz tak, jak będzie dla ciebie najlepiej. Ale na tego Kubę uważaj! – wspomniałam niedosłego tatusia jej dziecka.

I pogroziłam palcem, uśmiechając się szeroko dla rozładowania atmosfery.

– A kim jest Kuba? – zapytała.

Podtrzymała dobry klimat, który nagle zapanował między nami.

– Mądra dziewczynka.

Rozstałyśmy się po wypiciu jeszcze jednej herbaty i miłej pogawędce o Edycie, która właśnie jechała na tydzień do Sewilli. Przypomniałam sobie, że czeka mnie jeszcze dzisiaj lekcja hiszpańskiego, którą realizowałam z nauczycielem-komputerem, i myśl ta sprawiła mi przyjemność. Codziennie pochłaniałam nowe słówka, a nawet osiągałam pewne sukcesy w kleceniach pierwszych zdań. Ciągnęła mnie do tego języka jakaś nieznaną siłą, a nabywane umiejętności mobilizowały do dalszej pracy. Przynajmniej czas w gipsie nie szedł na marne.

Zanim jednak otworzyłam plik z kursem hiszpańskiego, zajrzałam do poczty, w której, niestety, nie było nowej wiadomości od Edyty. Jedyne Daniel, jak zwykle, kontaktował się wieczorem, opisując wydarzenia mijającego dnia i życząc dobrej nocy.

„Było ciężko. Pacjent niemal zmarł mi na stole, a potem wezwała mnie dyrekcja w sprawie reorganizacji szpitala i pewnych spraw związanych z zatrudnieniem, którymi nie chcę zawracać ci głowy. Źle się u nas dzieje i nic nie wskazuje na to, żeby miało być lepiej. Ręce opadają. Im więcej pracujesz, tym więcej od ciebie wymagają, a niestety, nie idą za tym pieniądze. Które zresztą niewiele znaczą, kiedy wraca się do pustego mieszkania... Nawet nie wiesz, jak chciałbym rzucić to wszystko w cholerę i być teraz z tobą! Chociaż na krótko! Niestety, wyjazd do Hiszpanii, o którym marzysz (nie pytaj mnie, skąd wiem), nie wyjdzie. A przynajmniej nie tej wiosny. Karol złamał nogę, Grzesiek złożył wymówienie, szpital nie ma chirurgów. A zatem domyślasz się, kto zaradzi w takiej sytuacji? Niezawodny Daniel Rostowski! A tak chciałem zrobić ci niespodziankę i zabrać cię do Andaluzji pod koniec maja, kiedy będziesz już całkowicie sprawna! Przepraszam cię kochanie i za to, i w ogóle, za całokształt. Więcej czerpię od ciebie, aniżeli sam ci daję. Myślę, jak to zmienić, ale jak dotąd niczego sensownego nie wykonypowałem. I z pewnością nie uda mi się przez kolejne dwanaście godzin dyżuru.

Całuję cię ze służbowej kozetki w pokoju lekarzy i cieszę się, że jeszcze nie przeznaczyłaś mnie na straty. Obiecuję poprawę.

Kocham cię.

Daniel”.

Dzisiejsza wiadomość była bardziej przejmująca i szczerą od poprzednich. Skąd on wiedział o moich planach wyjazdu do Hiszpanii? Nieważne. Jeśli nie mógł w nich uczestniczyć, postanowiłam nie zgłębiać kwestii.

Nie chodziło wyłącznie o wycieczkę. Kolejny dyżur, kolejna zmiana planów, nieobecność w Krynicy, brak czasu. Już raz to w życiu przerabiałam. Z Markiem.

Rano zerwałam się świtem, gnana chęcią przegadania tego wszystkiego z Lidką. Kiedy usiadłyśmy przy filiżance kawy przeczytałam jej mejla od Daniela i poprosiłam o radę.

– No i widzisz. Miało być dobrze, a jest jak zawsze – wyrecytowałam ograne powiedzonko.

Moja przyjaciółka spróbowała mediacji.

– Obiecał poprawę – stwierdziła. – Przecież ty chcesz mu dać szansę, Ulka. Nieraz widziałam was razem i nie wzmówisz mi, że jesteście sobie obojętni.

– Nawet Edyta mnie przestrzega...

– Edyta, Edyta! – powtórzyła zniecierpliwiona. – Nie pytaj jej, co sądzi, bo ona ciebie też z pewnością nie zapyta, kiedy będzie miała dylemat. Wiesz, że kocham ją tak jak ciebie, ale na tyle was znam, żeby wiedzieć, że obie jesteście niezależne.

– Wolisz, żeby poradziła się ciebie? – zapytałam z przekąsem.

– Chyba jesteś głupia! Od lat lawiruję między wami i nie powiem, że robię to z przyjemnością. Ty na nią donosisz, ona na ciebie. Dorośnijcie wreszcie! – zdenerwowała się nie na żarty Lidka. – I przestań wreszcie myśleć o rodzinnych rozgrywkach. Pomyśl o sobie!

Trafiła w sedno.

Spojrzałam na swoją unieruchomioną nogę, pomyślałam o trzech tygodniach w okowach gipsu i uświadomiłam sobie, że to nie uraz spowodował moje uwięzienie.

– Pod koniec maja jadę do Hiszpanii – obwieściłam spokojnie, zadziwiając sama siebie. – Skoro Daniel nie może, jego strata. A potem zobaczę, co będę robić w życiu.

– A szkoła?

– Będę na zwolnieniu.

– Na zwolnieniu powinnaś poddawać się rehabilitacji. ZUS może cię sprawdzić i jeżeli stwierdzi, że zafundowałaś sobie wakacje, będziesz mieć kłopoty. Radzę przełożyć ten wyjazd na koniec roku szkolnego – stwierdziła.

Mówiła jak przedsiębiorca znający podstawy prawa pracy.

– W takim razie złożę wypowiedzenie z biblioteki. Gdy tylko zdejmę gips.

Oczy Lidki robiły się coraz bardziej okrągłe.

– Powiedz, że żartujesz.

– Nie mam nawet takiego zamiaru, Lidziu. Nie chcę wracać do szkoły. Czuję, że się tam duszę.

– Gdzie w Krynicy znajdziesz inną robotę? – Lidka wyglądała na bardzo zaniepokojoną. – Co ty kombinujesz?

Nie miałam gotowej recepty na kolejne miesiące i lata swojego życia, poza pewnością, że muszę zmienić teraźniejszość. I chociaż myślałam o tym wielokrotnie, dopiero teraz, w rozmowie z Lidką, pragnienie zmian dotarło do mnie w całej rozciągłości. Jednak opowiedzenie o moich planach było trudne. Godziło w nasze kontakty.

– Nie wiem jeszcze, Lidka, jak się ułoży. Możliwe, że będę chciała sprzedać pensjonat – wyrzuciłam z siebie, spodziewając się gromów.

O dziwo, tak się nie stało, chociaż moja przyjaciółka nie pogłaskała mnie po głowie. Ale zachowała daleko idące zrozumienie.

– Okej, będziesz miała pieniądze. I co? Kupisz mieszkanie sobie i Edycie. A praca? Gdzie będziesz pracować? – zapytała. – I z kim się będziesz przyjaźnić, kiedy mnie opuścisz? – dodała, już mniej stanowczo.

– Nie wiem, Lidziu. Naprawdę jeszcze nie wiem. Myślałam o pisaniu książek, ale do tej pory żadne wydawnictwo, do którego wysłałam *To wszystko przez ciebie*, nie nawiązało ze mną kontaktu. I pewnie nie nawiąże – odparłam podłamana. – Może poszukam pracy w Gdańsku, jako redaktorka?

Spodziewałam się lawiny wyrzutów, na które zasłużyłam jako wieloletnia przyjaciółka, która znenacka zapragnęła wynieść się z Krynicy i zostawić Lidkę samą. A przy okazji panią Wiesię i pana Stefana. Cóż, zasłużyłam, zwłaszcza że Lidka ostatnio pracowała za mnie w pensjonacie dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ale ona nie wydawała się zadowolona.

– Przykro mi tego słuchać, Ula – powiedziała. – Ale rozumiem. Mój butik też mnie nudzi. Mam tylko nadzieję, że nie wyniesiesz się zbyt daleko.

– Nic jeszcze nie wiem, Lidka. Może nigdzie?

– Mam nadzieję. Lepiej się czujesz?

– Dlaczego?

– Fajnie jest pomarzyć. Bylebyś tylko nie popadła przy okazji w depresję – zakończyła i pocałowała mnie w policzek. – Lecę na górę. Trzeba zmienić pościel przed przyjazdem gości.

Edyta

Wjeżdżając przez Portadę, zorientowałam się, że wkraczam na największy plac zabaw, jaki widziałam kiedykolwiek. Kiedy Juan poinformował, że liczy on ponad milion dwieście tysięcy metrów kwadratowych, wielkość mnie poraziła.

– W końcu musi pomieścić kilkaset tysięcy osób. – Mój towarzysz żonglował liczbami, zadowolony, że wywołał szok.

Prawdziwe gabaryty terenu, na którym za kilka godzin miała rozpocząć się FERIA de Abril, poznałam, przemierzając z Juanem uliczki pomiędzy namiotami postawionymi na potrzeby imprezy, nazwane imionami słynnych torreadorów. Nazwami obdarzone były również *casetas*, prawdopodobnie dlatego, żeby łatwiej było do nich trafić w ciżbie ludzi mieszających się ze sobą w zaułkach. Podziwiałam kolorowe dekoracje zdobiące poszczególne namioty, kobiety w sukniach flamenco, dzieci ubrane w regionalne stroje i wszechogarniającą atmosferę zbliżającej się fiesty. Kulminacja miała nastąpić o dwunastej w nocy.

– Chcesz się położyć na chwilę? – Po dwugodzinnym zwiedzaniu Juan zaproponował sjęstę. – Noc będzie długa.

Skorzystałam z propozycji i udałam się do kampera Miguela. Zajęłam miejsce od ściany na ciasnym wyrku.

Na nasz widok Mila wesoło zamerdała ogonem. Pozwoliła się nawet pogłaskać.

Wstaliśmy wyspani i gotowi na całonocną zabawę.

O północy wszystkie dekoracje rozbłysły feerią świateł. Przebrałam się w kieckę flamenco i wraz z kompletem Martinezów udałam do namiotu, w którym oni mieli grać, a my z Juanem bawić się do rana, jeść smażone ryby i popijać rebujito.

„Jestem w Sewilli na fieście”, pomiędzy jednym a drugim tańcem postanowiłam podzielić się z mamą dobrym nastrojem. „Tańczymy sevillanas i pijemy rebujito, a ja w czerwonej sukni z falbanami robię furorę! A Juan jak tańczy! Jest super! Muszę wracać, bo Miguel z Rikiem i Pablem zaczynają grać *Volare*. Juan nie darowałby mi, gdybyśmy przeoczyli ten koncert! E.”

Nie zdążyłam napisać więcej, bo zostałam porwana na parkiet. Juan uwielbiał słowa piosenki, które, jak twierdził, musiały zostać napisane dla takiej właśnie dziewczyny jak ja. Dla pełnokrwistej blondynki.

– „Latam szczęśliwy, wyżej niż słońce, podczas gdy świat znika powoli w twoich niebieskich oczach. Twój głos to muzyka, która brzmi wyłącznie dla mnie” – śpiewał, nie wypuszczając mnie z rąk.

Poruszaliśmy się w tłumie tańczących, starając się wywalczyć dla siebie kawałek parkietu. Na szczęście po jakimś czasie gęszcz ludzi wokół zaczął się przeredzać. Wirowałam w najlepsze, kiedy kątem oka dostrzegłam, że poruszamy się z Juanem na sporej pustej przestrzeni, otoczonej wianuszkiem klaszczących ludzi. Odrzuciłam treść przed publicznym występem i zaufałam tanecznym umiejętnościom mojego partnera. Zapamiętałam się w tańcu.

Bawiliśmy się do rana.

„Majka!”, napisałam później do kumpeli. „Czerwona suknia fruwała, a ja razem z nią! A na myśl o tym, co Juan wyprawiał ze mną w tańcu, do tej pory mam gęsią skórę z wrażenia i strachu, że mogłam spaść

z wysokości jego ramion i roztrzaskać się o parkiet. Ale było warto. Wyszalałam się za wszystkie czasy, ludzie klaskali, niektórzy nawet robili sobie ze mną zdjęcia! Wyobrażasz sobie? Hiszpanie to wariaci, ale bardzo sympatyczni. Zaczepiają cię, zagadują, zachowują się, jak gdyby znali cię od lat. I co najważniejsze, prawią ci komplementy! Że jesteś piękna, że masz cudowne włosy. U nas nie do pomyślenia. Komplement jest na wagę złota. Musisz sobie zasłużyć, bo jeszcze, nie daj Boże, we łbie ci się przewraca.

Skrobnij kilka słów, co u ciebie. Fajnie tu, ale czasami tęsknię. Pogadałoby się. Nie wiesz, co u Miłosza? Niespecjalnie się odzywa, a jeżeli to jakoś tak oficjalnie. Gdybyś się z nim widziała, to na wszelki wypadek nie wspominaj o moich wyczynach w Sewilli. I zaplanuj w przyszłym roku fiestę w Hiszpanii! Wystarczy na tydzień odłożyć książki o pigułkach i zrobić sobie totalnie dowartościowujące wakacje! Może z Sergiem? Teraz trzymaj się ciepło, przynajmniej na poziomie dwudziestu trzech stopni, jakie mamy tutaj. Czekam na wieści z Polski. Napisz coś, proszę. Edyta”.

Tuż po wysłaniu mejla zorientowałam się, że może nie powinnam wspominać o Sergiu, który teraz pewnie świetnie radzi sobie w pensjonacie Miguela z Adelina. Cóż, jako że szybciej działałam, niż myślę, poczta powędrowała w wirtualną podróż do Majki. Obiecałam sobie zgłębić temat i ewentualnie przestrzec przyjaciółkę.

Tydzień minął jak z bicza strzelił, prowadząc nas nieustannie przez kolejne taneczne noce i dni pełne wrażeń. Codziennie w południe odbywała się parada powozów konnych, wożących piękne sewilskie dziewczyny w strojach flamenco. Wieczory spędzaliśmy w „naszym” namiocie, gdzie raczyliśmy się smażoną rybą lub owocami morza, które nawiasem mówiąc, przejadły mi się nieco. I tańczyliśmy, tańczyliśmy, tańczyliśmy do rana.

O północy z niedzieli na poniedziałek zgasły wszystkie światła i rozpoczął się pokaz sztucznych ogni. Znak, że pora zakończyć tygodniową zabawę.

– Masz ochotę wracać? – zapytał Juan, kiedy po kilku godzinach snu i pożegnaniu z pozostałymi Martinezami zapakowaliśmy się do auta. – Szkoda, że nie byliśmy sami. Z tatą za ścianą to jednak nie to – dodał, całując mnie w szyję.

Jakkolwiek do tej pory nie przeszkadzały mi takie gesty, teraz zaprotestowałam.

Juan mnie fascynował. Był wspaniałym towarzyszem zabawy, genialnym tancerzem, przystojnym Hiszpanem, czułym mężczyzną. Ale. To „ale” bezustannie drażyło mój umysł, kiedy nie piłam rebujito i nie oddawałam się zabawie. Kiedy myślałam o Miłoszu.

Na szczęście Miłosz swoim milczeniem sprawiał, że nie robiłam tego zbyt często. Widocznie dobrze sobie radził beze mnie.

– Było wspaniale – powiedziałam, odsunawszy męczące myśli. – Ale czas wracać do pracy.

Niemal z przyjemnością pomyślałam o codziennych obowiązkach i o euro, dzięki którym pójdę na studia. Zdziwiło mnie, jaką frajdę daje mi planowanie dalszej nauki.

Jadąc z Sewilli do Alicante, zastanawiałam się, co u Igi. Jak jej pójdzie matura? Czy dostanie się na wymarzoną medycynę? Palmy za oknem przesłoniła wyczarowana w wyobraźni tafla Bałtyku prześwitującego spoza rosnących na wydmach sosen. Pojawiła się mama z unieruchomioną w gipsie nogą, pani Wiesia, szurająca kapciami po kuchni w trakcie przygotowywania kolacji, grabiący liście pan Stefan. A nawet ciocia Lidka, która podczas niedyspozycji mamy zarządzała pensjonatem.

Komórka zasygnalizowała nadejście esemesa, a mnie mocniej zabiło serce.

„Witaj, córeczko. Nie piszesz, a to znaczy, że dobrze się bawisz w Sewilli. Cieszę się razem z tobą, choć muszę przyznać, że trochę ci zazdroszczę. Co byś powiedziała, gdybym wynajęła pokój w pensjonacie Juana w drugiej połowie maja? Sama, bo Daniel nie ma czasu. Oczywiście, jeśli nie będę ci w niczym przeszkadzać. Daj znać. Czekam i tęsknię za tobą. Mama”.

– Coś się stało? – zapytał Juan, gdy zobaczył, że ocieram oczy.

– Mama... Chce przyjechać w drugiej połowie maja.

– Cudownie! Wybierz jej pokój, Edita!

Dalsza podróż minęła mi już w dużo lepszym nastroju.

Nie zastanawiałam się, dlaczego mama postanowiła nagle zrobić sobie wycieczkę do Alicante. Ważne, że spotkamy się już za miesiąc!

Urszula

Lidka, jadę do Edyty! Wyobraź sobie, że to robię!

Chodziłam podniecona już od kilku dni, co chwila spoglądając na bilet, zabukowany na czwartego czerwca.

O gipsie zdjętym miesiąc temu zdażyłam już niemal zapomnieć, jednak rehabilitacja przytrzymała mnie w Krynicy nieco dłużej, niż przypuszczałam. Na szczęście dogadałam się z Andrzejem, który był nie tylko moim przełożonym, ale i wieloletnim przyjacielem.

– Przykro słuchać, że po tylu latach chcesz od nas odejść – stwierdził, kiedy wyjawiałam mu plany rezygnacji z pracy w bibliotece.

– Sam widzisz. Po tylu latach... – odparłam. Poczułam się zobowiązana do wyjaśnień. – Andrzej, siedzę w Krynicy od urodzenia. Nigdzie nie wyjeżdżałam. Bo pensjonat, bo praca, bo dziecko, któremu najlepiej było nad morzem – przytoczyłam argumenty Marka. – Ja po prostu muszę coś zmienić, rozumiesz? Za kilka miesięcy kończę pięćdziesiąt lat.

– To może wyjedź na jakiś czas, odpocznij, przemyśl wszystko raz jeszcze? I tak do końca roku szkolnego masz zwolnienie. Wrócimy do naszej rozmowy po wakacjach. Co ty na to?

Nie byłam z siebie zadowolona, bo przystałam na propozycję Andrzeja. Uległam wrodzonemu asekuranctwu i brakowi pewności siebie, czy może po prostu nie chciałam robić mu przykrości, zobaczywszy, że przyzwyczaił się do mnie przez te wszystkie lata, kiedy wspólnie organizowaliśmy konkursy czytelnicze, szkolne imprezy, konkursy recytatorskie?

Odcięcie pępownicy nie było łatwe, gdy człowiek całe życie spędził w niewielkiej społeczności, a dla większości jej dorosłych mieszkańców był po prostu „Ulką”. Znał kilka pokoleń uczniów, kupował ryby od pana Waldka i twaróg od pani Krysi, bywał na niejednym uczniowskim ślubie i uczestniczył w pogrzebach sąsiadów. Nie było łatwo myśleć o przeniesieniu się do innego miasta, pozostawieniu pensjonatu komuś obcemu, bo Edyta nieraz dawała mi do zrozumienia, że nie będzie prowadzić rodzinnego interesu. O opuszczeniu pani Wiesi i pana Stefana, Lidki i Kazika.

A może jednak Andrzej ma rację, że wyjazd przywróci mi ostrość widzenia?, myślałam, obracając w palcach bilet do Alicante.

Wyjazd w połowie maja nie wchodził w rachubę, ale kiedy na kolejnej wizycie lekarz wyraził zgodę na podróż, natychmiast skontaktowałam się z Edytą i usłyszałam oczekiwane słowo. „Przyjeżdżaj!”.

Specjalnie dla mnie przedłużyła swój pobyt w Alicante o miesiąc. Czekająca i ciesząca się ze spotkania!

A ja z radości miałam ochotę poderwać się do lotu, w sensie dosłownym i przenośnym, zapominając o radzie Andrzeja, by nabrać dystansu. Po prostu gnało mnie i tyle.

Daniel chodził nieco zmartwiony, że nie może mi towarzyszyć, jednak próbował cieszyć się razem ze mną.

– To tylko dwa tygodnie. – Starał się bagatelizować czekające nas chwile rozłąki.

Mimo żalu, jaki dostrzegałam w jego oczach, nie mogłam się oprzeć, by delikatnie nie napomknąć, że do tej pory to on miał bardzo mało czasu dla mnie.

– Wiem, wiem, Uleczko. To się zmieni. Obiecuję poprawę. Jeszcze chwila – tłumaczył, nie ujawniając

szczegółów.

Ja jednak powoli traciłam nadzieję na jakiegokolwiek zmiany. Chyba że na gorsze. Wprawdzie w Krynicy Daniel zawsze starał się nadrobić stracone chwile – zabierał mnie na romantyczne wycieczki po okolicy, fundował obiady i zwoził naręcza kwiatów – ale co z tego, jeśli wisiało nad nami jak katowski topór magiczne słowo „dyżur”.

Zostawiał mnie samą, w oczekiwaniu, że wyrwie kilka godzin na spotkanie. Nie było czasu, żeby porozmawiać choćby o książce, której jak dotąd nie przyjęło mi żadne wydawnictwo.

– Na pewno nikt się nie odezwie – żaliłam się Lidce. – Zaczynam się wstydzić, że wysłałam takiego knota.

Liczyłam na słowa otuchy, które padały zawsze.

– Nie bądź taka niecierpliwa. Przecież wydawnictwa odpowiadają najwcześniej po trzech miesiącach, nawet po pół roku. A ile minęło?

– Nic z tego nie będzie. A najgorsze, że w głowie świta mi pomysł na kolejną książkę.

– To wspaniale! Pisz i nie czekaj na odpowiedź. W razie czego wydasz *To wszystko przez ciebie* za własne pieniądze. I następną również. Może załapie na rynku, a ty będziesz miała przyjemność z tego, co zrobiłaś? A potem się zobaczy.

Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś poza nią był skłonny wysłuchiwać mojego jęczenia przez tyle lat. Kochałam ją za to.

Ponownie obróciłam w palcach bilet na samolot, obchodząc się z szarym wydrukiem z Internetu jak z brylantową kolia.

Karta pokładowa Ryanair, numer referencyjny, kilka skrótowców, które nie wiem, co oznaczały, data. Wylot: Modlin. Numer miejsca, godzina odlotu, moje imię i nazwisko. Miałam lecieć po raz pierwszy w życiu i bardzo mi się to podobało.

Jeszcze tylko kilka dni.

Żeby tylko nic się nie wydarzyło!, zaklinałam w duchu los, przewidując nieoczekiwane problemy, które mogą pokrzyżować mi plany.

Iga złożyła już wszystkie egzaminy maturalne, ale na wyniki musiała zaczekać do końca czerwca. Doszła do porozumienia z matką, nie na tyle jednak, by zdecydować się na studiowanie w Warszawie. Postanowiła składać papiery na akademię medyczną w Gdańsku. W czerwcu zamierzała przeprowadzić się do Daniela i podjąć pracę salowej w szpitalu.

Dziwnie mi było, bo przyzwyczaiałam się już do obecności Igi w pensjonacie. A pani Wiesia niemal się rozplakała na wieść o jej niechybnej wyprowadzce.

– Dziecko, po co ty masz gdzieś iść na poniewierkę? – pytała, nie znajdując odpowiedzi. – Źle ci tutaj? Wymizerujesz się w świecie! – nęciła, przytulając Igę i podtykając jej naleśniki z grzybami.

– Daleko się nie wybieram. Tylko do Gdańska, babciu. – Nie miałam pojęcia, kiedy Iga zaczęła w ten sposób zwracać się do naszej gosposi. – Przyjadę zawsze, gdy tylko będziesz mnie potrzebować.

Pani Wiesia ocierała łzy fartuchem, przekładając na patelni kolejnego naleśnika.

Pensjonat pod rządami Lidki funkcjonował perfekcyjnie. Powoli odzyskując sprawność, włączyłam się do pomocy i ja, choć nie zamierzałam wcinać się przyjaciółce w jej działania. Kolejni goście przyjeżdżali i wyjeżdżali, zadowoleni z obsługi i dobrej kuchni.

Zaczęłam poważnie myśleć o sprzedaży posesji Lidce, która znalazła w pensjonacie pole do popisu. Ta myśl wciąż była jeszcze świeża, drażyła mój umysł od niedawna, ale przecież nie mogłam pozostawić biznesu na barkach Wiesi i Stefana, którzy nie daliby sobie z nim rady.

Bo Edyta nie wróci do Krynicy z pewnością.

Wszystkie trudne myśli ulatywały jednak, kiedy przypominałam sobie, że za kilka dni lecę do Alicante.

– Lidka, jadę do Edyty! Wyobraź sobie, że to robię! – Cieszyłam się po raz nie wiadomo który.

– Tylko wróć! – Przyjaciółka zgromiła mnie wzrokiem.

– Wróć, wróć. Mam bilet powrotny – odparłam, oczami wyobraźni widząc już siebie w samolocie.

Lidka nie podzielała mojego podniecenia.

– Żebyś tylko nie zakochała się w tej Hiszpanii... – stwierdziła z przekąsem.

– Skąd takie przypuszczenie? Chcesz, to za rok pojedziemy tam razem? A może nawet wcześniej?

Moja przyjaciółka najwyraźniej uznała za punkt honoru, by ściągnąć mnie z obłoków na ziemię.

– Miałaś jakiś kontakt z Miłoszem? – zapytała zniechęta.

– Nie. Też się tym martwię. Edyta nie wspomina o nim w mejlach. Nie mam pojęcia, czy to wciąż aktualne.

– Szkoda by było. – Pociągnęła temat Lidka.

– Szkoda. Ale powiem ci, że Edyta nie rozpisuje się i o Juanie. A ja nie pytam. Wiesz, jaka jest.

– Wiem. Nie przejmuj się tylko znowu tym, co ci kiedyś mówiłam o dzieciach, które pozostają za granicą. Witek z Alą i Jaśkiem zamierzają wrócić z Londynu.

Wiadomość mnie poraziła.

– I dopiero teraz o tym mówisz? To fantastyczne! – zawołałam.

– Na razie planują. Nie chcę zapeszyć.

– Kochana, życzę ci, żeby wrócili! Kazik pewnie w siódmym niebie?

– Cieszy się.

– To może nie będziesz miała czasu zajmować się pensjonatem pod moją nieobecność? – Zmartwiłam się.

– Daj spokój. Nawet jeśli się zdecydują, to dopiero po wakacjach. Jedź i niczym się nie przejmuj! No,

chyba że ZUS-em. Jak cię namierzy, że nie ma cię w domu na zwolnieniu... W najgorszym wypadku

stracisz zasiłek chorobowy. – Zreflektowała się.

– Najwyżej stracę. Wyruszam za cztery dni. I jeszcze raz dziękuję, że zajmiesz się wszystkim, Lidziu.

Masz jeszcze chwilę?

– Mam. Dlaczego pytasz?

Wstałam z fotela i wyjęłam z barku miódówkę pana Stefana.

– Za wyjazd i za ciebie! – wzniosłam toast.

– Za twoje nowe życie, Ulka – zawtórowała Lidka. – Oby udały się i wyjazd, i książkowe plany.

Kładłam się spać z uczuciem ulgi i podniecenia.

Edyta

Po powrocie z Sewilli przekonaliśmy się, że niepokój o to, czy Sergio z Adelina poradzą sobie z pensjonatem, był zbędny. Interes kwitł. Wszystkie pokoje zajmowali goście, a kucharz miał pełne ręce roboty.

– Nie boisz się, że klienci pogardzą twoją kuchnią? – Zadowolony z efektów swojej pracy Sergio przekomarzał się z Juanem. – Moją chwalili – dodał, dumnie wypinając pierś.

– Ciężko było? – wypytywałam Adelinę, która z uśmiechem zerknęła w stronę Sergia.

– Oj, czasami ciężko – roześmiała się i objęła go w pól. – Ale daliśmy radę!

Doskonały humor i iskierki w oczach obojga nie pozostawiały wątpliwości, że „dali sobie radę” we dwoje znakomicie.

Ciekawe, czy Majka jeszcze koresponduje z Sergiem?

Dalsze pytania o wrażenia z minionego tygodnia przełożyliśmy na wieczór. Tymczasem rzuciliśmy bagaże w ką, aby przejąć obowiązki od przyjaciół Juana. Umówiliśmy się z nimi w ulubionej knajpie przy Rambla de Mendez natychmiast po powrocie Miguela.

Nasze plany wzięły w łeb. Miguel nie wracał, a goście domagali się obsługi. Biegając między stolikami, marzyłam, żeby napisać kilka słów do najbliższych, których zaniedbałam w ostatnich dniach. Miałam wyrzuty sumienia, bo nie odpowiedziałam Miłoszowi, który po długim milczeniu zakomunikował radośnie, że wynajął w Gdyni sympatyczne mieszkanie i nawet przesłał mi kilka zdjęć z jego wnętrza. Niezręcznie mi było pisać przy Juanie, który kręcił się wokół mnie nieustannie.

– Jesteś zmęczona, *chica*? – pytał, bo widział moje wędrowki pomiędzy kuchnią a jadalnią, tam i z powrotem. – Skończę ostatnią paellę i ci pomogę – zapewnił, obejmując mnie ramieniem.

Spojrzał czule w oczekiwaniu na pocałunek.

Cmoknęłam go w policzek, wymknęłam się z jego objęć, odebrałam dwie porcje tuszki królika z warzywami i popędziłam na salę. W pierwszej wolnej chwili natomiast zajrzałam do swojego pokoju i jeszcze raz od nowa przeczytałam wiadomość od Miłosza. Po raz pierwszy od mojego przyjazdu do Hiszpanii nie ograniczył się do zdawkowych pytań, w stylu „co u ciebie?”, a przesłał mi kilka miłych słów. Nie spodziewałam się, że sprawią mi taką przyjemność i przełamiają złość, jaką żywiłam do niego. Fakt, skorzystałam z wyjazdu do Sewilli, ale nie zrobiłam nic złego. Po prostu dlatego, że nie chciałam.

„Edytko, piszę, bo nie potrafię już dłużej gniewać się na ciebie, za to, że wyjechałaś i pracujesz u Juana. Wolałbym, żebyś była tu ze mną i pomogła mi wybrać mieszkanie, w którym, mam nadzieję, będziemy razem pomieszkiwać po twoim powrocie. Chciałbym przejść się z tobą po plaży, chociaż, jak wiesz, piasek w kwietniu jest jeszcze zimny, a woda mrozi stopy. Pewnie Morze Śródziemne dostarcza więcej przyjemności. Niestety, nie mogę ani zabrać cię do Sewilli, ani zatańczyć przy dźwiękach *Bailando*. Majka wspominała, że doskonale bawiłaś się na fieście. Jest dużo miejsc, które można odwiedzić i wiele przyjemności w życiu, które można odkryć z kochaną osobą. Chciałbym tam kiedyś trafić z tobą. O ile ty też będziesz tego chciała. Kocham cię bardzo i czekam. Wybacz mi. Miłosz”.

– Jesteś tutaj? – W drzwiach niespodziewanie pojawił się Juan.

– Już leczę!

Próbowałam poderwać się z krzesła i odłożyć komórkę do torebki, ale on mnie powstrzymał.

– Wieści z domu? – zapytał i przykucnął obok. Z troską zajrzał w moje oczy, których nie udało mi się odwrócić w porę. – Jesteś zmęczona – zauważył. – Połóż się, ja dokończę robotę. A jutro przed południem zapędzę do pracy ojca. Popłyniemy na Tabarkę. Chcesz?

– Juan, byłoby miło, ale ja tu pracuję – odparłam. – Już i tak przepadł mi tydzień...

– Niczym się nie martw. Nie zatrudniłaś się na całą dobę. Wrócimy około drugiej.

– Może za kilka dni? – zaproponowałam, ale przecząco pokręcił głową.

– Umówiłem się już z Sergiem i Adeliną. Mam odwołać? – Złożył ręce jak do modlitwy.

Roześmiałam się.

– Ale teraz idę z tobą! Posprzątam razem – zdecydowałam.

Poczułam przyływ sił i wstałam z miejsca.

W patio pozostali ostatni goście. Para Włochów z dzieckiem wkrótce odeszła do swojego pokoju, starsi państwo z Madrytu podążyli chwilę za nią. Dwie Brazylijki po zjedzeniu kolacji wyfrunęły na miasto, a Peruwiańczykiem, od kilku godzin zajmującym się penetrowaniem i-Pada, nie należało się przejmować. Sączył swoje piwo i nie wymagał specjalnej obsługi. Wyglądało na to, że wieczór się kończy, kiedy w drzwiach pojawiła się para młodych ludzi.

– Mamy rezerwację z booking.com – powiedział ciemno- i długowłosy chłopak, rzucając na podłogę plecak.

Obok niego stała skromna, sympatyczna dziewczyna.

Było w nich coś, co mnie ujęło.

– Zaczekajcie, zawołam Juana – rzuciłam w biegu do kuchni z tacą pełną talerzy, zebranych ze stolika pod palmą.

Zanim zdążyłam dobiec, on wyrósł w recepcji jak spod ziemi.

– Rosario! Paulina! *Hola!* Nie wiedziałem, że przyjeżdżacie! – usłyszałam radosny okrzyk.

Wkładałam naczynia do zmywarki, kiedy Juan wpadł do kuchni, by podgrzać patelnię. Szykowała się kolejna porcja paelli dla nowo przybyłych.

– Edita! To moi przyjaciele z Peru! Chodziłem z nimi do szkoły w Alicante. Przyjeżdżają co roku i zatrzymują się u nas. Przedstawię cię, kiedy się rozpakują. Posiedzisz z nami? – zapytał z nadzieją.

– Oczywiście.

– Są bardzo fajni.

I rzeczywiście, Juan nie przesadził.

Rosario z Pauliną pojawili się w kuchni, akurat kiedy przecierałam kuchenny stół. Odebrali od nas talerze, patelnię z pachnącą paellą, dwie butelki wina i kieliszki. Usiedliśmy we czwórkę w rogu opustoszałego już patio i włączyliśmy muzykę flamenco, która nieustannie dźwięczała mi w uszach od wyjazdu z Sewilli.

Rozmowa toczyła się po hiszpańsku, w języku, którego używanie sprawiało mi coraz większą przyjemność. Padła bariera, w głowie odnajdowałam zapomniane słówka, chwyciłam akcent. Cieszyłam się z tego, że potrafię cokolwiek, mimo że nie rozpoczęłam studiów.

– No to teraz możemy wam powiedzieć, że jesteśmy *matrimonio!* – Rosario wstał, nalał wina do kieliszków i pocałował w rękę Paulinę.

– Niemożliwe! Kiedy? – Juan aż podniósł się z krzesła.

– Tydzień temu! To już tydzień, jak Paulina została moją żoną! – entuzjasmował się świeżo upieczony małżonek.

– Dlaczego nie powiedzieliście od razu, że to wasza podróż poślubna?

Zaferowana nagłym przyśpieszeniem akcji, skupiona na zrozumieniu błyskawicznej wymiany zdań

pomiędzy Rosariem a Juanem, z trudem opanowywałam szum w głowie, wywołany zapewne nadmiarem wina. Juan uznał, że taką okazję należy uczcić.

– Za was! – Usłyszeliśmy dźwięk korka wyskakującego z butelki szampana. – To dopiero święto! – Hojną ręką rozlewał bąbelkujący płyn do kieliszków. Kiedy przyszła moja kolej, zatrzymał się w pół ruchu i spojrzał mi głęboko w oczy. – Edita, teraz dla ciebie. Zobacz, jacy są szczęśliwi! Wypijmy za nich – dodał, nie spuszczać ze mnie oczu. – Za was! – powtórzył.

Podniósł kieliszek i wypił, nie czekając na pozostałych.

Jego spojrzenie przyprawilo mnie o dreszcze.

Siedzieliśmy w patio do rana, świętując szczęście młodej pary przy muzyce i tańcu.

– Masz gdzieś *Nunca Te olvidaré*? – zapytał nagle Rosario, kiedy zmęczeni przedłużającym się wieczorem próbowaliśmy dotrzymać kroku muzyce.

– Poszukam.

Juan oderwał się ode mnie i skierował do odtwarzacza.

Zanim zdążyłam zapytać, skąd wzięła się jego nagła ochota na akurat ten kawałek, Rosario pośpieszył z tłumaczeniem. Podobno Paulina często go słuchała ostatnimi czasy.

– Jest!

Patio wypełniła piosenka Enrique Iglesiasa. Rosario z Pauliną zespolili się w tańcu.

Juan przygarnął mnie do siebie w niemym zaproszeniu na parkiet.

– Nigdy nie chciałem ani tego śpiewać, ani tak myśleć – powiedział po prostu, gdy kołysaliśmy się w rytm muzyki. – Edita, ja chyba się w tobie zakochałem.

Wybrzmiewała piosenka za piosenką, a my nie przestawaliśmy się bujać.

Gdy Juan towarzyszył mi w drodze do pokoju, wcale nie myślałam, czy wszystko zostało posprzątane ze stołu ani że to już koniec dnia pracy. W głowie dźwięczało mi tylko jego imię.

Urszula

Pilot przygotowywał się do lądowania, zniżając samolot do pułapu, z którego widać było już ludzi kręcących się w pobliżu hali lotniska. Z wrażenia, że lecę po raz pierwszy w życiu, nie zmrużyłam oka ani przez moment. Nie chciałam uronić żadnego z obrazów przesuwających się za oknem podczas trzyipółgodzinnego lotu. Niemal bezchmurne niebo było jak panoramiczny ekran, na którym jeden za drugim zmieniały się krajobrazy. Zachwycałam się dywanami pól w różnych odcieniach żółci i zieleni, wijącymi się między nimi wstęgami rzek, oczkami jezior o barwie kobaltu. Zaś nad Alpami podziwiałam stalowe, monumentalne pasma pokrytych śniegiem gór. Kiedy dostrzegłam Morze Balearskie z wyraźnie widoczną linią brzegową półwyspu, ogarnęło mnie niezwykle wzruszenie, które starałam się ukryć, uporczywie wpatrując się w okno. W oddali majaczyło duże miasto, być może Barcelona, pod nami lśniła niebieska tafla wody.

Za niecałą godzinę miałam spotkać się z Edytą!

Zapatrzona w zbliżającą się płytę lotniska, poczułam lekkie szarpnięcie. Koła samolotu zetknęły się z ziemią.

Popłynęłam wśród fali pasażerów do hali przylotów. Pozostało jeszcze odebrać bagaż.

Na taśmociągu pojawiła się bordowa walizka, po którą wyciągnęłam rękę.

– Pomogę – zaoferował po hiszpańsku męski głos, a kiedy zaskoczona zareagowałam rozłożeniem rąk sugerującym, że nie rozumiem, kontynuował kulawym angielskim. – *I help. Ju ar biutiful womena.*

– Dziękuję, poradzę sobie – odparłam, speszona nieoczekiwanym komplementem od nieznajomego.

Nie załapałam, że on nie rozumie po polsku.

Wyglądający jak rasowy Hiszpan przystojny mężczyzna odstawił moją walizkę i rzucił mi na pożegnanie pełne uwielbienia spojrzenie. Miałam nadzieję, że nie był to lotniskowy złodziej. Kierując się w stronę rozsuwanych drzwi, za którymi czekała Edyta, mocno trzymałam bagaż w kurczowo zaciśniętej dłoni.

– Mama! Tutaj jestem! – Pomachała do mnie moja córka, precyzyjnie się przez, sądząc po wzroście, drużynę koszykarzy. – Jak podróż?

– Fantastycznie! Jak ładnie wyglądasz! Jaka opalona!

Po wyściskaniu odsunęłam ją od siebie, żeby się jej lepiej przyjrzeć.

W powiewnej jasnej sukience na ramiączkach i rzymskich sandałkach wyglądała jak bogini. Czarowała gładką oliwkową skórą i pobielałymi od słońca włosami.

– Ty tutaj na pewno pracujesz, czy tylko się opalasz? – zażartowałam.

– Tylko się opalam – odparła wesoło, próbując odebrać mi walizkę.

– Daj spokój, jeszcze sobie radzę. – Przytrzymałam rączkę. – Wiesz, że przed chwilą zaczepił mnie jakiś facet?

Edyta nie wydawała się zaskoczona.

– Witamy w Hiszpanii! Od teraz musisz się do tego przyzwyczaić. Oni są czuli na kobiece wdzięki. Zobaczysz, co się będzie działo, kiedy wyjdiesz na słońce, bo blada jesteś niesamowicie. Jak noga?

Machnęłam ręką, zamykając gestem mało ciekawy epizod mojej historii najnowszej.

– A co u ciebie? Nie miałaś problemów z przedłużeniem pobytu? – zainteresowałam się.

Tylko się roześmiała.

– Juan zrobiłby wszystko, żeby mnie tu zatrzymać na stałe, a nie tylko przez kolejny miesiąc!

Zapadła cisza. Nie chciałam jej przerywać pytaniami o Juana, obawiając się niechcianych zwierzeń. Mimo że Edyta zachowywała daleko posuniętą wstrzeźliwość w obnażaniu się przede mną w kwestii swoich spraw sercowych, szóstym zmysłem wyczuwałam, co się święci.

„Mami! Spędziliśmy wspaniały wieczór z przyjaciółmi Juana, Rosariem i Pauliną, którzy pobrali się niedawno”, przypominałam sobie pierwszego mejla od mojego dziecka po powrocie z Sewilli. „Nie masz pojęcia, jacy są szczęśliwi! I nieważne, czy będą mieszkać w Peru, dokąd wyjechali z Hiszpanii, czy też gdziekolwiek indziej, grunt, że razem. Po stokroć mają rację! Jutro jedziemy razem z nimi na Tabarkę. Później zapewne jeszcze trochę czasu pogrzeję się w ciepłe ich szczęścia i słońcu, które zagościło na dobre. Całus. E. PS Juan też cię pozdrawia”.

Nastrój kolejnych mejli był podobny. Czasami Edyta narzekała na nawal zajęć w pensjonacie, ale była wyraźnie zadowolona, bo rosła kupka euro z kolejnych tygodniówek. Do końca maja zgromadziła kwotę potrzebną na opłacenie pierwszego roku studiów w szkole rehabilitacji, wliczając w to dojazdy i weekendowe lokum w Warszawie.

Byłam z niej dumna i wspierałam ile sił, ucieszona, że choć najbliższą przyszłość łączy z Polską. Lidka kibicowała nam obu. Sama bujała w obłokach z powodu oczekiwanego powrotu Witka z rodziną.

– No, zobacz tylko, już straciłam nadzieję, a tu taka niespodzianka! – entuzjazmowała się, pokazując mi kolejne zdjęcia trzyletniego Jasia i filmiki, na których machał do babci z dalekiego Londynu. – Jak się okazało, życie na obczyźnie też może się znudzić i zmęczyć człowieka, nawet młodego. No bo przecież zawsze można wyjechać, podróżować, zwiedzać świat – perorowała radośnie. – A Edytą się nie przejmuj. To rozsądna dziewczyna!

Wolałam nie przypominać jej rozmów, w których przestrzegала mnie przed Juanem i uczuciem, jakie może zrodzić się między nim a moją córką. Oraz przed niebezpieczeństwem jej pozostania w Hiszpanii.

Nic dziwnego zatem, że teraz, kiedy usłyszałam, że Juan chciałby zatrzymać Edytę na dłużej i dostrzegłam błysk w jej oku, przeszedł mnie dreszcz niepokoju. Opędzałam się od tego wrażenia jak od namolnej muchy, koncentrując się na widoku za oknem.

Jechałyśmy wzdłuż wybrzeża, mijając pustynne tereny porośnięte palmami i kępami kaktusów, pozostawiając za sobą osiedla mieszkaniowe z widokiem na zatokę. Po niedługim czasie włączyłyśmy się w gęstniejący z każdą chwilą sznur aut zmierzających do starego centrum miasta.

Edyta zręcznie lawirowała w wąskich uliczkach, wspinając się pod górę, aż wreszcie zatrzymałyśmy się przed bramą pensjonatu.

Weszłyśmy na drugie piętro, pokonując nadgryzione zębem czasu kamienne schodki, udekorowane niebieskimi donicami pełnymi dorodnych kwiatów. Za drzwiami ujrzałam przepiękne patio z dwiema palmami i orgią ukwieconych krzewów. A pomiędzy nimi stoliki z blatami zdobionymi mozaiką z różnobarwnej terakoty.

– Boże, czuję się jak w jakimś filmie! – zawołałam, zachwycona wystrojem.

Pokój też był piękny. Pozbawiony hotelowej elegancji, swojski, z namalowanymi na ścianach niebieskimi palmami i łózkami zwieńczonymi bambusowymi zagłówkami.

Mimo że czerwcowe słońce grzało mocno, w patio panował przyjemny chłodek.

– Chcesz się wykapać? Łazienka jest tam. – Edyta wskazała mi drewniane drzwi z kutym w metalu napisem.

Odświeżona, skorzystałam z chwilowej nieobecności córki i wysłałam wiadomość Danielowi.

„Jestem na miejscu, i to jakim cudownym! Na dworze prawie trzydzieści stopni, pensjonat boski!

Odezwę się później. Całuję cię i proszę, nie pracuj tyle. Ula”.

Odpisał niezwłocznie.

„Czekałem na wieści z komórką w dłoni. Kochanie, korzystaj, opalaj się, zwiedzaj i baw się dobrze. Następnym razem wyjeżdżamy razem. Obiecuję. Kocham cię. Daniel”.

Radośnie pogłaskałam ekran telefonu, wystukałam esemesy do Lidki i Igi i połączyłam się z panią Wiesią. Nie odebrała. Pewnie jest zajęta w kuchni, pomyślałam.

– Mamuś, pragnę ci kogoś przedstawić... – W drzwiach stała Edyta, a z nią starszy model Juana. – To Miguel. Tato Juana, moja mama – dodała po polsku i szybko przetłumaczyła na hiszpański.

– *Hola!* – przywitałam się i popisałam hiszpańską kwestią, którą ćwiczyłam w samolocie. Że bardzo mi miło poznać i że cieszy mnie pobyt w Alicante.

Zanim którekolwiek zdążyło skomentować moje pierwsze kroki w obcym języku, pojawił się Juan i porwał mnie w ramiona. Nie jestem wprawdzie przyzwyczajona do tak wylewnego okazywania radości, jednak po chwili poddałam się nastrojowi i nawet udało mi się sklecić w sensowną całość kilka uprzejmych słów.

– To ty mówisz po hiszpańsku? – zdumiała się Edyta.

– Tyle o ile. – Machnęłam ręką, bagatelizując umiejętności. – Z nudów zaglądałam do twoich podręczników. W końcu siedziałam z nogą zadartą do góry przez kawał czasu – odparłam szeptem.

– Dzieciaki mają robotę, ale może ja mógłbym ci pokazać okolicę? – zapytał Miguel z uśmiechem.

– Czy ja dobrze zrozumiałam? – Spojrzałam na Edytę. – On chce mnie oprowadzić po mieście?

– Mhm...

– Chętnie – zgodziłam się.

– Nie wypuszczę was bez spróbowania mojego pomidorowo-arbuzowego gazpacho! – Juan wskazał nam stolik i zagarnął Edytę do kuchni.

Siadając pod palmą, zauważyłam, że odsunął jej włosy i pocałował w policzek. A ona się nie broniła.

Zupa na zimno była doskonała. Miguel obiecał mi dalszy ciąg smakowitości w kolejnych barach, z którymi postanowił mnie zaznajomić. Zdecydował, że zjemy *tapas*, które miały pozostawić miejsce na kolację w wykonaniu jego syna.

Spakowałam niewielki plecak, na wszelki wypadek wrzucając do niego ręcznik i kostium kąpielowy, i stawiałam się gotowa na podbój Alicante. Miguel już czekał.

Nie musiałam znać hiszpańskiego, żeby rozumieć jego spojrzenie i kilka przeznaczonych tylko dla mnie słów zachwyty, które bardzo mnie skrępowały.

– Piękna i młoda! Naprawdę jesteś mamą Edyty, a nie jej siostrą?

Udałam, że nie rozumiem.

Ale co tam! Świeciło przecież słońce!

Zapomniawszy o świeżo zrosniętej nodze, zbiegłam po kamiennych schodkach.

Edyta

Obudziłam się przerażona, próbując przyzwyczaić oczy do ciemności i ręką wymacać zegarek. Wskazywał dziewiątą rano.

Wyskoczyłam z łóżka, które na szczęście zajmowałam sama. Powinnam być na nogach przynajmniej od dwóch godzin i obsługiwać gości przy śniadaniu! Jednak nie to niepokoiło mnie najbardziej. Gorsza była świadomość, że nie byłam w stanie odtworzyć zakończenia imprezy z Rosariem i Pauliną.

Do pokoju przyprowadził mnie Juan..., zbierałam myśli, jedną ręką dopinając zamek w spodniach, a drugą przemywając twarz nad umywalką.

Nie zamierzałam pokazywać się gościom, których głosy dochodziły z patio, z ręcznikiem w dłoni, z rozwichrzoną fryzurą i wczorajszym makijażem.

A zatem doprowadził mnie do pokoju, przytulał i mówił, że mnie kocha... W głowie otwierały się kolejne szufladki pamięci. I rósł niepokój, co się wydarzyło minionej nocy. Czyżby został ze mną?, myślałam ze zgrozą. Czyżbym z nim się przespała?

Bo nawet gdybym postanowiła spędzić z nim noc, wolałabym zrobić to świadomie.

Zimna woda ocuciła mnie wystarczająco, by dostrzec ślady po minionej nocy wyraźniej. Oto czerwone plamy na twarzy, podkrążone oczy i niepokojąca niepewność tego, co się wydarzyło!, prychnęłam.

Zewnętrzne pozostałości po balandze dały się usunąć dość łatwo. Ochlapałam się nad umywalką, pozbyłam resztek makijażu, nałożyłam cień i podretuszowałam oczy tuszem, nie zapominając o cienkiej warstewce pudru, który przykrył niedoskonałości cery na policzkach.

Jednak niepewność ewentualnej bliskości z Juanem nie dała się przypudrować...

Wyszłam z pokoju w świeżych ciuchach i z uśmiechem na ustach, przybranym na potrzeby gości, i popędziłam do kuchni. Juan stał w białym fartuchu nad deską do krojenia, przygotowując kolejne *bocadillos*. Kuchnię wypełniały aromaty szynki serrano, tuńczyka i świeżo parzonej kawy.

– Przepraszam, zasnęłam – przywitałam się i złapałam za nóż, by pokroić leżącą na stole paprykę. – Coś zanieść na salę?

Juan nachylił się nade mną i namiętnie pocałował w usta.

– Panuję nad wszystkim, kochanie – odparł aksamitnym głosem, przeznaczonym najwyraźniej wyłącznie dla mnie. – Napij się kawy, dobrze ci zrobi. – Podsunął mi filiżankę z pachnącym podwójnym espresso.

Nie śmiałam zapytać, czy minionej nocy byliśmy razem, a Juan nie ułatwiał mi zadania. Energicznie kręcił się po kuchni i spoglądał na mnie czule raz po raz.

Pozwoliłam napić się kawą, zjadłam przesmaczne *bocadillos*. Wstałam od stołu i zapowiedziałam, że będę pracować do późnej nocy.

– A Tabarka? Zapomniałaś, że umówiliśmy się z Pauliną i Rosariem?

– Jedź sam. Ja zajmę się pensjonatem – odparłam, zawiązując fartuszek wokół bioder.

– Nie ma mowy. Zaraz przychodzą Sergio z Adeliną. Zastąpią nas. Naprawdę nie chcesz jechać? – zapytał.

Jego wzrok rozwiewał, niestety, wszelkie wątpliwości.

Zebrałam się w sobie. Wychodząc z kuchni z tacą pełną hiszpańskich grzanek, odwróciłam się w progu

i zapytałam o minioną noc.

– Do niczego nie doszło, moja dziewczyno. – Uśmiechnął się i odgarnął kosmyk włosów z mojej twarzy. – Dla mnie jesteś jak Madonna.

Wolałam nie pytać, co ma na myśli. Ulga była przeogromna.

W oczekiwaniu na Sergia i Adelinę zabrałam się do sprzątanego pensjonatu, żeby zrekompensować jakoś dwie godziny nadprogramowego snu. Nigdy jeszcze w tak krótkim czasie nie udało mi się wymienić tylu zmian pościeli, wyczyścić tylu łazienek, zamieść patio, podlać kwiatów, zamienić kilku miłych słów z gośćmi wyruszającymi z plażowym ekwipunkiem nad morze, przyjąć kilku kolejnych osób, wyskoczyć do sklepu po brakujące oliwki, paprykę i oberżynę. Juan sprzątał po śniadaniu, zagadując gości, w tym również dwie młode Brazylijki. Mimo że nie brałam z nim przysłowiowego ślubu, na widok naturalnej hiszpańskiej atencji dla kobiet odczułam lekki skurcz w sercu.

Czyżbym przyzwyczała się, że Juan należy wyłącznie do mnie?

Dawał mi to do zrozumienia przy każdej okazji. Na statku na Tabarkę, w portowej restauracji, przy nalewaniu wina, pokazując mi ptaki okupujące kamienie na plaży, robiąc zdjęcia na tle nastrojowych kamieniczek, dbając, by nie było mi zimno po wyjściu z wody.

I również wtedy, gdy powtarzał *mi novia bella*, słowa, które są w stanie zmiękczyć serce każdej kobiety. „Moja piękna dziewczyno”. Hiszpański wyraz podziwu i sugestii przynależności. Czułości i oddania.

Przyznam, że im więcej mijało dni i tygodni w Alicante, tym bardziej potrzebowałam obecności Juana. Nie chciałam przyznać się sama przed sobą, że chyba się w nim zakochuję. Biegałam między patio a kuchnią, w której przyrządzał dania, czasem oddając mu pocałunek, czasem pozwalając się przytulić, a po pracy poprowadzić nad zaciągnięte mrokiem morze i wykapać się przy blasku księżyca. A to wszystko mimo mejli od Miłosza, które dostawałam regularnie, z pytaniami o każdy miniony dzień i relacjami z jego codzienności.

Pisał, że tęskni...

Nie potrafiłam przyznać się przed nim, że Juan nie jest tylko moim pracodawcą. Ze swoich rozterek zwierzyłam się Majce, która ostatnimi czasy przestała wspominać o Sergiu. No i bardzo dobrze. Może nareszcie znalazła sobie chłopaka w Polsce?

„Majka, kończy się maj, a ja już zebrałam prawie całą kasę na studia i mogłabym wracać. Powstrzymują mnie dwie kwestie. Po pierwsze, mama przyjeżdża czwartego czerwca, a po drugie... Chyba nie bardzo chce mi się opuszczać Juana. Jest we mnie zakochany i daje temu wyraz na każdym kroku. Mnie też jest z nim dobrze, ale nie potrafię zapomnieć o Miłoszu. Przyznasz, że jestem głupia. Mama powiedziałaaby, że niedojrzała. Może. Nic na to nie poradzę. Mam ochotę spotkać się z Miłoszem, chociaż ostatnio mniej pisze, ale boję się, jak się znajdziemy po moim przyjeździe. Powiem ci wprost: mam mętlik w głowie. Czy można interesować się dwoma facetami naraz? Przecież niemożliwe jest połączenie ich w jeden organizm i stworzenie ideału. Powiesz pewnie, że marudzę, i będziesz miała rację. Wygląda na to, że będę musiała poszukać tego trzeciego... A co u ciebie, koleżanko? Pewnie za kilka dni zaczynasz sesję i nie masz czasu na zabawę? Ja zresztą też. Pracuję od rana do wieczora, bo w pensjonacie robota nigdy się nie kończy. Ja skończę ją za dwa tygodnie, kiedy wrócę z mamą do Krynicy, ale potem sama nie wiem, co się będzie działo. Na razie myślę o studiach od października. Mimo kasy, którą przywiozę, będę nadal mieszkała w domu i szukała rozwiązań, bo nie wiem, czy podejmę studia, czy też pociągnę robotę w Hiszpanii. Niczego już nie jestem pewna, Majka. Zazdroszczę ci, że kończysz już trzeci rok i że znów będziesz wkuwać te swoje bryki z lekami. Przynajmniej wiesz, czego się trzymać. Pozdrawiam. Edyta”.

Majka zareagowała natychmiast. Przysłała pocieszającego mejla, który jednak dał mi do myślenia.

„Edyta! Nie dziwię się twoim dylematom. Zawsze je miałaś, od kiedy sięgam pamięcią. Nie martw się, poradysz sobie. Wspaniale, że zarobiłaś na studia, a jeszcze lepiej, że masz wybór. Miłoshem nie musisz się przejmować, z tego co wiem, radzi sobie nieźle. Przygotował fajną parapetówkę, zaprosił sporo gości. Nawet ja się załapałam. Może nie powinnam donosić, ale zabawa była całkiem niezła, a gospodarz bardzo gościnnie. Duży pokój jest naprawdę wygodny, a sypialnię (co zdradzam ci cichaczem) pomagałam mu urządzić. Jest utrzymana w szarobeżowej kolorystyce, którą zaproponowałam zgodnie z własnym gustem, ale on się nie sprzeciwił. Przepraszam, ale nie pamiętałam, jakie barwy preferujesz. Jeśli nie trafiłam, zawsze będziesz mogła wszystko zmienić.

Od przyszłego tygodnia zaczynam sesję, potem mam miesiąc praktyk w aptece.

Zobaczymy się niebawem. Pozdrawiam, Majka”.

Przeczytałam wiadomość od niej kilka razy. Wydała mi się zbyt sucha, zbyt lakoniczna. A już dygresja o urządzaniu sypialni Miłosza była co najmniej nie na miejscu. No i ani słowa o Sergiu.

Wolałam nie myśleć, co się za tym kryje.

Natomiast na myśl, że za kilka dni przyjeżdża mama, z którą za dwa tygodnie wracam do domu, wyobrażenie poranka w Krynicy i śniadania pani Wiesi, a potem spotkania z Igą, pogaduszek z ciotką Lidką i gofrów z bitą śmietaną z kiosku „Mewka” ogarnęła mnie błogość.

Nigdy nie przypuszczałam, że aż tak ucieszy mnie widok mamy podążającej w moją stronę w hali przylotów, z ręką zaciśniętą na uchwycie bordowej walizki. Bojącej się o bagaż, bo jakiś Hiszpan, w może nazbyt natarczywy sposób, powiedział jej komplement. Chętnie pokazałabym jej Alicante, ale pozostały mi tylko dwa tygodnie, żeby zarobić coś ekstra. Oddałam zatem mamę w ręce Miguela, ojca Juana, który na jej widok bardzo chętnie podjął się zadania.

Zanim wypuścili się razem na miasto, ustaliłyśmy datę powrotu do Polski. Połączyłam się z Internetem i zarezerwowałam bilety.

Urszula

Tak jak podejrzewałam, Marek nie miał racji, twierdząc, że nie trzeba wyjeżdżać z kraju, żeby poznać wszystkie cuda świata.

Już pierwszy dzień w Hiszpanii wprowadził mnie w zachwyt, uświadamiając, ile straciłam, rezygnując z wyjazdów. Wolna od pracy, zajmowania się pensjonatem, trosk związanych z łataniem dziury budżetowej i obaw o przyszłość chłonełam wrażenia jak gąbka. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów czułam się jak mała dziewczynka, której rodzice zafundowali wizytę w wesołym miasteczku. Przemierzając z Miguelem wąskie uliczki starówki, zadzierałam głowę, by podziwiać zdobione kamieniczki, smakowałam kawę i tapasy w knajpce na rogu, obserwując jednocześnie miasto tętniące gwarem urlopowiczów, hałasem wszechobecnych skuterów, zapraszające placykami pełnymi urokliwych lokalików schowanych w cieniu rozłożystych palm, uroczą, wyłożoną terakotą nadmorską promenadą, której uroki miałam poznać wieczorem, gdy ożywiły ją dźwięki gitar i niczym nieskrępowana zabawa mieszkańców i turystów.

Pozwalałam się prowadzić Miguelowi wytyczoną przezeń trasą, tęsknie spoglądając na plażowiczów oddających się słonecznym i morskim kąpielom. Zerkalam w dół na lazurową toń morza z górującego nad miastem wzgórza Benacantil. Podczas zwiedzania twierdzy Castillo de Santa Barbara Miguel robił mi zdjęcia.

– A teraz może na plażę? – usłyszałam długo oczekiwaną propozycję.

Zjechaliśmy z Benacantil windą i już po pięciu minutach brodziłam bosymi stopami w nagrzanym słońcem piasku. A kiedy zamoczyłam palce, natychmiast sięgnęłam po plecak z kostiumem kąpielowym.

– Idę się wykąpać – poinformowałam mojego towarzysza. Okryłam się szczelnie ręcznikiem i zmieniałam ubranie na bikini. – Jaka ciepła woda!

Miguel nie podzielał mojego entuzjazmu. Badał temperaturę morza ostrożnie.

– Dla mnie jeszcze za zimna.

– Nie chcesz, to nie wchodzi! – zawołałam i wbiegłam w lazurową toń.

Zanurzyłam się po samą szyję.

Bujałam się na falach, walczyłam z bałwanami pchającymi kąpiących się w stronę plaży, krzyczałam do Miguela, który machał w moją stronę, jednocześnie przygotowując dla nas grajdoł made in Spain.

Gdy po półgodzinnej, niczym nieskrępowanej zabawie powróciłam na rozłożony koc, zawiesiłam wzrok na drewnianej tacy z jedzeniem. Nie wiem, kiedy Miguel zdążył zaopatrzyć nas w małże, krewetki i oliwki ani czym zdołał pokroić podłużne bułeczki *pitufo* i skąd wzięł szklane kieliszki napełnione białym winem. Na talerzyku leżały też liście sałaty, koktajlowe pomidorki i twarde ser zamorano.

– Pomyślałem, że po kąpeli będziesz głodna. – Gestem zaprosił mnie na leżak.

Patrzyłam z podziwem na koc, jednocześnie susząc włosy ręcznikiem. Do zachodu było jeszcze sporo czasu, słońce grzało. Smakowałam miejscowe przysmaki, ale nie zapomniałam wystawić twarzy na działanie jego promieni. Edyta wspomniała przecież, że powinnam się opalić...

Wróciliśmy z Miguelem do domu, kiedy słońce schowało się za bryłami budynków, a pora wskazywała, że Juan z Edytą czekają na nas z kolacją. Oszołomiona utrzymując się upałem i szumiącym w głowie

winem, wzięłam szybki prysznic. Po rzeczywiście doskonałej paelli Juana i *conejo a la parilla* (królika z rusztu) dałam się namówić Miguelowi na wieczór na promenadzie. Tam, przy dźwiękach hiszpańskiej muzyki, nie trzeba było długo kusić mnie tańcem.

„Jest cudownie!”, napisałam do Daniela, korzystając z przerwy na toaletę. Obszerniejsze zwierzenia pozostawiłam sobie na później. „Tańczyłam przy piosence z *Desperado* i piłam wino. Hiszpania jest wspaniała!”.

Kolejne dni upływały w równie miłej atmosferze. Wkrótce rozeznałam się w topografii terenu i często sama, już bez pomocy Miguela, penetrowałam miasto, wysuwając nos poza pobliską plażę i lokalny sklepik. Wypuściłam się nawet na targowisko Mercado, na degustację oliwek. Korzystając z komunikacji miejskiej, podążyłam na bazar z ciuchami, wypiliśmy w samotności kilka kufli *cervezy* w ulicznych knajpkach, posmakowałam świeżych sardeli w marynacie, tostady i miejscowej *huevos revueltos*, czyli naszej jajecznicy. Oddychałam Hiszpanią.

Z Edytą spotykałyśmy się wieczorami, spędzając czas z panami Martinezami w pensjonacie. Od czasu do czasu pozwalałyśmy się porwać na miasto i pobawić przy dźwiękach gitary.

– Ale się opaliłaś, mami! – Edyta podziwiała moje codzienne plażowe wysiłki. – Chyba jeszcze nigdy nie byłaś taka ciemna!

Pracowałam nad tym rzetelnie, z niepokojem odliczając dni do końca pobytu.

Lidka donosiła, że w Krynicy wszystko w porządku. Iga chwilowo przeniosła się do Daniela. Jedynym powodem do niepokoju był fakt, że nie mogłam połączyć się z panią Wiesią. Tłumaczyłam to sobie tym, że komórki używa ona tylko wówczas, gdy akurat ma ją pod ręką i jeśli telefon jest naładowany. Nagabywana w tej kwestii Lidka zbywała pytania o Wiesię i Stefana, nieustannie życząc mi dobrej zabawy i zmieniając temat. Na Witka i jego rodzinę.

Pod jej rządami goście napływali do Krynicy drzwiami i oknami. Grafik rezerwacji był pełen do końca sierpnia. Słowem: Lidka w pensjonacie zdawała się być w swoim żywiole. Chwaląc się sukcesami i ciesząc z nowego zajęcia, delikatnie namawiała mnie na poszerzenie oferty usług dla klientów, przebudowy kilku pomieszczeń, wzbogacenie ich o dodatkowe atrakcje.

„Pomyślałam o telewizji w pokojach i basenie w ogrodzie”, pisała. „Znalazłam nawet firmę, która się podejmie postawić basen ze zdejmowanym dachem. Zimą ogrzejemy pomieszczenie, a latem opuścimy dach i goście będą mogli kąpać się pod chmurką. No wiesz, nasze polskie morze nie zawsze oferuje komfort”.

Doskonale znałam ten ból. Pomysł wydawał się przedni, gdyby nie fakt, że wynaleziona przez Lidkę firma na pewno nie zechce pracować za darmo, a ja nie mam sił na poszukiwanie źródła finansowania. Ba, nie mam na to ochoty. Dlatego na pomysły reagowałam bez entuzjazmu.

„Zastanowimy się, kiedy wrócę”, odpowiadałam, skoncentrowana na kolejnej wycieczce, którą zaproponował mi Miguel. Odsuwałam trudne decyzje na potem.

– Wydaje mi się, że Lidka chce kupić nasz pensjonat... – Nie wiedziałam dlaczego, ale podjęłam ten temat z Edytą, kiedy po kolacji znalazłyśmy się w naszym pokoju same.

– Proponowała ci to? – Moja córka wyglądała na zaskoczoną.

– Nie. Ale zajmuje się nim, od kiedy złamałam nogę. I dobrze jej idzie. Może niepotrzebnie wspominałam jej, że myślę o sprzedaży... – sondowałam.

– Z pensjonatem możesz zrobić, co chcesz. Jest twój – odparła.

Może nieco zbyt szybko i żarliwie.

– Należy także do ciebie.

– Mamuś, jest twój. I wolno ci nim dysponować.

– Ale ja chcę poznać twoje zdanie! Cokolwiek zdecyduję.

Edyta wstała z łóżka i podeszła do lustra, żeby podmalować oczy. Znałam ten gest, często powtarzany w chwilach zdenerwowania. Gwałtownie odwróciła się i zasypała mnie gradem wymówek.

– Nigdy dotąd nie pytałaś mnie, czego sobie życzę i jak wyobrażam sobie przyszłość pensjonatu! Dlaczego robisz to teraz? Przecież nie jestem ślepa i widzę, że chcesz się stamtąd wynieść! Tyle że próbujesz dostać moje błogosławieństwo! Naprawdę nie musisz! – wykrzyczała i opadła na łóżko.

– Edyta! Nie rozmawiaj ze mną w taki sposób. Proszę. Nie sprzedam pensjonatu wbrew twojej woli, jeśli będziesz chciała go zachować. Chcesz?

Spodziewałam się kolejnego ataku złości, ale zastąpił go potok łez.

– Nie wiem jeszcze, czego chcę, mami. Nie wiem... – powtórzyła bezradnie.

Wolałam nie pytać, jaką alternatywę bierze pod uwagę. Tak czy siak, utwierdziłam się w przekonaniu, że z uwagi na Edytę nie powinnam robić Lidce nadziei na kupno.

– Idziemy spać, czy może we dwie wyjdziemy na miasto? – Zarzuciłam przynętę.

Upadła na podatny grunt.

Edyta otarła oczy i z uśmiechem, przez ledwie już dostrzegalne łzy, sięgnęła po wiszącą w szafie czerwoną sukienkę.

– Masz coś czerwonego? – zapytała, kiedy i ja zaczęłam przeszukiwać szufladę z ciuchami. Wyciągnęłam z niej kieckę kupioną przedwczoraj na targu.

– Wow! – Edytę zachwycił mój nowy nabytek. – Czerwona i z falbanami! Odbijesz mi wszystkich adoratorów!

Czy naprawdę trzeba jechać aż do Hiszpanii, żeby znaleźć wspólny język z własną córką?, myślałam. Sądząc po wieczorze przetańczonym przy *vino rosado* i flamenco, stwierdziłam, że jednak tak.

Wróciłyśmy nad ranem, zmęczone, szczęśliwe i wolne. Tyle że ja mogłam wyspać się do woli, a ona wstawała świtem, żeby przygotować śniadanie dla gości.

Do naszego wyjazdu zostało zaledwie kilka dni. Edyta „wyrabiała” swoje ostatnie euro, ja wybierałam się z Miguelem na wycieczkę do Sewilli. Po ponad tygodniu na plaży opaliłam się tak, że nie musiał się mnie wstydzic. Tęskniłam za Danielem, ale zbliżający się koniec wakacji nie cieszył.

– Chyba mogłabym nie wracać – zwierzyłam się Edycie.

Spojrzała na mnie ze zrozumieniem.

– Nic trudnego przyjechać ponownie – odparła. – Tutaj czy gdzie indziej.

Z trudem przyswajałam te słowa. Oczami wyobraźni zobaczyłam siebie w domu przy przeglądaniu rachunków i zmianach pościeli, ale odegnałam ten obraz. Zostało mi jeszcze kilka dni w Alicante, a z nimi słońce, ciepła woda w morzu, knajpki, tapasy, wino i wycieczki z Miguelem. I wieczorne posiadówki w patio pod palmami.

Cokolwiek miało nastąpić później, teraz było pięknie.

Edyta

Termin wyjazdu z Alicante zbliżał się nieubłaganie.

Juan chodził coraz bardziej markotny, a mama napawała się każdą chwilą, pragnąc zmagazynować wrażenia, by wystarczyły do następnego razu, który miał nastąpić w bliżej nieokreślonej przyszłości. Z niepokojem spoglądałam, jak adoruje ją Miguel, jego oddanie *novia bella*, jak ją nazywał.

Mama opanowała podstawy hiszpańskiego wystarczająco, by wiedzieć, że jest dla niego „piękną dziewczyną”. Tyle że, ku mojemu zaskoczeniu, nie miała nic przeciwko takiemu traktowaniu. Nigdy nie widziałam mojej matki w tak dobrym nastroju, wyluzowanej, szczęśliwej, chętnej do zabawy. Ale kiedy wspomniała o zamiarze sprzedaży pensjonatu, nie wiedziałam, co o tym myśleć.

Na pytania o Daniela reagowała lakonicznym „wszystko w porządku”, jednocześnie zachwycając się wycieczkami do Walencji i Sewilli, dokąd zabierał ją Miguel.

„Mama kompletnie zwariowała”, pisałam do Majki, zwierając się jej ze swoich obaw. „Całymi dniami gania po mieście albo leży na plaży, wieczorami sprawdza stopień zaawansowania opalenizny. Wdzięczy się do ojca Juana, chodzi w krótkich kieckach. Kupiła sobie nawet czerwoną sukienkę do flamenco i planuje uczyć się hiszpańskich tańców.

Nie wiem, czy stale zajęty Daniel będzie w stanie dotrzymać jej kroku. Mama wspomniała nawet ostatnio o pomysle sprzedaży pensjonatu, jakby to była bułka z masłem. Tato chyba w grobie się przewraca!”

Majka w zachowaniu mamy nie dostrzegła żadnych dewiacji.

„Dziwisz się? Po raz pierwszy wyrwała się z domu, to chce wykorzystać czas. Sama nieraz wspominałaś, że męczy cię mieszkanie w Krynicy przez cały długi rok, a ona mieszka tak od urodzenia. A Miguelem się nie przejmuj, Danielem też. Są już dużymi dziećmi, dadzą sobie radę. Jak widać, ojciec Juana pojawił się w odpowiednim momencie”.

Dziwiłam się tak lekkiemu podejściu i nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że coś się za nim kryje.

Kolejne mejle od Majki sprawiły, że zaczynałam się domyślać co.

Coraz częściej teksty o pozytywnie zaliczonych kolokwiach i kuciu do egzaminów były przeplatane wzmiankami o Miłoszu. A to, że spotkali się przypadkiem w knajpie, a to, że on zamierza kupić samochód...

Jak widać, była lepiej poinformowana ode mnie. Mimo korespondencji, której nie zaniechaliśmy, Miłosz nie zwierzał mi się ze swoich planów. Pisał jedynie o zbliżającej się sesji, o pracy i o tym, że czeka na mój powrót.

Mimo to zaczynałam wątpić, czy naprawdę czeka i czy jeszcze jest sam.

Trawiłam wątpliwości, roznosząc talerze po patio i konwersując z gośćmi. Myjąc podłogę i zmieniając pościel, zastanawiałam się poważnie nad dalszym życiem. Juan chodził coraz bardziej markotny. Stale poszukiwał mojego towarzystwa, pytał, kiedy przyjadę ponownie. Czarował i prawił czułe słówka. Czulałam się przy nim kimś wyjątkowym, nawet w fartuchu i chusteczce na włosach. Zwłaszcza że wziął przykład z ojca i postanowił zabrać mnie na wycieczkę do Cabo de Palos, przepięknej miejscowości na półwyspie oddalonym od Alicante o niecałą godzinę drogi.

– Jutro zrobimy sobie przejażdżkę motorem – obwieścił wieczorem po pracy.

Byłam wykończona i niechętna czynieniu jakichkolwiek planów, nie licząc zamiaru położenia się do łóżka. Dzisiejszego dnia przyjechało ponad dziesięcioro zgłodniałych i spragnionych zabawy gości, których musieliśmy obsługiwać niemal do północy.

– Jestem padnięta. Pogadamy później.

Popatrzył na mnie z miną zbitego psa.

– Ale ja już załatwiłem Sergia... To Costa Calida, ciepłe wybrzeże! Po drodze wpadlibyśmy do Murcji. Zgódź się, proszę. Pojutrze wyjeżdżasz – błagał, składając ręce i przechylając głowę. Pozwolił, by włosy zakryły mu twarz, którą złożył w moje dłonie.

Jak mogłam się nie zgodzić?

Umówiliśmy się o siódmej rano.

Z rozkoszą wzięłam wieczorny prysznic, zmywając z siebie trudy dnia. Nie czekałam na mamę, która wracała z Miguelem z Sewilli.

„Edita!”, pisała z drogi (jak widać, zaczęła posługiwać się hiszpańską wersją mojego imienia). „Sewilla jest wspaniała! Wracamy, ale będziemy późno. Być może gdzieś się zatrzymamy”.

Nie miałam sił myśleć, w jakim celu i gdzie starsi państwo zamierzają zrobić sobie kolejny przystanek. Usnęłam, ledwie przyłożywszy głowę do poduszki.

Obudziła mnie komórka o szóstej trzydzieści. Wyłączyłam ją przyciskiem, z niechęcią uświadamiając sobie, że powinnam wstać z łóżka. A gdyby tak jeszcze kilka minut?

Przytuliłam się do poduszki ponownie, szczelnie okryłam kołdrą i odpłynęłam. Zarejestrowałam jedynie, że mama śpi obok.

Obudziło mnie pukanie do drzwi.

– Edita! – usłyszałam szept Juana. – Jajecznicza gotowa!

A więc jednak trzeba wstawać.

Przemyłam oczy wodą, maznęłam powieki cieniem, rezygnując z tuszu. W porównaniu z mamą byłam blada i wymoczkowata. Zgarnęłam do plecaka kilka ciuchów, nie zapominając o kostiumie kąpielowym, ręczniku i kremie do opalania. Wskoczyłam w klapki i pobiegłam na jajecznicę i espresso, które w tajemniczy sposób również pojawiło się na stoliku.

O tej porze w pensjonacie panował spokój. Goście jeszcze spali.

– *Bella*, zjesz tostadę z serrano? – zapytał Juan i zanęcił pachnącą grzanką z szynką.

– Dziękuję. Kiedy przychodzi Sergio? – dopytywałam w poczuciu odpowiedzialności za pensjonat.

– Zaraz. O, chyba już idzie!

I rzeczywiście, po chwili w progu pojawił się nasz zmiennik.

– Smacznego! Widzę, że wielki dzień zaczyna się od jajecznicy – zawołał i pocałował mnie w policzek.

Mrugnął do Juana, najwyraźniej niezadowolonego z zachowania przyjaciela.

– Chcesz kawy?

– Zrobię sobie, a wy się szykujcie. Tylko nie zapomnij o... Sam wiesz o czym.

Konwersacja była dla mnie niezrozumiała, ale nie zamierzałam się nad nią zastanawiać. Między hiszpańskimi mężczyznami panowało jakieś dziwne porozumienie, nie zawsze zrozumiałe dla kobiet. Nie zdziwiło mnie, kiedy na pożegnanie Sergio, całkiem po polsku, pocałował moją dłoń, a Juana poklepał po ramieniu i objął.

Kiedy zesłam po schodach, i motor, i mój kierowca byli gotowi do drogi.

– Włóż kask. – Juan delikatnie zaopatrzył mnie w nakrycie głowy i poprosił, żebym dobrze się trzymała.

Ruszył z impetem, nie żałując gazu. Zatrzymaliśmy się dopiero u wrót Murcji.

– Chcesz pozwiedzać? – zapytał. – Czy od razu jedziemy na Cabo de Palos?

Pomyślałam o gorącym piasku i ciepłej morskiej wodzie. I o zaległościach w opalaniu.

– Na plażę – zdecydowałam, w ostatniej chwili chwyciwszy Juana w pasie, żeby nie spaść z motoru podczas gwałtownego startu.

Wiatr rozwiewał mi wystające spod kasku włosy. Jechaliśmy wybrzeżem, oświetlonym przedpołudniowym słońcem, zbliżając się do wcinającego się w morze półwyspu. Obserwowałam hotele, prywatne rezydencje rozsiane na wzgórzach i skromne domki w pastelowych barwach.

Zatrzymaliśmy się na kamienistym cyplu i rozpakowaliśmy bagażnik.

Zapowiadał się piękny słoneczny dzień. Plaża o tej porze była jeszcze pusta, więc łatwo było znaleźć odpowiedni parasol z leżakami. Zaczęliśmy mościć wokół niego siedlisko.

Wskoczyłam w kostium. Juan również zrzucił ubranie i zaproponował kąpiel.

Stąpałam po kamieniach, starając dostać się do wody.

– Pomogę ci! – Juan porwał mnie na ręce, by postawić dopiero na miękkim piasku.

Fale zalewały mi twarz, ale silne ramiona mojego towarzysza działały jak falochron.

– Jak się czujesz? – zapytał z twarzą tuż przy mojej twarzy.

– Bosko! – próbowałam odpowiedzieć, ale zamknął mi usta pocałunkiem, któremu nie byłam w stanie się oprzeć.

– Wracamy! – stwierdził zniechęcony. Podniósł mnie ponownie i skierował się w stronę plaży. – Wytrzymaj się. – Okrył mnie ręcznikiem.

Po ciemnych kosmykach mokrych włosów spływały kropelki wody, tęczęwki piwnych oczu lśniły w słońcu.

– Jesteś piękna, wiesz? – powiedział poważnie.

Usadził mnie na leżaku i gestem zakazał się ruszać.

Na podręcznym stoliku rozłożył serwetki i ustawił kieliszki, do których nalał różowego wina. Obserwowałam, jak kręci się wokół, rozwieszając ręczniki, odgarniając co większe kamienie, poszukując czegoś w torbie.

Wyjął z niej niewielkie pudełeczko i trzymając je w rękach, jak bezcenny amulet, podszedł i przyklęknął.

– Czekałem na tę chwilę długo, ale wreszcie nastąpiła – zaczął. Otworzył puzderko, w którym połyskiwało szmaragdowe oczko. – Chcę dać ci ten pierścionek w kolorze morskiej wody, bo kocham cię tak jak to morze, które nam dzisiaj towarzyszy. Czy zechcesz zostać moją żoną?

Urszula

Przyjeżdżaj, kiedy tylko najdzie cię ochota! – Miguel podczas pożegnalnej kolacji, na którą zaprosił mnie do restauracji, zadeklarował darmowe przyjęcie w Alicante w dowolnym terminie. – Niezależnie od Edyty. Pamiętaj, że przed nami jeszcze Malaga, Murcja i kilka innych perełek. Przy okazji podszkolisz się z języka, chociaż i tak nieźle ci idzie – pochwalił mnie z uśmiechem i dolał z dzbanka białego wina.

Z żalem pomyślałam, że w Polsce będzie mi brakować hiszpańskich kolacji pod palmami, zakrapianych lokalnym winem, przy muzyce ulicznych grajków. Będzie mi brakować adoracji Miguela, jego cierpliwości w staraniach o przekazanie mi melodii języka, który pokochałam od pierwszego usłyszenia, a podczas pobytu w Alicante utwierdziłam się w tej miłości. Już tęskniłam do ciepłego morza, sjeisty na plaży, tańców na promenadzie, niczym nieskrępowanego śmiechu, do kolorowych kamieniczek na Tabarce, lśniących w słońcu gór, pustynnych przestrzeni i lazuru morza naznaczonego trójkątami białych proporców żagli. A przede wszystkim wiedziałam, że będę tęsknić za ludźmi, których tutaj spotkałam: za Miguelem, Juanem, ich znajomymi i tymi nieznanymi z ulicy, których zawsze stać na uśmiech, pogodę ducha i miłe słowo.

Podziękowałam, zastanawiając się, czy deklaracja Miguela, że się zobaczymy, nie jest obietnicą bez pokrycia. Choć zacieśniające się kontakty Edyty i Juana dawały dużą szansę, że tak się właśnie stanie.

– Mam coś dla ciebie, *novia bella*. – Miguel sięgnął do torby, z której wyjął ręcznie malowany talerz, zdobiący do tej pory jedną ze ścian patio.

Przyzwyczałam się już, że nazywa mnie piękną dziewczyną, składając to na karb wyjątkowej uwagi Hiszpanów dla kobiet, wyrażanej kwiecistym językiem. Mimo skrepowania postanowiłam prezent przyjąć z wdzięcznością, żeby nie sprawić darczyńcy zawodu.

– Dziękuję, Miguelu. Będzie mi ciebie przypominał.

– Zawsze możesz wrócić do Alicante – powtórzył, wpatrując się we mnie w sposób niepozostawiający wątpliwości co do intencji.

Z całą pewnością byłam dla niego nie tylko gościem, nie matką Edyty, ale osobą, którą polubił wyjątkowo.

Mimo ogromnej sympatii dla mojego gospodarza, uznania dla jego życzliwości, kultury, elokwencji i mistrzostwa w posługiwaniu się saksofonem, nie podzielałam jego uczuć, którym dawał wyraz nadzwyczaj delikatnie. Choć z drugiej strony, gdybym została dłużej, wiele mogłoby się zdarzyć...

– To był bardzo miły pobyt, Miguelu – odparłam na zaproszenie. – I jestem ci bardzo wdzięczna za wycieczki, i za wszystko. Na pewno jeszcze kiedyś się zobaczymy.

Choćby z uwagi na zażyłość naszych dzieci, dodałam w duchu. Może nawet nastąpi to szybciej, niż sądzimy.

Na razie jednak nie miałam zamiaru zaprzętać sobie tym głowy.

Edyta w ciągu ostatnich trzech dni chodziła jak w malinie, wyraźnie mnie unikając. Nietrudno było zauważyć, że wyjazd z Alicante rodzi określone emocje u obojga młodych, choć ja nie potrafiłam zorientować się, na ile poważny stał się ich związek. Znając swoją córkę, mogłam jedynie liczyć na wyznania, gdy uzna je za stosowne, i spokojnie czekać.

Kiedy sobotniego ranka, odwiezione przez panów Martinezów na lotnisko, pożegnałyśmy się z nimi i z Hiszpanią, między nami nastąpiła cisza.

– Chcesz siedzieć przy oknie czy w środku? – zapytała Edyta na pokładzie samolotu głosem, w którym wyczułam obojętność.

– A ty?

– Jest mi wszystko jedno.

– To siadaj przy oknie. – Odstąpiłam jej miejsce.

Usiadła, zapięła pasy i odwróciwszy głowę, tępo spoglądała przed siebie. Nie odezwała się, ani kiedy samolot poderwał się do lotu, ani przez kolejną godzinę. Słuchawki na uszach miały sygnalizować jej całkowite wyłączenie, które uszanowałam, udając sen. Nie nadchodził długo, a kiedy wreszcie mnie ogarnął, szarpnięcie oznajmiło, że wylądowałyśmy w Modlinie.

– Obudź się – usłyszałam głos Edyty. – Jesteśmy na miejscu.

Przywitał nas deszcz i chłodny przenikliwy wiatr, nieprzyjemnie smagający po odkrytych ramionach, których nie mogłam okryć swetrem spoczywającym na dnie bagażu.

Trzeba będzie go wyjąć, pomyślałam niechętnie. Przyda się. Przed nami cztery godziny oczekiwania na bus do Gdańska...

– Moja już jedzie! – Ucieszyłam się, widząc na taśmociągu bordową walizkę.

Wkrótce pojawiła się również pomarańczowa Edyty.

Ciągnęłyśmy je za sobą, kierując się do hali przylotów. Obie myślałyśmy o zajęciu dogodnego miejsca w kafejce. Zanim jednak zdążyłyśmy rozejrzeć się w poszukiwaniu przystani, dobiegł do nas znajomy głos.

– Ulka! Edytka! Jesteście!

Daniel podbiegł i wziął mnie w ramiona.

– Co ty tutaj robisz? – zawołałam zaskoczona.

– Przyjechałem po was. Jaka opalona! – Odsunął mnie od siebie, gapiąc się jak urzeczony. – Chodź, niech cię ucałuję! – Nieskrępowany obecnością mojego dziecka namiętnie pocałował mnie w usta. – Już myślałem, że nigdy nie wrócisz!

– A ty, наша dzielna gastarbeiterko? Pewnie jesteś zmęczona? – zwrócił się do Edyty, przytulając ją serdecznie. – Chcecie coś wypić, zjeść? – zapytał, a kiedy obie pokręciłyśmy przecząco głowami, poprowadził do samochodu. – Mam dla was wodę, jabłka, miętówki i czekoladki. Na kawę i hot dogi zatrzymamy się na stacji benzynowej – obwieścił, wkładając walizki do bagażnika. – Zresztą na cokolwiek, na co będziecie miały ochotę.

Radośnie kręcił się wokół samochodu, otwierając nam drzwi, sprawdzając, czy nam wygodnie. Po prostu się cieszył.

Powoli zaczął mi się udzielać jego nastrój.

– A teraz opowiadaj, co w domu – zapytałam, ciekawa najnowszych wieści. – Iga bardzo się denerwuje wynikami matur? Jak się czują nasi starszycy? Widziałeś się z Lidką? – zarzuciłam go pytaniami.

Daniel stropił się wyraźnie.

– W pensjonacie w porządku. Lidka działa, Iga wróciła do końca wakacji, żeby jej pomóc. Mamy jedynie kłopot z panem Stefanem... – Z trudem zdobył się na wyznanie.

Patrzyłam na jego minę, która nie wróżyła nic dobrego.

– Co z nim?

– Niestety, zachorował. Jest w moim szpitalu, w Gdańsku.

– Co się stało? Mógłbyś wreszcie wykrztusić? – Podniosłam głos.

– Miał wylew, Uleczko, po którym nie odzyskał przytomności. I raczej już nie odzyska.

Odwrociłam się do Edyty. Siedziała cicho jak trusia, przerażona, zakrywając dłonią usta.

Spojrzałam na Daniela.

– W środę zabrałem go do Gdańska na badania. Skarżył się na ból i zawroty głowy. Wylew dopadł go na łóżku, w trakcie pobierania krwi.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? – zawołałam, opanowana bezsilnością.

– A co to by zmieniło? Miałyście trzy dni do powrotu, wykupiony bilet. A ja byłem na miejscu. I pani Wiesia również.

– Jak mogłeś tak oszukiwać podczas powitania! – Rzucalam oskarżenie za oskarżeniem, nieszczęśliwa i przerażona nieuchronnym.

– Ula... I tak nie przyjechałybyście wcześniej. Jest niewielka nadzieja, że jeszcze go zobaczycie. Jedziemy prosto do szpitala.

Rozpłakałam się na dobre. Nawet nie próbowałam powstrzymywać łez. Dołączyła do mnie Edyta, łkając na tylnym siedzeniu.

– Pół roku po ślubie! To niesprawiedliwe! – powtarzała jak mantrę, wyciągając kolejne chusteczki.

Daniel zatrzymał się w najbliższej zatoczce przy drodze i sięgnął do saszetki.

– Weźcie po tabletkę. Dobrze wam zrobi. – Podał nam pigułki na uspokojenie. – Woda. – Wyciągnął z kieszeni w drzwiczkach dwie półlitrowe butelki mineralnej.

– Naprawdę nie ma żadnej nadziei?

Myślałam o Stefanie i siedzącej przy nim Wiesi. Przypomniałam sobie trudne chwile, kiedy odszedł Marek, a potem mama. Zrozumiałam, dlaczego Wiesia nie odbierała telefonów z Hiszpanii. Miała poważny problem, a ja głupia myślałam, że zapodziała gdzieś komórkę!

– Żadnej, Ulka. To tylko kwestia czasu. Przykro mi. Naprawdę chciałbym mieć lepsze wiadomości.

– Może powinnam zadzwonić? – Wpadłam na pomysł, by porozumieć się z panią Wiesią. – Przecież on może już nie żyć!

Ponownie zaniosłam się płaczem.

Daniel objął mnie i kołysał, głaszcząc jednocześnie po dłoni zszokowaną Edytę. Siedzieliśmy we trójkę w samochodzie na poboczu, zespoleni nieszczęściem, niezwracający uwagi na mknące samochody i padający deszcz.

– Jestem w kontakcie z Igą, która siedzi z Wiesią w szpitalu. W razie czego Wiesia nie będzie sama – wyszeptał Daniel.

Po chwili zebrał się w sobie i ruszyliśmy.

– Przed nami jeszcze sporo kilometrów – powiedział. – Trzymajcie się!

Wystartował z impetem.

Po niespełna dwóch godzinach znaleźliśmy się na autostradzie z Torunia do Gdańska. Przez całą drogę na pytania, czy chcemy się zatrzymać, odpowiadałyśmy odmownie. W pobliżu zjazdu na trójmiejską obwodnicę, kiedy zostało nam nieco ponad pół godziny drogi, odezwała się komórka Daniela.

– To Iga – poinformował nas i odebrał połączenie.

Z przerażeniem obserwowałam każdy nerw na jego twarzy, spodziewając się hiobowej wieści.

– Ma gorączkę? – pytał. – Ile? Będziemy za pół godziny.

Docisnęłam pedał gazu do dechy.

– Co jest? – dopytywałam, sięgając po kolejną chusteczkę.

– Źle. Ma ponad czterdzieści stopni, ciężko oddycha, pojawiły się drgawki. Postaram się zdążyć.

Resztę drogi przejechaliśmy w kompletnej ciszy. Daniel gnał jak szalony, wyprzedzając po kolei samochody. Zaparkowaliśmy z piskiem opon przed szpitalem, na miejscu dla karettek.

– Tutaj nie wolno – zaprotestował portier, ale na widok znajomego lekarza zaproponował pomoc.

– O, pan doktor! Może przestawię pana auto na parking?

– Idźcie za mną! – Zgarnął nas Daniel, rzucając portierowi kluczyki. – Jestem na neurologii – poinformował go i skierował nas w stronę windy.

Pozwoliłyśmy się prowadzić, nie zwracając uwagi, na które piętro zmierzamy. Komórka Daniela nie dzwoniła, a zatem istniała nadzieja, że Stefan wciąż żyje. Umarła w chwili, gdy dostrzegliśmy sylwetkę pani Wiesi i obejmującą ją zapłakaną Igę.

– Jezus, Maria, tak mi przykro pani Wiesiu... – Dobiegłam do siedzącej na krześle biedulki, patrzącej niewidzącymi oczami. – Nie zdążyłam... Gdzie on jest? – zapytałam, spoglądając na drzwi sali, w której miał na nas czekać.

– Zabrali go w prześcieradle! – Tym razem rozplakała się Iga. W naszej obecności wreszcie mogła pozwolić sobie na oddech. – Zabrali mojego dziadka! – załkała.

A więc w naszej nowej niewielkiej rodzinie przybędzie kolejny grób...

– Ulka, uspokój się! – usłyszałam Daniela. – Trzeba pomóc pani Wiesi – dodał szeptem.

Zdyscyplinował mnie i ustawił do pionu. Musiałam odegrać przypisaną mi rolę.

Usiadłam obok pani Wiesi i pozwoliłam jej wypłakać się, wygadać, zapewnić, że niczym nie musi się martwić. Że my z Danielem zajmiemy się wszystkim. Musiałam przekonać ją o konieczności powrotu do Krynicy.

Na chwilę pozostawiłam ją w objęciach Edyty i Igi i zadzwoniłam do Lidki, by poinformować ją o śmierci Stefana.

– Dzisiaj wracamy, Lidziu – zakończyłam, po złożeniu relacji z ostatnich godzin. – Dziękuję ci za wszystko. Od jutra na nowo zajmę się pensjonatem – dodałam. – Wracam do rzeczywistości.

– Bardzo mi przykro, Ulka. Nawet nie wiesz jak – odparła. – A pensjonatem się nie zajmuj. Jak się czujesz?

– Nigdy sobie nie wybaczę, że nie było mnie przy nim i przy pani Wiesi. Jestem kompletnie rozbita.

– To nie twoja wina. A Edyta?

– Sama nie wiem. Pogadamy później.

– Wracajcie bezpiecznie. A, zapomniałabym... – powiedziała, gdy miałam już zakończyć połączenie. –

Przyszedł list z wydawnictwa.

– I co? – zapytałam, ciekawa treści.

– Nie wiem. Nie otwierałam.

– To otwórz – poprosiłam.

Palił mnie wstyd, że w takich okolicznościach interesuje mnie wiadomość o książce.

– Może lepiej nie teraz? – Zwątpiła Lidka, ale byłam zdecydowana. – Okej. To otwieram.

Niemal słyszałam szelest koperty. I oddech przyjaciółki. – „Z przyjemnością informujemy panią, że zdecydowaliśmy się wydać pani książkę pod roboczym tytułem *To wszystko przez ciebie*. W kwestiach formalnych będziemy kontaktować się za pośrednictwem poczty mejlowej. Z poważaniem...”. Podpisał się redaktor prowadzący!

– Wszystko w porządku? – Zza mojego ramienia wychynęła twarz Daniela.

– Tak, tak – odparłam szybko, nieprzygotowana na przekazanie mu radosnej wiadomości.

Nie mogła przecież przyćmić tej najważniejszej tego dnia. Że Stefana nie ma już wśród nas.

Edyta

Śmierć pana Stefana stłumiła wszystkie uczucia targające mną od pamiętnej wycieczki na Cabo de Palos. Stwierdzenie, że na widok pierścionka ze szmaragdowym oczkiem i klęczącego przede mną Juana doznałam szoku, byłoby truizmem. Na pytanie, czy zostanę jego żoną, straciłam zdolność wyartykułowania jakiegokolwiek słowa. I to nie tylko z powodu kłopotów ze strunami głosowymi. Gorączkowo szukałam najdelikatniejszego sposobu odmowy.

Wszystko działo się zbyt szybko, zbyt gwałtownie! Nawet jeżeli Juan w ostatnim czasie stał mi się bliski, to jednak nie na tyle, by podejmować nagłą decyzję na całe życie. Decyzję, do której nie dojrzałam i w ogóle nie byłam pewna, czy w najbliższym czasie zechcę związać się z kimkolwiek na stałe. Kiedy już udało mi się opanować stres, poprosiłam Juana, aby wstał z klęczek i usiadł obok. Przemogłam niemoc i zaczęłam mówić. Słowa popłynęły bez udziału świadomości.

– Juan, naprawdę czuję się zaszczyconą, a pierścionek jest piękny, ale ja jeszcze nie myślę o małżeństwie... Posłuchaj! – Nie pozwoliłam mu dojść do słowa, bo próbował mi przerwać. – Jesteś ode mnie kilka lat starszy, dojrzałszy, a ja niczego jeszcze w życiu nie osiągnęłam. Chciałabym, na przykład, skończyć studia. Nie mogę się teraz wiązać.

Poczułam się niezręcznie, karmiąc go argumentami, w które sama nie wierzyłam do końca, chociaż były racjonalne i rozsądne. I nagle uświadomiłam sobie, że podstawowy powód odmowy jest całkiem inny. Nie byłam do końca pewna swoich uczuć.

– Nie musisz teraz podejmować decyzji, *chica* – powiedział cicho. – Będę czekał.

To było najgorsze, co mogłam usłyszeć. Może gdyby się zdenerwował, odebrał pierścionek i powiedział, że nie ma sprawy, poczułabym się lepiej. Ale nie. Mój narowisty Hiszpan całkiem spokojnie roztoczył przede mną wizję wspólnego życia w Alicante. Nęcił perspektywą prowadzenia pensjonatu, podróży po świecie, a nawet, jeżeli zechcę, studiowania w Hiszpanii.

– Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie, Edyta – zakończył. – Jeżeli przeszkadza ci Miguel, też nie ma problemu. Ma swoje mieszkanie i chętnie przekaże nam biznes.

– Wybacz, ale na razie nie mogę przyjąć pierścionka. – Z żalem rozstałam się z przepięknym cackiem.

Tyle że Juan nie chciał zwrotu.

– Weź go do Polski. Dajmy sobie czas – odparł. – Zgodzisz się?

Spojrzał mi w oczy i nie czekając na przyzwolenie, pocałował w usta.

A ja poddałam się chwili. Odwzajemniłam pocałunek, przez moment zastanawiając się, czy dobrze zrobiłam, odrzucając oświadczenia.

Gdyby chodziło wyłącznie o Juana, miałabym mniej wątpliwości, ale wizja zagrzebania się w Alicante na całe życie przerażała. Nawet u boku kochanego faceta, przepięknej pogody i tego wspaniałego nastroju niekończącej się fiesty. Mimo śniadań przy espresso, kolacji nad talerzem paelli, ciepłej wody w morzu, odkrywania nieznanymi miejsc, flamenco, kosmyka włosów Juana, który co chwila zagarniał za ucho, jego spojrzeń, gry na gitarze, szybkiej jazdy na motorze. A co z mamą? Co z panią Wiesią i panem Stefanem, ciotką Lidką i Igą? Co ze starym życiem?

Do odlotu oboje zachowywaliśmy się tak, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Trochę ze względu na

obecność mamy i Miguela, trochę wskutek przyjętej konwencji odroczenia decyzji.

Juan nie ponaglał. Zamknął się w sobie. Ja natomiast z nadmierną gorliwością zajęłam się pensjonatem, do końca gotowa z zaangażowaniem wykonywać obowiązki.

Wieczorem przed odlotem zjedliśmy ostatnią wspólną kolację. Rankiem zostałam odwieziona na lotnisko.

– Edita, pamiętaj, że czekam – pożegnał mnie Juan. – Napiszesz do mnie?

– Napiszę – szepnęłam, przytulając się do niego.

– Nie zapomnij.

– Nie zapomnę – obiecałam.

Wbrew sobie czułam, że już zaczynam tęsknić.

Pudełeczko z pierścionkiem nie dawało o sobie zapomnieć przez całą drogę do Polski. Nie miałam siły rozmawiać z mamą, która zagadywała, by ukoić mój żal po opuszczeniu Hiszpanii. Tak myślała. Że cierpię, wracając do kraju.

Odcięłam się i zamknęłam w świecie myśli krążących wokół tego, co się zdarzyło na Cabo de Palos.

Do chwili, kiedy Daniel poinformował nas o panu Stefanie. Od tego momentu czas zaczął płynąć w zastraszającym tempie. Jazda do Gdańska, widok płaczących pani Wiesi i Igi na szpitalnym korytarzu, formalności związane z pogrzebem. I wreszcie ten słoneczny dzień, w którym nasz ogrodnik miał być pochowany na krynickim cmentarzu.

Przeglądając zawartość szafy w poszukiwaniu czarnej sukienki i stosownych na tę okazję butów, które gdzieś się zawieruszyły, natknęłam się na czerwoną kieckę do flamenco. Przysiadłam na łóżku, pogłaskałam falbany i przypomniałam sobie Sewillę, gdzie tańczyłam do białego rana...

– Jesteś gotowa? – Dochodzący od drzwi głos mamy przywrócił mnie do rzeczywistości.

Gwałtownie przykryłam sukienkę kocem.

– Zaraz schodzę – odparłam. – Ubieram się.

Jakkolwiek to brzmi, Daniel zadbał, żeby pogrzeb był piękny. Zapłacił za długą mszę, zamówił oprawę muzyczną, kupił okazałe wieńce od nas wszystkich. W kościele zajęliśmy z mamą, Igą i Danielem miejsca w pierwszym rzędzie, tuż obok pani Wiesi.

Ceremonia przebiegała spokojnie. Staralam się opanować łzy, kiedy ksiądz wspominał pana Stefana, spoglądałam na naszą Wiesię pogrążoną w modlitwie. Ale kiedy organista zagrał *Ave Maria*, po prostu się rozplakałam. Łzy płynęły, gdy szłam za trumną wyprowadzaną z kościoła. Przykrość, której doznałam w chwili składania ciała pana Stefana do grobu, była wprost niewyobrazalna. Nie rozglądałam się, skoncentrowana na utrzymaniu w ryzach hysterii.

– Bardzo mi przykro, Edytko – dobiegł mnie szept Miłosza, który wyrósł obok mnie z nienacka.

Widzieliśmy się po raz pierwszy od mojego przyjazdu z Hiszpanii.

– Dobrze, że przyjechałeś. Nie dzwoniłam, bo... – Nie dokończyłam.

Gorączkowo próbowałam znaleźć sensowną wymówkę, ale on mnie wyręczył.

– Rozumiem, mieliście ciężkie dni. Wyglądasz pięknie, Edytko. Stęskniłem się za tobą.

– Bardzo mi przykro.

Przerwał nam sąsiad Waliński, który podszedł z kondolencjami.

Po nim ustawiła się cała kolejka ludzi, którzy składali uszanowanie nie tylko pani Wiesi, ale również mamie i mnie.

Tłumek zaczął się przersedzać, aż przy grobie pozostała tylko garstka najbliższych.

– Zapraszam wszystkich do pensjonatu na poczęstunek – powiedziała mama, na której ramieniu wspierała się pani Wiesia. – Ciebie też – dodała, dostrzegłszy, że Miłosz żegna się ze mną i usuwa w stronę parkingu, na którym pozostawił samochód.

– Mogę? – zapytał, spoglądając na mnie.

– Oczywiście. Chodź.

Podaliśmy kilka zimnych zakąsek, które udało się przygotować bez udziału pani Wiesi. A w ramach ciepłego posiłku na stół trafiła paella à la Juan.

– Próbuje – zachęcałam z duszą na ramieniu. – Kultowe danie z Alicante.

Wprawdzie owoce Morza Śródziemnego zastąpił dorsz i konserwowe małże z „Biedronki”, ale i tak smakowało.

– Wyśmienite! – chwalił Miłosz. – Czego się jeszcze nauczyłaś w Hiszpanii? – wyszeptał mi do ucha.

– Daj spokój! Pogadamy przy innej okazji – wykręcałam się, jak mogłam.

Szmaragdowy pierścionek spoczywający na dnie szuflady parzył sumienie, przypominając o sobie w każdej chwili tej rozmowy.

– Kiedy? Może wpadniesz do Gdańska?

– Wpadnę. Umówimy się – odparłam i oddaliłam się do kuchni, by zaparzyć kolejny dzbanek herbaty.

Ulżyło mi, kiedy po deserze Miłosz wreszcie wyjechał i zostałam sama.

Wyszłam do ogrodu, żeby ochłonać, tymczasem widok wyhodowanych przez pana Stefana róż, nasturcji i malw wprowadził mnie w przygnębienie.

– Mnie też go brakuje... – usłyszałam za sobą głos Igi. – Przepraszam, że pytam, ale... Z Miłoszem to już koniec?

Nie potrafiłam odpowiedzieć. A w każdym razie nie w tej chwili.

– Głupio zapytałam. Przepraszam.

– Nie, no skąd? – zaprzeczyłam. – Po prostu ostatnio sporo się wydarzyło – odparłam i zamilkłam.

– Jeżeli będziesz chciała kiedyś porozmawiać, to wiesz, gdzie mnie szukać.

– Dzięki, Iga.

Chwilowo nie miałam ochoty na rozmowę z kimkolwiek. No, może poza panią Wiesią, która potrzebowała wsparcia.

Edyta

Co ci jest, Edytko? – Mama od kilku dni nie dawała mi spokoju, próbując poznać powód mojego złego nastroju.

– O co ci chodzi? – denerwowałam się. – Za mało pomagam w pensjonacie?

Wkurzały mnie te jej zaniepokojone spojrzenia i wtrącanie się do nie swoich spraw. Moja mama w Hiszpanii kompletnie nie przypominała tej, w którą wcieliła się w Krynicy. Jej metamorfoza w kwokę była nieznośna.

– Przecież widzę, Edytko, że źle się czujesz. Mogę ci jakoś pomóc?

– Jutro wyjeżdżam do Gdańska – zakomunikowałam, podjąwszy decyzję, na którą nie potrafiłam się zdobyć od powrotu. – Do Miłosza. Wrócę pojutrze. Dacie sobie radę?

Ucieszyła się.

– Jedź, córuś. I dziękuję, że zajęłaś się panią Wiesią – odparła z ulgą. – A co tam słychać u Miłosza?

– Chyba wszystko w porządku. Kiedy wyjdzie twoja książka? – Odbiłam piłeczkę na jej podwórko.

Udała, że bierze moje zainteresowanie za dobrą monetę.

– Nie tak prędko. Najpierw trafi do redakcji, potem muszę podpisać umowę, w której wydawnictwo ustali termin premiery. Pewnie nie w tym roku.

Wiedziałam, że powinnam więcej uwagi poświęcić sukcesowi mamy, bardziej się nad nim pochylić, ale atmosfera po śmierci pana Stefana nie sprzyjała radosnym uniesieniom. O maminym osiągnięciu przypominał jedynie stojący dumnie w kryształowym wazonie bukiet czerwonych róż od Daniela, który trafił do salonu dzień po pogrzebie.

– Edyta, przecież widzę, że od jakiegoś czasu jesteś nieswoja. – Mama nie przestawała drążyć. – Masz kłopoty?

– Tak. Nie mogę znaleźć spokoju we własnym domu.

Podniosłam się z fotela i skierowałam do „trójki”, gdzie na wymianę czekała pościel.

Zdecydowanie bardziej wolałam własną matkę w wydaniu hiszpańskim.

Kiedy nareszcie wylądowałam u siebie, zajrzałam do skrzynki pocztowej i zapowiedziałam się Miłoszowi.

„Będę jutro w Gdańsku. Masz czas?”

„Oczywiście. Powiedz kiedy i gdzie. Proponuję u mnie w Oliwie. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczysz mieszkanie. Czekam, Miłosz”

Wyjechałam z Krynicy o dziewiątej rano, bo w planach miałam jeszcze odwiedziny u Majki. Zaanonsowałam się na jedenastą.

„Przygotuj wszystkie newsy o Miłoszu”, zaesemesowałam. „Sama wiesz, czy się dobrze prowadził w czasie mojej nieobecności itd. Mam prezent, z którego się ucieszysz. E.”

W mojej torbie leżał i czekał na nową właścicielkę koronkowy wachlarz z Sewilli.

Podjechałam pod dom przyjaciółki i spojrzałam w jej okno. Naprawdę cieszyłam się na to spotkanie.

Sięgnęłam po komórkę, ale numer Majki nie odpowiadał. Zrezygnowałam po kilku próbach połączenia, tym razem zawiedziona komunikatem, że „numer jest chwilowo niedostępny, prosimy zadzwonić

później”.

Widocznie nie odebrała mojego wczorajszego esemesa.

„Naprawdę szkoda, że cię nie zastałam. Żałuj, bo w związku z tym prezent dostaniesz później. Do zobaczenia. E.”, wysłałam wiadomość i skierowałam auto do Oliwy.

Czerwcowe przedpołudnie jaśniało od słońca zapowiadającego ciepły i pogodny dzień.

Pokręciłam się po osiedlu Majki docierając do Alei Grunwaldzkiej, by wpleść się w sznur samochodów jadących w kierunku Osiedla Żabianka.

– Będę za chwilę – połączyłam się z Miłoszem. – Jestem na Pomorskiej. Gdzie mam skręcić? W Gospody, a potem w Gdyńską? Okej.

Podążałam za jego wskazówkami, klucząc po osiedlu, lecz w końcu wjechałam na placyk między kilkoma blokami i rozejrzałam się za miejscem do zaparkowania. Wpasowałam się pomiędzy jakieś dwa auta i otworzyłam drzwiczki.

Miłosza zobaczyłam niemal natychmiast.

– Nareszcie jesteś! Czekałem i się doczekałem! – Ucieszył się i porwał mnie w objęcia. – Widzisz te dwa otwarte okna na drugim piętrze? – Wskazał w kierunku jednego z bloków. – To właśnie moje mieszkanie. Wprawdzie na razie wynajęte, ale w przyszłości... – rozmarzył się.

Był radosny, rozgadany. Nie poznawałam go.

Wziął moją torbę i poprowadził mnie do klatki schodowej. Otworzył przede mną drzwi do mieszkania jak do muzeum.

– Tu jest łazienka. – Zaprezentował pomieszczenie po lewej stronie przedpokoju. – A tu salon z aneksem jadalnym. – Z dumą wprowadził mnie do pokoju z widokiem na morze. – Niewiele widać Bałtyk, ale zawsze – podsumował, pokazując kuchnię. – Podoba ci się?

– Bardzo ładna – pochwaliłam białe meble i mahoniowe blaty.

Wyspa pośrodku, okap ze stali nierdzewnej i dodatki w podobnym stylu nie mogły się nie podobać. Brakowało jedynie zasłonek, które w męskim wnętrzu zapewne nie były potrzebne.

– Pokażę ci jeszcze sypialnię! – ciągnął zaaferowany Miłosz. – Odpowiada ci? – zapytał, najwyraźniej oczekując peanów.

Poczułam się niezręcznie.

– Nie rozumiem... Jest bardzo gustowna. Ale dlaczego miałaby odpowiadać właśnie mnie? – zapytałam zdezorientowana.

– Ponieważ urządziłem ją dla ciebie, Edytko. A właściwie dla nas – dodał nieco ciszej i zamknął mnie w ramionach.

Miałam ochotę zapytać, czy naprawdę urządził tę sypialnię sam, czy może pomagała mu Majka.

– Mam nadzieję, że nie ma przeszkód, żebyś się do mnie niebawem sprowadziła?

– Muszę trochę ochłonać. – Wymigałam się od odpowiedzi. – Masz wodę? Chciałabym się napić.

Na stole wylądowała nie tylko woda, ale i półmisek z zapiekanką, która dochodziła w piekarniku (nie wiadomo od jakiego czasu, pomyślałam złośliwie). Żeby nie wspomnieć o talerzu z koreczkami i butelce wina.

– Nie mogę pić alkoholu – odmówiłam, choć Miłosz nalał już wino do kieliszków. – Dziś wracam do Krynicy.

– To po co wzięłaś walizkę? – roześmiał się. – Może jednak zostaniesz do jutra? – zapytał z krzywym uśmiechem. – Opowiedz mi o Hiszpanii.

Podał mi kieliszek i zajął się nakładaniem na talerze zapiekanki ze szpinakiem, która okazała się bardzo dobra.

No cóż... Rozparta na miękkiej kanapie, rozgrzana winem, zaczęłam opowieść. O Alicante, Sewilli,

o pensjonacie i jego gościach, o morzu i ciepłej wodzie, o mamie, paelli, palmach i kaktusach.

I ani słowa o Juanie.

– Dobrze, że wróciłaś, Edytka. – Miłosz patrzył na mnie rozanielonym wzrokiem. – Tak długo na ciebie czekałem...

Całkiem przytomnie skojarzył, że moja spakowana walizka to dowód, że byłam gotowa spędzić u niego przynajmniej jedną noc. Tym bardziej że robiło się coraz przyjemniej, a do Krynicy jakoś mi się nie śpieszyło.

– Powiedz lepiej, co u ciebie? Już po sesji? – zapytałam.

– Owszem. I mam spokój z uczelnią do końca września. Będę trochę pracował, ale cały wolny czas rezerwuję dla ciebie – planował, dolewając nam wina.

Sama nie wiem, kiedy na paplaninie o wszystkim i o niczym upłynęło nam dobrych kilka godzin. Kiedy skończyła się zapiekanka, zrobiliśmy sobie jajecznicę, a gdy ze stołu zniknęły koreczki, zamówiliśmy pizzę i kolejną butelkę wina.

Miałam wyrzuty sumienia wobec Juana, podobnie jak w Hiszpanii odczuwałam je wobec Miłosza.

Gdy po raz kolejny płyta z piosenkami Iglesiasa wystartowała od nowa, a Miłosz zaproponował wypróbowanie wygod nowej sypialni, ja poprosiłam o herbatę.

– Teraz? Może jednak później... – wyszeptał, odgarniając moje włosy i całując w szyję.

Byliśmy na prostej drodze do łóżka, gdy rozległ się dzwonek u drzwi.

– Kto to, do licha? – zdenerwował się Miłosz i przyłożył mi dłoń do ust. – Nie otwieramy! – zdecydował. – To pewnie nikt ważny.

Dzwonek nie przestawał dzwonić.

– Może jednak otwórzmy? – zaproponowałam, przeczesując włosy.

– Zaczekaj, załatwię to szybko. – Miłosz podszedł do drzwi. Po chwili usłyszałam jego zdziwiony głos.

– To ty, Majka?

Już miałam zerwać się z fotela i przywitać przyjaciółkę, gdy usłyszałam coś, co pozbawiło mnie możliwości ruchu.

– Byłam u lekarza. Będziemy mieli dziecko. Jestem w ciąży.

Urszula

Zaparzę herbaty. Proszę, niech pani usiądzie.

Niemal siłą ulokowałam Wiesię w fotelu. Nie mogłam znieść jej ciągłej krzątaniny po pogrzebie.

Serce mi krwawiło i byłam wściekła na los, który odebrał naszej starej gosposi szczęście, zanim zdążyła się nim nacieszyć. Nie płakała, a jedynie od czasu do czasu ocierała łzę fartuchem i wyszukiwała sobie coraz to nowe zajęcia. Nie mogłam patrzeć na jej nieszczęście. Nie mogłam myśleć o własnym szczęściu, którego dostarczył mi list z redakcji.

– Herbata gotowa.

Wróciłam do pokoju z dwiema filiżankami, niepewna, czy zastanę panią Wiesię w fotelu.

Siedziała i czekała, zapatrzona w okno.

– Dzisiaj przyszedł list od Miguela, ojca Juana... – zaczęłam, mając zamiar zająć ją wspomnieniami o Hiszpanii. – To ten mężczyzna, od którego dostałam ozdobny talerz.

– Wiem, Ulka. I co on pisze? – zapytała Wiesia bez zainteresowania.

– Nic takiego – skłamałam, nie mając zamiaru opowiadać ani o miłych słowach, które skierował pod moim adresem, ani o aktualnym zaproszeniu do Alicante. – Lepiej obejrzyjmy zdjęcia! Zrobimy pokaz!

Podłączyłam aparat do telewizora.

Pomysł okazał się przedni. Pozwolił pani Wiesi oderwać myśli od zmarłego męża na blisko godzinę.

Przeskakiwałam z fotografii na fotografię, wspominając związaną z każdą historię.

– Tu jesteśmy na wyspie Tabarka. Mówią o niej „kocia wyspa”, bo pełno na niej szarych kocurów o jedwabistej sierści. A to zdjęcie zrobiłam ze wzgórza nad Alicante. Prawda, że piękny widok na miasto i morze? Juana pani pamięta? – Na zdjęciu, z włosami ściągniętymi w kitkę i białym fartuchu, stawał patelnię z paellą na naszym stole w pensjonacie. – Ależ wtedy było wesoło! Odwiedzili nas Sergio z Adelina, dosiedli się goście z Brazylii. Bawiliśmy się do rana!

Wraz z kolejnymi zdjęciami ruszyła lawina wspomnień. Zapamiętałam się w opowieściach i straciłam panią Wiesię z oka. Dopiero kiedy zapytała, czy bardzo brakuje mi Miguela, powróciłam do rzeczywistości.

– Nie, dlaczego? – zaprzeczyłam i nagle zaczęłam się tłumaczyć. – Był wspaniałym gospodarzem, przewodnikiem. I tyle.

– Czy na pewno tylko tyle, Ulka? – Pani Wiesia spojrzała zatroskana. – Pamiętaj o Danielu...

Pewnie tak samo jak ja teraz czuła się Edyta, nieustannie podpytywana przeze mnie o Juana i Miłosza. Tak często, że postanowiła wreszcie uwolnić się ode mnie i wyjechać do Gdańska.

Muszę ją przeprosić za wścibstwo. I zrobię to, kiedy tylko skończymy rozmowę z panią Wiesią, powzięłam decyzję.

– Daniel jest wspaniały, a z Miguelem nic mnie nie łączy – odparłam. – Żeby jeszcze Daniel miał więcej czasu...

– Ach, wy młodzi! – podsumowała Wiesia. – Choć może to i lepiej, że chcecie korzystać z życia, zanim nie jest za późno – dodała i otarła oczy.

Przytuliłam ją, zgaszoną i przytłoczoną nieszczęściem.

– Wiesiu, nas zawsze będziesz miała przy sobie. Przecież wiesz, jak cię kochamy – deklarowałam, zastanawiając się jednocześnie, czy nie robię tego zbyt pochopnie.

– Na mnie się nie oglądaj, Uleczko – odparła. – Rób, co musisz. Kiedy ci wydadzą tę książkę? – zapytała.

Zadziwiła mnie jej orientacja w temacie.

– Upłynie jeszcze sporo czasu. Pół roku, może rok. Jeśli nie więcej.

– Dasz mi ją do przeczytania?

– Z największą przyjemnością, pani Wiesiu. I z dedykacją.

– Pisz, dziecko. Przecież zawsze o tym marzyłaś. – Spojrzała poważnie. – A jeżeli będziesz chciała sprzedać pensjonat, to nie martw się o mnie – dodała.

Wprawiła mnie w niemałe zakłopotanie.

– Na razie nie zamierzam niczego zmieniać – odparłam, zastanawiając się, kto dostarczył pani Wiesi informacji o moich potencjalnych planach, nawiasem mówiąc, mało konkretnych.

– W każdym razie chcę, żebyś wiedziała, że cokolwiek postanowisz, będzie dobrze. Jesteś młoda, powinnaś korzystać z życia, zanim przecieknie ci między palcami. Teraz już pójdę się położyć, Uleczko. A ty nie przegap swojej szansy.

Nie wiem, co miała na myśli. Książkę, Daniela, Miguela? Ale przez kilka kolejnych dni nie miałam czasu się nad tym zastanawiać. Goście walili drzwiami i oknami. Lidka zarządzała ruchem, ja wcielałam się w rolę sprzątaczkę, podkuchennej, zaopatrzeniowca, w przerwach korespondując z wydawnictwem. Książka miała zostać wydana przed świętami Bożego Narodzenia.

Edyta wróciła z Gdańska w paskudnym humorze. Jakiegokolwiek próby rozmowy z nią spełzały na niczym. Zadeklarowała, oczywiście, pomoc w pensjonacie, zatrudniła się jako ratowniczką na plaży. Miała zamiar pozostać w Krynicy do końca wakacji, a potem podjąć zaoczne studia na rehabilitacji w Warszawie. Od czasu do czasu umawiała się z Igą.

Miłosz przestał się pojawiać. Domyśliłam się rozstania.

Mijał dzień za dniem. Hiszpania odchodziła w niepamięć, chociaż próbowałam ją reanimować codziennymi lekcjami języka. Zdjęcia odłożyłam na przysłowiową półkę i nawet zaczęłam się zastanawiać nad powrotem do biblioteki. Daniel obiecał wpadać częściej, co sprowadzało się do weekendowych spotkań. Jeśli nie miał dyżuru.

Wszystko wróciło do normy. Wiesia powoli otrząsnęła się po śmierci męża, Lidka była coraz bardziej podniecona zbliżającym się przyjazdem Witka z rodziną, Edyta całymi dniami przesiadywała na plaży, ja zaczęłam pisać nową książkę, której akcja częściowo rozgrywała się w Hiszpanii. Dotyczyła losów dwóch kobiet z niewielkiego nadmorskiego miasteczka, które nagle znalazły się na wybrzeżu Costa Blanca, gdzie odmieniło się ich życie.

– Lidka, czy ty uważasz, że powinnam pojechać do Miguela pod koniec wakacji? – Zasięgnęłam opinii przyjaciółki, ślęcząc nad lekcją hiszpańskiego zatytułowaną *Podróże*.

– Czemu nie? Zyski z pensjonatu będą całkiem niezłe. Jedź.

– W takim razie wezmę chyba pod uwagę koniec sierpnia, bo od września czeka mnie szkoła.

– My damy radę bez ciebie. – Kiwnęła głową, ale nie spuszczała ze mnie wzroku. Jakby miała zamiar o coś zapytać.

– O co chodzi? – Pomogłam.

– Ula, co się z tobą dzieje? – wybuchła. – Pokłóciliście się z Danielem, czy co? I nie mów mi tylko, że wszystko jest w porządku, bo widzę, że nie jest!

Nie chciałam się wywnętrzać, ale dałam się sprowokować.

– Daniel poprosił mnie o rozmowę. Jesteśmy umówieni jutro w Gdańsku – oznajmiłam.

– Powiedział coś więcej?

– Tylko że chciałby porozmawiać.

Lidka zmieniła się na twarzy i, co do niej niepodobne, przytuliła mnie.

Domyśliłam się jej myśli. Dotarł do niej ciągły brak czasu Daniela i problem Igi, która doszła na szczęście do siebie po przeżyciach związanych z ciążą i zdała maturę. Nawet dostała się na medycynę.

I zamieszkała u ojca.

– Pojechać z tobą? – zapytała.

– Dziękuję, Lidka. Chcę jeszcze załatwić to i owo. – Nie wdawałam się w szczegóły.

– Będę na ciebie czekała w Krynicy – zadeklarowała. – Adres znasz. I pamiętaj, że jakkolwiek będzie, będzie dobrze.

Edyta

Uciekać stąd! Zwiewać jak najdalej!

Była to pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy, kiedy ocknąłam się po rewelacjach Majki.

Mimo to nie pozwalała mi ruszyć się z fotela nagła niemoc. Tkwiłam w nim, katując się dochodzącą z przedpokoju konwersacją.

– Jest u mnie Edyta. Możesz trochę ciszej? – Miłosz próbował studzić emocje.

– Myślałam, że się ucieszysz...

– Pogadamy później, dobrze? – uciszał Majkę.

– Później? – podniosła głos. – A może jednak i mnie zaprosiłbyś do pokoju? Tutaj będziemy rozmawiać?

Przerwałam tę żenującą scenę. Wyszłam z sypialni i sięgnęłam po kurtkę.

– No właśnie. Nie zaprosisz matki swojego dziecka dalej? – zwróciłam się do Miłosza, próbując opanować szok, jaki wywołała nieoczekiwana wiadomość. – Na mnie już czas – zakończyłam.

W chwili gdy chwyciłam za klamkę, Miłosz przytrzymał drzwi.

– Nie odchódź! To jakieś nieporozumienie!

Moja do niedawna najbliższa przyjaciółka usunęła się, robiąc mi miejsce. Mimo woli doceniłam symbolikę tego gestu, oznaczającego zmianę warty u męskiego boku. Może i nie stanowiliśmy pary idealnej, ale wybryk obojga nie mieścił mi się w głowie.

Zamienił mnie na tę szarą mysz?

Pierwszy szok minął, pojawiła się złość.

– W takim razie musicie je sobie wyjaśnić beze mnie.

Odsunęłam Miłosza i przekroczyłam próg. Marzyłam tylko o tym, żeby jak najszybciej znaleźć się na korytarzu.

Miłosz wybiegł za mną, próbując ratować to, co było nie do uratowania. Nie przemawiały do mnie żadne argumenty. Zbiegałam po schodach z walizką, której nie chciałam mu oddać.

– To się zdarzyło tylko raz, Edytko! Mówię prawdę! – zaklinał się.

Dziarsko pomaszerowałam do samochodu.

– Ja jej nie kocham! Nic nas nie łączy! Stało się. A Majka ma bujną wyobraźnię. Z tą ciążą na pewno ściemnia. Wszystko wyjaśnię!

– Zostaw mnie w spokoju! – wrzasnęłam, otwierając drzwiczki. – I przestań mnie karmić głodnymi kawałkami! Nie dzwoń, nie kontaktuj się. Twój numer w mojej komórce już nie istnieje.

– Nie możesz jechać! Wypiliśmy za dużo wina. – Miłosz chwycił się ostatniej deski ratunku. – Zaczekaj u mnie do rana...

– Wracaj do Majki – uciełam i tak zbyt długą konwersację.

– Edytko, wybac, proszę! Nie odpuszczę tak łatwo...

Zatrzasnęłam mu drzwiczki przed nosem i odczekałam, aż przestał walić w szybę. Kiedy zrezygnowany oddalił się w kierunku domu, odetchnęłam.

Gorączkowo zastanawiałam się co dalej.

Miał, niestety, rację, że nie nadaje się do prowadzenia auta. Na dodatek moja jedyna koleżanka w Gdańsku, do której mogłabym zwrócić się o pomoc, była u niego w mieszkaniu i informowała, że Miłosz zostanie ojcem. Nie pozostawało mi nic innego, jak wykonać telefon do przyjaciela.

– Daniel? Mam problem.

Chcąc nie chcąc, wprowadziłam go w sytuację. Miałam szczęście. Był w domu. Dyżur rozpoczął dopiero za kilka godzin.

– Gdzie jesteś? – zapytał. – Zamówię taksówkę i będę za dwadzieścia minut.

– Prześpisz się w pokoju Igi. – Wskazał mi później niewielkie, przylegające do kuchni pomieszczenie z oknem na podwórko. – Chcesz porozmawiać? Czegoś się napić, coś zjeść? Połknąć tabletkę uspokajającą?

– Niczego mi nie trzeba. Położę się – odparłam.

Dopiero teraz pozwoliłam sobie na łzy.

– Chodź tutaj. Niech cię przytulę, dziecko. – Daniel wziął mnie w ramiona i ukołysał jak małą dziewczynkę.

– Nie mów o niczym mamie, proszę. Sama jej powiem, kiedy przyjdzie czas – powiedziałam, gdy już nieco opadły emocje.

– Słowo. Możesz tutaj zostać tak długo, jak zechcesz – zaproponował. – Iga jest teraz w Krynicy.

– Dziękuję, ale jutro wyjadę. Chcę z nią pogadać.

– Nawet nie wiesz, Edytko, jak jestem wdzięczny losowi, że mi zesłał Ulkę i ciebie. Możesz poprosić mnie, o co tylko zechcesz. Mam Miłoszowi spuścić manto? – zażartował Daniel z groźną miną.

Roześmiałam się przez łzy.

– Wystarczy, że nie wygadasz się przed mamą – przypomniałam. – Muszę mieć nastrój, żeby przewałkować z nią tę kwestię.

– Słowo harcerza! – Podniósł dwa złączone palce.

– Byłeś harcerzem?

– Przyznaję się bez bicia, że nie – odparł, spuszczać ze skrucłą oczy.

– No właśnie...

Daniel spoważniał zniechęca.

– Czy moglibyśmy porozmawiać jeszcze przez chwilę? – zapytał z nadzieją.

– Jeśli o Miłoszu, to nie za bardzo.

– Nie, nie. Chodzi o coś zupełnie innego.

– Jasne. Mów.

Plany, które przede mną roztoczył, po raz drugi tego dnia zbiły mnie z nóg. Zapowiadały się uroczo, ale czy miały szansę się urzeczywistnić?

– Muszę się z tym przespać, Danielu – odparłam, wysłuchawszy jego propozycji. – Ale brzmi nieźle.

– Liczę na ciebie, Edytko. Jesteś mi bardzo bliska.

Mimo rewelacji mijającego dnia, wieczorem zasnęłam jak na przysłowiowym kamieniu, odsypiając przeżycia do dziesiątej.

Poranek przywitał mnie słońcem. W łazience czekał na mnie czysty ręcznik, w kuchni chrupiące bułeczki i dżem produkcji pani Wiesi oraz instrukcja, gdzie znaleźć jajka na jajecznicę ze szczypiorkiem (szczypiorek miałam wziąć z lodówki, z plastikowego pojemnika) i jak mam zaparzyć sobie podwójne espresso. A gdybym chciała zagrzać parówki, frankfurterki lub przyrządzić sałatkę z pomidorów i cebuli, wystarczy zajrzeć do drugiej przegródki w lodówce.

Krzętałam się po mieszkaniu Daniela, napawając się zapachem kawy z ekspresu, smarując bułki masłem, grzejąc kiełbaski i krojąc pomidory.

Komórka sygnalizowała kilkanaście nieodebranych połączeń i kilka esemesów.

Wbrew pogrożkom, nie skasowałam numeru Miłosa. Nie mogłam oprzeć się, by nie przeczytać wiadomości.

Wszystkie były w tym samym tonie. Że przespał się z Majką raz jeden w życiu, że jej nie kocha i że „wyjaśni to nieporozumienie”, ponieważ nie wyobraża sobie życia beze mnie.

Nie wziął pod uwagę zasadniczej kwestii. Że ja mogę sobie wyobrazić życie bez niego.

Wracałam do Krynicy, zostawiwszy Danielowi dziękczynną wiadomość na kartce. Pozostawiłam ją na stoliku obok telewizora.

„Dziękuję ci za wszystko! Dam ci znać, co myślę o twojej propozycji. Czuję się dobrze i jadę do domu. Pomogę w pensjonacie i zatrudnię się jako ratowniczką. Tak postanowiłam. A od października rozpocznę studia zaoczne w Warszawie. PS Jesteś fajnym facetem. Jeszcze raz dziękuję za ewakuację z Żabianki. I za świeże bułeczki. E.”.

Nastawiłam się z góry na pytania mamy i zawnoczu przygotowałam stosowne odpowiedzi, a właściwie sposoby, żeby się od nich wykręcić. W pensjonacie chowałam się po kątach i po jakimś czasie mama zrozumiała, że powinna zostawić mnie w spokoju.

Dzień zaczął gonić kolejny. Esemesy od Miłosa kasowałam, aż nadszedł czas, że wyrzuciłam z komórki również numer do niego.

Pewnego dnia zjawił się na plaży.

– Edyta, ja naprawdę cię kocham! – zapewnił mnie, przysiadając obok. Obserwował wraz ze mną fragment terenu, za który odpowiadałam. – Może kiedyś mi wybaczysz i zaczniemy od nowa?

– A co z Majką? Jest z tobą w ciąży – przypomniałam, powracając do meritum.

Przyznał cicho, że to prawda.

– Będę płacił alimenty. Edyta, ja nie zamierzam z nią być! Nie chcę! Nawet nie wiesz, jak żałuję tego, co się stało. Dasz mi szansę? – błagał, abym go nie opuszczała.

Wstałam i zagwizdałam na gościa, który przekroczył linię, za którą nie wolno było wypływać.

– Zawracaj! – krzyknęłam, gotowa skoczyć w morze. – Że też zawsze musi znaleźć się jakiś szaleniec, któremu za mało wody! – prychnęłam.

Na posterunek wróciłam dopiero, gdy śmiałek skierował się w stronę plaży.

– To jak będzie? – Próbował Miłosz.

– Nijak. Wracaj do Majki, mam inne plany – odparłam.

Pożegnałam go chłodno.

I właśnie wtedy wykasowałam jego numer.

Patrzyłam, jak odchodzi, nie trwało to jednak długo. Odwróciłam oczy w kierunku morza, gdzie kąpało się mrowie zdanych na moją opiekę ludzi.

– Iga, nawet nie wiesz, jak mi ciężko! – pożaliłam się młodej, kiedy wieczorem przysiadłyśmy na ławce pomiędzy rabatami.

Kończył się lipiec. Zaatakowane przez mszyce nasturcje oszalały kolorami, choć wymagały oprysku.

– Wiesz, co z tym zrobić? – Zmieniłam temat, wskazując na ciemne skupiska szkodników pod liśćmi.

– Trzeba by zapytać dziadka Stefana... – odparła i otarła łzę. – Ale tak naprawdę to wiem. W składziku stoi aerozol przeciwko mszycom. Idziemy?

– Już dobrze! – odetchnęłam po przeprowadzeniu zabiegu pielęgnacyjnego.

Przez chwilę siedziałyśmy w ciszy, przyglądając się podleczonej nasturcji i bezchmurnemu niebu, zwiastującemu kolejny upalny dzień.

– Ja wiem, Edytko, że po Miłoszu trudno ci się otrząsnąć – przerwała milczenie Iga. Zdecydowała się odpowiedzieć na zadane przeze mnie kilka minut temu pytanie. – Rozumiem to jak nikt inny. Ale sama mi

kiedyś mówiłaś, żebym nie płakała po Kubie. I miałaś rację.

– Bo? – zainteresowałam się.

– Bo poznałam kogoś. Kiedy składałam papiery na medycynę. Będziemy razem na roku. Ma na imię Szymon – wyrzuciła z siebie jednym tchem. – Tobie też się ułoży, zobaczysz...

Rozpłakałam się i uściskałam tę moją młodszą siostrzyczkę, sama nie wiedząc, czy wylewałam łzy nad jej szczęściem, czy nad własnym niefartem. Żeby chociaż Daniel dotrzymał słowa!

Powoli zaczynałam w to wątpić. Od naszej rozmowy minęło już kilka tygodni.

Otwieranie poczty mejlowej wywoływało u mnie ostatnio gęsią skórę, kiedy widziałam listy od Miłosza, którymi nie przestawał zasypywać mnie w ilości hurtowej.

Najwyższy czas zmienić adres!, westchnęłam i zajrzałam do pozostałej korespondencji.

Natknęłam się na wiadomość od Juana, pierwszą od długiego czasu.

„*Chica* Edita, co u ciebie? My zmagamy się z nawałem gości. Jest gorąco na dworze i w kuchni. Nie nadążam ze smaženiem paelli, nie rozstaję się z fartuchem. Nasze muzyczne kawałki lecą jeden za drugim. Tęsknię za tobą i czekam. Co robisz? Czy wciąż masz ochotę przyjechać do Hiszpanii? Do mnie? Co z twoimi studiami? Kiedy zaczynasz? Życie jest ciężkie bez ciebie, Edita. Moje słońce zgasło. Odpisz mi chociaż, proszę. Juan”.

Może jutro?, ziewnęłam i wskoczyłam do łóżka.

Żeby tylko Daniel dotrzymał słowa!, zdążyłam jeszcze pomyśleć i już spałam.

Urszula

Możemy porozmawiać, córciu? – zaproponowałam przy kolacji, którą wyjątkowo jadłyśmy same.

Iga wyjechała na kilka dni ze swoim nowym chłopakiem, pani Wiesia wymówiła się zmęczeniem i położyła wcześniej.

– Widzę się jutro w Gdańsku z Danielem. Przed wyjazdem chciałabym ustalić kilka spraw.

O dziwo, moja córka nie wykpiła się pod pierwszym lepszym pretekstem, a wręcz przeciwnie. Zaproponowała mi kolejny kubek herbaty i przysiadła, gotowa wysłuchać, co mam do powiedzenia.

– Daniel poprosił mnie o spotkanie – zaczęłam. – Zapewne wrócę jutro przed wieczorem, ale jeśli coś mi wypadnie ekstra, zatrzymam się u Jolki. Miałabym zatem prośbę, żebyś wtedy przyjęła gości. Byłabym zobowiązana. Lidka akurat nie może mi pomóc, bo jedzie do Nowego Dworu do lekarza. Przepadłby jej termin.

– Nie bardzo rozumiem, co oznacza to „coś ekstra”? – zdziwiłam się, kompletnie zignorowawszy informację dotyczącą ciotki.

– Nie wiem, Edytko. W głosie Daniela pobrzmiewała jakaś dziwna determinacja. Być może planuje się ze mną rozstać – wykrztusiłam z siebie szeptem.

– To niemożliwe! – Edyta podniosła głos.

– Zawsze przyjeżdżał rzadko, a ostatnio to już niemal wcale nie wychodzi ze szpitala! Przeczuję, że to koniec, córeczko. Zresztą próbuję to jakoś ogarnąć emocjonalnie od jakiegoś czasu. Niemal pogodziłam się z porażką.

– Nic nie wspomniałaś...

– A czy ty mówisz mi cokolwiek? – zapytałam z żalem, ale nie pociągnęłam tematu, żeby Edyta nie odniosła wrażenia, że domagam się zwierzeń.

Moja córka objęła mnie i zaczęła pocieszać.

– Przepraszam, mamuś. Nie mówiłam, bo może za bardzo naciskałaś... – zawiesiła głos. – Znasz mnie przecież. Cóż, rozstałam się z Miłoszem, bo zrobił dziecko Majce.

– Co takiego? Jak oni mogli?

Czułam się tak, jakbym dostała obuchem w głowę.

– Jak widać, mogli. Ale to już przeszłość. Nie martw się, ciebie to nie dotyczy. Daniel nie jest taki jak Miłosz – zapewniła mnie Edyta z przekonaniem.

– Skąd ta pewność?

– Po prostu wiem. I mu ufam.

Rozmawiałyśmy nie jak matka z córką, a jak kobieta z kobietą.

Powiedziałam Edycie, że od września wracam do biblioteki, że zaczęłam nową książkę, a pierwsza ukaże się przed Bożym Narodzeniem. No i że nawiązałam kontakt z wydawnictwem, które być może zatrudni mnie jako redaktorę.

– A pensjonat? – zapytała.

– Będę na miejscu i Lidka również. Zarządzanie sceduję na nią całkowicie, a później być może wejde z nią w spółkę. Mają oboje z Kazikiem trochę gotówki, chcą zainwestować. Dlaczego nie odstąpić im

połowy udziałów? To twoja działka, Edytko. Gdy zechcesz, kupisz sobie za te pieniądze jakieś niewielkie mieszkanie w Gdańsku. Ja zachowam dla siebie piętro. Oczywiście Wiesia zostanie ze mną.

Edyta nie wydawała się zachwycona taką wizją, ale powstrzymała się od komentarza.

– Zobacz się – skwitowała. – Nie mam jakichś konkretnych planów. Nie licząc zaocznych studiów w Warszawie.

– A Juan?

Pytałam z duszą na ramieniu, że oto ponownie narażam się na zarzut wścibstwa.

Edyta zamilkła na moment, a później pobiegła do swojego pokoju, skąd powróciła z niewielkim pudełeczkiem w dłoni. Wyjęła z niego przepiękny pierścionek, ze szmaragdem mieniącym się kolorami morza.

– Zaręczynowy. Juan mi się oświadczył – wyrzuciła z siebie.

– A co ty na to? – Spojrzałam zszokowana.

– Wyobrażasz mnie sobie spędzającą całe życie w Alicante, przy myciu stolików, robieniu zakupów dla tabunów gości, podawaniu, sprzątaniu i ładowaniu garów do zmywarki? Mami, przecież my z Juanem przed dwudziestą drugą nie mieliśmy dla siebie ani chwili czasu! No, jeśli nie liczyć tych nielicznych momentów, w których odbierałam od niego pełne talerze, by podać gościom dania na stół. A perspektywa, że na czas fiesty miałby mnie opuścić, żeby z ojcem i braćmi grać sewillanę? Nie! Juan naprawdę mnie kocha, jest wspaniały. Ja też coś do niego czuję, obawiam się jednak, że w Hiszpanii nie byłabym szczęśliwa.

– To dlaczego przyjęłaś pierścionek?

– Nie przyjęłam. To on chciał, żebym go zabrała, żeby czekał. Tęsknię za Hiszpanią, za nim, ale nie na takich zasadach. Muszę skończyć studia, które on już ma za sobą. Sama rozumiesz, że to niekoniecznie musi się udać.

Pomyślałam o białych schodach, niebieskich donicach z bugenwillą, *bocadillos* i *tostadas* w pobliskim barku na rogu, słońcu na plaży... Na moment przeniosłam się do Hiszpanii, z której moja córka właśnie zrezygnowała. I miała swoje racje, choć ja na jej miejscu być może postąpiłabym inaczej.

Opadły mnie wątpliwości.

– Widocznie nie czujesz do Juana tego, co on czuje do ciebie.

– Bardzo mi go brakuje – odparła. – Ale, jak widać, nie potrafimy odnaleźć się w pół drogi. A po Miłoszu szybko się otrząsnęłam – dodała. – I tyle. – Wstała od stołu i zebrała talerze po kolacji. – Kładź się, jutro jedziesz do Gdańska – zarządziła. – Tylko ładnie się ubierz! – Puściła do mnie oko.

– Po co?

– Żeby Daniel żałował, kiedy cię będzie rzucał – dodała z uśmiechem.

Nie zrozumiałam, ale machnęłam ręką i poszłam do siebie.

Rozmowy z córką, która ostatnio nadzwyczaj wydorosłała, bywają fajne, pomyślałam.

Przed wyjazdem zadzwoniłam do Jolki, zabezpieczając sobie tyły.

– Jola, będziesz w domu? – zapytałam i zapowiedziałam się na wieczór.

– Wspaniale się składa! Akurat będziemy świętować imieniny Anki. Wpadnie kilka osób, zapraszam! Ze spaniem nie ma problemu. Mój stary wyjechał, przenocuję was wszystkich. Znasz adres? – Koleżanka zareagowała entuzjastycznie.

Zapisałam adres, pomachałam Edycie i ruszyłam na spotkanie z Danielem.

Moje dziecko dobrze mi doradziło. Wyciągnęłam z szafy czerwoną zwiewną sukienkę, którą upolowałam na rynku w Alicante. Dobrałam stosowne kolczyki. Włosy ułożyłam w fale, a niesforne kosmyki przypięłam srebrną spinką. W takim rynsztunku mogłam bez wstydu stawić się na randce kończącej znajomość.

Gdy weszłam do kawiarni, Daniel siedział w rogu sali. Na mój widok podniósł się z miejsca i poprowadził do stolika.

Był elegancki jak nigdy; lniany beżowy garnitur i czarna koszula leżały nienagannie. Ciemne włosy opadały na ramiona.

– Witam! Wolisz przy oknie czy z widokiem na salę? – zapytał, pozostawiając mi wybór miejsca.

– Może tutaj. – Usiadłam bliżej okna.

Niepostrzeżenie pojawił się kelner.

– Na co masz ochotę? – Daniel był wyraźnie stremowany.

Dopiero w tym momencie zorientowałam się, że czytam hiszpańskie menu.

Pan doktor najwyraźniej pragnął pozostać szarmancki do końca.

– *Negro paella* z owocami morza – wybrałam.

– A do tego?

– Ty zdecyduj. – Wybór wina scedowałam na niego.

Zamówił czerwone wytrawne i szepnął coś kelnerowi.

Zanim podano nam talerze z paellą, konwersowaliśmy na tematy bieżące. Zdążyliśmy omówić przyjęcie Igi do medycyny, sukcesy Edyty w ratownictwie plażowym, samopoczucie Wiesi, jutrzejszą wizytę Lidki u lekarza. Nieco wymuszoną rozmowę przerwał nam kelner, przynosząc pachnące Hiszpanią dania.

Daniel dolewał nam wina, zagadywał.

Paella nie smakowała może tak, jak ta w wykonaniu Juana, ale dawała się zjeść.

Przełykałam właśnie ostatnie jej kęsy, kiedy Daniel gestem przywołał muzyków z drugiego końca restauracji. Już wcześniej zaczęłam mieć wątpliwości co do intencji mojego towarzysza, ale widok gitarzystów przy stoliku i kelnera z butelką szampana sprawił, że kompletnie odebrało mi mowę.

Przy dźwiękach *Bamboleo* Daniel wstał, wysupłał z kieszeni niewielkie puzderko i wyjął z niego pierścionek ze szmaragdowym oczkiem. Przyklęknął i zapytał, czy zechcę zostać jego żoną.

Ludzie przy sąsiednich stolikach gapili się na nas z otwartymi ustami, a ja miałam w głowie pustkę i ogromny problem z podjęciem decyzji.

Oczekiwanie zawisło w powietrzu.

Przecież przed zaledwie kilkoma godzinami sądziłam, że jadę na ostatnie spotkanie, a teraz mam zostać jego żoną? Gdzie? Jak? I czekać na niego, aż skończy dyżur? Po raz drugi wejść do tej samej rzeki? Jak z Markiem? Zakopać się na nowo w grajdole pracy i tych samych krajobrazów za oknem?

Muzycy grali, Daniel klęczał. Sala wstrzymała oddech. Przedstawienie przy stoliku trwało. A ja wpatrywałam się w zakochanego we mnie mężczyznę.

Z moich ust popłynęły słowa, których się nie spodziewałam.

– Tak. Zostanę twoją żoną – powiedziałam.

Daniel wstał, a ja zawisłam na jego szyi.

Zerwała się burza oklasków. Na szczęście wkrótce powrócił szmer głosów. Ludzie zajęli się sobą.

– Tak się cieszę, kochanie! – Uśmiechnął się mój narzeczony. – Tyle że to jeszcze nie koniec. Chciałbym coś ci zaproponować...

Usiedliśmy przy stoliku.

– Otóż pragnę cię poinformować, że właśnie dostałem pracę w Hiszpanii – ciągnął. – W mieście niezbyt odległym od granicy z Portugalią. I mam nadzieję, że zgodzisz się tam ze mną pojechać.

Nie było co udawać zaskoczenia.

– Nie wiem, co powiedzieć... Nie powinnam chyba tak szybko zdecydować. Jest przecież pensjonat, Edyta, pani Wiesia...

– Potrzebujesz czasu? – zapytał zmartwiony.

– Tak. Jakichś dwóch minut – roześmiałam się i opróżniłam kieliszek z resztek szampana. – Pojadę z tobą choćby na koniec świata. A już na pewno, jeżeli ten koniec świata znajduje się w Hiszpanii! – Rozładowałam napięcie.

– Kocham cię – wyszeptał Daniel.

– Ja ciebie też.

– Zaczekaj chwilę!

Zostawił mnie przy stoliku, by powrócić z naręczem moich ulubionych różnobarwnych gladioli.

Pod pretekstem poprawienia toalety, wysłałam Edycie esemesa.

„Daniel mi się oświadczył, a ja się zgodziłam. Dostał pracę w Hiszpanii. Jedziemy! Jestem szczęśliwa, córciu!”.

Odpowiedź nadeszła natychmiast.

„Wszystkiego dobrego na nowej drodze życia! A nie mówiłam, że Daniel jest w porządku?”.

Tego wieczoru porządkowanie mojego polskiego życia nie zaprzętało mi głowy.

„Jolu, nie przyjadę. Nie czekajcie”, napisałam do koleżanki. „Przepraszam. U.”.

Edyta

A zatem Daniel dotrzymał słowa!

Czekałam na te oświadczenia od naszej pamiętnej rozmowy w Gdańsku, kiedy zapoznał mnie ze swoim planem. Kilka tygodni niepewności, czy i kiedy się zdecyduje, utrudniało mi kontakt z mamą. Widziałam, jak ona zadręcza się ciągłą nieobecnością Daniela, a nie mogłam jej wyjawic powodów. A pan doktor musiał po prostu odrobić dwumiesięczne dyżury w dużo krótszym czasie i odbębnić związane z wyjazdem formalności. Mamie powoli opadały skrzydła, choć ratowała się przed marazmem, jak mogła – pisała nową książkę i uprawiała codzienną krzątanie w pensjonacie. Serce mi się krajało, ale zobowiązana słowem nie mogłam dać jej choć isierki nadziei na odmianę losu. Nawet tuż przed jej „pożegnalną” randką z Danielem, kiedy zrezygnowana oświadczyła, że proponuje Lidce wejście w spółkę i przekaże mi pieniądze na kupno mieszkania w Gdańsku.

Nie mogłam jej przecież ujawnić swoich planów, które łączyły się właśnie z pensjonatem.

Ratowały mnie rozmowy z Igą, podobnie jak ja wciągniętą w plan Daniela. Obie miałyśmy nadzieję, że rodzicom się powiedzie. Obie z całych sił życzyłyśmy im wspólnego życia.

– Mam wątpliwości, czy mama zechce przenieść się do Hiszpanii – dzieliłam się z młodą sceptycyzmem.

– Dlaczego? Przecież była zachwycona wyjazdem? I z tego, co wiem, trochę zmęczona osiadłym trybem życia.

– Aha. Co innego jednak urlop, a co innego odcięcie się od korzeni. Przerobiłam ten scenariusz na własnej skórze.

– Nie brakuje ci Juana? – Iga zahaczyła o drażliwy temat.

– Pewnie, że brakuje. Tylko nie pytaj o Miłosa! – Żartobliwie pogroziłam jej palcem. – To była pomyłka.

– Sorry! No przecież nie pytam!

Siedziałyśmy na plaży od dobrych dwóch godzin, zajęte układaniem życia dwojgu dorosłym ludziom, zapatrzone w zachodzące słońce, którego purpura pozwalała mieć nadzieję na kolejny upalny dzień.

Na plaży znów będzie tłum!, westchnęłam w duchu. Gorąca końcówka lipca zapewniała nam, ratownikom, sporo pracy. Na szczęście stabilna bezwietrzna pogoda nie napędzała fal, a morze było spokojne i przewidywalne.

– Chwała Bogu, że pracujemy na ośmiogodzinnych zmianach – powiedziałam. – Bo ludziska kąpią się do późnych godzin nocnych. A im późniejsza pora, tym coraz więcej wariatów – dodałam.

Jacyś dwaj faceci szarżowali właśnie poza linią falochronu.

– Nie zajmuj się nimi, nie jesteś w pracy! – upomniała mnie Iga.

– Przepraszam, skrzywienie zawodowe. Na plaży zawsze zachowuję czujność. Odruchowo.

Odwrociłam wzrok w kierunku tarczy słońca, już niemal całkowicie przesłoniętej ścianą z chmur.

– Robi się chłodno – zauważyłam i narzuciłam na ramiona cienki sweterek. – To kiedy wyjeżdżasz z Szymonem? – zainteresowałam się planami Igi.

– Ma po mnie przyjechać jutro. Aha, tato coś wspominał, że poprosi Ulę o spotkanie w piątek.

– O Jezu, to dopiero za trzy dni!

Nagle poczułam wątpliwości.

– A może mama nie przyjmie jego oświadczyn?

– Tak sądzisz? Wiesz o czymś, o czym nie wiem ja?

No cóż, może nie powinnam chlapać jęzorem o prywatnych sprawach mojej matki, ale czułam potrzebę zrewanżowania się Idze za jej lojalność i szczerość.

– Miguel, ojciec Juana smalił do niej cholewki. Choć nie sądzę, żeby miało to jakieś znaczenie. Tak tylko dywaguję.

Umówiliśmy się, że po randce rodziców niezwłocznie przekazemy sobie wieści.

– Która pierwsza się dowie, dzwoni do drugiej! – Iga uniosła otwartą dłoń.

Klepnęłam ją na znak zgody.

Kiedy po esemesie od mamy wybrałam numer młodej, jej telefon był zajęty. Okazało się, że właśnie próbuje połączyć się ze mną.

„Udało się!”, wysłałam wiadomość.

„Udało się!”, nadeszła wiadomość.

Przyjechali do Krynicy oboje. Daniel i mama, z naręczem jej ulubionych gladioli i pierścieniem ze szmaragdowym oczkiem, na którego widok rozplakałam się natychmiast. Na szczęście mogłam wytłumaczyć tę reakcję wzruszeniem.

Pod pretekstem przemycia oczu popędziłam do sypialni, by sprawdzić, czy i mój pierścionek spoczywa na swoim miejscu.

Leżał w szufladce nocnego stolika.

A ja odczułam nieprzepatą ochotę, by napisać do Juana, za którym zatęskniłam jak nigdy dotąd.

„U mnie też sporo zajęć”, zaczęłam, choć śpieszno mi było do świeżo upieczonych narzeczonych. „Choć nie na tyle, żeby nie mieć czasu na wspomnienia. Byłoby miło cię zobaczyć. Wprawdzie zapisałam się na studia w Warszawie, ale zajęte mam tylko weekendy. Wszystko wskazuje na to, że przejmę pensjonat, co się okaże w ciągu kilku dni. Brakuje mi ciebie. Edita”.

Odpowiedzi nie spodziewałam się od razu. O tej porze Juan na pewno siedział w kuchni.

W porze kolacji w Krynicy pojawili się również Iga z Szymonem, którzy przezornie nie wybrali się zbyt daleko, by móc powrócić w każdej chwili. A ponieważ tego dnia wzięłam sobie wolne od plaży, wcześniej razem z panią Wiesią przygotowałyśmy delicje ze świeżych ryb. Na stole wylądował pieczony sum w migdałach, wędzony węgorz, okoń na grillowanym bakłażanie i sandacz w galarecie. A do tego surówki z kiszanej kapusty i kilka innych tartych warzyw z ogródka. Na deser pani Wiesia uraczyła nas swoim wysmienitym sernikiem z wiśniami i galaretką.

Po weekendzie zostałyśmy z mamą same. Daniel popędził do Gdańska, by dokończyć wypełnianie zawodowych zobowiązań, Iga z Szymonem, już spokojni, wybrali się w góry.

Któregoś wieczoru mama poprosiła mnie o rozmowę.

– A teraz córciu, powiedz mi, jak widzisz przyszłość pensjonatu – zapytała. – Bo we wrześniu już mnie tutaj nie będzie.

– A co ze szkołą?

– Rozmawiałam już z Andrzejem – odparła mama. – Poradził, żebyśmy wzięła roczny urlop.

Kilka samotnych wieczorów na plaży poświęciłam na zastanowienie się nad tą kwestią. Nie byłam głupia i spodziewałam się pytania o przyszłość rodzinnego biznesu. Odpowiedź przyszła mi bez trudu.

– Chcę tu zostać, mamuś. Będę przecież studiować, wprawdzie weekendowo, ale jakieś źródło utrzymania mieć muszę. Lidka ma mnóstwo pomysłów, ja ostatnio też wpadłam na kilka... Razem damy radę!

– To znaczy?

– To znaczy, że możesz sprzedać połowę pensjonatu Lidce, a pieniądze przeznaczyć na jakieś małe mieszkanie w Hiszpanii – odparłam przewrotnie.

Sparafrazowałam jej własne słowa, które nie tak dawno skierowała pod moim adresem.

– Naprawdę chciałabyś zostać właścicielką połowy pensjonatu? – zapytała mama ostrożnie, ledwie powstrzymując się od wybuchu radości.

Czy ona myśli, że żartuję?

– Powiem ci szczerze. Nie wiem, czy na całe życie. Ale na czas studiów chciałabym spróbować.

– A Wiesia?

– Co to za problem? Wiesia chyba chętnie zostanie ze mną?

Od tej rozmowy plany dotyczące ożywienia pensjonatu po sezonie, którego kres zbliżał się wielkimi krokami, rozmowy z ciocią Lidką, bieżąca obsługa gości i praca na plaży zabierały mi niemal cały wolny czas. Ale nie żałowałam.

Kończył się sierpień. Nadeszły chłodniejsze wieczory, morze ożywiły fale. Wprawdzie za dnia na plaży siedziało całkiem sporo urlopowiczów, ale uciekali przed zimnem znad wody wcześniej, niż jeszcze miesiąc temu.

Ja jednak nie zarzuciłam codziennych wieczornych spacerów nad morzem, czerpiąc z samotności i pustych przestrzeni niekłamaną przyjemność. Ostatnio, z uwagi na wzmagający się wiatr, przesiadywałam pod wydumą, zapatrzona w dal, na bijące o falochron bałwany, które stawały się coraz bardziej agresywne.

– Wychodzę! – krzyknęłam do mamy również dzisiaj.

Szukała czegoś w szafie.

– Zostawić ci to pareo? – zapytała, kiedy zamykałam drzwi.

– Zobaczę, kiedy wrócę!

– Tylko nie siedź zbyt długo! Mamy ciepłą kolację!

Od jakiegoś czasu mama była nieco męcząca. A przez ostatnie kilka dni przed wyjazdem wpadła w szal przygotowań. Przeszukiwała zakamarki, przekazywała mi „bardzo ważne sprawy”, dawała rady i martwiła się, jak sobie poradzę.

Tym chętniej uciekałam nad morze, gdzie przynajmniej miałam chwilę spokoju.

Dzisiaj nie chciało mi się iść daleko, przysiadłam zatem zaraz przy naszym dwudziestym trzecim wejściu i okryłam kurtką, którą zabrałam z domu w przewidywaniu wzmagającego się wiatru. Nieliczni urlopowicze, okutani w ciepłe odzienie, chodzili wzdłuż brzegu, trzymając się z dala od wody, która nie dość, że była już zimna i wzburzona, to jeszcze przybrała złowieszczą siną barwę.

Jutro chyba trzeba będzie wciągnąć czerwoną flagę, pomyślałam. Kolejny wolny dzień!

Przyglądałam się rodzicom, wokół których kręciły się dzieciaki, starszym parom, statecznie krocącym pod rękę, ludziom z patykami, poszukującym bursztynów wśród wyrzuconych przez morze wodorostów, zakochanym...

Musiałam się zdrzemnąć, bo we śnie usłyszałam głos Juana. Otworzyłam oczy.

– Co ty tu robisz?! – Ocknęłam się natychmiast.

– Przyjechałam do ciebie, Edita, skoro ty nie chciałaś przyjechać do mnie. – Zamknął mi usta pocałunkiem.

Nie opierałam się. Smakowałam go i napawałam się szczęściem.

– Kocham cię, Edita! Jeżeli chcesz, to zostanę z tobą w Polsce. Życie w Alicante bez ciebie nie ma sensu. Teraz zapytam znowu, tym razem nad waszym morzem: czy zechcesz za mnie wyjść?

– Juanie, i ja cię kocham – odparłam. – Ale...

– Nie musisz odpowiadać od razu. Mam dużo czasu. Mogę się u was na trochę zatrzymać? Pomogę w kuchni.

Boże, ależ on jest słodki!

Usiedliśmy, wtuleni w siebie, i zapatrzyliśmy się w morze.

Za linią falochronu coś się nagle zakotłowało.

– Widzisz to samo, co ja? – Aż podskoczyłam. – Chyba ktoś tonie!

Wiedziona odruchem zrzuciłam z siebie ubranie i w kostiumie, którego w sezonie nie zdejmowałam niemal nigdy, wpadłam w fale.

– To dwie osoby, nie dasz rady! – usłyszałam przerażony głos Juana.

Ale ja już pruć w wodę rękami, wysilając mięśnie w pływakim sprincie.

Do tonących miałam ponad sto metrów. Fale zalewały mi oczy, nie pozwalając zachować kierunku. Płynęłam, nie oglądając się za siebie, skupiona na wołających o pomoc.

Nie minęło wiele czasu, gdy podjęłam szaleńczą walkę, aby utrzymać obu mężczyzn na powierzchni. Kiedy udawało mi się podciągnąć jednego, drugi zabierał mnie z powrotem pod wodę. Mimo że znałam się na robocie, nadludzki wysiłek sprawił, że zaczęłam tracić siły.

– Trzymaj się falochronu! – wrzasnęłam do topielca, który wydawał się w lepszej kondycji, i zanurkowałam w poszukiwaniu jego kolegi.

Zauważyłam go metr niżej, gdy opadał na dno. Pozbawiona zewnętrznego światła, dałam nura na oślep. I poczułam zaciskające się na łydce palce.

Zostałam wciągnięta w głąb i pozbawiona możliwości ruchu.

Próbowałam podjąć ostatni wysiłek, lecz zdawałam sobie sprawę, że szanse wypłynięcia na powierzchnię są zerowe.

Juan, Juan, Juan..., tętniło mi w głowie, zanim ucichło całkowicie.

Epilog

Cztery lata później

Samolot obniżył pułap przed lądowaniem w Lizbonie.

– Już czas. Kochanie. Obudź się – usłyszałam.

Juan delikatnie dotknął mojego ramienia. Przywrócił mnie do rzeczywistości.

Julio, rozparty na moich kolanach, spał w najlepsze.

Nieprzytomna spojrzałam przez okno i dostrzegłam znajome budynki lotniska. Niebawem ujrzy je po raz pierwszy mój roczny synek, uśmiechnęłam się.

– Kochanie, zaraz zobaczysz się z dziadkami! – przemawiałam czule do Julia, który właśnie otworzył bursztynowe oczy, odziedziczone po swoim tacie. – Mogłeś mnie wcześniej obudzić, dałabym mu jeść – skarciłam Juana z uśmiechem.

– Nic mu nie będzie! Podaj mi go!

Po długiej, niemal dwuletniej przerwie, znowu stoję na półwyspie!, wzruszyłam się.

Mama z Danielem czekali, przebierając nogami z niecierpliwości. Na nas nie zwrócili uwagi, tylko rzucili się w kierunku Julia.

– Nie widziałam go od pół roku! – piała mama. – Ależ on urósł. Jaki piękny!

Daniel, mimo większej wstrzemięźliwości w okazywaniu uczuć, również wydawał się zauroczony.

– Może musicie go przebrać, nakarmić?

– A może i dla nas znajdzie się buzi? – zapytałam przekornie, nieco dotknięta pominięciem przy powitaniu.

– Jasne! Chodźcie, niech was ukocham! Tak bardzo się cieszymy, prawda? – Spojrzała na Daniela.

Ten bezradnie rozłożył ręce.

– Nie śpi z wrażenia od dwóch dni – wyszeptał mi do ucha.

– I kto to mówi? Ja przynajmniej nie śpię w domu, a ty na dyżurach – odgryzła się mama, całując go w policzek. – Nic się nie zmienił – dodała. – Tyle że teraz mam go chociaż przy sobie.

Przebrany i nakarmiony Julio trafił do samochodu, umieszczony między mną i mamą na tylnym siedzeniu.

– Muszę siedzieć przy nim. – Oddała Juanowi miejsce obok kierowcy. – No, opowiadaj co u was – zaatakowała mnie, gdy Daniel ruszył.

Odwiedzaliśmy ich w Zafrze, w której mieszkali, już kilkakrotnie, a zatem wiedziałam, że przed nami około trzech godzin drogi. Podczas poprzednich pobytów zwiedziliśmy we czwórkę Sewillę, Cordobę, Malagę i inne mniejsze miasta; przewodnikiem na ogół był Juan.

Choć mama też by się nadała, bo wymiałała po hiszpańsku jak miejscowa, wcale nierzadko wprawiając mnie w zakłopotanie. Daniel również musiał nauczyć się języka. W końcu pracował jako lekarz.

Zafra to niewielkie miasto, wprawdzie od zachodu okolone pasmem gór, ale niezbyt interesującym turystycznie. Stąd atrakcje fundowane nam przy okazji każdego przyjazdu. Ale teraz, gdy pojawiliśmy się

w towarzystwie nieco ponadrocznego, ledwie drepczącego Julia, nie nastawialiśmy się na podróż.

Muszą nam wystarczyć spacerunki po spokojnych uliczkach i parkach, westchnęłam w duchu.

Nie zwracałam uwagi na drogę, ale kiedy w pewnym momencie Daniel zmienił kierunek jazdy i zamiast stale pojawiających się kierunkowskazów na Badajoz ujrzałam znaki wskazujące na Huelwę, zaniepokoiłam się nieco.

– Jedziemy jakąś inną trasą?

Julio był zmęczony, a ja nie chciałam fundować mu dodatkowych atrakcji. Im szybciej znajdziemy się w domu, tym lepiej, pomyślałam.

– Kochanie, dotrzemy do celu zaledwie pół godziny później – uspokajał Juan, najwyraźniej wciągnięty przez mamę i Daniela w jakiś niecny plan. Oni wszyscy wiedzieli o kierunku jazdy coś, o czym ja nie miałam pojęcia.

– Spójrz, Edytko. Mały jest całkiem zadowolony i na pewno zaraz zaśnie – wsparła go szczęśliwa babcia, jednocześnie szczebiocząc do wnuka i wyciągając z torby kolejne zabawki.

Nie bardzo wiedziałam, jak mojemu synkowi uda się zasnąć wśród tej paplaniny. Zdumiewało mnie ponadto, że droga do Zafry prowadzi wzdłuż wybrzeża, ale machnęłam ręką i przestałam dociekać.

Czekało mnie ogromne zaskoczenie.

Znaleźliśmy się w kompletnie mi nieznanym, niewielkiej miejscowości, posadowionej wokół latarni morskiej, której widok przywoływał wspomnienia tej w Krynicy. Wśród piniowych drzew wyrastały białe domki, niektóre w szeregu, inne wolno stojące w ogrodach. I wszechobecne palmy.

Daniel zatrzymał samochód przed jednym z nich.

– To nasz – pochwalił się z dumą. – Zapraszamy!

– Kupiliście ten dom?

Mój zachwyt wzrósł jeszcze, gdy weszłam do środka.

– Na lato. Żebyście mieli gdzie przyjechać. I Iga, i przyjaciele – odparł Daniel. – Niedaleko jest port jachtowy. Można przepłynąć przez rzekę na półwysep. A plaże są bajeczne!

– Od razu uprzedzam: nie potrzebują tutaj żadnych ratowników! – wtrąciła mama i pogroziła mi palcem.

– No, chyba że ja będę w pobliżu – rzucił Juan w biegu.

Nie spuszczał z oka penetrującego taras Julia.

– Dałabym radę bez ciebie – zażartowałam. Gdyby nie mój mąż, tamten wieczór w Krynicy zakończyłby się dla mnie tragicznie. – Oczywiście, że nie. – Spuściłam z tonu w uznaniu jego zasług.

– Nie wspominajmy już o tym – przerwał mi Juan. – Choć gdybym mógł, wcale nie uratowałbym tych facetów, tylko utopił ich w łyżce wody. Omal cię nie straciłem! A gdyby tak się stało, nie byłoby jego!

Chwycił Julia na rękę, pocałował. Przygarnął mnie do siebie.

Po południu wykorzystaliśmy wciąż ciepłą we wrześnie wodę i popływaliśmy w oceanie.

Napawałam oczy widokiem palm i piniowych lasów. Z przyjemnością oglądałam kwitnące krzewy bugenwilli i kępy kaktusów. No i miałam przy sobie Juana i Julia.

– Cieszę się, że dobrze ci poszło, córciu – powiedziała mama, przerywając mi kontemplację pierwszego popołudnia w El Rompido.

– Z czym?

– Ze studiami.

– Mamo, już niemal o nich zapomniałam! Skończyłam je rok i trzy miesiące temu!

– Podziwiam cię, że dałaś radę w ciąży. W końcu urodziłaś dziecko miesiąc po obronie. Powinnam być wtedy przy tobie...

– Przecież byłaś. – Przypomniałam jej, że przyjechała tuż po porodzie. – A jak twoja nowa książka? – Zmieniłam temat.

- Właśnie ją kończę. Sama nie wiem, jak to się stało, ale to już piąta! Muszę czymś zabijać nadmiar czasu podczas nieobecności Daniela.
 - Ciągłe zajęty?
 - Znasz go przecież! Ale Feria de Abril jest święta. Ma wziąć urlop i już! Nie potrafię sobie odmówić wycieczki do Sewilli.
 - Nie mów mi, że ze względu na Miguela?
- Roześmiała się.
- Zdziwiłabyś się! Nawiasem mówiąc, zaprosiliśmy go do El Rompido, żeby mógł zobaczyć wnuka. Od waszego ślubu utrzymujemy kontakty. Ostatnio wspominał coś, że zamierza pozbyć się pensjonatu. Tylko nie chlapij mu o tym! Ja o niczym nie wspominałam...
 - Nie knuj, nie knuj! Przyjedziecie na święta? Przy okazji zorganizujemy urodziny Wiesi...
 - Zobaczymy, Edytko, co się wydarzy do tego czasu – odparła mama poważnie. – Może wszyscy spotkamy się w Hiszpanii?

Podziękowania

Prolog

Urszula

Edyta

Urszula

Edyta

Urszula

Edyta

Urszula

Urszula

Edyta

Urszula

Edyta

Urszula

Edyta

Urszula

Edyta

Urszula

Edyta

Urszula

Edyta

Urszula

Urszula

Urszula

Edyta

Urszula

Edyta

Urszula

Urszula

Edyta

Urszula

Edyta

Urszula

Edyta

Urszula

Urszula

Edyta

[Urszula](#)

[Edyta](#)

[Urszula](#)

[Urszula](#)

[Edyta](#)

[Edyta](#)

[Urszula](#)

[Edyta](#)

[Urszula](#)

[Edyta](#)

[Urszula](#)

[Edyta](#)

[Urszula](#)

[Edyta](#)

[Urszula](#)

[Edyta](#)

[Urszula](#)

[Edyta](#)

[Urszula](#)

[Edyta](#)

[Urszula](#)

[Edyta](#)

[Urszula](#)

[Edyta](#)

[Edyta](#)

[Urszula](#)

[Edyta](#)

[Urszula](#)

[Edyta](#)

[Epilog](#)